DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.



Boga, dzieci Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

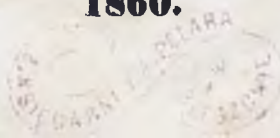
Tom III.



LWÓW.

Nakład i druk E. Winiarza.

1860.



SPIS RZECZY

zawartych w Tomie III.

stronica:

I. Żywoty świętych, legendy i rozmaite historje święte.

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historyi polskiej.

III. Wiersze.

IV. Piękne przykłady.

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki.

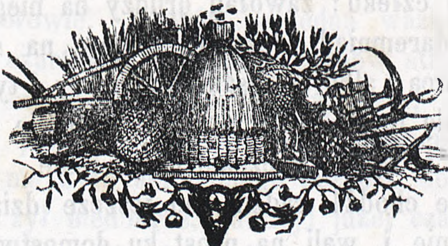
VI. Różności.

Dawne przysłowia, przypowieści i wyjątki z pisma świętego:

Tom III. Nr. 1.

1. Lipca 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

PIOTR MYTNIK,

czyli:

Nawrócenie pewnego skąpca.

Był niejaki Piotr Mytnik, bogacz nad bogacze, ale setnie skąpy i na ubogie niemiłosierny. Owóż jednego czasu siedzieli sobie dziadkowie pod kościołem i o tym człeku nieużytym rozpowiadali różne a różne historje.

Jeden prawi: — Dużo ludzi zaznałem; toć się przytrafił lepszy i gorszy, ale już nad Mytnika nie znam gorszego.

Drugi prawi: — Oj ten Piotr! prędzej myślę, twardy-byś kamień poruszył, niż jego.

Trzeci prawi: — Jeszcze się ten nie urodził, coby od niego jakowej łaski doznał.

Czwarty prawi: — Oj nie urodził się i nie urodzi pono! bo jak świat światem takiego skąpca nie było i nie będzie.

Tak bajdurzyli dziadkowie między sobą, siedzący pod kościołem, a każdy miał coś niedobrego do powiedzenia o Piotrze Mytniku, co był taki skąpiec nieużyty. Aż tu jeden dziaduś o

kuli chodzący powstał między nimi, pokręcił siwą głową i tak się odezwie:

— Moiście wy, a co mi dacie za tę sztukę, jeśli wam od tego skąpca przyniosę jałmużnę?

— Ho, ho człeku! zawołali drudzy na niego — nawet się nie kuś, bo nadaremnie! Jeszcześ gotów na swoje stare lata oberwać szturkańca, albo cię psami wystraszy i tyle wszystkiego.

— Niech się dzieje wola Boska! odpowie dziaduś — idę zaraz do niego, a wy tu poczekajcie na mnie.

— Ejże nie chodź! radzili mu jeszcze dziadkowie, a on jeno głową kiwnie i wali na prost ku domostwu, kędy zamieszkał ów Piotr, bogacz nad bogacze a taki skąpy. I właśnie utrafił w sam czas, kiedy piekarz z chlebem dla czeladzi pana Piotra wjeżdżał na dziedziniec. Za wózkiem szedł sam gospodarz. Więc dziaduś w pokorne prośby do niego:

— Zmiłuj się panie, bardzom głodny podaruj co!

A na to on skapiec rzuci się, jakby go osa ugryzła.

— Nie pójdziesz mi ztąd, włóczykiju! zawoła i cały się zapyrzył, jak ten jendor nieprzymierzając.

— Mój dobrodziejaszku, mój złoty panoszku! prosi dziaduś i rękę wyciąga — choć okruszynkę chleba!... zmiłuj się, bom strasznie głodny.

— Poczekaj ty kulasie obmierzły! krzyknie jeszcze bardziej rozgniewany Mytnik — dam ja ci chleba!... I dalej począł się oglądać za jakim kamieniem, aby dziada upartego poczęstować. Na szczęście jakoś kamienia nie było w tem miejscu; otóż skąpiec w srogim gniewie sam nie wie co robi, porywa za bochenek chleba z wozu i cisnął na dziada. Temu nie potrzeba było więcej. Uradowany choć takim nieszczerym datkiem, czemprędzej porywa za chleb i w nogi.

I dopieroż wydziwić się dosyć nie mogli, oni czekający pod kościołem, skoro im dziaduś ukazał bochen chleba, co go w tak dziwny sposób dostał od Piotra Mytnika.

Aż tu w trzy dni potem zdarzyło się, że on skąpiec ciężko zachorował. I przyszła nań mdłość wielka i nieprzytomność, w której jakoby zasnąwszy miał takie widzenie: Oto niby po śmierci stawiono go na sąd Boży, gdzie mu się każą rachować

z całego życia. I tuż przed sobą ujrzy wielką *wagę*, na której miały się zważyć grzechy jego, jako też dobre uczynki. Po lewej stronie tej wagi stali czarni murzynowie — a to z piekła czartowie. A zaś po lewej stronie stali cudnie piękni mężowie — a to święci Aniołowie. I owóż na jedną ważkę sypią grzechy Piotra Mytnika czartowie, a było grzechów strach jak dużo. A zaś Aniołowie święci napróżno oglądają się, coby na drugą ważkę dobrego położyć i bardzo się posmucili, bo w całym żywocie Piotra nie było ani jednego uczynku dobrego. Oj panie Piotrze, coś tak żył niedobrze, patrzaj! jużci czartowie dybią na duszę, aby ją pochwycić jak swoją... Aż tu w sam czas przypada dziaduś kulawy i ukazuje Aniołom bochenek chleba, co go przed trzema dniami dostał od Mytnika, prosząc zarazem, aby się sędziowie powstrzymali ze sądem i nie potępili grzesznika. — Hej! myśli sobie skąpiec — nie na wiele mi się tu przyda ten chlebuś, dziadku, bom go dał nie z miłosierdzia, jeno ze złości cisnąłem-ci go na głowę. — Tymczasem Aniołowie biorą chleb z ręki dziada i kładą go na swoją ważkę. Obaczą iż mało ważył i grzechy przeciężyć nie mógł. I obrócą się do Piotra Mytnika mówiąc:

— Grzeszna duszo, idź-że po raz wtóry na świat a dokładaj do tej wagi dobrego. Bo jeśli zaniechasz tego, wiedz o tem jako przepadniesz na wieki wieków i onym czarnym murzynom na męki oddanym będziesz.

A gdy Piotr przyszedł do siebie, dopiero się przestraszył onego widzenia i rzecze:

— Patrzaj! jakem widział wszystkie moje grzechy na kupie, a strach co tam tego było, toć już prawie myślałem żem zgubiony. A widzisz, jaka to jest moc cudowna jałmużny, chociaż tak lichej, iżem nie zginął od razu.

Skoroż powstał z owej niemocy na nogi, cale się inny człek z niego zrobił — nad podziwienie wszystkich. I już na potem hojny był w rozdawaniu jałmużny i w miłosierdziu tak wielki, iż wszystkiej majętności swej nie żałował. Nakoniec i samego siebie ofiarował na przebłaganie gniewu Bożego i na zagładę poprzedniego żywota grzesznego.

SIEROTA.

Ani u mnie siwe woły
Jak sokoły —
Ani owiec z białą wełną
U mnie pełno —
I w gumiesku i w komorze
Żal się Boże!
Nikt nie puka w moje wrota,
Bom sierota.

W żółtym piasku ojciec leży
U wybrzeży —
Matka ojca nie przeżyła,
I mogiła
Zasypała jej powieki
Na wiek wieki —
Mnie zaś smutek i tęsknota!
Bom sierota.

Rówiennice płochą zgrają
Mnie mijają —
Na nich lama lśni wspaniale
I korale —
Powiązane wstążką włosy
Rusej kosy —
Na mnie jeno ruta złota,
Bom sierota.

W. K.

Lepsze czyste sumienie, jak wypchane kieszenie.

Opowiadał Grześ z Mogiły.

— Ha, ha, ha, a ty urwipołciu, a ty gamoniu, to tobie się mojej dziewki zachciewa? Pek ci było! Patrzajcie go jaki mi panicz, jaki mi gospodarz. Ha, ha, ha! A tożbym ja sobie kazał pierwej sztukę nosa urzezać, niż żebym moją Kasię miał za ciebie wydać, ty chudy pachołku. Jak mi Bóg miły! Ha, ha, ha!

Tak się śmiał pan Pytel, mielnik w Patraszówce, kiedy raz nad wieczorem przyszedł do niego Sobek, co mu za parobka służył i jął go prosić o córkę. Aże się brzuch trząsł mielnikowi, aż się za boki chwytał, tak się mu wzięło zanosić od śmiechu.

Cale nie na śmiech zbierało się Sobkowi. Był on sobie robotny, uczciwy, a do tego taki walny parobek, że drugiego

we wsi chyba ze świecą poszukaj. Kasia była sobie także urodziwa dziewucha, toż i nie dziwota że Sobek przylgnął do niej niby mucha do miodu, a ona do niego jako miód do muchy. Straszecznie-ci się umiłowali, a tu ani w ząb; mielnik twardy jako młyński kamień.

— Ej panie mielniku — mówił mu jeszcze na pół z płaczem Sobek — tać już pofolgujcie mojemu proszeniu. Nie mam ja tam prawda żadnych majątków, aleć mam ręce zdrowe i do pracy się nie lenię jako sami wiecie. A toż jak wydacie Kasię za jakiego kapotowego drągala, co się będzie jeno po karczmach i jarmarkach włóczyć, to wnet przehula i swoje i wasze! — Hej, hej miły Boże, a po cóż ja ją tak srodze ukochał! A już jak ci mi jej nie dacie, to mi się chyba obwiesić albo i utopić.

Mielnikowi było już tego zanadto. Lubiał on bardzo cwancygierki i lepiej znał się na nich jak na swej mące z paździerzami, więc miał też uczciwe słowo tylko dla takich ludzi, u których czuł grosiwo. Toż obruszył się srodze na takie Sobkowe gadanie, uderzył pięścią w stół i zawołał:

— A nie przestaniesz raz hultaju! Ruszaj sobie odemnie i ani mi się na oczy nie pokazuj! Ruszaj się obwiesić, ty wisielcze jakiś! A przez próg mi ani nosa nie wściubiaj! Gotów mi jeszcze hultaj jakiego paskudztwa narobić!

Tak wykrzykiwał mielnik; zapyrzył się jako jendor, a pięścią sobie po stole do tego wybijał. A na one krzyki zerwał się pies mielników i zaczął ujadać pod stołem, i kot przestał po swojemu marmotać, a stanął jeno na przypiecku i ogon zadarł do góry.

Biedny Sobek skoro zobaczył, jako się to wszystko na niego sprzysięgło, zakrył sobie jeno oczy rękawem, rozbeczał się srodze i wyszedł z izby. A do tego ozwało się w drugiej izbie przeokropne szlochanie utrapionej Kasi, co niechcący wszystkiego wysłuchała. Taki ci się więc zrobił jęk i krzyk, warczenie i marmotanie, jakoby w bóżnicy.

Srodze zasmucony wyszedł Sobek od mielnika i już sam nie wiedział co począć. Gdzie tu pójść kiedy pan Pytel wygania? I już go taki żal ścisnął za serce, że zaczął bezbożnik na

prawdę przemyśliwać gdzieby się tu albo utopić, albo obwiesić, albo co innego sobie zrobić, bo już tak ani sposób żyć mu dłużej.

Więc sobie tak idzie drogą i nie wiedzący o bożym świecie; głowę w dół spuścił, a nogi stawia jakoby pijanica i już nic a nic około siebie nie widzi. Aż tu nagle — Sobek! Sobek! — zawołał go po imieniu jakiś głos znajomy.

Ocknął się Sobek na to wołanie jakoby ze snu, podniósł głowę, spoziera na około, a tu sługa dworski stoi na dziedzińcu i palcem kiwa ku niemu. Podsunął się więc ciekawy, na co go tam potrzebują.

— Sobuś! — zawołał sługa — a nie skosiłbyś ty trawnika przed gankiem? Nie ma już kogo napędzić do tej roboty, a koniecznie trzeba, żeby był porządek, bo goście mają zjechać.

Sobek zawrócił się zrazu i chciał odejść, boć on już chciał o tamtym świecie myśleć a nie o trawniku; ale jak ci go sługa wziął namawiać i prosić: — *Sobuś, Sobeczku!* aże Sobuś zmiękł i pomyślał sobie, że trzeba jeszcze przed śmiercią choć wygodę ludziom zrobić. Zabrał się więc i zaczął kosić on trawnik przed dworem.

Stara to rzecz, że robota to najlepsze lekarstwo na wszystkie turbacje. Owóż i Sobek jak się wziął do koszenia, tak ci mu to wszystko zaczęło wietrzyć z głowy. Rozumował sobie tak i siak, aże przy końcu już i o topieniu i wieszaniu z kretesem zapomniał. Zrobił się też wreszcie wieczór i zaczęli się ludzie schodzić po wypłatę. A że Sobek skończył także swoją robotę, więc stanął sobie z ludźmi i tak gadu, gadu, czekają wszyscy na panią, co im zawsze w sobotę wypłacała. Ano wyszła w końcu i pani, już od dwóch lat wdowa po mężu i nuż tam obchodzić całą litanię i wściubia do ręki każdemu, co mu się należy. A tego o żonę a tego o dzieci się pyta, czasem tam i co doda dla dziewcząt na tasiemki, boć była to pani że jeno do rany przyłożyć. Dla krótszej roboty miała pani pieniądze pozawijane w papierki, a w każdym papierku było jednakowo. Owóż jak już obeszła koło, przyszła i do Sobka.

— A cóżeś ty robił? — pyta się onego a tak milutko,

że się Sobkowi właśnie o dwadzieścia funtów lżej na sercu zrobiło. — Skłonił się więc do kolan i rzecze pokornie:

— A toć ja jeno tyle com trawnik skosił.

Wzięła więc papierek z pieniądzmi i wściubiła mu do ręki, choć takie same papierki to za pół dnia bywały. Podziękował Sobek, schował grosze do kieszeni, pokłonił się wraz z innymi i ruszyli wszyscy do domu.

Wesoło było po drodze. Parobcy baraszkowali i śpiewali aż się het po lasach rozchodziło; kobiety sobie znowu jakieś ciekawości opowiadały, jedna prędzej jak druga a spoglądały na Sobka z pod oka. On zaś szedł sobie bokiem i myślał ciągle nad tem, gdzie się tu teraz obrócić, kiedy pan Pytel wygania.

Po nie długiej chwili rozeszli się wszyscy, każdy w swoją stronę, a Sobek sam jeden się został, szedł i nie wiedział gdzie idzie. Przyszło mu wreszcie na myśl zobaczyć, co też mu pani dała za te dwie godziny roboty.

— Może choć na powróz wystarczy — szepnął mu zły duch do ucha.

Sięgnął ręką do kieszeni, wyciąga, rozwija papierek, patrzy: — Chryste Panie! — a tu same dukaty! Sobek znał przecież dukaty, bo widział je u wolarzy z Podola, a choć się dobrze pociemniło na dworze, poznał że to złoto. Stanął więc jakby go piorun raził. Myślał z początku czy to nie sprawka czartowska? Ale gdzież tam — i przeżegnał się ze trzy razy i złoto na ręce przeżegnał, ale się w smołę nie rozlało a toż i sprawiedliwe dukaty. Tak się więc z razu uradował Sobek tym trafunkiem, że się kopnął i nuż biegnąć jak głupi, bo sam nie wiedział gdzie biegnie. Pomiarkował się aż za chwilę, stanął i dalej bierz na rozum, co się to ma znaczyć.

Jużcić od razu przyszło mu do głowy, że się to pani omyliła, bo trudno za skoszenie niewielkiego trawnika dukatami płacić.

— Ale co to ja mogę mieć za te dukaty! — myślał Sobek. — A toż ja sobie grunta kawał kupię, chudoby ze trzy sztuki, chałupę wystawię... A co też mielnik potem powie, jak pójdę do niego po córkę! Hej Kasienku moja! nie frasuj się srodze, boć tam pan Bóg o nas pamięta.

— Alećto nie twoje, jeno jejmościne — mówiło mu na to sumienie i brzęczało mu w uszach jak natrętna mucha. — To nie twoje!

— Cóż ja zrobię, co ja zrobię! — oj biedna moja głowa! — zalamentował Sobek i nuż biegnąć dalej.

— Nie — ja nie oddam — zaczął sobie znowu rozumować. — Powiem, jak mię kto zapyta zkąd mam pieniądze, żem znalazł, żem wykopał!...

— A czemuż by ja nie miał być szczęśliwy z moją Kasią jedyną, mój Boże kochany! dyć to nie ukradzione...

— Będziesz kłamcą i złodziejem! — zawołało w nim sumienie i tak mu wrzasło w uszach że go aż ogłuszyło.

— O dla Boga, złodziejem! — krzyknał Sobek straszliwie i nuż biegnąć dalej.

Po chwili stanął znowu i tak jął medytować:

— Jeszcze inaczej zrobię. Pójdę het daleko, w cudzym kraju kupię sobie zagrodę, a potem konikami przyjadę po Kasienkę i wezmę ją ze sobą. A któż tam będzie wiedział, zkąd ja mam pieniądze.

— Pójdziesz prosto do piekła! — wrzasło sumienie że go aż wstrząsło całego i przykląkł do ziemi.

— Do piekła! — zawołał okropnym głosem zrozpaczony Sobek — Chryste Panie, zmiłuj się nademną! i znowu zaczął biegnąć jak szalony.

Aż tu nagle uderzył czołem o coś twardego, że mu aż świeczki w oczach stanęły. Zatoczył się Sobek, patrzy, a tu krzyż stoi przy drodze z męką Chrystusa Pana. Miesiączek śliecznie świeci u góry, a w jasności wielkiej widzi cierniową koronę pana Jezusa. Spojrzał w koło, a tu las czarny że aż mrowie po kościach przechodzi. Więc go tak mocno tknęło w sumieniu i widać łaska Boska spłynęła na jego grzeszne myśli, bo ukląkł duchem pod krzyżem, zmówił jeden pacierz i drugi i trzeci, i pan Jezus oświecił go w tej sprawie.

— Pójdę jutro i oddam — postanowił Sobek — i spokojny położył się spać pod krzyżem, bo już późno w nocy było.

Słodko bardzo spało się Sobkowi pod onym krzyżem w lesie i przedziwny miał sen tej nocy. Owóż śniło mu się że

widział wielką wagę, taką jak to mięso na niej ważą — tylko że tamta była het od nieba aż do ziemi. Otóż na jednej stronie tej wagi była ogromna kupa złota. Druga była próżna. Aliści po chwili nadchodzi jakiś człowiek w łachmanach, ukląkł i zaczął się tak serdecznie modlić, że mu się łzy czyste jako perły z oczów puściły. I wtedy zaczęła się ona kupa złota niby lżejsza do góry podnosić, a z nieba ozwał się głos ogromny: — Więcej u mnie waży jedna szczera modlitwa żebraka, niż wasze skarby światowe!

Zniknął potem ów człowiek w łachmanach i znowu było próżno na jednej stronie. Aliści po chwili nadchodzi jakiś człowiek i niesie drugiego na barkach, co był strasznie poraniony. Złożył go ano na tej wadze, wydobył z zanadrza szmaty i maście opatrywał mu rany, wymywał wodą i przykładał maście. I wtedy podskoczyła znowu spory kawałek ona kupa złota, jak gdyby jej z połowę ubyło, a z nieba ozwał się ten głos ogromny: — Więcej u mnie waży miłość bliźniego, niżeli wasze skarby światowe!

Potem znowu nic nie było. Aż po chwili przyszedł jakiś człowiek a temu bardzo źle z oczu patrzyło. Miał noże straszne koło siebie; zarośnięty był i ponury. A jak człowiek ten przyszedł tylko na oną wagę, tak upadł na kolana, rzucił od siebie broń wszelką, zaczął się modlić i bić czołem o ziemię: — Boże mój, Boże mój! — wołał ten zbójca zasmuconym głosem — oto chcę się poprawić, oto będę pił wodę z krynicy i będę jadł korzonki, a ludziom będę dobrze czynił, żebyś mię panie Boże tylko nie opuścił. — I wtedy podskoczyła w górę ona waga ze złotem, a to złoto zniknęło z niej gdzieś do szczętu. Z nieba zaś ozwał się głos ogromny: — Więcej u mnie waży nawrócenie się jednego grzesznika, niż wasze skarby światowe!

Potem znikło to wszystko z przed Sobkowych oczów, a co innego jęło mu się pokazywać. I widział kościół ładnie ubrany i świece jarzące tam stały a on klęczał z Kasią przed ołtarzem i właśnie zaczął organista coś ślicznego śpiewać — kiedy się nagle obudził.

Słońce już zeszło i ślicznie już było na świecie. Podźwignął się Sobek, przetarł oczy, zmówił pacierz pod krzyżem i ruszył do wsi. Droga była nie długa, toż duchem stanął Sobek

w młynie pana Pytla. Zaszedł tam po cichu do komory kędy zawsze sypiał, ubrał się w świąteczną sukmanę, oporządził do okoła i ruszył tak do dworu.

Ledwo co zaszedł na dziedziniec dworski. aż tu usłyszał jakieś krzyki i kłopot wielki. Szczęściem pokazał się ten sam sługa dworski co go wczoraj do koszenia wołał, więc go Sobek ułapił duchem i pyta, co się takiego stało.

— At widzisz Sobku — mówił sługa — pani naszej wczoraj ktoś wyciągnął, a może pani sama gdzie zatrąciła, cały zwitek dukatów. Byłoć ich tam kilkanaście, a to zawsze jest dosyć wielka suma. Owóz pyta się nas pani dzisiaj, czy my nie widzieli. Więc baby zaraz że to mają złość na siebie, zaczęły użerać jedna do drugiej: a tyś wzięła, a tyś wzięła — i tak zaraz cały jarmark.

— A nie można by z panią się zobaczyć? — zapytał Sobek i uśmiechnął się ciekawie.

— A cóż ty masz do pani? — pytał sługa.

— Ot, mam tam o coś prosić — rzekł Sobek, skrobiąc się w głowę niby zaturbowany.

— A to idź, właśnie pani jest w czeladnej izbie — odpowiedział sługa.

Sobek więc ruszył obces do czeladnej izby. Ucichnął tam już krzyk, bo pani się wdała do tej sprawy. Więc Sobek nic nie mówiąc, pokłonił się tylko nisko i oddał pani zwitek z dukatami. Pani wzięła, rozwija:

— A ty zkąd to masz? — zawołała zdziwiona, zobaczywszy dukaty. A dziewki gęby pootwierały, bo nie wiedziały co to znaczy.

Dopieroż Sobek zaczął się spowiadać ze wszystkiego: jako on dostał te pieniądze za skoszenie trawnika, jako potem chciał sobie zatrzymać bo się w Kasi rozmiłował a mielnik nie chciał mu ją dać, jako pod krzyżem natchnął go pan Bóg inaczej — i do krzty wszystko rozpowiedział. Pani strasznie się tem uradowała, kazała Sobkowi poczekać na ganku a sama poszła do pokojów.

Czeka Sobek na ganku i myśli, co to z tego będzie. Aż tu naraz drzwi się otworzyły i wyszła znowu pani a za nią

gości kilkoro i nuż się jeszcze raz rozpytywać Sobka, a tymczasem posłano chyżo po mielnika.

Zasapał się mielnik, bo nie wiedział na co go tak skoro pani potrzebuje, ale już oczy wytrzeszczył jak cebule, kiedy ujrzał Sobka na ganku i tyle państwa naokoło niego.

— Panie Pytel — zawołała pani już z daleka i uśmiechnęła się do tego serdecznie — czemu to pan nie chce dać swojej Kasi za Sobka?

Mielnik popatrzył srogo na Sobka, ale się pani tak niziutko skłonił, że mało nosem ziemi nie zaorał.

— Wielmożna dobrodziejko — zaczął się jąkać — a toć ja bym mu dał, ale on nic nie ma, chyba te dwie rąk do pracy.

— Ha, ha panie Pytel — mówiła pani dalej — a czy to nie dosyć? Lepiej być ubogim a uczciwym człowiekiem, niż bogatym oszukańcem. — I zaczęła tu pani mielnikowi opowiadać całą historję, jako się z Sobkiem przytrafiło.

Mielnik nie chciał wierzyć swoim uszom. Kiedy ano dosłuchał do końca, pokłonił się pani niziutko.

— Cóż mi z tego — rzecze — kiedy on nic nie ma, a ja także nie wiele — dodał mielnik i tak łypnął oczami jak jendor gdy co połyka. — Toćby oni biedę musieli klepać.

— Ha, no, żeby biedy nie klepali — odezwała się pani na to wesoło — to ja tak rozkazuję: pustkę pod lasem daję na wieczne czasy Sobkowi i drzewa z lasu tyle, co na porządną zagrodę potrzeba.

Sobek złapał się za głowę z radości i upadł dobrodziejce do nóg plackiem jak długi.

— Nareszcie — mówiła pani dalej do Sobka kiedy powstał — daję ci te dukaty, coś już miał przy sobie na zagospodarowanie.

Sobek płakał i śmiał się ze swojego szczęścia.

— A ja dwa dukaty, a ja także dwa — mówili goście i każdy coś dorzucił na rękę pani.

Sobek nie wiedział już komu ma kolana ściskać, a mielnik tak się zadziwił, że mu aż oddech w brzuchu zaparło.

— Ale teraz panie Pytel — zaczęła pani znowu — musisz dać sute wiano twojej Kasi, bo inaczej krucho znami będzie.

— Ale dam, jużci dam — zakrzyknął mielnik. — A cóżbym ja nie dał takiemu walnemu człekowi, taż ja bym mu krwi z palca usączył. Obrócił się tu pan Pytel — i uściskał Sobka co miał siły.

Kasia siedziała wtedy w izbie zapłakana i nie wiedziała jakie jej się szczęście znaczy.

Jeszcze tego samego dnia, boć była Niedziela, dał Sobek na zapowiedzi i zaraz wziął się do stawiania zagrody.

Były nie długo potem zaręczyny u mielnika. Co żyło to hulało, a Kasia ze Sobkiem wycinali krakowiaka że aż miło było się patrzeć. Zatoczyli raz w koło. Sobek stanął przed basistą, rzucił dwa czeskie do basów i zaczął śpiewać:

Choć ja se parobczak a ty mielnikówna,
Toć ja tobie równy a i ty mi równa.

Poszli znowu raz w koło, a gdy mijali muzykę, zatrzymała Kasia wszystkie pary i zaśpiewała:

Choć ja mielnikówna, tobiem przeznaczona,
Tyś mi się spodobał, będę twoja żona.

We dwie niedziele potem było ogromne wesele. Radowali się od wieczora do rana. Sobek upominał się tylko u teścia o kawałek nosa, jako że się pan Pytel zaklinał żeby sobie dał prędzej sztukę nosa urzezać, niż żeby miał dać swoją Kasię za takiego chudego pachołka. Żyli potem ze sobą długo i szczęśliwie i jeszcze wydanym dzieciom rozpowiadali o onej przygodzie.

SZARAŃCZA

jako szkody wielkie ludziom robi i co z nią poczynać.

Różnych wrogów zsyła Pan Bóg na ludzi, ażeby też ich doświadczyć jako są stali w swej cnocie, albo też i za ciężkie grzechy jakie popełnili. Bywa więc że to raz człowiek jest wrogiem, inną razą ogień, woda, a już co najstraszniejszym wrogiem dla ludzi jest *szarańcza*.

Każdy zna konika polnego co po łąkach skacze, albo *świerszcza* co pod piecem w chałupach się kryje i oświerkuje sobie w zimie długiemi wieczorami. Owóż szarańcza zupełnie jest do nich podobna, jeno że trzy razy tak długa i gruba a żarłoczna, że niech Pan Bóg broni. A dwa są rodzaje między temi, co nas czasem całemi chmurami nalatują. Ta, co częściej się zjawia, ma brunatne skrzydła a po nich czarne czworograniaste plamy i zwie się *szarańcza wędrowna*, bo sobie też het z daleka wędruje, a co na drodze znajdzie to do szczętu wyżre. Druga jest więcej zielona a spodem żółta i aż prawie cielistej maści. Wierzchnie skrzydła dobrze szare i także na czarno różnemi bałamutami popisane. Owóż ta się nazywa *szarańcza tatarska*, bo od Tatarów do nas przychodzi, a szkody robi takoż takie a może i sroższe jak owe pogany Tatary, kiedy nam bywało dawnemi czasy jak zbóje na Polskę napadali.

Kiedy już szarańcza ma do nas wpaść, to bywa ono nieszczęście zwyczajnie w Lipcu albo w Sierpniu i to najczęściej w suchych i gorących latach. Leci naonczas ten gad niepoliczonym tłumem. Będzie temu ze sto dwadzieścia lat, jak nas ogromna szarańcza nawiedziła. Leciała ona wtedy taką chmurą na kilka mil długą i szeroką, że aż słońce zakrywała. Najskorzej jej idzie podróż, kiedy słońce mocno dogrzewa. Ranna rosa i chłód nocny nie bardzo jej służą. Siada zwyczajnie w południe na popas i żre co się jeno zmieści; ale już wszystko do szczętu niszczy w onych miejscach, kędy na nocleg upadnie. Żre ona zboże, trawę, liście na drzewach, a jak już to wszystko obeżre i nie ma się czego czepiać, to ogryzuje korę z drzew i słomę z poszycia. To też wygląda w tych miejscach, kędy szarańcza siedziała, jakoby jedno ogromne pogorzelisko. Wielki też głód potem bywa, gdy szarańcza ludzi nawiedzi, a często i pomorek z onego smrodliwego powietrza, co się z jej bobków i z pozdychanych ciał wydobywa. Dał Pan Bóg miłościwy różne inne zwierzęta, co się za szarańczą uganiają i pożerają to paskudztwo. I tak: szpaki, wrony, kruki, bociany i inne ptactwo. Bociany lecą gromadnie za szarańczą, a gdy widzą że usiędzie, zbierają się w szeregi i z wielką chciwością uderzają na nią. Kury kaczki, świnie, a nawet koty bardzo lubią szarańczę, nie wy-

chodzi im to jednak na zdrowie, dla tego że się bardzo obżerają tych gadów, więc potem chorują a często i giną. Alec za mało to tych wszystkich nieprzyjaciół na taką niezliczoną moc onego paskudztwa. Trzeba żeby też i ludzie ją wytępiali, bo inaczej srogi głód następuje.

Owóż opowiem wam po krótce, jako trzeba bronić pola od tych gadów, żeby wam to było na pożytek, jakby broń Boże kiedy nas napadła.

Oto jak się tylko słych zacznie rozchodzić, że szarańcza przylatuje, to już powinneście postawić strażników na łanach i mierzwy zaraz nawieźć należy, żeby była gotowa do zapalenia. Trzeba na to osobliwie wtedy uważać, kiedy są dnie suche i gorące. Jak się więc już ukaże w powietrzu ona chmura szarańczy, zapalajcie duchem kurzyska i gońcie sporą kupę ludzi na koniach i piechoto, żeby robili srogi łoskot. Tym końcem powinny konni mieć jakie strzelbiny, żeby strzelać w tę chmurę a inni kosy, tasaki, łańcuchy, takoż dzwonki i trąbki i co kto ma, żeby był szczęk i łoskot przeokropny. Otóż szarańcza boi się takiego przywitania i ucieka w inne strony. Trzeba jeno uważać, żeby ją nie gonić na sąsiedzkie pola, ale gdzie w pustki, albo na ugory, na moczary gdzie są, żeby tyle szkody jak w zasianych polach nie zrobiła.

Jeżelić już nie pomoże on łoskot, a szarańcza spadnie na pole, gdzie już zboże doszło, ha! to już człowieku tam rady nie ma. Zdaj wszystko na wolę Bożą, a duchem zapalaj zboże na kilku końcach i to tak miarkuj, żeby wiatr co najrychlej ogień rozniósł po całym łanie. Spali-ci się twoja praca i twój chleb, aleć bo i tak nieby już z niego nie było. Zrobisz przynajmniej chrześcijańską usługę sąsiadowi, bo szarańcza skapie w ogniu i już dalej nie poleci. — Jak się zdarzy że szarańcza spadnie na ugory i łąki, to wtedy co żyje niech ją idzie tratować: to wozami, końmi i każdym ciężkim sprzętem, gdzie kto co nadybie. Najlepiej się wziąść do niej, kiedy mglisto i chłodno na dworze. Jeszcze lepiej o takim czasie w nocy, bo owad w ciemności nie widzi i trudno się zrywa ze ziemi. Pobitą szarańczę trzeba zmiatać w głębokie rowy, dobniami przytłukać i ziemią tęgo zasypać i udeptać. Pamiętajcież zaś nie brać do tratowania sza-

rańczy wołów jeno konie, bo woły ze smrodu, co szarańcza ze siebie wydaje, chorują a czasem i odchodzą. Także żeby mi każdy człek był ozuty porządnie, boć tam choć jedna szarańcza mocno nie uszczypie, ale jak ich jest kupa, to mogą zranić nogę. Dzieci i niedorostków nie trzeba brać wtedy, bo im także ów smród ze szarańczy szkodzi.

Tak się brońcie, kiedy szarańcza nadleci; aleć często się wydarza że ona w ziemi jaja kładzie, więc trzeba i o tem pamiętać.

Owóż trzeba wam wiedzieć, że jak szarańcza do nas przybędzie, to się tu i parzy w Sierpniu i Wrześniu. Samcy wnet potem zdychają, ale samice żyją jeszcze do Października. W tym miesiącu składają one jaja, zwykle w ziemię co świeżo zaorana. Do tego robi sobie samica dołek na pół palca głęboki, wpuszcza tam z 50 albo i 60 jajek, potem oblewa taką śliną, że się to wszystko zlepia w jedną grudkę razem ze ziemią. Wygląda to iście jakoby ziarnko bobu; a takich grudek złożyć może samica 3 albo 4, więc 200 jaj z okładem! Pomyśleież sobie jak się to strasznie rozmnażą ono paskudztwo!

Trzeba więc co najbaczniejsze mieć oko na takie pola, gdzie szarańcza w jesieni się zostawała, boć tam pewnie jaja zakopane leżą. Cóż więc robić na to? — Najprzód jeśli można, zatopić takie pola aż do tego czasu, kiedy mają przyjść mrozy, bo wilgoć psuje het jaja tych owadów. One grunta wypada zaś w drobne skiby płytko przeorywać, wyorane na wierzch grudki z jajami wybierać, potem rolę bronować, jeszcze zebrać co się zostało, a potem trzeba wszystko to do dołu zgarnąć, dobniami rozgnieść i ziemią tęgo przysypać. Do zbierania jaj najlepiej zrobicie, kiedy nagonicie dzieciaków z całej wsi, a i grosza nie szczędzić jak trzeba, bo się to wszystko i z czubem odpłaci.

Trudnoć tam wybrać jaja co do jednego. Coś się ich tam koniecznie zostać musi. Owóż w Marcu, a czasem i wcześniej, skoro jeno śnieg zejdzie i ciepło się zrobi, uważaj dobrze gospodarzu na te pola, gdzie szarańcza w jesieni siedziała, czy się tam co nie wylęże? Musisz wiedzieć, że młoda szarańcza to wygląda niby duża, czarna mrówka, jeno że nie łazi po ziemi ale skacze. Nie zasypiaj więc czasu, tylko duchem zbieraj

ludzi, wychodź jeszcze przed wschodem słońca i bierz się do roboty. Owóż niech ludzie biorą miotły do ręki, stają na około owego łanu, gdzie jest młoda szarańcza i niechże ją zmiatają do środka. Jak już będzie na kupie to paskudztwo, niechże inni co żywo kładą słomę na około i zapalają ją na różnych miejscach. Tak więc upiecze się w ogniu ono nieszczęście. Trzeba zaś to powtórzyć i drugi raz i trzeci, jeżeliby się jeszcze co zostało.

Nie na wiele ogień się przyda jak już szarańcza podrośnie, boć wtedy skacze bardzo daleko. Wtedy nie poradzi inaczej, tylko trzeba rowy kopać, szarańczę do nich napędzać, tam gnieść i ziemią znowu zasypywać. A jeślić niedorosła szarańcza oblazła pola, gdzie się już zboża podniosły, to już niema innej rady tylko zboże skosić, szarańczę otrząść i dopiero ją wytłuc tak jak się mówiło. Dobrze jest także wykaszać w takich zbożach ulice i kopać w onych rowki. Młoda szarańcza lubi tam załazić i wygrzewać się na słońcu. Nie trudno więc wtedy nałapać tego paskudztwa we wory, wytrząść do przyrządzonych dołów, dobniakami ugnieść i ziemią zasypać.

Otóż nagadałem wam się do syta, jakobyście sobie mogli radzić, gdyby broń Boże szarańcza do nas jeszcze kiedy zawitać miała. Lecz niechże Pan Bóg litościwy uchowa! I takeśmy biedni, ledwo że człek sam ma co do gęby włożyć, a tu jeszcze różne przypadki i wypłaty że się już i życie człowiekowi przykrzy! Oj dosyć nam się już leje gorącego sadła za skórę, toż panie Boże miłościwy broń nas od szarańczy, jako od najstraszniejszego wroga! —

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Sprawiedliwe nabycie i na morzu nie ginie.
2. Rychlej chudzina dla chudziny uczyni, niżli dostatni.
3. Gdzie złe przypadki, tam przyjaciel rzadki.
4. Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.
5. Kto dobrze robi, śmierci się nie boi.
6. Przez niezgodę tracą ludzie swobodę.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

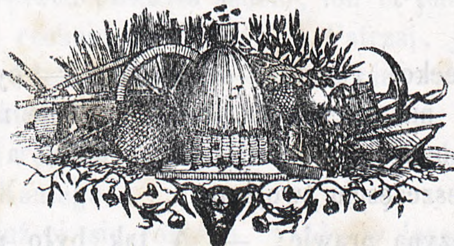
Tom III. **Nr. 2.**

11. Lipca **1860.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stłuczony dzbanuszek.

Cudowna historja.

Było to za życia świętego Jana Kantego. A ten święty Jan był księdzem w Krakowie i znali go ubodzy ludkowie, jako że im siła czynił dobrego — miłością serca swego. Owóż powiadają, jakci jednego razu szedł sobie do Łobzowa, co jest wieś niedaleczko od Krakowa. Idzież sobie noga za nogą równą drogą i modli się wedle swego zwyczaju. Aż tu naraz od drogi słyszy jakieś ludzkie szlochanie i srogie narzekanie. Więc się duchem odwróci ku onej stronie i zajrzy właśnie nad drogą dziewczynę ubogą. Przed nią leżą na ziemi czerepy z potłuczonego dzbanuszka, a ona uboga duszka płacząc aże ręce załamała, co się jej taka szkoda stała.

I zawołał na nią święty Jan: — Duszko moja płacząca, z ktąd ty?

Odrzeknie dziewczyna: — A z Łobzowa, mój dobrodziejaszku.

Zagada znowu święty Jan: — I któż tu zawinił, żeć taką szkodę uczynił?

— A któżby jak nie sama — odpowie dziewucha i dalej w płacz nowy i narzekanie: — Oj będęż ja miała od mojej pani, będę, com jej taką szkodę uczyniła, dzbanek z mlekiem rozbiła.

— Cyt dziecko! rozkazał święty Jan — cyt mała! płacz tu zła rada, na nic ci się nie nada ani twoje narzekanie. Tu trzeba prawdę powiedzieć, jak się to stało, a wtedy może i zaradzę temu nieszczęściu twojemu.

Jęła dziewczyna prawić: — A tak było mój złoty, mój wielmożny dobrodziejaszku! Dziś rano gospodyni, mleka mi do dzbanka naczyni i każe: Słuchaj, pójdziesz mi zaraz na Kleparz, i za to mleko co go sprzedaż, nakupisz krupek i soli — słyszysz! — Więc ja na to: — Słyszę! i duchem wybrałam się w drogę. Aż tu mi niebodze po drodze przyszło na myśl, że jutro mamy święto Matki Boskiej, więc by należało do naszego obrazu, narwać świeżych kwiatuszków od razu. Tak-ci tedy myśląca o Matce Boskiej, pozieram dla niej za kwiatkami na wianek i ot, trza było nieszczęścia że przy tej robocie wymknął mi się dzbanek i mleko się wylało — i tak się stało, mój dobrodzieju.

Skończyła dziewczyna opowiadanie i spojrzy po świętym Janie, myśląca sobie: Mój Boże! czy też on mi pomoże.

A święty Jan stał milczący długo przed oną sługą z Łobzowa, a w jasny promień ubrała się jego głowa, jak to widzimy u świętych pańskich na obrazach. Więc ona sługa nieboga, widząc taką jasność nad głową świętego Jana, upadła na kolana i ręce złożyła i niby się do świętego obrazu modliła.

Aż powie święty Jan: — Iżeś była tak szczera dla Boskiej Matki, zbierająca dla niej kwiatki, a toć za to Ona, Królowa wsławiona, uczyni tak przez sługi swego niegodnego, że będziesz pocieszona — duszko moja.

I jako rzekł, tak ci zaraz nachylił się ku ziemi i począł zbierać rękami świętemi potłuczone czerepy dzbanuszka i składać jeden do drugiego, aż-ci się z tego stał dzbanuszek cały jakoby świeżo kupiony i ani znaku dopatrzyć, gdzie był uszkodzony.

I rzeknie święty Jan znowu: — Wstań duszko i przynieś mi wodę w tym dzbanuszku.

Posłuchałaż dziewczynka od razu świętego rozkazu i z pobliskiego zdroju przyniosła w dzbanuszku czystego napoju. A skoro ustawiła przed świętym Janem, on ci jeno krzyż uczynił jeden i drugi i rzeknie do sługi: — Patrzaj, jako naprawiona twoja szkoda! Ażci ona patrzy — a tu nie woda, jeno szczere mleko w dzbanku. Dopieroż to uradowała się nieboga i jęła dziękować, po rękach i nogach całować dobrodzieja swego, świętego Jana Kantego.

A potem już-ci się rozeszli, każdy w inną stronę: święty Jan do Łobzowa a dziewczyna do Krakowa. A w Krakowie na Kleparzu sprzedała mleko wedle rozkazu, krupek, soli nakupiła i do domu wróciła.

Skarzyła się pani w domu: — Ej, ty niedobra sługo, a gdzieżeś się tak bawiła długo?

Odrzeknie dziewczyna: — Stał-ci mi się przypadeczek niebodze, bo mi się zbił dzbaneczek na drodze.

— A widzisz że kłamiesz!

— A nie kłamię, dalipan! może mi zaświadczyć ksiądz Jan, co go znają w Krakowie nasi ubodzy ludkowie. On-ci to mi dzbanuszek naprawił i z wielkiego kłopotu wybawił.

SPIEWKA O FLORJANIE SZARYM.

Szumią lasy, polskie lasy, Krzyżak lasem wali,
Ciężką szablą pobrzękuje, ludzkie sioła pali; —
Zmyka zając podrygając i słuchami strzyże:
Oj, nieboże siedź-że w norze, boć tam Krzyżak lizie.

Szumią lasy, polskie lasy, nasi lasem gonią,
Podzwaniają szabelkami i w podkówki dzwonią;
Leci górą gołąbeczek, prosi pana Boga:
Dajże Boże im zwycięztwo, Panieneczko droga.

Oj, jak zwarło się to bractwo, mój ty mocny Boże!
Wrogi lecą jak brytany puszczone z obroże —
Aż tu nasi jeno krzykną: JEZUS! święte słowo,
I śmignęli aż się onym zrobiło niezdrowo.

Król Łokietek naszych wiedzie, hej wojuje setnie,
Kędy Krzyżak się nawinie, łeb mu duchem zetnie,
A już jak-ci większą siłą zwali się hołota,
To ci człecze tak nasiecze het na przygarść błota.

Tyle brzęku, tyle szczęku, wali człek na człeka,
A ten tego a ten tego w łeb szabliskiem sieka;
Strach na wrogi padnął srogi, jeden, drugi tchórzy,
Aż reszta nogi za pas, zmyka aż się kurzy.

Oj, aż czarno tak-ci leżą na zielonej łące,
Hej, a ze krwi się zrobiły potoki płynące;
Leżą Niemce kute w zbroje, leżą polskie chłopy,
Oj nie żywie, jak po żniwie na ściernisku snopy.

Jedzie sobie król Łokietek między trupy w pole:
Tyle śmierci, mocny Boże! — aż go w serce kole,
Patrzy aż ci jeden leży, brzuch ma rozporany,
Ręką sobie wnętrze wpycha do okropnej rany.

Oj, zasmucił się król wielce, przystanął powoli:
— Hej mój miły! toć ta rana pewno srodze boli? —
— Oj nie bolić ona królu, nie boli tak srodze,
Jak zły sąsiad co się z onym het po sądach wodzę. —

— Jak się zowiesz?
— Zwię się Szary. —
— Weźcież go na mary,
I zanieście do mojego namiotu złotego.
Bądź-że zdrowy mój bojowy, toć się znajdzie rada,
Żeć ta może i uwolnię od złego sąsiada. —

Siedzi sobie sroka, siedzi na wierzbinie starej,
Idzie w goście, choć do króla zdrowy Floryan Szary.
Król przyjmuje, obejmuje, sadowi na ławy,
Każe przynieść flaszę wina i królewskiej strawy.

Razem wina się napili, a król rzecze stary:
— Setnieś rzezał wrogi nasze, mój Florjanie Szary!
Toż ci daję do twej tarczy one koźle rogi,
I trzy włócznie na pamiątkę żeś tak rzezał wrogi.

Znowu wina się napili, w szklanki uderzyli,
A król rzecze: — Jest-ci rada, wolnyś od sąsiada:
Weź-że sobie oną wioskę kędyś we krwi brodził,
A nie będziesz się już więcej ze sąsiadem wodził.

Siedzi sobie sroka, siedzi na wierzbinie starej,
Z królewskiego idzie dworu wesół Florjan Szary; —
A i ja tam w onczas byłem, wino z niemi piłem,
Aż się w gębie nie zmieściło, tyle tego było.

Grześ z Mogiły.

WÓJT MATWIJ Z TATAROWA.

Opowiedział Jaśko Żuczek.

Bywaliście pewnie panowie gazdy z Pokucia i Podola na jarmarkach we *Wielkim Jasieniu i Szygiecie* — sławne tam jarmarki na robocze bydło, na owce i wełnę. Oba te miasta leżą we Węgrzech: *Wielki Jasień* na samej granicy naszej pod *Czarną-górą*, a *Szygiet* o *sześć* mil dalej. — Droga do tych miast węgierskich wiedzie od nas na *Delatyn*, *Dorę* (gdzie, jak powiadają starzy ludzie, przebił się Prut między górami: *Jawornikiem i Chomiakiem* przez skały i dla tego nazywają to miejsce: *Przebojem)* i na *Tatarów*. Z Tatarowa piąć-by się już na Czarną-górę a za nią jużci rzeka *Cissa* i Węgry. Strasznać to i smutna droga dla człeka nienawykłego do gór! same skały i lasy a ciemne, czarne, obrośnięte mchem długim jak dziadowskie brody. Idąc pod górę, zmachasz się nieboże setnie jak przy ciężkiej robocie i nieraz nogi same ustaną — a jak przyjdzie schodzić na dół, to już jak z pieca na łeb i co krok to dusza na ramieniu, tak bardzo tam stromo. A po bokach tej drogi rozpadliny i przepaście głębokie i ciemne jak noc, boć tam rzadko kiedy Boże słonko zawita — i słychać jeno huk strumienia spadającego z wysokich skał. Owóż co za droga wiedzie z Tatarowa do Węgier. Aleć mniejsza o to! na dzisiaj pozostać nam wypada w Tatarowie, kędy zamieszkał wójt Matwij. Bo też dziwną rzecz rozpowiadają o nim ludzie tamtejsi — warto posłuchać.

Mieszkał wójt Matwij na małej polanie nieopodal od rzeki *Prutu*, a mieszkał-ci w najparadniejszej chacie na cały Tatarów. Wedle wójtowej chaty stoją dwa piękne klony, a ponoś ich

sadził jeszcze pradziad Matwija. Podwórze pięknie obgrodzone, w lewo zaś i w prawo ciągną się stajnie na chudobę i na konie, bo jest tego z łaski Boga dużo u wójta — a na połoninie pasie się ze sto pięćdziesiąt sztuk owiec. Jest-ci tam jeszcze obok chaty postawiona komora, niby spichlerz na ziarno; zresztą nie ma już żadnego budynku, bo i na cóżby się to zdało w górach.... zboża tam ludzie nie sieją, bo na kamieniu się nie urodzi. Przecież choć zboża nie sieją, wójt ma chleba podostatkiem. Ba, a z kąd? zapytacie — oto widzicie z tąd: wójt trzyma dużo bydła, koni i owiec, bo pastwisk tam co nie miara. Z nich ma rok rocznie przychowek — tedy między tym przychowkiem a starszą chudobą robi on co roku braki, wypasza one braki na tłustych kawałkach i sprzedaje na jarmarkach w *Szygiecie*, *Jasieniu* lub *Kosowie*. I nie tylko, że ci za to nakupi chleba podostatkiem, ale pozostaje mu jeszcze wielki zysk na zakupienie płótna i obuwia dla siebie i dla swoich i nie bez tego aby i do skrzynki nie schował pięknego grosiwa. A kiedy we Wrześniu wrócą owce z połonin — co myślicie, ile pan wójt weźmie za bryndzę?...

Takie jest gospodarstwo górala: bydło, krępe i rącze konie, owce, mleko, bryndza i wełna. — A że wójt Matwij był człowiekiem prawym i trzeźwym, a przytem żonę miał gospodarną i poczciwą, a nigdy nie puścił od siebie żebraka głodnego — błogosławił mu też Bóg na jego majątku.

Oj! ale miał też wójt Matwij ciężką zgryzotę.

Było to pod wieczór. Słońce już się skryło za góry, a wójt siedział na przyzbie i dumał. A znać że coś nie wesoło dumał, bo mu się czoło pomarszczyło i siwe brwi nad okiem ściągnęły się groźno; — takim go tylko widywano kiedy rozsądzał lub karał jakąś niepoczciwą sprawę w gromadzie. Żona krzątała się wedle wieczerzy, a syna jedynaka nie było w domu, bo poszedł za sianem dla koni.

I ozwał się pan wójt sam do siebie: — Oj! jeśli to prawda że mój Fedko ukradł kosę i pas u Iwana?!... i zacisnął pięść i chwycił się za głowę jakby go tam coś bardzo zabolało. Wójt Matwij miał wielkie poważanie w całej gromadzie, bo był człek prawy, a i na całą okolicę znali go ludzie i bardzo sza-

nowali. Aż tu go wieści dochodzą, że jego syn, jego pociecha jedyna, Fedko... złodziej.

— Chryste Panie! a nie daj, żeby to prawdą było — taka hańba na moje stare lata! oj, oj, a niechże ja tego nie doczekam!... I myśli sobie strapiony ojciec: — Aleć to może jeno złe języki taką plotkę zmyśliły na Fedka, bo i na cóż mu tej kradzieży u licha! przecie Bogu dziękować jest w domu co potrzeba, a on nasz jedynak, toć mu się nie żałuje niczego. — I niby się już pocieszył wójt Matwij, że to nieprawda. — Aż ci znowu zagadał w nim inny głos: Hej, hej, Fedor hulaszcza dusza, za tańcami w ogień by skoczył... a te hulanki, oj nie jednego już pozbawiły zdrowia i cześci! Ależ poczekaj synu, nie puszczę ja cię więcej do karczmy. Fedko polubił Stefanową dziewkę i ona jak-ci miarkuję ma się ku niemu — a toć ożenię biedę, ożenię — ta przestanie hulać.

Tak dumał wójt, kiedy skrzypnęły wrota i nadszedł Fedor niosący sporą wiązkę siana. A był to chłopiec rosły jak sosna i bardzo urodziwy na licu i duże a czarne jak tarki miał oczy — czasem jeno te oczy zerkały jakoś niepoczciwie.

Zajrzał wójt syna i pomyślał sobie: — Trzeba go przecież zapytać, z kąd się wzięło to gadanie ludzkie? — Zawołał: Fedore! a jak dasz koniom siana, przyjdź-no do mnie.

Za małą chwilę sprawił się Fedor i stanął przed ojcem. Długo mu wójt patrzał się w oczy, a potem rzekł: — Chodź-no ze mną. I poszli razem w górę aż ku małej polanie. A kiedy się już tak oddalili, że nikt z ich obejścia nie mógł zasłyszeć, zagadał wójt do syna:

— Słuchaj-no Fedore, a wiesz ty co ludzie gadają o tobie?

— Co ojcze? spytał Fedor ale jakoś nieśmiało, jakby się poczuwał do winy.

— Ta mówią, prawi ojciec, żeś ty ukradł u Iwana kosę nową i pas czerwony, i zastawiłeś w Wielkim Jasieniu za wódkę — prawda to?...

Fedor jakoś strasznie pobladł i oczy het ku ziemi opuścił, a na pytania ojcowskie ledwo nieledwo bąknął: — To nieprawda ojcze.

— Hm, nieprawda, dałby to Bóg! zawołał stary Matwij

smutnie pokiwał siwą brodą. — Synu! a dźwignijże głowę i spojrzyj mi w oczy, skoroś na sumieniu czysty.

Aleć naprόżno, nie mógł syn wytrzymać ojcowskiego spojrzenia, spuścił zwrok i milczał. I dopiero przekonał się wójt, jako syn jego był winny. Krew zakipiała mu w piersi od złości i srogiego żalu; chwycił go więc za ramię i krzyknął:

— Złodziej i jeszcze kłamca do tego! przyznaj mi się tu zaraz — słyszysz!...

Chłopiec jak długi upadł ojcu do nóg i wyznał wszystko:

— Już się też nie gniewajcie mój ojcze! tak nareszcie powiada i na duszę się zaklął — pierwszy to i ostatni raz.

Rozbeczał się wójt Matwij jak dziecko nad swojem nieszczęściem, a łzy te padały na głowę klęczącego syna. Oj, gdybyż te łzy ojcowskie obmyły go z grzechu i z hańby! — A napłakawszy się, nagroził pan wójt synowi ostro i sprawiedliwie jak należało na ojca i prawego wójta. Poszedł potem do Iwana z pełną kaletą, zapłacił mu tyle we trójnasób ile wartała kosa i pas czerwony, byle jeno milczał i przebaczył synowi tę płochość jego. — Chwyciły Iwana za serce słowa pana wójta, pocieszył jak mógł i przysiągł milczeć jak grób.

Wróciwszy do dom, kazał sobie Matwij podać na miseczkę najświeższej bryndzy, bochenek białego chleba i flaszkę wódki palonej z miodem i z korzeniami. I rozkazał synowi zabrać to wszystko i poszedł z nim do Stefanowej chaty, choć to już była godzina późna. — Zmiarkował-ci zaraz Fedor, co ma ojciec na myśli: że go chce ze Stefanową Xenią wyswatać — i tak się tem uradował, iż po raz drugi padł ojcu do nóg, a prosił i przepraszał i obiecywał, że tego już nigdy nie będzie.

— Pamiętaj! odpowiedział mu rozczulony ojciec — i poszli ku Stefanowej chacie. U wrót stała Xenia. Zajrzawszy Fedka z ojcem, zaświeciły się oczy dziewczynie. Popatrzyła się na chustkę, w której niósł Fedor chleb, bryndzę i wódkę z miodem — uśmiechnęła się i uciekła. Znać domyślna dziewucha już wie, po co idą. — A kiedy syn z ojcem pomijali wrota, wyszedł przeciw wójtowi sam gospodarz Stefan i powitawszy go w imię Boga, zaprosił do chaty. Co tam ojcowie ze sobą radzili, snadno odgadywali młodzi i czekali niecierpliwie w sieni,

rychło ich zawołają do izby. Jakoż po chwili otworzyły się drzwi i ojciec Stefan przywołał swoją Xenię. Zapytał ją wójt:

— Xenio! a pójdziesz ty za mego Fedora?

Dziewucha pokraśniała niby jabłko czerwone, w dół spuściła oczy a nie rzekła ani słowa. Tedy Stefan jej ojciec: — Dziewczyno, powiada, rusz-że językiem, skoroć pytają: chcesz albo nie chcesz?

A Xenia: — E, albo ja wiem, niech ta ojciec za mnie odpowiedzą.

— No, no — rzeknie Stefan i uśmiechnął się — zawołaj Fedora.

Wszedł tedy Fedor do izby i... krótko mówiąc, odbyły się zaręczyny. Jeszcze się uraczyli ojcowie chlebem, bryndzą i wódką z miodem — poczem Matwij zabrał syna i wracał do domu. Już byli w połowie drogi, kiedy wójt stanął i zawołał na syna:

— Fedore! a toć sam widzisz, jak ci rad jestem. Bóg mi świadkiem, jabym dla ciebie krwi z pod serca nie żałował, boś ty mój jedynak. Ale chłopcze, pamiętaj żebyś mi drugi raz takiej hańby nie uczynił, bo nie podaruję! nogę utnę, jak mi Bóg miły, synu, żeć utnę, niechby się jeno raz jeszcze jakie złodziejstwo wykazało na ciebie.

Od tego czasu minęły już dwa miesiące. Z Fedora stał się cale inny człek, ani do poznania. Za dnia pomagał ojcu przy pracy, a wieczorami zwykle przesiadywał w Stefanowej chacie na miłej pogadance z Xeńką. Stary Stefan cieszył się takim zięciem, a zaś wójt Matwij cieszył się, żeć mu się syn opamiętał. I pomyślał sobie: — Trzeba podziękować Bogu za Jego łaskę, że wysłuchał modlitwy mojej i sprowadził mi syna na dobrą drogę. Ta pójdę do wielebnego księdza proboszcza i dam na mszę na tę intencję.

Niezadługo miało już być wesele Fedora i Xeni — i zdawało się że już żadna czarna godzina nie zakłóci wójtowej doli. — Ale czart, mili gazdowie, nie spi; a kiedy widzi człeka nawracającego się do Boga, to go okrutnie boli i czem więcej radby

się grzesznik poprawić, tem-ci on mu silniejsze stawia pokusy. — Tak też się miało i z Fedorem.

Raz do dnia wybierał się pan wójt do Wielkiego Jasienia, nakupić różnych potrzeb do domu — Fedorowi zaś kazał porobić co potrzeba wedle gospodarstwa, a wieczorem niech sobie idzie do Stefanowej Xeni. Odchodząc dodał: — Zostajesz sam w domu; pamiętajno aby cię czart nie skusił do złego — i przytem tak jakoś groźno a zarazem i boleśnie popatrzył na syna, aże się markotno zrobiło Fedorowi. Stał długo i patrzał za ojcem, a potem wziął kosę i poszedł otawę kosić, aby się przed ojcem wykazać z jakąś robotą, kiedy powróci z miasta.

Może z dwie godzin kosił — aż tu nadszedł jego znajomy parobczak Jurko, wielki niecnota i hulaka. Widząc Fedka koszącego, ozwał się doń:

— Pomagaj Bóg, Fedorze! A co ty, za najmyta stanąłeś u ojca, że tak od rana machasz a machasz? A czy to u was nie ma za co nająć kosarza? A nie wstyd-że tobie bogackiemu synowi tak się biedać jakby najmyt? Coś mi zmarniałeś, ej Fedorze! nie tak jak to dawniej bywało — pamiętasz!

Próżny był Fedor z rodu, a toć go srodze ubodły słowa Jurkowe.

— Ot wziąłem kosę z nudu — odrzeknie — aby się pobawić trochę. W objady przyjdzie najmyt, a ja wrócę do chaty. A kędy tobie droga, Jurko?...

— Kędy mnie droga? odpowie ladaco — co tam pytasz! gdzie ja pójdę, tam ty nie pójdziesz, bo się lękasz ojca, który cię trzyma jak psa na uwięzi. Ej Fedorze! szkoda twoich lat młodych, że marniejesz i nie użyjesz świata.

Na to mu wójtów: — Niech tam każdy pilnuje tego, co lubi, bracie Jurku. A co tam niesiesz pod pachą?

— Coś, czego ty się tknąć nie śmiesz, Fedorze, boć pan ojciec zakazał: wódka nieboże! a jaka? żebyć choć pokosztował. — I dobył z pod pachy sporą flaszczynę i patrząc z pod oka na Fedora, jął kusić:

— Choć na próbę pokosztuj! w ręce twoje. I napił się sam i oblizał się jak po miodzie, a potem Fedkowi podał. Skusiło licho Fedora że przyjął i napił się tej wódki. Już tedy czart

wygrał sprawę; wódka była mocna a toć chłopcu zaraz poszła do głowy i zabałamuciła.

Podochocony Fedko zawołał na Jurka: — Ot czekaj-no trochę, pogadamy sobie — a potem cię odprowadzę.

Usiedli tedy i w gawędę się wdali. A więcej gadał Jurko, a gadał nic dobrego; Fedor zaś słuchał. Napili się też raz, drugi i trzeci, a potem Fedor wstał i niepomny ojcowskiego napomnienia, poszedł z Jurkiem ladaco.

Nad potokiem pod skalistą górą była karczemka. Siedział na niej rudobrody żyd, któremu bardzo niedobrze z oczu patrzyło. Tam Jurko powiódł Fedora. W karczmie zastali dwie, czy trzy mołodyce niepoczciwego żywota, zastali parobków Semena i Ilka ze skrzypkami — obu hultajów całą gębą. Ledwo co się pokazał Fedor, aż tu wszyscy dalej się z niego naśmiewać:

— Fedore, bój się Boga! a co pan ojciec powie, żeś ty w karczmie:

— Hej! krzyknął Fedko na zuchwał — a coby? nic, bo ja się nie boję. Podaj-no wódki żydzie! — I nuże przypijać do wszystkich, a na grajków krzyknął: — Grać panowie grajki a od ucha, żeby nam się dobrze tańczyło — hu, ha!... I porwał pierwszą mołodycę co mu się nawinęła pod rękę i poszedł w taniec. — Oj! był to djabelski taniec. Pili a hulali, pokąd starczyło grosza; a jak go nie stało, wziął Jurko Fedora na stronę i szepnął mu coś do ucha. Po małej chwili znikli oba z karczemki.

Tego samego dnia z południa przepadł u gospodarza Wasyla nowiuteńki kożuch, który gospodyni wyniosła z komory i rozwiesiła na płocie dla przewietrzenia. Krzyk wielki rozległ się po sąsiedztwie — trudno się jednak było domacać: kto i jak?....

Jurko z Fedorem powrócili do karczemki i znowu hulali a pili. —

Wieczorem wracał wójt Matwij z Wielkiego Jasienia, wracał z pełnemi sakwami, ale mu czegoś było bardzo smutno. Idąc wzdychał raz po raz, a sam nie wiedział czego. Przyspieszał kroku, aby się dostać jak najprędzej do domu. Właśnie pokazała się pierwsza gwiazda na niebie, kiedy stanął przed

swoją zagrodą. I przeżegnał się krzyżem świętym, skoro zobaczył że wszystko stoi jak stało. — W domu dowiedział się, że syna nie ma i pomyślał: zapewnie siedzi u Stefanowej Xeni swojej narzeczonej. Poszedł tedy sam obejrzeć brogi, stajnie i całe gospodarstwo, bo pilnym był gospodarzem pan wójt. Aż tu przechodząc koło brogu, obaczy Fedora spiącego w sianie. Nie podobało się to ojcu, że syn położył się spać, zamiast pójść do Stefanowej chaty. Ale jeszcze sobie pomyślał: może on chory — i nachylił się ku niemu, aby posłuchać oddechu. Ano i dowiedział się zaraz co to za choroba u syna, wódkać to, wódka obmierzła buchała od spiącego.

Podumał wójt: — Źle! upił mi się jedynak. I jak-ci miał w ręku palicę, przeciągnął nią Fedora tak, że się duchem obudził i stanął na równe nogi. Zajrzawszy ojca gniewnego przed sobą, ze strachu od razu się wytrzeźwił. Myślał że pan ojciec już wie o wszystkiem i przyszedł go ukarać — a toć drżał jak ryba w saku. Ale niebawem przekonał się, że ojciec nic nie wie, chyba tyle tylko co się upił. A to sobie pomyślał: — Owa, nie taki wielki strach! przecie mię za to nie powieszą, com sobie trochę podpił. — Aż tu słychać głosy i kroki ludzkie na obejściu. Fedkowi zrobiło się jakoś ckliwo na sercu — przy świetle miesiączka poznał Wasyla i jego brata.

Zapytał wójt: A co to?

— Przychodzimy do was, panie wójcie, na skargę — odezwał się Wasyl. Dziś w południe skradziono mi kożuch, co go moja kobieta wywiesiła na płocie. Wielkie mam posądzenie na Jurka hultaja, bo jak mówią, caluteńki dzień pił jeno i hulał w karczmie, a nie wiedzieć z kąd brał pieniędzy. A toć prosimy was pięknie, panie wójcie, abyście go nakazali przytrzymać.

— Bądźcie spokojni, Wasylu — rzeknie wójt — już ja wyszukam złodzieja i odbierzecie swój kożuch.

Pocieszył się Wasyl, bo znał Matwija jako był słowny i sumienny człek. To się już dłużej nie zabawił, jeno się wraz z bratem pokłonili wójtowi i odeszli. — A kiedy już sami zostali ojciec ze synem i nie było żywej duszy do koła, zwrócił się nagle Matwij do syna i huknął wielkim głosem:

— Ty łotrze, ty hańbo moja! I zaiskrzyły mu się oczy srogim gniewem, pochwycił Fedora za barki, zatrząsł nim jak snopkiem i krzyknął: — Tyś skradł kożuch Wasylowi — ty hultaju!

Fedor milczał, blady był jak trup i omal nie zemdlał ze strachu, bo już miarkował co go czeka. — Strasznyć był gniew wójta, na chwilę mu nawet mowę odjęło; dopiero po niejakim czasie ozwał się znowu, ale już spokojniejszym głosem:

— Słuchaj Fedore! Bóg ci dał urodę i siłę, dał ci spryt i przemyślność do gospodarki i do innej pracy. Słuchaj-że dalej! tenże Bóg dobry dał ci rodziców uczciwych i zamożnych, którzy ci nigdy nie pożałowali niczego na poczciwą rzecz i na przyzwoitą zabawę. Wiesz, że naszego majątku ani ja, ani twoja matka ze sobą nie zabierzemy — wszystko to będzie kiedyś twoje. I patrzaj, jakie ty odebrałeś dary z rąk Boga! Toć jeno Mu dziękować rano i wieczór za Jego łaskę, a pracować poczciwie, a strzedz cześci jak oka w głowie.

— Ale, powiada dalej pan wójt — szatan ciebie opętał i nawodzi do złego: więc do pijatyki, do hulanki, do kradzieży a ztąd już prosta droga do kryminału!.... I rozpłakał się z wielkiej żałości pan wójt jak małe dziecko, a syn drżał jak listek od wstydu i trwogi.

— Pamiętasz! począł znowu ojciec do grzesznego syna — pamiętasz ty jakem ci groził powracający od Stefanowej Xeni, po zaręczynach? że nogę utnę — synu! oj toż to ci się było szanować. Ha, nie pomogło i to, i płacz ojcowski i moje upomnienia, wszystko na nic! A to już widzę nie ma innej rady — ja ci w kryminale gnić nie dam, bo wolałbym cię zabić i sam zginąć, niż takiej hańby doczekać.

Zmiarkował Fedor, co go czeka; chciał uciec, ale Matwij przytrzymał go silną ręką za barki, rzucił na ziemię, pochwycił za topor leżący tuż na klocu, ciął — i odciął Fedorowi nogę. Wszystko to stało się tak prędko, że Fedor nie miał nawet czasu zawołać na gwałt — raz jeno jęknął i omdlał z wielkiego bolu.

Krzyknął potem pan wójt na żonę, a gdy ta wybiegła, powiedział jej za co Fedorowi nogę obciął. Rozpłakali się oboje

nad nieszczęściem jedynaka, otrzyźwili, obmyli krew, sprowadzili do leczenia babę, ba nawet lekarza z pobliskiego miasta i leczyli nieboraka jak najtroskliwiej. Sam Matwij nie odstępował od jego łóżka, a kiedy Fedor spał, to się stary modlił aby ta kara surowa na dobre wyszła synowi — a modlił się gorąco ze łzami. Przychodziła zczęsta i Xenia Stefanowa czuwać przy chorym, a od płaczu to aż oczy miała czerwone, tak ją to nieszczęście Fedora bolało.

Po sześciu niedzielach przyszedł Fedor do zdrowia. I jakże myślicie ludzie: powrawił się, czy nie? — A poprawił i bardzo poprawił! — Już trzeci rok mija jak się ożenił z Xenią Stefanową, a stał-ci się on najpracowitszym, najporządniejszym gospodarzem, mężem i ojcem i jest prawdziwą pociechą starego wójta. Ukorzył się Bogu, wycierpiał a Bóg go dobrotliwy oświecił.

Ale może-byście radzi wiedzieć na koniec, co się stało ze złym duchem Fedora, z onym Jurkiem hultajem?... Otoż wam powiem, że ukradłszy raz płachtę czy coś innego, uciekał, potknął się i kark złamał.

Wiejska doktorka,

czyli:

jako niebezpieczno jest słuchać ladajakiej baby, co się za doktorkę udaje.

Szczepanowa i Magda.

Szczepanowa. I dawno ci tak na to oko, Magda?...

Magda. Od samej Wielkiejnocy, moiściewy!

Szczepanowa. No, widzisz! Taka dziewka i tak jej się stało! pokaż-że, pokaż!... Skałka nie co!... Oj to najgorsze! bo jak się komu zrobi, to mu oślepnąć.

Magda. Oj mój Boże! cóż ja teraz pocznꧧ sierota!

Szczepanowa. Nie frasuj się nie, Magda, bo ja ci doradzę. Oto uproś się gospodyni, żeby ci pozwoliła iść na trzecią wieś, to tam jest baba, co albo igłą zdejmuje delikatnie skałkę z oka, albo zasypuje, to zaraz zginie.

Magda. Oj! Bóg wam zapłać, moja Szczepanowa! zaraz pójdę!

Magda u doktorki.

Doktorka. Siądźże sobie, siądź dziewucho, jeno utrę w skorupie tego proszku, to ci zadmuchnę, a zaraz ci skałkę wygryzie. — Oj mój Boże! taka młoda dziewka i byłoby się niepotrzebnie sterało! A przyniosłaś pięć czeskich? bo to proszek drogi co nie w ladajakiej aptece go dostanie.

Magda. Jabym wam i sześć czeskich nie tylko pięć dała, byleście mi pomogli, cobym na oko patrzyła.

Doktorka. Oj! uwidzisz moje dziecko, uwidzisz, boś ty ani jest pierwsza, ani też ostatnia. Tylko pójdę po bez, co dudkę do wdmuchania zrobię i zaraz tu przyjdę.

Magda. A nie będzie mnie bardzo boleć?

Doktorka. Poszczypie cię tam troszkę i ustanie. — A teraz siedź co ci zadmuchnę...

Magda (po zadmuchnięciu oka). O, mój Jezu kochany! jak też-to żre! — ani wycierpieć!... Gwałtu, ledwo się gdzie nie zapodzieję! Oh zmiłujcie się kobieto!

Doktorka. Nic się nie bój, bo to skałka żre a nie oko... Jużci musi wygryść do imienia, a skałka twarda jak kamień nieprzymierzając. — Dajże teraz pięć czeskich i idź do domu, a jakby ci nie wygryzło do znaku, to ci jeszcze zadmuchnę.

Magda w dziesięć dni potem z matką we dworze.

Matka. I jakoś jej wyciekło oko do imienia, że się jej aż zalękło. A nie wiemy coby na to robić?

Pani Dziedziczka. A cóż robić, moja kobieto! Niema co robić, tylko ofiarować Panu Bogu, bo już jej to oko nie odrośnie.

Matka. Daję temu wiarę, bo gdzieby miało odrosnąć! ale żeby jej na to pomódz?

Pani D. Już za póżno, lecz powiedźcie mi, jak mogła ta niegodziwa kobieta tak waszej córce oko zepsuć?

Matka. Albo ja wiem, wielmożna Pani!.... Może od tego hałunu co nim oko zasypowała.

Pani D. Jakto hałunu? Czyliżby jej hałunem miała zasypywać?

Magda. A jużcić wielmożna Pani nie czem, tylko hałunem.

Pani D. Ah, to zbrodnia! Teraz rozumiem dla czego oko wyciekło.

Magda. Mówiła mi że tylko skałkę wygryzie i ja sobie dała około siebie robić.

Pani D. Oh! biedna dziewczyna, ileż się musiała nacierpieć?

Magda. O to tam nic, tylko gorzej, że się ze mnie śmieją, że oka jednego nie mam.

Matka (tłómacząc). Bo to widzi wielmożna Pani, iż jej o to chodzi, że ją żaden chłop nie będzie teraz chciał.

Magda. Gdzie tam o to! tylko że nie ładnie tak bez oka.

Pani D. No, moje dziecko, ofiaruj to upokorzenie Panu Bogu, a jeżeli chcesz, to cię od nowego roku i bez oka do dworu przyjmę. — Czy masz ochotę?... Może się tu przy dworze prędzej za mąż wydasz!

Magda. Oj, mam ochotę, wielmożna Pani!

(*Z kalendarzyka W. W.*)

RÓŻNOŚCI.

Oberwanie chmury. Zeszłego miesiąca oberwała się chmura i zarazem wielki grad nawiedził okolicę *Borszczowa* w obwodzie Czortkowskim. Z gwałtownej ulewy powstała sroga powódź w dolinach — woda zabrała kilka chat, pozrywała mosty i uszkodziła w *Skale* młyn. Co gorsza, że przy tej okazji zginęło w powodzie troje dzieci włościańskich z Borszczowy; jeden chłopiec dziewięcioletni i dwie dziewcząt o kilka lat starszych. Grad zaś wielkie poczynił szkody w oziminie.

Piorun. W wilię świętego Jana w Otynowicach pracowali ludzie przy sianie. A spieszyli się, bo już od rana przepadał deszczek nie wielki. Zasiedli wreszcie na południe pod stertą i spoczywali — aż tu naraz zagrzmiało i piorun uderzył w stertę. Jednę kobietę poraził w samo ciemię, tek że na miejscu została. Dwóch zaś nieopodal siedzących chłopców poraził: jednego w nogę i krzyże, a drugiego jeno w nogę. Sterta się spaliła do gruntu. Biednych chłopców zanieśli do domu i ponoć się już lepiej mają, bo ratunek był wczesny. Kobieta już była nieżywa.

We wsi *Uzinie* spalił piorun dwie chaty gospodarskie z wszystkiemi budynkami, a w *Ostrowie* zabił na pastwisku dwa woły i całe stado gęsi.

Pożar. W *Majniczu* w obwodzie Samborskim zajęła się szopa jednego włościanina, i jak się zdaje, że ktoś ogień podłożył. Z onej szopy przerzucił się ogień na inne domy. Pogorzało czterech gospodarzy, a jak policzono szkodę, to razem wyniosło na 2.010 reńskich. Jak na te ciężkie czasy, to wielka suma!

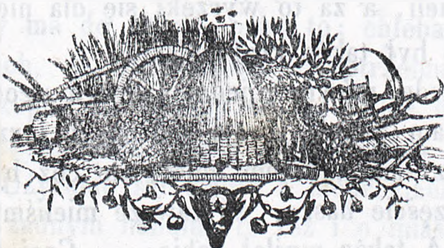
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. Nr. 3.

21. Lipca 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KAZIMIERZ WIELKI

król chłopków.

I. Jaki był dobry gospodarz.

Wziął ci nam pan Jezus do swojej niebieskiej chwały Łokietka, co był taki dobry król polski. Ale za to pocieszył nas On litościwy na Kazimierzu synie jego, boć jak się pokazało, to ten Kazimierz był król nad króle. I dopiero się naszej Polsce dobrze działo, że to mówię wam jeno żyć było w takim kraju jak w raju. — Przedewszystkiem powiedział sobie Kazimierz: Dość już tych wojen! Polska moja potrzebuje spokoju, bo się już setnie zmachała w tych ciągłych bójkach. Król ojciec swieć Panie nad jego duszą, dobrze się dał we znaki naszym nieprzyjaciołom. A toć myślę po takiej nauczce łatwiejsi będą do zgody. —

No i prawda że byli łatwiejsi, ale zawsze wypadało im dać coś na odczepnego i pozapychać jako tako żarłoczne ich gardziele. Owóż naprzód pogodził się z Krzyżakami: odstąpił im piękny bo piękny kawał ziemi, tak nazwane *Pomorze*, iże nad

samem morzem leży — ale za to resztę, co byli kiedyś Polsce zabrali, musieli teraz oddać. Zgodził się także król z Czechami, aby cicho siedzieli, a za to wyrzekł się dla nich prawa swego do *Szląska*, co był także kraj polski.

A toć prawdę mówiąc, jedna i druga ugoda dużo nas kosztowała, bo nam zabrała braci rodzonych i rzuciła pod obce rządy. Kazimierz sam nad tem bolał, ale cóż było robić, kiedy już takie nieszczęście nasze, że zawsze mieliśmy tych napastników na karku. A także myślał sobie: — Czej da pan Bóg doczekać, to się i tamto kiedyś odzyska, co się dziś straciło!...

A po tych ugodach kiedy się już widział bezpieczny od napaści, dopiero jął się całem sercem krzątać i gospodarować w kraju, aby się wszystkim dobrze działo. — Więc naprzód obejrzy się do koła po całej polskiej ziemi Kazimierz, i widzi lud Boga miłujący a kościołów mało. Bo chociaż przodkowie jego pobożni królowie nastawiali ich dosyć, ale nieprzyjaciele nasi świętokradzką ręką popalili nam dużo tych kościołów i mało ich zostało z dawnej fundacyi. Toż widząc, posprowadzał dobrych majstrów i zaraz im kazał budować nowe kościoły. Bogu na chwałę a ludziom na pociechę.

I obejrzy się raz drugi do koła po całej polskiej ziemi Kazimierz, i widzi lud nasz wiejski pracujący na roli, że czegoś smutny był i milczący. Zapytał: — Dzieci moje, co wam takiego?

Pokłonili się prostaczkowie do kolan królowi i przedłożyli mu skargi swoje. Wysłuchał ich król i pocieszył:

— Już ja was biorę pod swoją opiekę. Pracujcie wesoło i śpiewajcie sobie, a jak będziecie czego potrzebować, to jeno śmiało do mnie do Krakowa na zamek się udajcie, a sprawiedliwość wam uczynię jak każdemu innemu, bo ja was wszystkich ojciec.

Zaraz też wydał prawo na cały kraj, równe dla wszystkich: tak dla panów, jak dla mieszczan i chłopków. Prawo to kazał spisać w dwóch wielkich księgach i już się go wszyscy sędziowie musieli trzymać i według niego każdemu czynić sprawiedliwość. —

I obejrzy się raz trzeci do koła po całej polskiej ziemi Kazimierz, i widzi jaki to bogaty kraj ta nasza Polska, i że wiele rzeczy ma do zbycia, jako to: chleba, soli i pięknego drzewa po lasach. A toć właśnie najpotrzebniejsze rzeczy do życia, więc o kupca nie byłoby trudno. Aleć cała bieda, że nie było dużo miast w Polsce, kędy by się kupcy zjeżdżali na targi i na jarmarki. Użyrając się ciągle z nieprzyjacielem, nie można było myśleć o żadnym handlu, to też i o miasta nikt nie dbał. Dopiero nasz mądry Kazimierz, który miał baczne oko na wszystko, co by się krajowi zdało na pożytek, pomyślał o handlu i o miastach. I zaraz pogodził majstrów i zaczął piękne miasta stawiać po różnych dogodnych miejscach, a w tych miastach znowu kazał murować wielkie spichrze na polskie zboże, wielkie składy na sól, drzewo i na inne krajowe towary. Niebawem też z całego świata ciągnęli kupcy do nas na jarmarki i dużo nam pieniędzy zostawili za nasze towary.

I otóż pomyślcie sobie, moi ludzie, jakie to były złote czasy za tego króla naszego Kazimierza!... Tu stawiają pyszne kościoły Panu Bogu na chwałę, a ludziom na pociechę — tu chłopki pracujący na roli śpiewają wesoło, tacy sobie szczęśliwi — tu znowu murują a murują miasta majstrowie i kupcy się Bóg wie nie zkąd zjeżdżają na jarmarki i złotem sypią za nasz chleb, za naszą sól i za inne towary — a już sam król jeździ jeno po kraju i jako dbały gospodarz dogląda, żeby się coś złego nie stało.

SPIEWKA NABOŻNA PRZY PRACY.

Boże! z twoich rąk żyjemy,
Choć naszemi pracujemy,
Z Ciebie plenność miewa rola,
My zbieramy z Twego pola.

Wszystko Cię Boże nasz chwali,
Aleśmy i to poznali,
Że najmilszą Ci się zdała,
Pracującej ręki chwała.

Co rządzisz ziemią i Niebem,
Opatrz dzieci swoje chlebem:
My Ci dajem trud i poty,
Ty nam daj urodzaj złoty.

Djabeł młynarzem.

Opowiadanie Wojciecha z pod Opatowca.

Pochwaliwszy Pana Boga, usiadł Wojciech wśród gromadki, jak to zwykł każdej niedzieli po nieszporach czynić i tak zaczął swą pogadankę:

— Wiele podobno jeszcze minie lat, nim ludzie poczną na prawdę wierzyć tym, którzy nam prawdziwie dobrze życzą i zawdy tak jasną prawdę głoszą, jak ono słonko dziś jasno przyświeca na niebie.

Prawi na ten przykład kapłan w kościele, że kto wierzy w czary, zabobony, kto się udaje do wróżek i wróżbitów, ten śmiertelnie grzeszy, bo gwałci i przestępuje pierwsze przykazanie boskie, które tylko w jednego Boga wierzyć i Bogu ufać nakazuje. Słuchamy tego w kościele, wzdychamy na słowa kapłana, ale niech się tylko jaki guślarz, lub wróżka pokaże we wsi — nuże wszyscy lecą do niego i słuchają kłamstw i głupstw, które im plecie, chętniej i pilniej, jak słów samej Ewangielii i na dobitek płacą za to czasem ostatnim groszem, że ich guślarz oszukał.

Dla czego to wszyscy czarowniki i wróżki dwory z dala omijają? bo wiedzą, żeby ich tam do cepów, do wideł, do sierpa lub motyki zaprosili, a nie do stołu, aby na nim karty wykładali.

Alboż to i panowie nie mówią nam nieraz, abyśmy się od lada włóczęgi nie dawali oszukiwać? Lecz cóż, kiedy na nasz większy wstyd i biedę, pierwszy lepszy obieżyświat ma więcej wiary, jak niejeden z panów, co przecie lepiej wiedzą co i jak jest na świecie, bo na to rozliczne księgi czytują.

Na cóż wyszedł na przykład i Jacenty z tym guślarzem, co mu to niby djabła w wietrzniaku zawierciał za drogie pieniądze? Może jeszcze nie wszyscy o tem wiecie, dla tego nie-

zawadzi dla nauki opowiedzieć, jak to trzeba strzedz się takich ludzi, którym praca obrzydła i którzyby naszym ciężko zapracowanym groszem chcieli się żywić.

Znacie wszyscy Jacentego młynarza. Pracą i oszczędnością uciułał on kęs grosza, a że się bał żeby mu myszy papierów nie pogryzły, jak się to już niejednemu stało, umyślił sobie wyfundować mały wietrzniak. Było za co, to też i młyn niebawem stanął, a młyn nie lada! bo to i kamienie Jacenty z dala sprowadził i pytle pono aż z samego Krakowa zakupił. Wszyscy się cisnęli do wietrzniaka Jacentego, bo i od mlewa nie przeciągał i mąkę nie na okpisz odsypywał. — Ale cóż, wiecie że wietrzniak wtedy tylko miele, kiedy wiatr huczy; bez wiatru może młyn taki i cały miesiąc próżnować — co się też i Jacentemu nieraz wydarzyło.

Na większe ku temu Jacentego nieszczęście, przylazł-ci jakiś obieżyświat do wsi, a że u młynarza najprędzej podadzą kawał chleba, albo jaką kluskę dadzą połknąć, zaszedł-ci i on włóczęga do Jacentego.

Jacenty nie myśląc nic złego, przyjął go jak przystało gościnnie, po staropolsku. Skoro sobie obieżyświat trochę wnętrza poprawił, nuże w pogwarkę z młynarzem o różnych rzeczach; aż na koniec począł się Jacenty skarzyć, że oto dawno nie ma wiatru, i młyn, co nie mały koszt w niego włożył, tak mu próżnuje.

— Jeżeli wam mój gospodarzu tylko o to chodzi — rzekł czarownik — to nic, wiem ja na to sposób nielada i tym sposobem jużem niejednego z biedy wyratował. Bo i człek przecie niedarmo tłucze kościska po świecie, jeno chce według możności ludziom służyć. Ja mój gospodarzu za pół godziny potrafię wam tak uczynić, że tyle będziecie mleć, ile sami zechcecie.

— Ej! jak widzę — rzekł Jacenty — to was chyba anioł do mnie przyprowadził. Gdybyście tego dokazali, żeby mi dął wiatr, kiedy zechcę, tobym wam nie wiem co za to dał.

— No jużcić, ja z tego żyję i ta sztuka nie mało mnie kosztowała bo takie rzeczy same do głowy nie wlezą, jeno trzeba drogo okupić.

— Ale cóżbyście na ten przykład za to żądali? zapytał ciekawie Jacenty.

— Nie mniej ani więcej — odparł okpisz — jak 20 zł. nowych.

— Ej toby kapkę za dużo było! odrzekł Jacenty — ale co, oto połowę z tego dam.

— No jak dla was, niech będzie, ale to jeno dla tego, żeście już tak dużo na tym młynie stracili.

Jacenty poszedł do komory, wysypał 10 papierków po reńskiemu i wyliczył je na stole. Okpisz spojrzał na nie tak chciwie, jak ów jastrząb na gołębia co go ma przycapić, przerachował i zwolna wetknął do kality.

— Teraz chodźmy do młyna, rzekł do Jacentego.

Jakci wleźli do młyna; tak się tam oba zamknęli.

— Podajci mi świdra! rozkazał okpisz. Wziął świder, machnął nim na cztery strony, coś mruczał i wywiercił dziurę nielada w onem drzewie, do którego skrzydła są przyprawione. Potem wziął okpisz kęs kredy i rzekł:

— Widzicie, ta kreda poświęcana od samego Ojca świętego i ma taką moc, że jak nią namaluję kółko około tej dziury, którą wywierciłem i wymówię takie słowa, które wiem z książki wydrukowanej jeszcze przed stworzeniem świata w Jerozolimie, to djabeł musi do onej dziury wleźć i już z tamtąd nie wylezie, bo go zaraz kołkiem zaparuję i znowu na kołku oną kredą krzyż święty położę.

— Teraz już północek nadchodzi -- mówił dalej okpisz. Wy teraz idźcie na dół do młyna, a ja tu swoje zrobię.

Jacenty odszedł, a okpisz ułożył się i usnął na dobre. Po chwili się zerwał, krzyknął: Amen, i począł wbijać obuchem kołek do onej wywierconej dziury. — Jacenty słysząc to, jednym susem stanął przy guślarzu.

— No już siedzi, puśćcie wiatrak!

Jacenty puścił młyn, a skrzydła tęgo zaczęły latać, boć zaczął tęgi wiater akurat dąć.

— Owóż możecie puszczać, i hamować, i mleć, jak się wam żywnie spodoba. Teraz bądźcie zdrowi! idę dalej, bom na jutro rano zamówiony o *pięć* mil ztąd w takim samym interesie.

I tak guślarz czmychnął na cztery wiatry, a Jacenty kontent, jakby go kto na sto koni wsadził i nie mógł się do syta napatrzyć, jak one skrzydła u młyna goniły. Ale cóż, kiedy ta jego pociecha miała się niezadługo w strapienie zamienić. Bo oto niebawem po wschodzie słońca wiatr ucichł, a młyn stanął Jacenty drała do onej dziury, w której djabeł niby to siedział; przykłada ucha, nadsłuchuje, lecz nic: cicho i koło onej dziury i koło młyna, a wiatrak jak stoi tak stoi.

Po kilku dniach powstał-ci wprawdzie znowu wiatr i zmełło się ziarno co tak długo w koszu spoczywało. Aliści na większą biedę Jacentego, ludziska po wsi rozniéśli o tem co się w młynie działo: jedni pokpiwali i śmiali się z Jacentego, inni znowu bojąc się djabła, młyn z dala omijali, aż Jacenty widząc oczywistą stratę, młyn za psie pieniądze puścił w arędę.

Tak to widzicie, moi kochani, wychodzą wszyscy na tem, którzy wierzą lada włóce, co do wsi przylezie!

Rzekł Bóg do żydów za czasów Mojżesza: *„Nie skłaniajcie się do czarowników, ani się wieszczków o nic nie pytajcie, abyście się przez nich nie splugawili.“*

A Pismo święte nowego testamentu mówi: *„Czarownikom i bałwochwalcom, i wszystkim kłamcom, część ich będzie w jeziorze gorejącem ogniem i siarką.“*

POGADANKA STAREGO ROLNIKA.

(z Cz. N)

Znowuż jednego razu przy wolnym czasie zeszli się ludzie do Janka Goździaka z Marusic, co to jak wiecie, taki sławny był na całą okolicę z gospodarstwa i do porady jedyny. Otóż dzisiaj ciekawi byli chłopiska usłyszeć od niego, jak to należy w gospodarstwie szykować się z robotami do słonka, do deszczu, śniegu i tam innych rzeczy — i o to go pięknie prosili.

Jakoś to było przed samemi żniwami — pogoda sprzyjała, toż Janek wywiódł ich z chałupy na pole i począł ich oprowadzać po roli około zboża, po łąkach, po sadzie, oborze i wszędzie po różnych dziurach swego gospodarstwa.

— Ot, moi sąsiedzi, prawi, widzicie moją pszeniczkę i żyto, patrzcie jakie gęste, jakie czyste, ani źdźbła chwastu nie dopatrzy prawie. — A widzicie jaka to słoma niby trzcina, kłoski jak kiście kukurydzowe, a ziarna, to jak żołądź. — A to jęczmień, to owies, to groch, wszystko jak las, aż się uśmiecha do człowieka, bo przy pomocy Bożej jak się to wszystko zbierze z pola, to nie jeden korczyk wsypie się do beczułki.

Chłopiska z wielką ciekawością przyglądali się temu, bo po prawdzie powiedziawszy, Bóg w polu Jankowi wszystko jakby na dziwo zarodził, tak, że między stoma połankami prawie ślepy namacaniem poznałby, czyje zboże Jankowe, a czyje jego sąsiadów.

— To moja łąka — mówił dalej Janek — siana pachnącego jak ruta dwa razy tyle zebrałem, co z was każdy. A teraz patrzcie, jaki śliczny puścił się potraw, jaki gęsty, że zdaleka sam wchodzi w oczy i chwali się. — Tu nad łąką mam kapustę, konopie, len, w górze ziemniaki, a jakie? — ho-ho-patrzcie! — Głowy kapuściane jak cebry, — len i konopie, jak młode choice i sośniaki, a ziemniaki, jak łby kocie. To, moi ludzie, jest wyka, a to koniczyna, czego wy nie macie. One to, moi sąsiedzi, prześliczną co rok dają mi paszę, dlatego w oborze mojej bydło pięknie się trzyma, a krowy tyle dają mleka, że kobiecie i starszej dziewusze to się i doić przykrzy. — Że się karmy nie żałuje, bydlę robi tyle gnoju, że prawie się z nim nie ma gdzie podziewać — a gnój to wiecie, co znaczy w gospodarstwie.

— To, widzicie moi ludzie! rola pod oziminę, patrzcie jaka czysta, jaka pulchna, jak calizny nigdzie ani na piędź nie dopatrzysz. Patrzcie, jak głęboko sprawna, jaka żyzna, to w takiej roli jak się wszystko porządnie doprawi, to jakże nie ma się zarodzić? — A takiej roli sam Pan Bóg nie daje, jeno się do niej starunkiem i pracą dochodzi. Kiedy wziąłem gospodarstwo na siebie, rola moja była taka sama jak wasza. Kamieni, perzu, chwaścisków różnych co nie miara, orka płytka, a

zbożowina tak się po połankach chwiała, jak kiedy mech po brodzie u młokosa, albo włosy na głowie u łysego. Dziś bez mała w jednakiej mierze wszystko u was zostało, a u mnie jakby moje pole kto przemienił: ni kamienia, ni perzu, ni chwastu, a orze się dwa razy głębiej, jak dawniej. — Tu widzicie wedle chałupy mam sad, a w nim przeróżne owoce, jabłka, gruszki, śliwki, że się jest czem cały rok obrządzać. Tu znowu między drzewizną maliny, agrest, porzeczki, — tam dalej warzywo, marchew, brukiew, kalarepa, pietruszka, pory, cebula, mak, i też inne różności, a wszystko piękne i dorodne, że aż się dusza śmieje w człowieku. — W końcu sadu widzicie, stoją ule ze pszczołami, co same pracują na człowieka, i prawie proszą się, żeby im miód odebrano. Wczorajszego bowiem dnia, kiedy przyszedłem zobaczyć, co się z mojemi pracownicami dzieje, widzę że cały rój siedzi na wierzchu jednego ula i brzęczy smutnie. Patrzę, co takiego? czyby w środku była jaka przeszkoda? — zaglądam tedy, aż tu cały ul zarobiony tak, że się w nim biedactwo już nie mogło pomieścić i wylazło na ul ze smutnem brzęczeniem, jakby prosiło człowieka, żeby mu miejsce na robotę zrobił. Tak ja co robiący, miód do szafliczka, wyporządziłem wszystko jak wypada, a moje pszczoły jak nie zabrzęczą wesoło, jak nie ruszą do ula, jak nie pójdą w pole, to jeno szumiało, co tak ochotnie leciały na robotę. — Pszczoły, moi ludzie, jeno starunku ludzkiego potrzebują, bo pożywienie to im Pan Bóg dał po kwiatkach, po łąkach, po zbożach, po drzewach i lasach, i za ten starunek dają tyle wosku i miodu, że mam z nich dać co i na chwałę Bożą do kościoła, i na domową potrzebę i na przedarz. Jak obejdziemy obory i chlewy, to was moi sąsiedzi uczęstuję miodem własnej roboty, bo moja kobieta to jedna do takiego domowego obrządku, wie we wszystkiem, jak sobie poradzić, nic u niej na marność nie idzie; — a jeżeli Bóg da zdrowia i życia, to wam opowiem o pielęgnacyi pszczół, bo i tu trzeba wiedzieć, jak co zrobić. — Wyszedłszy z sadu Janek, poprowadził wszystkich ku oborze, a pokazując na gnoisko rzekł:

— To widzicie jest gnojownia, a jak w izbie póty ciepła nie będzie, dopóki się w piecu nie napali, bo z niego rozchodzi

się ciepło po całej izbie, tak i w gospodarstwie, dopóty dziać się dobrze nie będzie, dopóki tu na gnojowisku będzie źle i bez żadnego starunku. Wy na to mało dajecie baczenia, bo jeszcze tego dobrze nie rozumiecie; ale ja, co wiem, że:

Bez gnoju rola kiep,
A przy gnoju daje chleb!

to naprzód pilnuję bydła, żeby było dobrze karmione, żeby miało dobrą podściółkę, a potem gnojowiska, żeby się na niem gnój nie palił, albo nie suszył, bo tak przy jednem, jak przy drugiem przez pół go ubywa, więc i zboża przez poł się jeno zbiera. Staram się więc, moi sąsiedzi, żeby gnój na gnojowisku był w swojej mierze, żeby zanadto nie przegnił, albo żeby nie był bardzo słomiasty, jeno co prawie. Dlatego zasłoniłem go oborą od południa, żeby słonko bardzo nie paliło. Żeby znów nie miał z deszczu nadto wilgoci i żeby woda nie nachodziła w niego z dachów, odsunąłem go od obory. W środku gnojowiska zrobiłem niby studnią, aby do niej napływała gnojówka, którą potem od czasu do czasu rozlewam po całem gnojowisku kiedy słonko bardzo pali, a co zostanie, to ja używam do różnych rzeczy w gospodarstwie, o czem wam później mówić będę. Gnojówka to równa gnojowi, a nawet lepsza od niego; więc ją bardzo trzeba szanować. — Widzicie tedy, że z gnojem to trzeba strasznie rozumnie poczynać, a u was — niech to nie będzie z niczyją obrazą — gnój przez pół się marnuje, i dlatego przez pół tyle, co ja z pola zbieracie. — Który u siebie z was zakłada gnojowisko, wygmyrze dół jak mu się uda, potem po wywózce grzebie, skrzybie, gdzie jeno czerni się ziemia, co przesiąkła gnojówką. Potem wyrzucacie gnój z obory, to byle jak: tu się zrobi góra, tam dół, tu leży bardzo ugnieciony, tam mniej. Jak więc przyjdą deszcze, to w jednem miejscu lepiej wodą przesiąknie, w drugiem mniej, i jużcić zaraz w jednem miejscu gnój bardzo gnije, w drugiem znowu wysycha. Jak też przyjdzie do wywózki, to zwierzchu gnojowiska idzie naprzód prawie sama słoma, i to w jednem miejscu spalona, zapleśniała, w drugiem sucha jakby dziś przyniesiona ze stodoły, a ze spodu

samo prawie błoto. Na polu więc gdzie wypadnie pognój z samego wierzchu gnojowiska, niewiele co przybędzie żyzności, bo co ze słomiastego barłogu można się spodziewać? Gdzie zaś wypadnie wozić ze spodu z owem błotem, to gnoju będzie bardzo szczupło, i jak miski barszczu nie osolisz ziarnkiem soli i zawsze barszcz będzie niesłony, tak i pola tą trochą gnoju nie użyznisz i zawsze będzie jałowe. Więc gnój z takiego gnojowiska nie da żadnego profitu, a rola jeżeli nie będzie się niszczyć, to pewnie nic jej na żyzności przybywać nie będzie.

— Owóż dla tego, moi sąsiedzi, że tak gnojowiska mało sobie ważycie, role wasze jak rodziły tak rodzą, nic się nie polepszają. — Dawniej kiedy lepsze były urodzaje, to wam przynajmniej wystarczało i nie znaliście, co to przednowek; ale dziś, kiedy wszędzie się nie rodzi i wy zbieracie jeno połowę tego, co dawniej, to jużcić wystarczyć wam nie może, boć u każdego z was w chałupie gąb nie ubyło, jeno może przybyło, i u każdego z was jeżeli nie więcej, to pewno nie mniej jedzą jak dawniej.

— Dobrze wszystko mówicie, mój Janie — odezwał się Bąbała, co słuchał z wielką pilnością — ale powiedzcie mi, dla czegoż to gnój, tak marna rzecz, potrzebny jest roli, i bez niego nic się dobrze nie chce udać?

— Jeszcze wam nie dopowiedziałem jednego a już chcecie wiedzieć o drugiem. Powoli! naprzód kiedyście przyszli do mnie po radę, to chciałbym was już doskonale nauczyć, jak macie zakładać i utrzymywać gnojowiska.

— Otóż zakładając gnojowisko, żeby wiatry na niem gnoju nie wysuszały, trzeba koniecznie między budynkami, coby go zasłaniały od wichury, wykopać dół równy, dłuższy jak szerszy, na łokieć albo i więcej głęboki. — Jeżeli spodem jest glina, to dobrze, bo nie puści przez siebie gnojówki; jeżeli piasek, to trzeba dno koniecznie wyłożyć kamieniami, czyli wybrukować a szpary pozalepiać gliną, boby piasek het ściągał do siebie wilgoć z gnoju. Trzeba także pamiętać wokoło takiego gnojowiska albo wysypać ziemią, żeby wyżej było, albo okopać dokoła rowkiem. Bo jak przyjdą deszcze, albo z wiosny śniegi zaczną topnieć, to woda ze wszystkich stron tak leci, że jeno

szumi; jakby więc nie miała nijakiej przeszkody, toby wszystka wwaliła się do gnojowiska, bo tam byłoby najniżej, opłukałaby podściół z gnoju i potem poszłaby na marność. Jeżeli zaś woda ze strony napotka wyższe miejsce, to się zatrzyma, albo jeżeli rowek będzie, to spłynie do niego i pójdzie sobie dalej w świat, a gnojowisku szkody nie zrobi. — Więc pamiętajcie dać baczenie, żeby nigdy a nigdy woda z boku nie dochodziła do gnojowiska, bo jak nie będziecie na to baczyć, i woda raz, drugi podejdzie, to z gnoju takiego właśnie tyla będziecie mieli profitu co i z ziemniaka sadzeniaka w jesieni przy kopaniu, co to na oko jak ziemniak wygląda, a w środku pusto, i jużcić ni dla człeka, ni dla bydlęcia z niego pożytku. Dlatego samego gnojowisko zawsze wypada odsunąć troszkę zdala od budynku, żeby między budynkiem a gnojowiskiem można było wozem przejechać, a to dlatego, iżby z dachów w niego woda nie ciekła. A kto może, niech od południa obsadzi drzewami, żeby dawały cień, to słońce nie tak będzie palić.

— Ale choć człek wody z boku nie puści do gnojowiska, to równie tej, co z nieba pada z deszczem i śniegiem nie zatrzyma. — Jeżeli rok choćby nie suchy, ale tak średni, to jeszcze fracha; bo że tam czasami deszcz przepada, toć jeszcze gnojowi tak wielkiej szkody nie zrobi. Ale jeżeli mokry i więcej deszczu jak pogody, to woda od góry pomału het wsiąka ku dołowi gnojowiska, obmywa każde źdźiebełko słomy podściołu z gnoju bydlęcego, jak na to mówiąc nasze kobiety kiedy piorą szmaty u rzeki. Przez to u spodu gnojowiska zostaje błoto, a u wierzchu czysty jeno barłog. Zamiast tedy coby miał nawóz gnić, to się rozdziela na dwoje, i przy górze będzie sam czysty podściół, a u spodu sam gnój bydlęcy. — A czy jest taki gospodarz, coby wywoził w pole samą słomę, albo sam gnój, co bydlęta z siebie wydają? Jużcić nie ma, bo każdy to wie, że taka wywózka nie wyszłaby na pożytek, jeno stara się, żeby podściół z gnojem razem się przetrawiły, i dlatego ściele pod bydło, żeby na czem położyć się miało, i żeby słoma wszystek mokrz i gnój bydlęcy wciągnęła w siebie.

— Otóż, żeby deszcze takiego rozdzielenia w gnoju na gnojowisku nie robiły, potrzeba duchem starać się, ażeby taką zbyteczną wodę z gnojowiska, co się przez to zamieni w gnojówkę, odciągnąć. Dlatego w gnojowiskach dno jego powinno iść trocha spadzisto ku jednemu bokowi, i przy nim wykopuje się studnia, daje się cembrzynę, i okrywa podziurawionemi dylami, iżby niemi zbyteczna woda z deszczów, co się przemieniła w gnojówkę, ściekała. Jakże się gnojówki takiej dosyć nazbiera a padnie na czas suchy, wtedy wyciąga się ją kubłem i rozlewa po całem gnojowisku. Jeżeli zaś gnojówki będzie tyle, że jej wylewać nie poradzicie, jeno zawsze znajdzie się jej coś w studni, to się nie frasujcie o to. W gospodarstwie, moi ludzie, i u mądrego gospodarza to nic na marność iść nie powinno, i ze wszystkiem tak się będzie umiał poszykować, że mu musi każda rzecz wyjść na pożytek. — Ale o tem kiedyindziej wam się rozgadam, bo to długa gadka.

— Teraz zaś że macie wolny czas, bo to przede żniwy, to każdy z was niech sobie przyrządzi miejsce na gnojowiska, jak to wam mówiłem, a nie ociągajcie się i nie żałujcie pracy. Z początku to idzie wszystko trudno człowiekowi, a później jak się wprawi, to robi śpiewający.

— A kiedy wiem, że każdy z was powie, jako w mojej gadce mam prawdę za sobą, to zróbcie wszyscy jak radzę, boć to wstydnoby było i dla mnie i dla was, że w rzeczy takiej co jeno wyciąga trochę pracy i zakrzątania się, słowa moje z wiatrem by poleciały, Bóg bowiem, moi sąsiedzi, nie dał ludziom ani chleba już upieczonego, ani wiatraków lub młynów, jeno dał żyto, wiatr, ogień i wodę, i dał rozum, żeby człek rozważał i przemyśliwał. Jak więc poszedł człowiek po rozum do głowy, zaraz zmiarkował, że z żyta może być chleb, wiatr albo woda mogą obracać kamienie, co mielą zboże na mąkę, a ogień może chleb upiec. Żyto więc człowiek zżał, wymłócił, wiatrem albo wodą wymlił na mąkę, a przy ogniu upiekł i wszystkiego tego doszedł swoim rozumem. — Głupi człowiek coby tego nie wiedział, jak się chleb robi, toby gryzł samo żyto a zobaczywszy człeka, co je chleb, powiedziałby, iż mu tak Pan Bóg to dał, że mu tak wszystko ręką idzie. A tu choć

Pan Bóg to dał, to równie człek rozumem swoim dokazał, bo i pług choć uprawia ziemię, a przecie trzeba do niego konie albo woły zaprządz, żeby pociągnęły, i człeka coby tem wszystkiem kierował.

— Tak samo też i w gospodarstwie; Bóg dał rolę, gnój, słonko i deszcz a człowiekowi rozum, aby umiał z tego wszystkiego korzystać. I dla tego to powiedziałem, że w gospodarstwie trzeba się umieć z robotami do tego szykować, bo bez tego zawsze będzie wszystko Bóg wie po jakiemu, ot tak, jak się uda. — Kto więc stara się w gospodarstwie, aby z rozumu, tego wielkiego daru Bożego, jak najwięcej korzystać i robi tak, jak mu kto mądrze poradzi, to takiemu wszystko pójdzie ręką, bo mu i Bóg dopomoże za to, że rozumu swego używa na dobre, i że nie marnuje tego, co mu Bóg dał w miłosierdziu swojem.

— Pracujcie więc i starajcie się robić tak, jak wam radzę, bo lenistwo i próżniactwo to największy grzech przed Bogiem, gdyż Bóg nic nie dając gotowego człowiekowi, chciał widać tego, żeby na wyżywienie swoje w pocie czoła pracował. — Kto więc pracuje, wypełnia nakaz Boski; kto próżnuje i jest leniwy, to jakby się buntował przeciw Bogu, jakby mówił w zuchwałości swojej: „Choć Panie Boże kazałeś mi pracować, ale ja nie będę, jeno wolę sobie mało robić, a i tak przy pomocy drugich ludzi nie umrę.“ Lecz Bóg, moi ludzie! choć cierpliwy, ale sprawiedliwy; zuchwalstwa takiego nigdy nie przebaczy i gdy pracowitym opiekuje się jako ojciec, o próżniaku zabacza — a bez opieki Boskiej, czy może być dobrze człowiekowi?

— Za długo, moi ludzie, rozgadałem się dzisiaj; ale u starego co w sercu, to i w mowie. Teraz uczęstuję was miodem, co go syciła moja kobieta.

I przy tych słowach Janek obróciwszy się ku komorze, zawołał:

— Saluś! — a wynieśno nam choć ze dzbanek swego słodkiego napitku, bo radbym poczciwych moich sąsiadów uczęstować.

Kiedy miód zaczerwienił się po szklankach, Janek podniósł szklankę w górę, i rzekł:

— Daj wam Boże zdrowie, moi sąsiedzi! gadki i porady nigdy dla was żałować nie będę, a wtedy dopiero umrę spokojnie, gdy mnie swoim znowu miodem z własnych uli uczęstujecie. — Daj wam Boże zdrowie.

Całej gadki Janka chłopiska słuchali z wielką ciekawością; najbardziej jednak Bąbała, bo to tak się zamyślił, że choć muchy obsiadły mu całą czuprynę, on ni razu po niej nie klapnął się garścią jak to miał we zwyczaju.

— Kumie — odezwał się Wojciech, trącając Bąbałę, — a dyć ognajcie muchy z głowy, bo was na piękne zjedzą.

— Bóg wam zapłać za przestrogę; ale mnie ta nie muchy w głowie, jeno rozważam sobie Janka gadkę o gnojowisku, bo wiecie co? to nie głupia rzecz! ja zaraz u siebie tak zrobię.

— Ba! co ma być głupia.

I ludziska pogwarzywszy to o tem, to o owem, wyruszyli wkrótce do domu, i każdy miał w głowie jego gnojowisko i mądre słowa Janka.

J. K. Gregorowicz.

RÓŻNOŚCI.

Jak bieda tak bieda. — Źle panowie gospodarze, źle i ani daj Boże lepszych doczekać się czasów! A toć to wiadomo, jak się działo przeszłego lata: słońce parzyło i po całych miesiącach kropli deszczu nie było; toż w wielu miejscach popękała ziemia od wielkiego gorąca, i poniszczały łąki, i po pastwiskach kurzyło się jakby na gościeńcu, i woda powysychała w studniach i potokach, i omdlewali ludzie w czasie żniw od srogiego upału i pragnienia, a tu jeszcze padło na wojnę i dużo naszych poginęło. Take to było przeszłe lato — A jakże dzisiaj, moi gospodarze! czy lepiej? — oj, dalipan że nie! Tu znowu leje i leje jak z cebra, i ani rusz pogody się doczekać. Wezbrały rzeki i potoki i dużo ludzi w nich poginęło; i siano gnije po łąkach, i śniedź się jak mówią rzuciła na pszenicę od tych ciągłych deszczów, i ponoć się już ziemniaki w wielu miejscach psują. A gdzie się pokazało na piękny urodzaj, tam grady spadły ciężkie jak kamienie i powytłukały piękne zboże do czysta. I biją pioruny po piorunach, i zabijają nam ludzi i chudobę, i palą nasze domostwa — i ot, jako się nam dzieje w tych czasach...

Niedawno temu nawiedziła burza okolicę *Słowity, Jachtarowa* i *Uniowa* w Złoczowskim obwodzie i poniszczyła wszystkie zasiewy. W Słowicie jeszcze do tego piorun uderzył w karczmę, zabił jedną kobietę i dwie sztuk bydła, i jakiegoś chłopca uszkodził. A znowu w *Bałuczynie* w *Zamościu* i *Glinianach* wytłukł grad dużo oziminy, i wszystkie okna w chałupach powybijał. Przytem wicher był taki mocny, że w samej Bałuczynie coś ze *dwanaście* chałup obalił i inne budynki gospodarskie powywracał. Najstarsi ludzie nie zapamiętali takiej burzy. W kilka dni potem spadły grady na pola *Nieznanowskie, Czyżowskie, Nasterowieckie* i wielu innych wsi, i strach co za szkody w zbożu poczyniły. Gorzej jeszcze jak słychać działo się w Samborskiem po niektórych wsiach, gdzie padał taki wielki grad, żeć się po nim nawet trawa na łąkach nie ostała.

Oj, bieda jest i będzie jeszcze większa, jeśli się Pan Bóg nasz ojciec niebieski nie zlituje nad nami i jakoś inaczej nie zarządzi.

JAKO CHŁOP JEDEN RADZIŁ SWOJEJ BABIE NA BÓL ZĘBÓW.

Opowiadał po swojemu Sebastjan Liszka włościanin z Jeżowy.

Pewna kobieta ból zębów cierpiała,
Na który nie jadła, ni piła, ni spała;
A mąż ją cieszy: — cicho babo, cicho!
Wiem ja o lekarstwie, weźmie go tu licho. —
I uwiązał zęba na mocnym szpagacie,
U skobla drzwi w swojej własnej chacie,
I bierze pochodnię i tak żonie radzi:
— Otwórz babo usta, niech się ząb nakadzi.
Więc żona strapiona gotowa do zgody,
I mąż jej przyłożył pochodnię do brody —
Oj, baba się szarpnie aż ściany zadrżały,
A ząb uwiązany bęc na ziemię cały.
Mąż się ją pyta: — i cóż lepiej ci w gębie?
Żona wtenczas uczuła, iże już po zębie.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Nie żądaj złego nikomu, byś tego niedoznał w domu.
2. Lepsza kopa za żywota, niż po śmierci sterta.
3. Wolno przez groble i mosty, chceszli mieć grzbiet prosty.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. Nr. 4.

1. Sierpnia 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KAZIMIERZ WIELKI

król chłopków.

II. Jaki był sprawiedliwy.

Tuż pod samym Krakowem leży wieś Łobzów. Piękna-to wieś! ziemia czarna i taka sprawna, że omal nie powiem, pieprz by się na niej urodził. Łobzowianie lud piękny i serdeczny, a też zaradny i nie leniwy; na swojej czarnej ziemi z dawien dawna uprawia włoszczyznę i rozmaite jarzyny, co je sprzedaje w Krakowie na Szczepańskim placu. To też w Łobzowie nie pytaj o biedę, bo tam jej nie znają; a kmiecia z Łobzowa poznasz choćby o sto kroków, taki sobie pan całą gębą, i Łobzowianki też postrojone jak panie.

Otóż nasz Kazimierz był sobie bardzo oną wieś upodobał, postawił tam pałac i rad w nim przesiadywał.

Jakoś w tym czasie przybyła z czeskiego kraju do Polski jedna pani cudnej urody, a zwała się Rokiczana. Zobaczył ją król i bardzo się w niej rozmiłował. A było mu to wolno, jako że już był natenczas wdowcem. — Już tedy myśli o drugiem

ożenieniu, niby z oną czeszką — i osadził ją w swoim królewskim pałacu na Łobzowie. Pysznie sobie mieszkała ta pani, a znając słabość króla do siebie, rozkazywała wszystkim, jakby już prawdziwa królowa.

I było tak, że przed samym pałacem stała sobie jedna kmiecia zagroda i swoją strzechą słomianą zasłaniała widok z pałacu na Kraków. Ileż razy wejrzy oknem Rokiczana i spojrzy na tę chłopską zagrodę, zaraz-ci ją gniew napada. I myśli sobie: po jakiego licha nie kazał król jeszcze dotąd rozwalić tej budy, co mi przez nią nie wolno patrzyć na Kraków! Jabym to już dawno uczyniła.

Tak-ci raz rzeknie do króla: — Panie miłościwy! zrób mi tę łaskę i nakaż choćby dziś rozwalić oną chałupę, bo tak nie pięknie, aby stała przed samemi oknami twego pałacu.

A król jej na to: — Nie uczynię tego za nic w świecie, bo-by to było niesprawiedliwie i z krzywdą bliźniego.

— Zapłać mu, królu, ile będzie sam chciał, a rozwal koniecznie; ja cię o to bardzo proszę!

— Zapłacić nie wielka rzecz — powiada król — ale jak nie zechce sprzedać za żadne pieniądze?

— Co to znaczy, nie zechce! zawoła czeszka dumnie — kiedy król każe, to musi.

— A nie musi! krzyknie Kazimierz, bo go już rozgniewało. — Moja ty pani czeszko! ja nie taki król, co-by do tego rozkazywał, do czego nie ma prawa. Każdy jest sobie pan na swojej ojcowiznie, a król nie ma prawa wyrzucać go z jego własności. Chce z dobrej woli? to owszem, a nie, to przepadło. Ja go pewnie nie ruszę, boć to jego a nie moje, ani też twoje, moja pani!... To rzekłszy król, zatrzasnął drzwiami i wyszedł, a nawet się nie pożegnał ze swoją miłą panią, co się jej jeszcze nigdy nie przytrafiło.

Inna na jej miejscu byłaby sobie ów sprawiedliwy gniew królewski wzięła do serca i już więcej o tem nie myślała. Ale Rokiczana nie dobra była pani, a uparta i mściwa, że to ha! jak się raz na co uwzięła, to już przepadło! — póty chodziła a chodziła, póki na swojem nie postawiła. — Tak-ci i tą razą myśli, że bądź jak bądź swego dokaże. Czekała jeno dobrej

pory, aż król nie wyjedzie z Łobzowa. I nie potrzebowała długo czekać. Jakoś tego samego dnia jeszcze wypadło królowi jechać gdzieś daleko za Kraków. Zaledwo się wydalił, Rokiczana posyła do onego kmiecia, co siedział naprzeciw pałacu i każe go przywołać do siebie. Chłop ten nazywał się Zbroja. Stary to był żołnierz, bo jeszcze za nieboszczyka króla ojca bił się przeciwko Krzyżakom i miał też nie jedną ranę na ciele z onej wojny. Dziś na swoje stare lata osiadł na ojcowskim gruncie przy dzieciach i pracował o ile sił starczyło, aby — jak powiadał — do samej śmierci nie jeść chleba za darmo.

— Co też ta pani chce odemnie? tak sobie mysli Zbroja, kiedy go dzisiaj powołali do pałacu, bo już wiedział, że króla nie ma doma. Zabrał się i poszedł. Rokiczana przyjęła go na razie bardzo grzecznie:

— Co tam słychać u was, gospodarzu? powiada — a zdrowiście? i wszyscy wasi, czy zdrowi?...

— Bogu dziękować! odpowie stary żołnierz.

— Słuchajcie-no panie Zbroja! zagada już żywo Rokiczana — sprzedajcie mi waszą chałupę i grunt.

Chłopisko aże się cofnął z przerażenia.

— Wielmożna pani chyba żartuje! powiada — bo gdzieżby znowu....

— Ale nie żartuję, nie! na prawdę chciałabym się z wami zgodzić — zawoła czeszka, a już jej widać było po twarzy, żeć się gniewać poczyna.

— Jeżeli tak, odpowie Zbroja, to widzę próżna była moja fatyga, bo tu nie będzie zgody między nami. Kłaniam się Wielmożnej pani.

I już chce odchodzić. Rokiczana poczerwieniała jak ogień na twarzy, taki ją w sobie gniew palił. Ale jeszcze — choć z wielką biedą — nie wybuchła.

— Gospodarzu! zawoła.

— Co Wielmożna pani rozkaże?

— Czy to jest wasze ostatnie słowo? ja wam dobrze zapłacę, mój Zbroja, dwa razy tyle, ile to warto.

— Nie ma co gadać, Wielmożna pani! bo ja nie sprzedam

za nie w świecie mojej ojcowizny, chociaż-by tego sam król nasz miłościwy, odemnie żądał.

Już też dłużej nie mogła się powstrzymać złośnica i wybuchła okrutnym gniewem:

— Chłopie! to ty myślisz, że ja cię długo będę prosić? hej, służba moja! a duchem spalić mi tę budę i grunt po niej zaorać, żeby i znać nie było, gdzie stała.

Napróżno ją stary Zbroja zaklina: — Wielmożna pani, toć się nie godzi! uważ sobie, co król nasz miłościwy powie.

Rokiczana ani chce słuchać, tak się zaciekła w gniewie; starego kazała wyrzucić za drzwi, i chałupę oną spalić i grunt zaorać. A że miała dużo takich podchlebników, co ją we wszystkiem słuchali, wnet się też stało tak, jak rozkazała.

W kilka dni potem powrócił król do Łobzowa. Stanął przed pałacem i zaraz-ci wpadło mu w oko miejsce próżne, kędy stała chałupa Zbroi. Krzyknie tedy na służbę dworską:
— Co się tu podziało!

Na głos królewski wybiegła sama Rokiczana dziwnie piękna i mile uśmiechnięta. Myśli sobie, że jak ją tylko król obaczy, tak bardzo ją miłujący, wnet się udobrucha. Aleć tym razem bardzo się czeszka pomyliła. Król wcale się nie udobruchał na jej widok, nawet się nie przywitał, bo już się był prawie domyślił, czyja-to sprawka.

Zapyta groźnie: — Rokiczano! tyś to zrobiła?

Oj źle! myśli sobie podstępna niewiasta i jęła się nowej sztuczki: poczęła niby okrutnie płakać, chcąc tem serce królewskie zmiękczyć i obrócić ku sobie. — Aliści w tej samej chwili ode wsi pokazał się sołtys łobzowski, sędziwy Brózda na czele gromady, a wedle niego szedł stary Zbroja o kiju i z torbą przez plecy, niby dziad, i żona jego nieboga płacząca, i cała jego rodzina. — Kazimierz tedy ani uważał na nieszczery płacz pięknej Rokiczany, jeno się cały zapatrzył w oną stronę, zkąd stary sołtys prowadził gromadę ku niemu.

Zajrzawszy króla przed pałacem, Brózda odkrył siwą głowę i pokłonił się, a za nim cała gromada, — zaś rodzina Zbroi zamiast pokłonu, w okrutny płacz wybuchła. Król spojrzał surowo na Rokiczanę. Tać miarkując na co się zanosi, chciała

umknąć do pałacu. Ale ją przytrzymał za rękę Kazimierz i rozkazał: — Stać! — Czeszka zbladła jak chusta ze strachu.

Nareszcie jął sołtys wywodzić skargę przed królem: — Najmiłościwszy panie a nasz ojcze sprawiedliwy! otoć się stała rzecz niesłychana w naszym Łobzowie: nie mamy, dziękować Bogu, żadnej wojny i o nieprzyjacielu nie słychać, a taki człek nie może się osiedzieć we własnym domu spokojnie. Doświadczył tego niedawno oto nasz gospodarz stary Zbroja ze swoją rodziną. Ni ztąd ni z owąd, w jasny dzień, napadnięto ojcowiznę jego, wyrzucono go z domu wraz z całą rodziną, i wszystko mu spalono, i zaorano grunt na tem miejscu, jako sam widzisz, miłościwy królu.

Zawoła Kazimierz: — A widzę, mój sołtysie, widzę! i dałbym nie wiedzieć co za to, żeby się to było nie stało, i jeszcze komu? mojemu kochanemu Zbroi, co swoją krew za ojczyznę przelewał!...

Słysząc to Zbroja, rzucił się jak długi do nóg królewskich, a taki był rozżalony, żeć ani słowa przemówić nie mógł. Podźwignął go król ze ziemi i postawił oko w oko przed Rokiczaną, mówiąc:

— Patrzaj! i miełażeś ty serce temu oto starcowi takową krzywdę wyrządzić? Teraz dopiero poznaję, kto jesteś, i wstydzę się, iżem cię dotąd za dobrą miał i za godziwą mojego serca uznawał... taką poczwarę!

A potem król sprawę rozsądził: — Za moje własne pieniądze wybuduje się na tem samem miejscu domostwo dla Zbroi, a we wszystkiem takie, jak było. Tu zaś przy drodze nakazuję postawić krzyż. Będzie pod nim klęczała Rokiczana, i przez ten cały czas, póki nie wybudują majstrowie mieszkanie dla Zbroi, niech się modli i pokutuje ta grzeszna dusza, i dobrych ludzi niechaj prosi o zmiłowanie, coby ją jakim grajcarkiem opatrzyli. Z tych grajcarków, jaka się zbierze suma, wszystka ma być oddaną Zbroi i jego rodzinie za to zmartwienie, którego z jej przyczyny doznali. Gdy tak odpokutuje grzech swój na miejscu, dopiero wtedy zabierze się pani czeszka, i fora z dwora! żeby mi się na oczy nie pokazywać. Onych zaś, którzy usłuchali

tak niegodziwego rozkazu tej pani, oddaję pod sąd gromadzki: niechże ich sama gromada, jak myśli ukarze.

Taki był wyrok królewski. — I otóż poczciwym ludziskom żal się teraz zrobiło tej Rokiczany. Więc Zbroja i jego rodzina upadli królowi do nóg i bardzo prosili, aby jej przebaczył. Zrazu był się król okrutnie zaciął: — Nie i nie! — Ale jak go stary Zbroja zaczął po nogach całować, a kobiety znowu płakać, a sołtys i cała gromada prosić — tak nareszcie zmiękł i podarował onej pani pokutę pod krzyżem. Ale kazał jej się zaraz wynosić z Łobzowa; tak mu, widzicie, obmierzła ona, jeszcze niedawno kochanka jego, a jeno przez to że był taki król sprawiedliwy.

KRAKOWIAK.

Wesoły, szczęśliwy, Krakowiaczek-ci ja,
A mój konik siwy raźno się uwija:
Uwijaj się, raźno bież,
Kopytami ognia krzesz!

Czapeczka czerwona na głowie mi płonie,
Pokazuje ona, że mi gore w łonie; —
Gore serce, pędzi koń,
A dziewczyna klaska w dłoń!

Z czapki pawie pióro barwami się mieni,
Jak dzionek za chmurą, gdy ją świt zrumieni; —
Dumnie błyszczy pawi puch,
A ja dumny — i ja zuch.

Krakowiaczek-ci ja, pędzę sobie żwawo,
Kto mnie nie wymija, plunę w twarz kurzawą —
Bo ja pan, bo ja król,
Wśród zielonych niw i pól!

W koło szumi zboże, kłania mi się kłosem,
Kiedy zbiorę, zorzę — to pobrzęknę trzosem
A dziewczęta z całej wsi,
Będą się przymilać mi!

I ta, i ta ładna — lecz próżne ich chęci,
O! bo mnie już żadna nie zwabi, nie znęci!
Jedno tylko serce mam,
Jedną tylko Halkę znam.

E. W.

Grosz wdowi.

Kościółek we wsi Zborzewie zapadł się prawie całkiem i potrzeba było wielkiej reparacyi, prawie jakby odbudowania go na nowo. Proboszcz chodził w koło z brewiarzem w ręku patrzał się na zawalony przybytek Boży, i aż mu łzy w oczach stawały. Dziedzic wioski, pan Dobrzewski, mały miał majątek, dzieci dużo — a wszelako mu koniecznie na sercu ciążyło, by co rychlej poratować dom Boży. Naradzał się też z proboszczem, a potem do księdza dziekana pojechał.

Gospodarze w Zborzewie mieli się dobrze, ale odkąd kościół zapadł się w gruzy, to i chodzili sobie na nabożeństwo do sąsiedniej parafii — do Zbylina.

Dnia jednego zjechał ksiądz dziekan na plebanią, a potem zaraz obadwaj księża do dworu poszli.

Bartłomiej Garnuszek, najbogatszy gospodarz we wsi całej, stanął na progu domostwa swojego, i założywszy ręce na krzyż, patrzał się, jak księża właśnie w dworską wchodzili bramę.

— A czegóż tak wyglądacie? zapytał go stary Mateusz Sroka, idący z kosą na ramieniu od łączki swojej — czy południa? Bo od kiedy nam już, mój Jezu kochany, nie dzwonią na kościółku, to człek jeno podług słońca miarkować się musi.

— A to widzę przyjechał ksiądz dziekan do naszego proboszcza i poszli razem do dworu — odrzekł Garnuszek, skrobiąc się po głowie — i medetuję sobie, że pewnie będą chcieli abyśmy pieniędzy na odbubowanie kościoła dali.

— Ha, no! to i cóż poradzi wyglądać? odrzekł Sroka — trudna rada! Już-ci potrzeba ratować dom Boży, chociaż-to człeka i nie stać.

— Abo my to nie możemy na mszą świętą do Zbylina chodzić? odrzekł Bartłomiej. — Czyliż nam żal nóg, abo co? Nie ma na reparacją, no, to i nie ma. Pan Bóg nie wymaga od człeka nad siły i zasób.

— Żartujcie sobie zdrowi, kumie Bartłomieju — wymówił na to Sroka i uśmiechnął się jakoś — wiadomo przecie wszystkim, że jesteście w stanie i pareset złotych wyłożyć, jakbyście jeno chcieli, a nie zrobicie sobie krzywdy.

— Abo to prawda! zasierdził się Garnuszek — ludzkie-to jeno obmówisko: człek mozoli się dzień po dniu, byle bieda nie zajrzała, to i wszystko. A powiadam, że to jeszcze na lepszą Panu Bogu posłuży ofiarę, jak będziema na mszą świętą do Zbylina chodzili.

Stary Sroka coś tam głową pokręcił i westchnął.

Powychodzili gospodarze i z drugich domostw, skupili się przy Bartkowej studni, i nuż tam sejmikować sobie — a najwięcej Garnuszek rozprawiał. Powoli to i wszyscy przytakiwać zaczęli — a w końcu zgodzili się na jedno.

Powyłaziły i kobiety z chałup, i jaka taka nuż wypytywać męża lub syna o tę oną naradę przy studni: jedna od razu przywtórzyła, druga jakoś pokręciła głową, trzecia westchnęła i zamyśliła się — a prędko rozeszła się po wsi wiadomość, że gospodarze wręcz odmówią, jako na odbudowanie kościoła kosztów łożyć nie będą. W tem nadbiegł ode dworu karbowy z rozkazem, by wszyscy przed księdzem dziekanem stanęli.

Spojrzeli po sobie, pokiwali głowami i poszli do dworu.

W pierwszym pokoju siedzieli księża i dziedzic, i zaraz też do niego gospodarzy wpuszczono.

W drugim pokoju widać było panią Dobrzewską z czterema córeczkami, niby z kurczątkami kokoszka. Matka szyła tam jakąś bieliznę a panienki pończoszki robiły.

Gdy weszli gospodarze, wystawił im ksiądz proboszcz od razu: jak to smutno jest we wsi, gdy w kościele zrujnowanym nie może być nabożeństwa; że tęsknota dziwna ogarnia serce, zwłaszcza też w niedzielę i dni świąteczne, i jako teraz nawet i miłego nie posłyszą dzwonienia, które ich do modlitwy wzywało, a w południe i pod wieczór wypoczynek wskazywało po pracy.

Potem przemówił ksiądz dziekan, aby z dobrowolnych składek odbudowali dom Boży, za co we własnej duszy wielkiej doznają pociechy, a i Pan Bóg mile przyjmie taką ofiarę. Gospodarze poczęli kręcić głowami i pomrukiwać, że ich nie stać na taki wydatek.

— Wiadomo wam dobrze, moi kochani, ozwał się teraz dziedzic — że i u mnie *chuda fara*, bo nieraz grosz grosza nie dogoni, a dziatek kupa, z których trzy chłopczęta są w szkołach, co nie mało kosztuje. Ale wszelako uczynię, co mogę i dam drzewo z mojego borku, ile tam będzie potrzeba. Przywiozę i swoim kosztem budowniczego, i rysunek, jaki nam zrobi, zapłacę.

Chłopi ciągle głowami kręcili, przedeptywali z nogi na nogę, a najbardziej Bartłomiej Garnuszek — i zerkał to na jednego, to na drugiego, niby przestrzegając, ażeby od swojego nie odstępowali.

W tem nadeszła z drugiego pokoju dziedziczka, a była ona córką nieboszczyka dziedzica i rodziczką ze Zborzewa.

Gospodarze się skłonili i pochwalili Pana Boga.

— Na wieki! odrzekła pani. — Dzień dobry wam, moi kochani. Otóż i ja, za przykładem mojego męża, składam uzbierane sobie dwieście złotych za masło i jajka, na odbudowanie kościoła, bez którego nam smutno i tęskno. Boć przy tym kościółku leżą pochowani najdrożsi rodzice nasi, tutaj nasze odbyły się śluby, i tutaj dziateczki kochane odebrały chrzest święty. Przy dobrej chęci i modlitwie, to i Bóg nam dopomoże!

Bartłomiej Garnuszek znowu zerknął na lewo i na prawo. Stary Sroka spuścił oczy ku ziemi, jak gdyby się wstydził. Coś tam pomiędzy sobą niby poszeptali, a potem Bartłomiej skłoniwszy się, wyrzekł:

— Z przeproszeniem wielmożnych dziedziców, wielmożnego księdza dziekana i naszego dobrodzieja, ale takeśmy już ułożyli sobie: że, jako nas nie stać na odbudowanie kościoła, to i nic nie możemy dać na tę ofiarę.

Dziedzic, i księża, i pani Dobrzewska, wszyscy jeszcze poczęli przemawiać, ale naprózno.

W tem zwolna drzwi otworzono i weszła do pokoju stara Zagraina, wdowa, wyrobnica uboga.

— Niech będzie pochwalony! i pokłoniła się wszystkim.

— Czy do mnie jaki macie interes? zapytała pani Dobrzewska.

— Nie, wielmożna, kochana pani — odrzekła Zagraina — jeno przysłyszałem, że wielmożny ksiądz dziekan po to przyjechał, abyśmy znowu, mój Jezu słodki, mieli święty kościółek. A każdegoć-to pewnie korci, aby z ofiarą swoją nie był ostatni. To też, z przeproszeniem wielmożnego państwa, przyleciałem co tchu, bom sprzedała prosię młynarzowi, dostałam za nie pietnaście złotych, za co Panu Bogu dziękuję i Matce Najświętszej, i te pieniążki z serdecznością na kościółek oddaję.

— Poczciwa kobieta! zawołali razem państwo Dobrzewscy i księża obadwaj.

Kobiecina pieniążki swoje wyłożyła na stół — a liche na niej były szmaty, chociaż chędogie.

Bartłomiej Garnuszek oczy ku ziemi spuścił, niby człek niedobrego sumienia, i aż go tam coś jakby dusiło w gardzieli. Sroka coś tam drugim poszeptywać zaczął, rękę raz po raz uniósł, a w oczach mu świeczki stanęły. Szeptali, szeptali, i potrącali się jakoś łokciami. Zaczął i Garnuszek coś tam pomrukiwać, a potem skłonił się i wyrzekł:

— Kiedyć już tak padło, że ot wyrobnica uboga pierwsza z nas ofiarę na dom Boży przyniosła, to i my nie chcemy być podlejszymi. A chociaż człeku ciężko przyjdzie i krwawo, to niechta już wielmożni państwo odemnie sto złotych zapiszą.

I każdy z gospodarzy za tym przykładem pospieszył, jeden ofiarował mniej, drugi więcej, jak tam stało którego.

Znać też i Panu Bogu miłą ta ofiara była, bo niezadługo stanął kościół odbudowany, i taki ładny, że aż miło było spojrzeć. Nabożeństwo odbyło się uroczyste, sam biskup zjechał i księży kilkunastu. Gospodarzom aż niby serce rosło z radości — a do tego przecie najlepszym stała się przykładem uboga wyrobnica z prosięciem swojem, gdy zawstydziła zamożnych a skąpych.

Był to prawdziwy *grosz wdowi.*

Paulina z L. Wilkońska.

O psie,

jako o wiernym przyjacielu człowieka.

Wy, panowie gospodarze, sami wiecie najlepiej, czem-to jest pies dla człowieka, i że się nie godzi nad nim zbytkować. Ale co dzieci wasze, to nic a nic o tem nie wiedzą; przeto żadnego nie mają poszanowania dla psa i często dla swojej zabawki, rozmaite psikusy mu czynią. Onym się zdaje, że pies podłe stworzenie, więc batem świsnąć, nogą kopnąć wolno, bo to pies. I zbytkują się też, hultaje, oj zbytkują — a tu jeszcze często gęsto własna ich matka broni przed ojcem, coby je za to chciał ukarać.

— Daj mu spokój ojcze! powiada taka matka.

— A czego mi się, niecnota, nad psem wydziwia?! odrzeknie gospodarz.

— O, wielka rzecz! zawoła — wartoć to za psa własne dziecko pokarać?...

— Oj, warto, moja ty matko, i jak warto! bo jak ci się synalek zaprawi na psie, i zdziwiając się nad nim, cieszyć go to będzie — to z czasem serce mu się i do ludzi popsuje, i nie daj-ci Boże tego doczekać! ale powiadam, że taki chłopak później i własnej matce nie podaruje. To raz — a po drugi raz: to chyba ty sama nie wiesz, co jest pies, skoro tak mówisz? — Otóż abyś jedna z drugą wiedziała o tem i już więcej nie broniła dziecka przed ojcem, jakby go chciał poturbować za psa nieboraka, posłuchaj-że sobie, coć dzisiaj opowiem o różnych psach, i co jeszcze nieraz o nich opowiadać będę.

Poczciwe to stworzenie! jak raz nawyknie do człeka, to już nie znajdzie wierniejszego przyjaciela nad niego. Słyszałem ja o tem nie jedną historję, a między innemi taką:

Pewien jegomość miał zwyczaj do późna w nocy czytywać na książce. Jak tylko wieczór się zrobił, zaraz zapalał świecę, kładł się do łóżka, brał jakąś książkę do ręki i czytał. I często mu się zdarzyło, że zasnął a świecy nie zgasił. Niebezpieczna

to rzecz; bo świéca, zwłaszcza łojowa, potrzebuje aby ją ciągle objaśniać. Jakże tedy zaśniesz przypadkiem, a nie zgasisz takiej świecy, gotowiusieńkie nieszczęście! z nieobjaśnionego knota może spaść ogień na książki, papiery, lub na jaką inną rzecz; co leży na podorędziu, a łatwo się zajmuje od płomienia, i jużcić masz pożar w izbie. Nie jeden już tego pożałował — aleć ludzie, jak ludzie! nieraz, chociaż dobrze wiedzą że źle, taki robią swoje, a już po niewczasie żałują. — Owóż i ten jegomość, kto wie, czy-by się był kiedyś nie nabawił kłopotu przez taką nieostrożność! Na szczęście swoje miał on przyjaciela, który czuwał za niego. Tym przyjacielem był jego wierny pies. Sypiał on w tej izbie, co i pan i miał pilne oko na wszystko, co się dzieje. Niechże tedy jegomość zaśnie sobie i świecy nie zgasi, oho, jużci pies to widzi, cichutko wstaje, wspina się na tylnych łapach, a zaś przednią łapą, niby ręką zwolna k ł a p po świecy, tak, że ją zgasi, i dopiero spokojny już kładzie się i spi. Długo pan tego nie uważał; aż-ci razu jednego wydała się cała rzecz. Pan się trochę był zdrzymnął, a psu się zdało, że zasnął na piękne. Wstaje tedy i po swojemu wziął gasić świécę. W tej samej chwili jegomość się ocknął i wszystko widział. I dopiero się zdziwił, i nazajutrz wszystkim opowiedział, jakiego przyjaciela wiernego poznał w psie swoim. —

Taka to jedna historja — a powiem wam i drugą: — W jednem wielkiem mieście żył chłopczyk ubogi. Biedna sierotka, nie miał ani ojca, ani matki, i z tego się jeno żywił, co panom bóty czyścił na ulicy, jeśli sobie który błotem obwalał. Dzień w dzień przychodził on pod jedną kamienicę, miał stołeczek, szwarc i szczotki do czyszczenia, i raz po raz wołał: „Panowie, bóty czyścić!“ — A miał też przy sobie psa, białego kudłatego pudla. Jedyny to był jego przyjaciel i opiekun, co mu został po rodzicach. Słuchajcież teraz, co ten pudel jego nie robił, aby miał sierotka większy zarobek: Wypatrzył-ci on zawsze jakąś kałużę, właził do niej naumyślnie i łapki sobie błotem obabrał, a potem już tylko pozierał, czy jaki pan nie idzie ulicą. Niechże którego zobaczy, zaraz-ci wyskoczył z kałuży, i niby niechcący, pobabrał mu bóty swojemi zabłoconemi

łapkami. Pan się gniewa, pies w nogi, żeby mu się co nie oberwało, a tu chłopiec z pod kamienicy woła: „Panowie, bóty czyścić!“ Jeszcze więc kontent pan, że mu się tak duchem ktoś nadarza, co mu bóty oczyści; a znowu chłopczyk kontent, że z łaski pudla kilka grajcarków więcej zarobił. — Długo o tem nikt nie wiedział, że ten pies taki figlarz i taki dobry dla biednego sieroty. Dopiero po jakimś czasie wydało się i okrutnie to wszystkich zadziwiło. Jeden bardzo bogaty pan zasłyszawszy o tem, zawołał chłopca do siebie i rzeknie: — Odprzedaj mi twego psa.

— Oj nie, panie! odpowie sierota — bo-by mi było bardzo żal.

Na to znowu ów bogacz: — Patrzaj, dam ci tyle pieniędzy za niego! — I wysypał na stół całą garść złota. Złakomiło się chłopczysko i sprzedał psa. A bogacz zabrał go zaraz ze sobą i wyjechał gdzieś daleko do swojej wsi. — Wnet się chłopcu żal zrobiło za psem i chętnie byłby oddał wszystko złoto, co wziął — ale już było po niewczasie. Aż tu patrzaj! Jednego dnia już późnym wieczorem siedzi sobie sierotka w domu, a był bardzo smutny. Naraz słyszy, że jakiś pies prosi do izby. Piorunem skoczył i otworzył drzwi. Kudłaty pudel wpadł do izby, i począł mu się u nóg łasić i rozmaite skoki wyprawiać, niby z wielkiej radości. Chłopiec nie dowierza własnym oczom; zdaje mu się, że to jego pies — i znowu nie wierzy, bo gdzieżby z tak daleka wrócił i sam sobie drogę odszukał!... A w rzeczy samej tak było. Biedne psisko nie mogło w żaden sposób wyżyć bez sierotki i uciekło od bogacza, chociaż mu tam pewnie niczego nie żałowali.

A i cóż, nie piękna to historja?.. ale już najpiękniejsza ta, co wam teraz opowiem.

Niespełna sto lat temu, mieliśmy Polacy wojnę z Moskalami. Na tej wojnie był także jeden szlachcic z Mazurów, niejaki Stanisław Białkowski. A miał-ci on psa przy sobie, dziwne stworzenie. Pies ten na krok go nie odstępował, a taki był do swego pana przywiązany, że to powiadam wam, jakby nie zwierze, ale jaki najszczerszy przyjaciel. To też szlachcic byłby go nie oddał za żadne pieniądze nikomu. Nieraz już trafiał się

kupiec na niego, i obiecywano panu Białkowskiemu wielkie sumy — ale on ani dał sobie rzec o tem: — Choćbyście mi, powiadał, wieś podarowali, to-bym wam mojego kochanego Dunaja — bo tak się ten pies nazywał — nie oddał.

Razu jednego dostał on był rozkaz od starszych, aby pojechał na zwiady, czy się gdzie niedaleko Moskale nie chowają. Zabrał tedy kilkadziesiąt żołnierza ze sobą i ruszył w pole. Nad samym już wieczorem przybył do jednej karczmy, stojącej samotnie w pośrodku lasu. Jedną część żołnierzy wysłał dalej w las, iżby przepatrzyli, czy gdzie nieprzyjaciela nie widno; a sam w karczmie z drugimi pozostał na nocleg. Żołnierze rozsiodłali konie i rzucili się zaraz do spania, bo byli bardzo znużeni. Pan Białkowski poszedł na strych, gdzie znalazł trochę słomy, rzucił się na nią, jak był ubrany i także zasnął. Nic tedy łatwiejszego, jak było na nich napaść i wszystkich co do nogi wygubić, bo ani się pozamykali, ani żadnej straży nie postawili, nic zgoła — tacy byli nieroztropni. Aliści Pan Jezus tą razą dał im innego wartownika, który za nich wszystkich czuwał — był-to pies Dunaj pana Białkowskiego. Poczciwe psisko ani rusz zasnąć nie mogło, tak-ci go coś niepokoiło. Była już północ, księżyc przyświecał jasno a żołnierze w karczmie przy koniach i pan Białkowski na strychu, spali sobie w najlepsze. Jeden tylko Dunaj oka nie zmrużył, a raz wraz czegoś nadsłuchiwał i biegał od kąta do kąta niespokojny. Jednym razem zawył przeraźliwie i jakby wściekły, rzucił się na swojego pana, porwał go za suknie i tak nim targnął, aż się obudził. Jeszcze sam nie wie szlachcic, co to ma znaczyć — a w tem pies przynosi mu strzelbę w pysku i gwałtem poha do ręki, jakoby rzekł: na masz, wstawaj pilno i broń się. Dopieroż zerwał się na równe nogi i wyjrzał dymnikiem ze strychu na pole, co się dzieje. A tu od lasu ciągną Moskale na koniach i była ich wielka kupa. Widać, jakiś podły zdrajca zdał naszych przed nimi, iż się tu znajdują i leżą nieprzygotowani, bo jechali wprost na karczmę. Białkowski duchem pobudził swoich, kazał bramę zamknąć i u każdego okna postawił po kilku żołnierzy z nabitą strzelbą i z pistoletami. Tymczasem Moskale już blisko będąc, pozłazili z koni i dopiero z wielkim

krzykiem rzucili się na karczmę. Myślą, że ją duchem zdobędą — aż tu nasi jak nie dadzą raz i drugi raz ognia, tak zaraz ich coś ze dwadzieścia położyli trupem. Tedy Moskaliska w nogi — co rychlej dopadli koni i zmykaj do lasu! A nasi wtedy: hurra! wysypali się z karczmy a także na koniach, i dalej w pogoń za nimi. Dunaj, dopóki się bili przed karczmą, siedział sobie cicho pod ławą: ale jak tylko ujrzał pana na koniu, wyskoczył za nim. — Oj, bieda Moskalom! tu jedni walą się na nich od karczmy, a tu znowu z lasu wypadają drudzy, co to ich był Białkowski przed nocą wysłał na zwiady, i także hurra na Moskali. Krótko się też bronili; kto nie zdołał uciec, poddał się w niewolę. Nasi, kontenci, wrócili z niewolnikiem do karczmy.

— Ależ gdzież się pies podział? pyta pan Białkowski i woła: Dunaj! Dunaj! ale daremnie — w karczmie go nie było. Wybiegł tedy na pole, szuka wszędzie i znalazł-ci go nareszcie roztratowanego od kopyt końskich. Jeszczeć trochę żył, więc go pan porwał na ręce i przyniósł do karczmy. Biedny psisko! choć takie słabe a jeszcze się rwało do Moskali, co ich nasi wzięli w niewolę. Ale już się nie mógł utrzymać na nogach; osłabiony zwalił się na ziemię, jeszcze raz podniósł głowę, zaiskrzyły mu się oczy, okrutnie zawył i już-ci po nim. Przypada Białkowski, podnosi go.... oho, już przepadło! — I rozbeczał się panisko, jak dziecko, żeć postradał tak wiernego przyjaciela, i już do samej śmierci nie mógł odżałować tej straty.

Byłoż-bo i za czem żałować? nie prawda matki? A więc pomiarkujcie sobie, czy się to godzi psa nazywać podłem stworzeniem?!....

RÓŻNOŚCI.

Śnieg w lecie. Kto to widział, żeby śnieg w lecie padał? to przecie niesłychana rzecz!... A widzisz, że tego lata padał i jeszcze jaki? Na Bukowinie, jak słychać, tyle go się nasypało, że przez całe dwie doby leżał, a ludzie to aże dygotali od zimna. A znowu w *Zakopanem*, co

jest wieś w Tatrach, takie wam niedawno co śnieżyska spadły, że bydło i owce musieli popędzać do wsi i trzymać po stajniach, jakby wśród zimy. Było tego śniegu na łokieć, i dopiero we trzy dni spłukał go deszcz. Oj latko, nie dobre latko!...

Pszczoły zajadłe. Patrzaj, jakie to małe i niby dobre stworzenie ta pszczoła, a jak się rozje, to niech ręka Boska broni. A właśnie tego roku coś im niedopisało, bo są bardzo złe i napastne. Może ze sześć tygodni temu zdarzył-ci się taki wypadek we *Wzdowie* w obwodzie sanockim: — Nieopodal lasu na pastwisku paslo się pięcioro koni chłopskich. Aż tu w samo południe wypada z lasu jeden rój pszczół i takci biedne koniska pokąsał, że troje z nich do wieczora nie wytrzymało. Co się z resztą stało, nie wiedzieć — ale mała była nadzieja, bo skóra odpadała z nich kawałkami. — To jeden taki wypadek; ale nie koniec na nim! Bo oto pode Lwowem, gdzieś niedaleko *Kulikowa* także się zerwały pszczoły na konie, co wiozły gnój na pole. Chłopaczysko, który niemi powoził, coprędzej zeskoczył z wozu, aby je ratować. I wyprzągł jednego, ale już drugiego nie zdołał, bo sam musiał od śmierci uciekać. Konisko, co został przy dyszlu, od razu był zakąsany. I w *Nowemsiele*, także niedaleko Kulikowa, opadły pszczoły dwie klacze folwarczne na błoniu i jedno łoszę. Zbiegli się ludzie ze wsi i od folwarku na ratunek, lecz próżna ich była fatyga; konie zakąsane zostały na miejscu. Lokaj dworski, chociaż z sitkiem na głowie, a mało-co nie przepłacił śmiercią. Dostało się przytem i psu, który tam był; pokąsany od pszczół, mocno ujadał i męczył się przez cały dzień — ale nareszcie wylizał się i zdrów jest.

Rady dla gospodarzy.

Miej dozór, żebyć twój robotnik nie próżnował —
Miej też litość, żeby nad siłę nie pracował.

Dziś napraw, co koniecznie potrzeba naprawić —
Jutro możeć ta praca w dwójnasób zabawić.

Nie umiesz czego zrobić, lepiej szukać rady,
Niż ze szkodą popełniać w twej robocie wady.

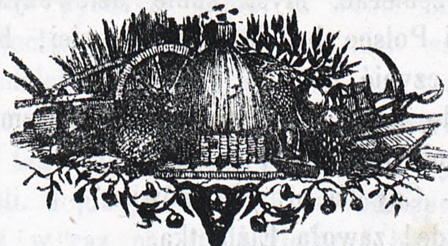
Porządne ochędóstwo i w domu i wszędzie,
Dobrego gospodarza pierwszym znakiem będzie.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. Nr. 5.

11. Sierpnia 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KAZIMIERZ WIELKI

król chłopków.

III. Jaki był gościnny.

Miał nasz Kazimierz trzy żony: jednej było na imię Aldona, to ta litwinka, z którą — jak wiecie — jeszcze za życia nieboszczyka ojca się pobrał. Po jej śmierci ożenił się powtórnie z niejaką Adelajdą, księżniczką. Ale niezadługo i po niej owdowiał, i pojął trzeci raz Jadwigę, księżniczkę ze Szląska. — Żadna z tych żon nie zostawiła mu syna, miał jeno kilka córek z niemi, które powydawał za rozmaitych książąt. I otóż smutno mu było samemu na starość!

Aż tu umarła mu jedna córka i zostawiła wnuczkę Elżbietkę po sobie. Skoro się Kazimierz o tem dowiedział, zaraz-ci kazał ją sobie przysłać do Krakowa, iżby się przy nim chowała. — Śliczne to było dziecko! dziadunio przepadał za swoją Elżbietką, tak bardzo ją kochał. A jak-ci już wyrosła w pannę piękną i krzepką, to swaty szły za swatami, że się po nich drzwi nie zamykały, — takie miała szczęście do ludzi.

Ale jakoś długo żaden się jej nie nadawał na męża — dopiero jak się począł sam cesarz niemiecki dobijać o jej rękę, to już trudno było przebierać. Myśli sobie dziewczyna: jak zostanę cesarzową, to i Polsce będzie z tem lepiej, bo jej nie dam żadnej krzywdy czynić.

I rzeknie do króla: — Dziaduniu! kiedym się spodobała cesarzowi, to mnie już wydaj za niego.

A król: — Czy na prawdę mówisz?

Ale naprawdę! zawoła Elżbietka.

— Ej! rzeknie król, bo nie dowierzał — chyba go nie znasz moje dziecko! cesarz już trzy żony pochował.

— Ale mnie nie pochowa, prędzej-by ja jego — odpowie królewska wnuczka i całując dziadka po rękach: — Pozwól, dziaduniu, pozwól! prosiła go — już ja sobie tak ułożyła, żeby on był moim mężem.

— Ha! powie król i pocałował ją w czoło — cóż mam z tobą robić! szkoda mi ciebie, bo szkoda, ale kiedyć już tak gwałtem chcesz, to go i bierz w imię Boże.

I powrócili swatowie z dobrą wieścią do cesarza, a Kazimierz jął gości spraszać na wesele.

I przywołał swojego szafarza, co się nazywał Mikołaj Wierzynek. Był-ci ten Mikołaj setny bogacz a w wielkich łaskach u Kazimierza; wszystkie pieniądze królewskie miał pod swoim kluczem, ale broń Boże, żeby choć na włos ukrzywdził pana swego — taki był rzetelny.

Skoro się teraz na zamku stawił, zagada król do niego:

— Mój ty Wierzynek, spodziewam się dużo gości na wesele mojej wnuczki — otóż przypilnuj zawczasu, żeby na niczem nie brakło i przyjęcie było, jak się należy.

— Dobrze, najjaśniejszy panie! odpowie Wierzynek — już ja tak zrobię, że się nie powstydzimy.

Z początkiem wiosny r. p. 1363 — więc już temu *czterysta dziewięćdziesiąt i siedem* lat — poczęli się goście z całego świata zjeżdżać do Krakowa. A goście to nie lada jacy, bo sami królowie i wielcy panowie. Jeszcze tylko brakowało samego pana młodego, to jest: cesarza niemieckiego. Aż tu jednego dnia dają znać, że i on jedzie i już jest niedaleko Krakowa.

Kopnął się tedy król nasz za miasto, a za nim i inni królowie i panowie wyjechali naprzeciw pana młodego. Wyjechała też i panna młoda na pysznym koniu, a wedle niej dużo prześlicznych panien jechało, ale ona była z nich wszystkich najpiękniejsza. — Niedaleko Krakowa spotkali się z cesarzem i mile się powitali. Patrząc na swoją narzeczoną, cesarz mało ze skóry nie wyskoczył, tak mu się stokroć jeszcze wydała ładniejszą, jak o niej mówili. I już jej na krok nie odstępował do samego domu, jeno raz w raz na nią pozierał i bawił ją swoją rozmową.

Kiedy wjeżdżali do miasta, to już prawie noc była — ale nikomu wtedy ani się śniło o spaniu. Cały Kraków był na nogach; co się na ulicy pomieścić nie mogło, wyglądało z okien, z dachów i gdzie się komu udało przyczepić; we wszystkie dzwony dzwoniono, a lud krzyczał: Niech żyje nasz król Kazimierz i jego prześwietni goście!

W takich honorach dostali się nareszcie na zamek krakowski, gdzie już pan Wierzynek przyrządził był dla cesarza i dla królów przepyszne pokoje. Zaś dla mnóstwa innych gości wyznaczono uczciwe gospody w mieście, gdzie każdy miał pomieszczenie wygodne, co się zowie, a jeść i pić, ile sam chciał.

Nazajutrz odbył się ślub państwa młodych w kościele na zamku — i dopiero po ślubie zaczęło się prawdziwe wesele. — Muzyka gra dzień i noc; toż królowie na zamku sobie, a znowu inni sobie w mieście hulają i bawią się, aż uciecha bierze. A o wszystkich pan Wierzynek, ów wierny szafarz królewski, pamięta i w imieniu króla swego gościnnie częstuje. Naschodziło się też z pobliskich wsi ludzi co nie miara na to królewskie wesele. Więc i o nich nie zapomniał Kazimierz i przykazał, aby na rynku krakowskim noc i dzień stały kadzie z miodem i piwem, a także z owsem dla koni, iżby każdy mógł sobie brać, co mu się żywnie spodoba.

Trwało to weselisko coś z dwadzieścia dni. A kiedy się mieli goście rozjeżdżać, przychodzi pan Mikołaj Wierzynek do króla, pokłoni mu się i rzeknie:

— Najjaśniejszy panie! śmiem prosić o jedną rzecz.

— Cóż takiego? zapyta król.

*

— Pozwól mi, najjaśniejszy panie! abym jeszcze na ostatek zaprosił tych gości do siebie.

Na to Kazimierz: — I owszem! prawi — powiem sam o tem cesarzowi i innym królom, i zaraz przyjdziemy do ciebie.

Mieszkał ten pan Wierzynek opodal od zamku krakowskiego. Domostwo jego obszerne i wygodne, jużcić jak u takiego bogacza — toż i było gdzie pomieścić tyla gości, co mu ich sam król przyprowadził. Pan Mikołaj stał we drzwiach i wszystkim się pięknie kłaniał. A gdy już mieli siadać do stołu i ucztować, gospodarz jeszcze raz się wszystkim pokłonił, a potem zwrócił się do króla swego i rzekł:

— Tobie, Najjaśniejszy panie! winien jestem wszystko, co mam. Tyś mój dobrodziej największy; między najpierwszymi panami posadziłeś mię w twojem królewstwie — tobie też pierwsze miejsce należy się u mego stołu.

I posadził Kazimierza najwyżej — dopiero wedle niego dał miejsce cesarzowi i dalej innym królom i książętom.

Zaczęło się ucztowanie prawdziwie królewskie. Wszystkiego było po uszy: jadła, napoju i rozmaitych przysmaków, a to wszystko podawano gościom na złotych i na śrebrnych miskach — toż królowie aże w głowę zachodzili, patrząc na takie bogactwa. A tu jeszcze nie koniec na tem! po skończonej uczcie kiwnął gospodarz na służbę i oto zaczęli znosić rozmaite podarunki dla gości. A nie były to ladajakie podarunki! sam Kazimierz dostał coś takiego drogiego, co — jak powiadają — miało bardzo wiele tysięcy kosztować. Toż samo i cesarz i drudzy królowie, i zgoła już wszyscy panowie, bawiący tam, podostawali drogie podarunki, i jeszcze im pan Wierzynek dziękował, że raczyli pod jego dachem ucztować.

Już tedy czas był wielki, aby się goście rozjechali, bo już prawie cały miesiąc na tem weselisku bawili. Jęli więc zbierać się w drogę i mówią do Kazimierza:

— Bywaj zdrów!

A on im na to: — Poczekajcie! przecież was tak nie puszczę bez niczego. Kiedyć się tak hojnie popisał mój Wierzynek, co jest jeno moim szafarzem, toć i mnie królowi nie

wypada być gorszym od niego. Chodźcież do mojego skarbca, niech wam cokolwiek podaruję na pamiątkę.

To mówiąc, ujął cesarza za rękę, a innych królów i panów poprosił za sobą. I zaprowadził ich do jednego sklepu w zamku, co się nazywał królewskim skarbcem. A skoro tam weszli, ukazał im dużo beczek złota i srebra, i innych drogich rzeczy.

— Oto patrzcie! mówi — jako nam tu w Polsce Pan Bóg błogosławi, że takie bogactwa posiadamy a bez niczyjej krzywdy. Bierz-że sobie cesarzu, do woli! i wy królowie, jako też i wy panowie patrzcie, coby się wam najbardziej spodobało w moim skarbcu — niechaj wam to służy na pamiątkę, iżeście byli u króla Kazimierza w Krakowie na gościnie.

Tak dopiero obdarowawszy hojnie każdego, pozwolił im wracać do domu.

Wyruszył cesarz z żoną swoją Elżbietką z Krakowa — zapłakała Elżbietka a cesarz ją cieszył, ale długo nie mógł ją pocieszyć, co tak żałowała za Polską i za dziaduniem.

Wyruszyli i wszyscy inni z Krakowa, i tak sobie przymawiali po drodze: — Toż-to mi król gościnny, ten Kazimierz! a co za bogactwa w tej Polsce, hej! hej!.....

STARA ALE DOBRA PIOSNKA.

Głód, powietrze, ogień, woda
I wszelaka zła przygoda
Będą tomu — ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Zwierz drapieżny do obory,
Między stada czarne mory
Wejdą temu — ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Chorobą się rozniemoże,
I boleści twarde łoże
Zwiąże tego — ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

A gdy skona, garści ziemi,
Gdzieby spoczął kośćmi swemi,
Nie dostanie — ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Marnie zginie! wiatr rozmiecie
Prochy jego po wszem świecie.
Marnie zginie! — ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Cudowne drogi Opatrzności.

Według legendy o kościele Panny Maryi, na Smoleńsku w Krakowie,
opowiedział Walenty ze Smolnicy.

Już-ci nie na dziesiątki, ale pono na setki liczyć lat temu, kiedy w całym Krakowie znano żyda Szmula z Kazimierza. A był-ci to z pozoru ot zwyczajnie żydzisko, jak wszyscy inni, z brodą po pas, z pejsami po brodę, w berłydku, lisiej czapce i długim kaftanie, alić co do majątku to sztuka nie lada, nikt pewnie nie dorównał mu na Kazimierzu, a co dziwna, pod względem rzetelności i uczciwego obchodzenia, to pono nie powstydził się i przed żadnym z chrześcian.

I snać ztąd pochodziło, że Bóg mu błogosławił we wszystkich handlach i sprawach, a trzeba wiedzieć, że handlów i spraw tych różnorakich miał Szmul nie mało, bo już-to handlował wszystkiem, co mu się tylko nasunęło pod rękę. Skupował i zboże i skóry i wódki i kilka aręd trzymał po wsiach i miał młyny swoje w pobliżu Krakowa.

A jak szczęśliwym w handlu, tak szczęśliwym był też i w życiu domowem. Miał żonę dobrą i gospodarną, i kilkoro dzieci dorastało mu w lata. I pewnego razu, kiedy patrzył się na swe dzieci, poczciwy Szmulisko musnął się po brodzie i rzekł sam do siebie:

— Hm, trzeba-by coś pomyśleć około tych bachorów. Trzymam-ci im belfera, aby się uczyli po żydowsku, alić kiedy mieszkają w polskim kraju i jedzą chleb z polskiej ziemi, toć

wypada, aby umieli dobrze po polsku i nauczyli się kochać ten kraj wspaniałomyślny i tę ziemię dobroczynną, która ich do siebie przyjęła i żywi tak hojnie!

Więc też nie namyślając się długo, zaraz nazajutrz rzucił się po całym Krakowie, aby znaleźć jakiego nauczyciela, coby bachorów jego wyuczył po polsku.

Alić nie łatwo-to było znaleźć kogoś w owym czasie, coby chciał stanąć za nauczyciela u żyda. Biedny Szmulisko już stracił nadzieję i myślał, że mu się nie uda tak chwalebny zamiar, kiedy w tem, przechodząc przez ulicę, spotkał jakiegoś studencika w podartych butach, obszarpanych sukniach, z książką pod pachą a głębokim smutkiem na twarzy.

Szmul pogłaskał się po brodzie, poprawił lisiej czapki na głowie i odezwał się do biednego studenta:

— Waspan, waspan, słuchaj-no waspan! czego to waspan tak, z przeproszeniem, ma jakiś frasunek na głowie?

Student spojrzał na żyda i uśmiechnął się gorzko.

— At, rzekł smutnie — co wam się pytać.

— No, widzisz waspan — przemówił Szmul, podsuwając się bliżej — ja sobie jestem żyd, ale ja taki mam ludzkie serce, może-by ja waspana mógł poratować.

Student wypatrzył się zdziwiony na żyda, ale widząc, że twarz jego wydaje się jakaś ludzka i poczciwa, więc zrzuciwszy pychę z serca, opowiedział mu krótko, że jest synem biednego chłopa, że chodzi do szkół w Krakowie i uczy się pilnie, ale cóż, kiedy niema żyć z czego i ubrać się w co, i nie może sobie kupić wszystkich książek, jakich potrzebuje.

A Szmul na to: — Słuchaj-no waspan! ja waspanu dam wszystko, co waspan potrzebuje, i jeszcze waspan będzie mógł posłać s w e m u r o d z i c ó w, ale niech waspan nauczy po polsku moich bachorów, bo ja chcę, aby oni kochali kraj i ziemię, na której się urodzili.

Jakoś się zawahał na razie biedny student; ale jak mu zaczął Szmul dogadywać, a prosić a kłaniać się, ta i przystał na koniec. I wkrótce się przekonał, że nie miał czego żałować. Szmul mu płacił dobrze i regularnie, i poważał go jak swego dobrodzieja, a bachory uczyły się po polsku, że aż miło. Żal

tylko było studentowi, że Szmul i jego dzieci są żydami, i nie wierzą w naszego Zbawiciela, który krwią swoją wykupił ludzi z grzechów. Więc też raz nuż namawiać Szmula, by się dał wychrzcić i uwierzył w Jezusa.

A Szmul się uśmiechnął, musnął po brodzie i pokiwał głową.

— Daj-no waspan temu pokój — rzekł — jakby waspan był biskupem w Krakowie, ny, to co innego, jabym waspana posłuchał, ale teraz nie mówmy o tem.

Poczciwy student nie próbował już drugi raz namawiać na próżno, a kiedy wyuczył dobrze po polsku dzieci Szmula, rozstał się z nim po przyjacielsku i chodził dalej do szkół w Krakowie, a Szmul trudnił się swoim handlem i po kilku latach zapomniał zupełnie o biednym studencie.

I rok po roku minęło lat ze trzydzieści. Szmul się postarzał na piękne, a że to — jak mówią — ze szczęściem nie może żaden człowiek brać ślubu, więc też i jemu na starość na gorsze zakroiło się czasy. Coraz wiedło mu się jakoś gorzej, tracił na handlu, tracił na arędzie, kilka razy popaliły mu się młyny, i ktoby powiedział, ten dawny bogacz Szmul zeszedł po latach trzydziestu z kretesem na biedę i zaledwie mu tyle pozostało z dawnego majątku, że mógł arędować małą karczmę w dobrach biskupich.

Ale i tu odwróciło się od niego szczęście całkowicie, tracił i tracił coraz więcej, ba, przyszło nawet do tego, że już nie miał czem zapłacić raty i trza mu było w nędzy schodzić z arędy.

W ciężkim smutku nie pozostało mu nic innego, jak udać się do samego biskupa, co właśnie świeżo był nastał, i prosić go o miłosierdzie dla siebie i swych dzieci. Na jego szczęście nowy biskup był dla wszystkich bardzo łaskawy i przystępny, nie trudno mu więc było doprosić się posłuchania.

Ale kiedy stanął przed biskupem, tak się biedny żydzisko pomieszał, że nie śmiał ani oczu podnieść do góry. Kłaniał się tylko do samej ziemi, i niezrozumiale prawie bełkotał swoją prośbę.

A biskup człek jeszcze w niepodeszłych latach, poważny i wspaniały w całej postawie, słucha uważnie słów proszącego, i coraz baczniej czegoś przypatruje się jego twarzy. Naraz uśmiechnął się radośnie i przystępując bliżej do lamentującego żyda, przemówił łaskawie:

— Przypatrz-no mi się dobrze, mój Szmulu!...

Szmul zdziwiony, że jaśnie wielmożny ksiądz biskup zna go po imieniu, podniósł oczy i obiema rękami chwycił się za pejsy:

— *Ach waj!* — zawołał, trzęsąc się cały — to to wasan! *uf majne munes*, wasan! chcę powiedziewać jaśnie wielmożny wasan — poprawiał się przestraszony — *ach waj*, *hast di gewidziołt*, to jaśnie wielemożny wasan jest jaśnie wielemożnym panem ksiądz biskup!

A biskup uśmiecha się łaskawie i rękę położył mu na ramieniu.

— Przypominasz sobie Szmulu, coś powiedział do mnie przed trzydziestu laty?

— Ny, czemu nie; ja powiedziałem, jak wasp... chcę mówić jaśnie wielmożny pan ksiądz biskup będzie jaśnie wielmożnym panem ksiądz biskup, ny, to ja się będę ochrzcić.

— I cóż teraz mówisz na to? — zapytał biskup dalej.

— Ny, co ja mogę mówić na to, proszę wasp... jaśnie wielmożnego pana ksiądz biskup — odpowiedział żyd upadając na kolana — kiedy to już Pan Bóg tak zrobił, ny, to już ja nie żyd, niech mnie i całą moją famulią wasp.., chcę mówić jaśnie wielmożny pan ksiądz biskup będzie chrzcić — dokończył bijąc się w piersi.

I cóż długo mówić, nasz poczciwy Szmul nawrócił się na naszą świętą wiarę, i wraz z żoną i dorosłym synem przyjął chrzest przenajświętszy.

Szlachetny biskup puścił mu zaraz jedną wieś w dzierzawę, a w jednej chwili opuściło go dotychczasowe nieszczęście i na nowo zaczęło mu się wieść jak najlepiej. Za parę lat niedawny biedny arędarz Szmul uciułał sobie uczciwie i godziwie tyle grosiwa, że na pamiątkę swego cudownego nawrócenia wybudował w Krakowie własnym kosztem kościół murowany.

Kościół ten zwał się z początku kościołem szmuleńskim,

a i od niego nazwano tę część miasta, gdzie stał, Szmuleńskiem; dziś zaś po tylu latach przeinaczyła się ta nazwa Szmuleński w Smoleński i kościół nie nazywa się już kościołem szmuleńskim, ale kościołem Panny Maryi na Smoleńsku!

Ciekawy Wojtuś.

Żelazo.

Rymarz Walenty trudnił się wojaczką za swoich lat młodych. Był on wtedy we warsztacie jako czeladnik, a że się naówczas wszystko do Kościuszki garnęło, tak-ci i on porzucił rymarstwo a dał drapaka na wojenkę. Smutne-to były czasy dla nas, choć się na lepiej zanosiło; więc i Walenty nieskory był opowiadać o tych swoich młodych latach, chyba takiemu, co mu już bardzo do serca przypadł; a wtedy stawały mu świeczki w oczach i łza jedna za drugą po twarzy się sunęła.

Łatwo było więc zgadnąć, że Walenty za młodu wojowali, bo nad jego łóżkiem wisiała stara szabla, na mało już zdatna, ale jako pamiątka tych krwawych czasów. Zwała się ona *brzytewka*, a należało to do Wojtusia czyścić ją zawsze wiedeńskiem wapnem, żeby się błyszczała. Owóż Wojtuś zabaczył raz jakoś o tej swojej powinności i szabla wisiała sobie może z miesiąc nieruszana. Pouważał to Walenty i ozwał się do Wojtusia:

— Słuchaj-no chłopcze! ponoś ty mojej *brzytewki* dawno już nie oglądał.

— O, prawda! zawołał Wojtuś, jako że był szczery chłopak i kłamać nie umiał. Skoczył więc duchem i zdjął szablę z nad łóżka, żeby się wziąść do niej. Wybiegnął z nią na podwórze, przyrządził sobie wszystko i wziął się wyciągnąć ją z pochwy, a tu nie idzie. Co się nie namordował, co się nie nakręcił — ani rusz. Zawstydził się chłopak, że szabli wyciągnąć nie umie, aleć nie było rady, musiał pójść ojca poprosić. Czerwony więc jak burak poskoczył do izby z *brzytewką*.

— Tać nie mogę *brzytewki* z pochwy wyciągnąć — odrzekł Wojtuś, prawie że płaczący od wstydu.

— No, to nie ma dziwoty, skoro zardzewiała — odezwał się Walenty i wstał od roboty. — Pokaż ją tu.

Wziął więc pan rymarz *brzytewkę* i musiał się tęgo oprzeć, nim ją z pochwy wydobył. A tak nagle się wysunęła, że o mało co okulary z nosa mu nie spadły. Popatrzył się Wojtuś, a tu szabla prawie cała czerwona.

— Mój tatusiu! a to co takiego, że taka czerwona? zapytał chłopak ciekawy.

— Hej, skórka na bóty! odpowiedział Walenty i pogroził Wojtusiowi — dobrze z miesiąc nie musiałeś ją ruszać, a możeś jeszcze i nieotartą do pochwy wsadził, że ją tak rdza chwyciła.

Zaturbował się chłopiec, ale już był ciekawy czegoś, bo mu się oczy zaczęły świecić. Pocałował więc ojca w rękę, przeprosił, ale się zaraz zapytał:

— Mój tatusiu, a czemu też to żelazo raz takie, że się aż świeci, a to znowu takie czerwone. Co to jest to żelazo?

— Jak mi dobrze *brzytewkę* oczyścisz, to ci powiem wieczorem — rzekł Walenty i siadł do roboty. Chłopiec zaś porwał szablę i wybiegł na podwórze.

Wieczorem po robocie usiadł rymarz ze synem, jako że chciał dotrzymać słowa chłopakowi, bo *brzytewka* jak lustro świecąca wisiała nad łóżkiem.

— Już siedzę, tatusiu! ozwał się pierwszy Wojtuś, ciekawy na historję o żelazie, bo widział, że ojciec nic nie mówi, tylko się zamyślił głęboko.

— Aha, już siedzisz; zagadał Walenty i zaczął mu opowiadać:

Owóż, mój chłopcze! żelazo wykopuje się z ziemi. Nie znajdziesz tam ani szabli, ani kozika gotowego, to dopiero ludzie sobie robią; nawet samo żelazo w ziemi nie jest czarne ani łyszczące tak, jako go codzień widzisz. Żelazo w ziemi jest takie, jak ta rdza, coś z niej wyczyścił dzisiaj *brzytewkę*. Więc jest czerwone, a to, zwykle jak w ziemi, pomieszane z gliną, z wapnem i Pan Bóg tam wie, z czem jeszcze. Trafia się

także i czarne w ziemi, ale rzadko. A to widzisz, jak naprzykład drzewo, gdy go w ziemię zakopiesz, to zgnije i zrobi się z tego próchno; tak i żelazo odmienia się w ziemi, a do tego we wilgotnej. Ta jest tylko różnica, że z próchna drzewa nie zrobisz, a takie zgniłe żelazo możesz znowu w dobre zamienić.

— A cóż trzeba z niem robić? zapytał ciekawy Wojtuś.

— Wszystko to żelazo, co go widzisz, jest z takiego ziemnego, czerwonego, wyrabiane, co się zowie *ruda żelazna*. Dzieje się to za pomocą ognia. Stawiają do tego ludzie naumyślnie ogromne piece, na dziesięć a czasem i na dwadzieścia łokci wysokie, a taki piec jest w środku szeroki, a u dołu i u góry węższy. Więc kiedy nakopią *rudy* i przebierą, co lepsze, tak zapalają naprzód w onym piecu, żeby się rozgrzał, potem sypią węgli, czy to z drzewa palonych, czy kamiennych, do pełna, a z góry dosypują rudy żelaznej, i znowu węgli, znowu rudy, jak opadnie. Muszą być do tego u dołu stosowne otwory, żeby był przeciąg, bo trzeba, żeby się to prędko paliło. Pomyśl więc sobie, co to musi być za gorąco, kiedy owa ruda żelazna jako wosk się topi, a żelazo już czarne na dół spływa. Dodają czasem do rudy żelaznej krzemieni albo piasku, a wiesz już o tem, że jak się piasek z popiołem topi, to się szkło robi; więc na to dodają do tego, żeby ono szkło roztopione po żelazie pływało. Trzeba ci bowiem wiedzieć że żelazo może się na powietrzu, a przytem w takiem gorącu znowu w czerwoną rudę zamienić. U spodu takiego pieca jest jedna dziura, którą może stopione żelazo odpływać. Więc tę dziurę zalepia robotnik gliną, zaczem zacznie palić. Zaś potem, kiedy już widzi, że musi być dużo stopionego żelaza, przebija glinianą skorupę żelaznym drągiem i spuszcza żelazo do osobnej formy, kędy ono stygnie. Fabryki te, gdzie wytapiają żelazo, zowią się *huty żelazne*, a budują się w takich miejscach, gdzie jest blisko ruda.

— A gdzie też jest ta ruda? zagadał znowu Wojtuś.

— Ta ruda, mój chłopcze! znajduje się po górach, jako w naszych Karpatach po niżej Wadowic. Trafia się także po moczarach, a wtedy w tych miejscach widzisz dno u wody czerwone albo żółte. W każdej glinie jest trochę żelaza, to też

jak wypalą cegły, to są one czerwone dla tego, że to żelazo w nich w taką czerwoną rdzę się zamienia.

Żelazo wytopione w hucie nie jest przydatne na narzędzie; leją z niego koła i inne przyrządy do młocarni i innych maszyn, ale noża albo szabli nie zrobi z takiego *lanego żelaza*. Więc są znowu inne fabryki, a te zowią *hamernie*, kędy wyrabiają *kute żelazo*. Do tego topią jeszcze raz owo surowe żelazo, a do topienia dodają znowu wapna, gliny, także i soli. Chodzi tu o to, że w lanem żelazie jest jeszcze dużo węgla, zkąd też jest ono bardzo kruche. Po drugiem topieniu, już w inaczej urządzonych piecach, pali się do reszty węgiel, a żelazo ścieka na dół czyste. Kiedy jest jeszcze miękkie, biorą robotnicy po sztuce i kładą pod ogromne młoty żelazne i walce, kędy się ono w sztaby wyciąga. Z tych więc sztab żelaznych robią potem kowale, ślusarze, nożowniki i inni majstrowie to, co im potrzeba. Widziałeś przecie nieraz, jak kowal podkowy robi. Rozpala on sobie wtedy sztabę na jednym końcu i z gorącej wykuwa młotem na kowadle, co mu się podoba. Jeżeli zaś chce, żeby jakie narzędzie bardzo twarde było, to go rozgrzewa mocno i kładzie zaś prędko do wody. Zowie się to: *hartować żelazo*.

Na szable, kosy, noże, brzytwy i podobne narzędzia najlepszą jest *stal*. Ta stal jest-to czyste żelazo, w którem zostało jeszcze trochę węgla. Toż taka stal jest krucha i nic-byś z niej nie potrafił wykuć; ale za to jest twarda i da się wyostrzyć tak, że włos w powietrzu przetnie.

Teraz powiem ci jeszcze, gdzie są u nas takie huty i hamernie. Więc w *Suchej* poniżej Wadowic, i w *Zakopanem* już w samych Tatrach, i wedle *Buska* nad rzeką *Bugiem* na Rusi i w innych miejscach. W górach za *Sandomierzem* dużo jest jeszcze takich fabryk.

Przestał na tem pan Walenty, a Wojtuś, jako że zawsze ciekawy, już otworzył gębę i chciał się o coś zapytać, kiedy właśnie matka do izby weszła, wniesła coś na talerzach i zawołała do wieczerzy. Dymiło się z tych talerzów i coś bardzo przyjemnie zaleciało Wojtusiowi do nosa, więc już dał spokój i zabrali się z ojcem do jedzenia.

Grześ z Mogiły.

Plotki.

— O dla Boga! kumosieńko — zawołała Grzesina do Kędziorki — co wam też powiem: a to Stach się będzie żenił z Marynką. Już po zmówinach, czternaście kwart wódki na nich wypili, a na zapowiedź to Klemek zaniósł dobrodziejowi. Wesele cały tydzień będzie trwało, a Maryśki matka dwadzieścia gęsi kupiła na jarmarku. Macież oto, wasza Jewka zostanie na koszu.

— Moja piękna, odpowiedziała Kędziorka — już eście znowu do mnie z bajkami przyszli. Moja Jewka to jeszcze smarkata, a Stachowi to się ani śniło o żenieniu, a jeszcze z mojem dzieckiem, bo nawet niezadługo pono musi iść do żołnierzy. Nie gniewajcie się, ale wam powiadam że to wszystko bajki — pewnie wam się śniło.

— Oj, nie bajki to, kumosieńko, nie bajki! odezwała się Grzesina — kiedy wam powiadam, że mi się nie śniło. Przeciem słyszała, jak Szmurka opowiadała Różalce, gdy szły z targu. Szłam za niemi z wolna, nie spostrzegły mnie i wysłuchałam wszystko.

— I cóż ztąd? rzekła z niecierpliwiona Kędziorka — niech się i żenią, ja się nie lubię opiekować drugiemi, ale przysięgłabym nie raz, ale sto razy, że to wszystko nieprawda.

— Bodaj-że was też kaci wzięli, kiedy mi nie wierzycie! zawołała Grzesina — a toć żem słyszała, jak gadała o Stachu, o Marynce, o gęsiach, jarmarku i wódce. Prawda, żem nie dosłyszała, żeby mówiły o żenieniu, aleć się też reszty łatwo można domyśleć, bo widziałam nawet sama, jak Klemek szedł do dobrodzieja.

— No i cóż, że szedł do dobrodzieja — rzekła Kędziorka — albo-to tylko ludzie do dobrodzieja chodzą, kiedy mają dać na zapowiedź?

— A i cóż-by on u księdza robił? przerwała jej Grzesina — powiedźcie sami, przecie on jest Stacha opiekunem!

— Kiedy więc wiedzieć chcecie — odpowiedziała Kędziorka — co robił Klemek u dobrodzieja, to wam powiadam, że był po metrykę dla Stacha, ale nie nosił na żadne zapowiedzi. A zaś

matce Maryśki w wiliją jarmarku, ukradziono dwadzieścia gęsi; poszła zatem na jarmark ich szukać, lecz nie kupować, jak powiadacie; a zwówiny i czternaście kwart wódki toście sobie sami zmyślili.'

Tymczasem Kędziorek nadszedł do izby, a Grzesina niebawem zabrała się i poszła, zapewne do innej kumoszki ze swojemi bajkami. —

Tak to nie jedna gosposia, zamiast coby się miała trudnić domowem gospodarstwem, to się jeno trudni plotkami. Chwyta na powietrzu słowa, roi sobie w głowie Bóg wie co i nasiawszy nowin, coby ich na dwa wozy nie zabrał, włóczy się od chaty do chaty, od kumoszki do kumoszki, wszystkich częstuje swemi nowinami, i przez-to częstokroć staje się powodem kłótni i gniewu między sąsiadami, krewnymi i przyjaciołmi. Taka plotkarka wie, co się w całej wsi dzieje, co kto je i pije — ale nie wie, co się w jej domu dzieje. Zamiast być dobrą żoną, gospodynią, matką, staje się kłopotem męża, zakałem domu i zgorszeniem dzieci. I jakże! czyż nie prawdę ja mówię?... Nie w jednym domu szło-by lepiej gospodarstwo, dzieci byłyby i zdrowsze i grzeczniejsze, gdyby gosposia była skrzętną, pracowitą, o dobro domu dbałą, a nie o plotki i ich rozsiewanie.

(*Sz. N.*)

Rady lekarskie.

Na odmrożenie. Zdarza się to często, że sobie ludzie na zimnie nogi, ręce, nos albo uszy odmrażają. W takim przypadku niechaj się strzegą zaraz ogrzewać, albo maściami okładać one członki odmrożone, boby im to na złe wyszło. Przedewszystkiem należy wypędzić mróz z tego członka odmrożonego, jeśli nie chcą, żeby się im w to miejsce rzuciła gangrena. Otóż w a r a od ciepłego pieca i ognia! ale trzeba sobie tak radzić: Naprzód, jeśli zima mokra i śniegu jest dosyć, to tym śniegiem nacieraj sobie ciało odmrożone póty, aż się dobrze nie rozgrzeje i nie nabierzesz w niem czucia — to już będzie znak, że w ciele mrozu nie ma. Jeśliby zaś śniegu nie było na podorędziu, to użyj do tego wody, ale prosto z pod lodu. Także zimna kapusta

dobra jest na odmrożenie, aby ją przykładać. Jakże już poczujesz ciepło w tem miejscu, co go mróz zachwycił, wtedy kładź się do łóżka, byle nie w ciepłej izbie — napij się herbaty z kwiatu bzowego, i tak sobie spoczywaj przez kilka godzin pod dobrem przykryciem, aż się nie spocisz. I da Bóg, to już zdrów wstaniesz, mój człeku.

Aliści zdarza się i to, że sobie który odmroził ręce albo nogi, a nie poradził sobie zaraz tak, jak należy. Więc z tego porobiły mu się rany i wielce na nie cierpi nieborak a pozbyć się ich na żaden raz nie może. Owóż temu poradzimy znowu taką maść, co i nie wiele kosztuje a bardzo jest dobra. Robi się ona w ten sposób: Weź kawał lodu i wybierz w nim dołek. Do tego dołku daj na spód odrobinę wosku, potem urznij listek słoniny, ale coby nie był grubszy od naszej *dwukrajcarówki* dawnej. W ten listek natyka się z jednej i z drugiej strony owsa; potem zapala się świeca albo kaganek, i nad tym ogniem topi się słoninka, ale tak, iżby się wraz i owies palił. Jak już zacznie kapać tłustość, postaw pod nią lód i uważaj, żeby prosto kapała do onego dołku z woskiem. Dopieroż z tego zrobisz maść, rozsmarujesz ją cieniutko na kawałku płótna i przykładać będziesz co rano, południe i wieczór na odziębione ciało. Przytem trzeba się ciepło trzymać. I zobaczysz, że ci się w krótce lepiej zrobi; takowa maść odziębliznę wyciągnie i rany zagoi.

RÓŻNOŚCI.

Odważny Sobek. Wielką miał ochotę Sobek zostać żołnierzem, bo mu się okrutnie wojacki mundur spodobał; ale że nie dostawał do miary, kazano mu iść do domu. Długo on sobie, wracając nad tem głowę łamał, czemu to małych ludzi do wojska nie potrzebują, i nie mógł nic wyłamać. Dopiero kulawy Wojtek go objaśnił:

— Głupiś! powiada — jakże ich mają brać? dyć-by do nich z harmat nie mogli strzelać.

— Aha! to to temu — odezwał się Sobek — Bogu-ż dzięki, żem też nie urósł.

Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: E. Winiarz.

Tom III.  **Nr. 6.**

21. Sierpnia **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KAZIMIERZ WIELKI

król chłopków.

IV. Jego śmierć i pogrzeb.

Lubił nasz Kazimierz bardzo polować. Jak tylko nie miał pilnej roboty a była pora potemu, zaraz-ci wybierał się na łowy. I tak aż do późnego wieku. Bo też trzeba wiedzieć, że wtedy ludzie nie starzeli się tak prędko jak dzisiaj. Zdrowi byli i czerstwi i niby z żelaza, takiej twardej natury. Miał-ci taki *sześćdziesiąt*, *siedmdziesiąt* lat a i więcej, a jeszcze siedział na koniu, gdyby jaki młodzik i anibyś poznał po nim, że to taki podeszły człek. Toć przecie wiadomo, że król Łokietek już miał *siedmdziesiątkę* z okładem, kiedy pobił Krzyżaków pod Płowcami. Otóż i syn jego Kazimierz, choć mu już *szósty krzyżyk* minął, wcale był zdrów i silny w sobie.

Było to jakoś przy pięknej jesieni. Król się chciał zabawić polowaniem, więc kazał sobie rychło świt osiodłać konia, zabrał służbę ze sobą i puścił się w lasy Sandomierskie, gdzie było *huk* rozmaitej zwierzyny. — Jużci wtedy nikt się nie ła-

komił na biedne zajączki ani na ptaszki, jeno na samego grubego zwierza polowano: więc na niedźwiedzie, na żubry, na tury, o jakich dzisiaj nie masz ani słychu po naszych lasach — wreszcie na wilki, jelenie i łosie. To też nielada dzieciuch mógł się odważyć na takie polowanie, zwłaszcza że jeszcze wtedy nie było ani mowy o strzelaniu kulami. Za całą broń na takiego zwierza srogiego używali myśliwi *włócznię*, niby coś takiego jak mają nasi ułani. Często i bez tego się obchodzili i po prostu z takim długim nożem, co się zwał kordelasem, wpadali na zwierza i niby chłop z chłopem tak się z nim borykali, aż go nie przemogli.

Szczęśliwie dostał się król do lasu. Wnet się zaczęło polowanie; psy królewskie wytropiły jelenia z ogromnemi rogami. Król skoro to widzi, zaraz spiął konia i kopnął się w cwał za jeleniem. Pędzi koń przez krzaki i rowy, a jeleń w nogi, aże ziemia dudni. I już miał go król dostać, aliści chciało nieszczęście, że w tej chwili potknął się koń na jakimś krzaku i powalił się z nim na ziemię. Chce się król dźwignąć — ani rusz! dopiero służba przypadła i wydobyła go z pod konia. Pokazało się, że sobie bardzo nogę zranił. Przybiegło zaraz dwóch lekarzy na pomoc: jeden radził to, drugi owo i nie mogli się pogodzić; a tymczasem noga spuchła jak kłoda. — Przywieźli go do Krakowa już bardzo słabego. Widzi król, że tu już nie ma ratunku i trzeba umierać, więc nakazał co żywo spisać testament, a potem po księdza posłał i wyspowiadał się pięknie. Na drugi czy na trzeci dzień, Bogu ducha oddał.

Ostatni to był król w Polsce, co jeszcze od onego *Piasta* kołodzieja pochodził. Jak wiecie, nie pobłogosławił go Pan Bóg żadnym synem; musiał się więc za kim innym oglądnąć, coby mu zdał królestwo swoje w opiekę. Najbardziej spodobał mu się król węgierski *Ludwik*, zrodzony z jego siostry Elżbiety, więc jego *siostrzeniec*. Jeszcze przed śmiercią polecił go był narodowi polskiemu za króla. Polacy jako serdecznie kochali swego Kazimierza, tak też uszanowali jego ostatnią wolę i temu Ludwikowi w Krakowie włożyli koronę na głowę.

A potem wzięli się do królewskiego pogrzebu. Oj moi ludzie, co to był za pogrzeb! Pewno jak Kraków Krakowem, nie

było i już nie będzie takiego. A nie przez to, żeby był taki bardzo pokaźny, jeno przez on płacz srogi, jaki był wtedy między ludem, co tak bardzo wszyscy żałowali Kazimierza. A za co oni go tak żałowali? bo był właśnie jak ojciec dla wszystkich! bo cośmy wam o nim opowiadali, że był *taki walny gospodarz, taki sprawiedliwy, taki gościnny* — to jeszcze nie wszystko! Za jego to panowania bracia Rusini z Polakami się połączyli i króla polskiego swoim królem nazwali. On też ufundował *szkołę najwyższą* w Krakowie, której dotąd nie było, a jeno dla tego aby nasi chłopcy nie musieli jeździć po rozum gdzieś za morze, ale w własnym kraju wszystkiego się nauczyli, co potrzeba. — Taki to był król dbały na wszystko, coby się krajowi przydało — więc jakże go nie mieli żałować!

Ależ posłuchajcie, co o tem królewskim pogrzebie stoi po książkach napisano:

„Naprzód powiadają, szły cztery czarne wozy; woźnica i konie całe były czarnem suknem okryte. Za wozami jechało na koniach *czterdziestu* rycerzy w czerwonych płaszczach; za nimi znowu *dwónastu* rycerzy z różnych stron Polski, a każdy miał tarczę na ramieniu z takowym znakiem, po którym zaraz można było poznać, zkąd on jest. Dalej siedział na królewskim koniu rycerz bardzo bogato przybrany — miał to być niby sam król nieboszczyk. Potem już waliło się dużo ludu z wielkiemi świecami i ciało królewskie niesiono na marach. Przed marami szedł taki urzędnik co się nazywał *podskarbi*, iż zawiadywał królewskim skarbem, i rozrzucał ubogim pieniądze przez całą drogę. Wszystek ten orszak wszedł do kościoła, gdzie odprawiono nabożeństwo za króla. Potem przy jego trumnie łamano chorągwie na znak wielkiej żałoby, a wtenczas wszystko co żyło, zaczęło rzewnie płakać.“ —

Ale już najbardziej żałowali po nim chłopi! bo też to był pan dla nich serdeczny, co go aż za to po wszystkie czasy przezwali ***królem chłopków.***

Śpiewka o wiślickich żniwiarzach.

Dawne czasy, dobre czasy, mój ty miły Boże!
Na tej naszej polskiej ziemi po pas rosło zboże,
I bydełko, pieścidełko, że aż spojrzeć miło,
I dobytek kwitnął wszystek, i dostatkiem było.

Bijatyki, pijatyki ani żadnej zwady
Nie uświadczył w całym kraju, nie uświadczył zdrady;
A gdy padło rzucić radło i ruszyć na wroga,
To ochotnie jak mógł każdy bieżał w imię Boga.

Król Łokietek setnie rządził bo i kropił dzielnie,
Zaś gdy w domu, każdą sprawę rozsądził rzetelnie;
Ależ-ci nań ciężkie czasy, oj ciężkie przypadły:
Czechów siła w kraj przybyła, z nimi król zajadły.

Pod Wiślicą nad pszenicą począ się żniwiarze,
Aż tu jary pielgrzym stary w polu się ukaże;
Oj nie pielgrzym ci to stary, toć nasz król w kapturze, —
Za nim w tropy czeskie chłopy, heń już tam na górze.

— Złapią króla — rzeknie żniwiarz — nie daj Panie Boże! —
Więc go wezmą nasi chłopcy w środek między zboże.
Zeszli Czesi, ogłosili: „Kto dostawi króla,
Sto kup groszy zań dostanie, ta sobie pohula.“ —

— Sto kup groszy, kęs nielada! prawi ktoś z gromady —
— Hej, świat cały mi za mały — my tam nie do zdrady!
I nie dali Czechom króla; ale gdy szedł dalej,
Stał Czech srogi pośród drogi — więc króla złapali.

Wzięli króla, w miasto wiodą, w wieżę ciemną wsadzą;
Hej! frasują się żniwiarze i coś w kupie radzą:
Uradzili — zostawili niedorznięte kłosy,
Poszli do wsi; we wsi wrzawa: ostrzą chłopcy kosy

W mieście nocą czeskie warty chodzą wedle wieży,
A we środku król okuty na słomisku leży;
W mieście nocą pijatyka, cieszą się Czechowie:
Oj nie wyjdzie wam to picie, nie wyjdzie na zdrowie.

O północku jednym razem, mój ty słodki Chryste!
Krakowiacy śmigli w górę swoje kosy czyste:
Niedługo się zabawili z panami Czechami,
Het ich z kraju napędzili z pobitemi łbami.

A od wieży drzwi wysadzą, króla wyprowadzą:
— Toć jesteśmy, królu miły, znów pod waszą władzą! —
A król szczerze ich uścisnął:
— Moi bracia rolni,
Żeście zuchy, to będziecie od wszech danin wolni!

— Bądźcie zawsze tacy dzielni, niech was Pan Bóg chowa,
I Najświętsza chroni Panna, ta polska Królowa!...

Wicenty Srokacz.

Kto z Bogiem Bóg z nim.

Będzie temu lat kilkadziesiąt, jak jeden pan z Podola pojechał był sobie z wołmi na sprzedaż do Ołomuńca. W Ołomuńcu zrobił piękny interes; duchem gdzieś mu się nawinął kupiec, co od razu wszystkie woły zakupił i dobrze zapłacił. Jeno tedy z pełnym workiem wracał pan do domu, a wracał pilno bo mu się spieszyło do żony i dzieci, które bardzo kochał. — Jechał dzień, dwa dni i już dobry kawał drogi upalił; aż trzeciego dnia już pod sam wieczór złapała go burza. Niedosyć na tem, bo jak to powiadają *nieszczęście woli zawsze chodzić w kompanii*. Takci i temu panu jeszcze na dobitek oś się złamała u bryczki. Już też dalej ani podobna było jechać, a tu leje i leje jak z cebra.

— Oj moja nieszczęsna godzina! i cóż ja teraz pocznę, gdzie się podzieję, mój Jezu ukochany! — tak wołał zakłopotany podróżny i począł się oglądać do koła, czyby gdzie nie znalazł jakiego schronienia. Kiedy tak patrzy i wygląda, naraz zdało mu się, że zajrzał jakieś światełko nieopodal. Ucieszony pobiegł w tę stronę i widzi lichą karczemkę pod lasem.

— Chwałaż panu Bogu! pomyślał sobie — dobre choć co, jak nic. I wali na wprost do karczmy; brama już była zamknięta,

więc zapukał do okienka. Po małej chwilce zobaczył rudą brodę przy oknie i usłyszał głos: — Kto tam?

Odrzeknie pan: — Podróżny! puszczaj pilno, bom przemókł do nitki.

— Ny, ny! odezwało się po żydowsku z izby i niebawem otworzyły się wrota.

Podróżny wbiegł do karczmy. Żyd rudobrody jak Judasz, skoro zobaczył że to pan, począł mu się bardzo nisko kłaniać:

— Kłaniam się do nóg, a zkąd to wielmożny pan?

— Jadę z Ołomuńca — odrzeknie podróżny i opowiedział, co mu się stał za przypadek.

— Aj waj, jakie nieszczęście! ale ja *będzie poradzić* wielmożnemu panu. Ztąd niedaleczko do wsi, to ja znam majstra co *tego bryczka zrychtuje*, a wielmożny pan u mnie przenocuje.

— Mój arendarzu! odezwie się pan — postaraj-że się o to, tylko żeby to zaraz było, bo jutro rychło świt chciałbym wyjechać.

— *Güt, szoin güt* — ja mam dla wielmożnego pana *takich osobnych pokojów,* aj waj! zachwala żyd — co sobie wielmożny pan *będzie przenocować*, jak jaki król. Sure! zawołał na żydówkę — Sure! a *kim* i pokaż wielmożnemu panu tych pokojów. Ja *tymczasów* pobiegnę za *bryczki.*

Z komory wyszła żydowica brudna, rozmamana, z bachurem na ręku, zapaliła świeczkę i przeprowadziła pana do pustej izdebki po drugiej stronie sieni. Nieucieszniе tam było w tej izdebce, brudno, duszno jak w piwnicy, liche łóżko i trochę słomy na niem i jeden połamany stołek, zresztą cztery kąty i piec piąty a i ten był nie cały. Ale cóż miał pan robić! trza było i tem się teraz kontentować. Więc kazał sobie tylko rzeczy z bryczki poznosić, parobkowi swemu nakazał żeby majstra przypilnował i zaraz przyjeżdżał, a sam już rad nie rad myślał tu przenocować.

Późno już było w nocy. Żydziska czegoś jeszcze nie spią, jeno w komorze siedzą jedno wedle drugiego i coś po cichutku ze sobą gwarzą. A jakoś im obojgu niedobrze z oczu patrzy! Na dworze noc ciemna że wykół oczy, deszcz jak lał tak leje i srogie wichrzysko szumi po lesie. W kolebce zapłakało dziecko

żydowskie, matka poszła go uspokoić. W tej chwili żyd schylił się pod ławę, wyciągnął nóż długi, spiczasty, obejrzał go przy świetle, pokiwał głową, mruknął coś po żydowsku i nareszcie jął go ostrzyć na kamieniu przy żarnach. W tym samym czasie drzwi się uchyliły i do komory wszedł chłopak setny z siekierą w ręku, a cały był przemoknięty.

Skoczył żyd jak żmija ku niemu i zapytał: — A co, Wojtek?

Chłop cisnął siekierę na ziemię, otrząsł się z deszczu gdyby pies: — Brr! dajcie-no wódki — zawołał i zwalił się na ławę.

— Ny, a koniów? a bryczki? — pytał żyd — Wojtuniu, gadajże! — i tyrpie go za kaftan: gadaj! a oczy mu się zaświeciły jak u wilka.

— Dajecie wódki, arędarzu! krzyknie chłop niecierpliwy — już się nie turbujcie!...

Żyd duchem skoczył po wódkę i podał chłopu. — Musicie teraz wiedzieć, kto był ten Wojtek? Sługa żydowski i hultaiszcze na wielki kamień. Miał on grunt piękny po ojcach, i żonę i dzieci — otóż grunt i całe gospodarstwo zmarnował, żonę i dzieci przyprowadził na dziadów a sam poszedł sługiwać u żydów.

— *Słysz* ty Wojtek! powiada arędarz — idź-no na *palców* i nadstaw ucha przy drzwiach może już spi! to mnie *będzierz powiadać*.

Zerwał się chłop i wyszedł do sieni na podsłuchy. — Podróżny pan jeszcze nie spał, bo czegoś był niespokojny. Chodził po izbie tam i nazad, myślał o żonie i o swoich dzieciach, czy też im się przez ten czas nie stało co złego, i nareszcie począł na głos się modlić. Słucha Wojtek, coby to była za modlitwa? I słyszy jako pan odmawiał:

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całem sercem szczerze ufa jemu,
Śmiele rzecz może: mam obrońcę Boga,
Nie będzie u mnie straszna żadna trwoga.

— Hej! myśli sobie sługa żydowski i podsunął się pod samę drzwi. Pan się modlił dalej:

Ciebie on z łowczych usidleń wyzuje,
I w zaraźliwem powietrzu ratuje:
W cieniu swych skrzydeł uchowa cię wiecznie,
Pod jego pióry uleżysz bezpiecznie.

Stateczność jego, tarcz i puklerz mocny,
Za którym stojąc, na żaden strach nocny,
Na żadną trwogę ani dbaj na strzały,
Któremi sieje przygoda w dzień biały.

Ztąd wedle ciebie tysiąc głów polęże,
Ztąd drugi tysiąc ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny — a ty przecie swemi
Oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznemi.

Słysząc to Wojtek, aże go mrowie przeszło i sam nie wiedział, kiedy ukląkł i ręce złożył jakby do modlitwy. Słucha dalej:

Iżeś rzekł Panu tyś nadzieja moja,
Iż Bóg najwyższy jest ucieczka twoja;
Nie dostąpi cię żadna zła przygoda,
Ani się stanie w domu twoim szkoda.

Aniołom swoim każe cię pilnować,
Gdziekolwiek stąpisz: którzy cię piastować
Na ręku będą, abyś idąc drogą
Na ostry kamień nie ugodził nogą.

Będziesz po żmijach bezpiecznie gniewliwych
I po padalcach deptał niecierpliwych,
Na lwa srogiego bez obrazy wsiędziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.

Słuchaj, co mówi Pan: „iż mię miłuje,
A przeciwko mnie szczerze postępuje,
Ja go też także w jego każdą trwogę
Nie zapamiętam, i owszem wspomogę.

Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony,
Ja z nim w przygodzie; odemnie obrony
Niech pewien będzie, pewien i zacności,
I lat sędziwych i mej życzliwości.

Potem już się stało cicho na izbie. Wojtek jeszcze wciąż klęczał; przypomniał sobie dawne lata, kiedy był jeszcze dzieckiem: jak go matuś uczyła tej samej modlitwy i mówiła, że kto ją codzień odmawiać będzie, jako życie nic mu się złego nie zdarzy, choćby się wszyscy djabli na niego sprzysięgli. I objął go wielki strach; wnet się zerwał na równe nogi i cichaczem wrócił do żydów.

— Nic z tego nie będzie! zawołał, wchodząc do komory żydowskiej.

— Ny, co ty gadasz, Wojtek! krzyknie arędarz.

— Nic z tego nie będzie! powtórzył chłop i machnał ręką. — Nic mu teraz nie zrobimy, żydzie! choćbyś się na głowę postawił i ty i ja.

— Sure, *herste!* czy on owarjował? wykrzyknie żyd i wypatrzył się strasznem okiem na Wojtka.

Żydowica porwała za flaszkę wódki: — Na, Wojtek! powiada i po twarzy go głaszcze — na, mój lubuniu! pozwól sobie ile sam zechcesz, ale powiedz nam, za co jemu nic nie będzie?

Chłop wódki nie odmówił, łyknął raz i drugi raz i tak rzeknie:

— Widzicie, jakeście mnie posłali na podsłuchy, ha no, to ja też poszedł i słucham. Aż tu słyszę, pan chodzi po izbie i modli się.

— Ny, niech-by się modlił! przerwał żyd — co nam to szkodzi?

— Ba! prawi Wojtek — właśnie że szkodzi, bo już mu teraz nikt nie poradzi po tej modlitwie. Oho, już przepadło! to jest taka cudowna modlitwa.

— Aj waj! zalamentował żyd — *glupi* Wojtek, to *wón* już na prawdę owarjował. A szkoda takich *pieniądzów;* coby to *buł* za pan z tego Wojtka! aj, aj!

Chłop zwiesił głowę na piersi i siedział cicho. Żyd jął go na nowo kusić:

— Co to modlitwa! zobaczysz Wojtek, że to nic. Ty mu jeno ręki *pochwytujesz*, a ja tylo co raz pojadę nożem po pod *szyjów*, i będzie koniec. A za to będziesz sobie pan Wojtek, bo ja się z tobą podzielę temi *pieniądzów*, co *wön* dostał w Ołomuńcu za wołów.

— Gadaj sobie zdrów, gadaj! odezwie się chłop — jeno że ja o tem nic nie chcę słyszeć, powiedziałem ci raz.

Żyd na razie chciał się gniewać, bo cały poczerwieniał i zapienił się jak wściekły. Ale że to był szelma bity na wszystkie boki, boć się wnet pomiarkował i zaczął z innej beczki:

— Ny, powiada, może ty masz i *recht*, kto go wie! at, bierz go djabli z jego pieniądzów. Idź spać, Wojtek. — I wypchnął chłopa za drzwi a sam się z żydówką zamknął w komorze, i coś jeszcze długo szwargotali ze sobą po żydowsku.

Już gdzieś dobrze było po północy. Burza ustała i zrobiło się cicho na dworze. Podróżny pan położył się taki nierozebrany na łóżku; ale napróżno przewracał się z jednego boku na drugi — ani daj Boże było zasnąć! Naraz słyszy, aż tu w karczmie okrutny krzyk powstał:

— Gwałtu, gwałtu! na pomoc, moi ludzie! żyd mnie morduje! —

A toć się zerwał na równe nogi i do okna. Aleć okno, zwyczajnie jak w takiej karczemce, nieduże: ani myśleć aby się tamtędy wydostał. Na szczęście swoje w tej samej chwili zasłyszał na drodze fury jadące. Więc począł krzyczeć co sił: — Hej, hej, ratunku!

Na to wołanie poskoczyli co tchu furmani ku karczmie i poczęli się do bramy dobijać. Podróżny tymczasem zaświecił świeczkę i wypadł do sieni. W tej chwili wyparli chłopi wrota, a było ich kilku z tęgiemi kosturami. Podróżny woła ich za sobą, a sam idzie ze świeczką naprzód. Ledwie zrobił kilka kroków, widzi żydowicę przykucniętą w jednym kącie i dygocącą od strachu; a w drugim kącie stał żyd rudobrody, jakby go kto zaczarował, z zakrwiawionym nożem w ręku; zaś wedle na słomie leżał żydowski sługa cały we krwi i już ledwo dy-

chał. Na ten widok podróżnemu aż włosy stanęły na głowie i chłopom zrobiło się ckliwo na sercu. Nic nie pytając, rzucili się na żyda i żydowicę, i powiązali oboje jak baranów. Zaś podróżny jął opatrywać rannego Wojtka.

Słabym głosem odezwał się sługa żydowski: — Próżna wasza fatyga, mój panie! już ze mnie nic nie będzie — ot lepiej posłalibyście po księdza, żebym się wyspowiadał.

Jeden z chłopów zaraz skoczył do wozu, wyprzągł konia i pognał do wsi po księdza. A przez ten czas podróżny pan dowiedział się od Wojtka o wszystkiem, jak się cała rzecz miała: że z namowy żyda, chłopca pańskiego zamiast poprowadzić z bryczką do miasta, Wojtek zamordował w lesie; że to samo czekało i pana, ale słysząc go odmawiającego oną cudowną modlitwę: *„Kto się w opiekę poda panu swemu“* Wojtek nie chciał do tego należeć i za to mu żyd gardło poderznął, bo się bał aby go nie zdradził.

Słysząc to podróżny, upadł na kolana i podziękował Panu Bogu za jego cudowną opiekę. Niebawem też nadjechał ksiądz ze wsi z Panem Bogiem. Na drugiej furze przyjechali wójt i kilku starszych z gromady. Wojtek tylko jakby na księdza czekał, bo ledwo się wyspowiadał, zaraz skonał. — Żyda i żydowicę wpakowali na furę i odwieźli do sądu. Jego powiesili, a oną na dwadzieścia lat skazali do kryminału.

Tak się skończyła cała historja. — Podróżny szczęśliwie wrócił do domu i do samej śmierci przykazywał dziecciom swoim: *Kto z Bogiem, Bóg z nim.* — Pamiętajcie to sobie póki życia!

Ludka z Myślenic.

Zielsko.

Około świętego Michała wziąwszy Wojciechowa sierp, poszła na ogród i wyrzynała zielsko. Jagna wracając z pola, tak się do niej odezwała:

— Już też moja kumoszko, musicie nie mieć wcale co do roboty, kiedy teraz jeszcze wyrzynacie to zielsko. Na co wam się to przyda? Niechno przyjdzie zima to ona już zgnije.

Wojciechowa jej na to: — Bodajście nie bajali, moja piękna! toć widzicie, że gdybym go nie powyrzynała, toby mi się dostało; bo choćby w zimie łodygi pogniły, siemie-by nie zgniło, tylko-by się posiało, a potem miałabym jeszcze więcej do plewienia na przyszłość. Powyrzynam je sobie, powrzucam w gnojówkę, a tak będę miała więcej mierzwy, a mniej zielska. Prawda, że wiatr nawieje z waszych ogrodów dosyć siemienia od zielska, ale i to dobre, co się wyniszczy. Gdybyście tak mieli rozum, tobyście i wy i drugie kobiety nie zostawiały zielska po ogrodach, zapłotkach i rowach, tylkobyście je wyrzynały, a coraz by go mniej było.

— No, prawdę mówicie — rzekła Jagna — a toć ja zaraz moim dziewczętom każę po ogrodzie zielsko powyrzynać. Może też i drugie sąsiadki to samo zrobią, jak się dowiedzą, na co to dobre; boć czego człowiek nie wie, tego nie robi, moja kumoszko!

(*Szkółka.*)

Rady lekarskie.

Maść na odleżenie się w chorobie. — Kiedy się kto w chorobie odleży, niech sobie taką maść sporządzi: Naprzód bierze się dwie albo trzy rzepy i drobniutko się je posieka. Potem bierze się kawałek płótna czystego, na nie wsypuje się oną siekankę ze rzepy, i dopiero z tego wyciska się sok przez płótno do jakiej ryneczki albo garnuszka. W innej zaś ryneczce rozpuszcza się masło na wolnym ogniu. Masła tego ma być niewielka łyżka i żeby było świeże i nic a nic nie solone. Jakże się to masło w ryneczce roztopi, wtedy wlewa się do niego sok ze rzepy i dopiero się mięsza tak długo, aż się z tego zrobi maść łatwa do smarowania. Natenczas już nie wypada, jeno smarować ją na płótno i przykładać na ranę co

od leżenia pochodzi. Uważać przytem należy, żeby zawsze świeże było smarowanie. — Rana się niebawem zagoi, i będziesz przy Boskiej pomocy zdrów.

Na kaszel suchy niezawodne lekarstwo. — Przykra to rzecz ten kaszel, kiedy się raz człeka uczepi. Ni ztąd ni z owąd jak zacznie tobą szarpać, toć nieraz zda ci się, żeć kości połamie i wszystkie wnętrzności z ciebie powyrzuca. Do tego taka to bieda uparta, zwłaszcza *kaszel suchy*, żeć się nie da zbyć lada czem, jeno trzeba koniecznie radzić sobie i lekarstwa na niego zażywać. — Powiadają, że w takim kaszlu źle jest jadać mięso; aleć i bez tego, choć zdrowi, nie wiele go zjadacie i dobrze robicie. Niedobre też piwo na kaszel, zwłaszcza kiedy jest mocne; a wódka to już wcale zła, przeto się jej trzeba wystrzegać jak ognia. — Za najlepsze lekarstwo na taki kaszel suchy używają *trybulkę.* Zażywa się ją w taki sposób: parę garści trybuli gotuje się w serwatce, potem się przecedza i pije, i to ma bardzo pomagać. — Także polewka z trybuli dobra jest; a tak się robi: zabij starą kurę, obskub ją z pierza pięknie, ale nie parząc gorącą wodą, tak jak to zazwyczaj czynią. Skoro ją już przyrządzisz jak należy, nadziej gardziel i brzuch drobno posiekaną trybulką i krupami owsianemi. Do tego dodaj odrobinę szafranu; potem już zaszyj kurę tak nadzianą, włóż do garnka garncowego nie soląc zgoła nic. Garnek nie może być inakszy, tylko gliniany. Wtedy do garnka nalej wody wrzącej po same brzegi, dobierz nakrywki coby w sam raz do niego pasowała, oklej tę nakrywkę z boków ciastem i papierem, i tak niech sobie będzie aż się nie ostudzi. Dopiero potem rzucisz nakrywkę, przecedzisz ten rosół z kury przez płótno i będziesz go pić na zimno co kilka godzin po malutkim garnuszku. — Powiadają, że taka polewka dobra jest też na wysychanie ciała i suchoty.

Na oparzenie. — W takowym razie nic lepszego, jak zaraz wziąść i kozikiem naskrobać ziemniaka surowego, i te skrobiny na oparzone ciało przykładać. Dobre też na to jest

mleko kwaśne, albo i zwyczajna glina wymięszana z octem na gęsto. Jeno potrzeba uważać, żeby te okładziny zawsze zimne były; więc jak skoro się zagrzeją, zaraz odejmować i świeże przykładać. Kiedy już wielki ból ustanie, smarować należy oparzone ciało olejem, lub też białkiem od jajka wymięszanem ze śmietanką.

Jeżeli oparzenie jest bardzo niebezpieczne, wtedy to inna rzecz i już nie można radzić samemu sobie, ale trzeba koniecznie posłać po lekarza.

RÓŻNOŚCI.

Szkółka powszednia. Ktoby chciał odżałować *jednego reńszczaka* i rad był się czegoś nauczyć, temy naraimy książkę, co ją można dostać we Lwowie a nazywa się „*Szkółka powszednia.*“ Żebyście zaś, jak to mówią, nie kupowali *kota w worku*, to wam po krótce rozpowiemy, co w tej książce jest napisano i czego ona chce nauczyć ludzi. Owóż najprzód jest tam modlitwa do Pana Boga. I dobrze zrobił ten pan pisarz, żeć to swoje pisanie zaczął od Boga; bo też za nic wszelka praca i mądrość ludzka, jeślić tam nie ma błogosławieństwa Boskiego. Dopieroż po modlitwie jął się do nauczenia. Pierwsza nauka mówi o *miernictwie.* A wiecie co to jest to miernictwo? oto taka nauka, co nam pokazuje, jak mamy zmierzać co bądź: czy to pole jakie, czy łąkę, las albo jaki budynek na długość, wysokość i szerokość. — Druga nauka mówi o *ziemi* i o *niebie*: jakci ta ziemia wygląda, jak się raz wraz kręci od wschodu na zachód, chociaż się ludziom wydaje że ona cicho stoi a słońce się obraca, a to właśnie nieprawda; jakie gwiazdy i jakie planety widać na niebie; zkąd pochodzi że mamy raz wiosnę, potem lato, po lecie jesień i nareszcie zimę; — o tem wszystkiem powiada ta druga nauka. — Trzecia nauka mówi o tem, *co się znajduje w ziemi;* a to jest: kamień, wapno, węgiel, gips, sól, żelazo, ołów, srebro, złoto i dużo innych rzeczy. — Czwarta nauka znowu wskazuje nam, *jakie mamy rośliny w naszym kraju:* więc jakie drzewa rosną po naszych lasach a jakie znowu po naszych ogrodach; jak się wedle sadu chodzić powinno, aby z niego był pożytek; jakie mamy zboża na polach, jakie trawy i kwiaty na łąkach, jakie zioła po górach i po dolinach przydatne są na rozmaite słabości. — Nareszcie piąta nauka w tej książce powiada nam o *zwierzętach krajowych:* więc jakie zwierzęta po lasach się kryją, a które są oswojone z człowiekiem;

jakie ptaki rozmaite latają po powietrzu; co za płazy i co za gady łażą po ziemi i które są niebezpieczne dla człowieka; jakie ryby znajdują się w naszych rzekach i stawach i jakie owady nam dokuczają tak w domu jak na polu. — I na tem już koniec tej książki. Jużcić może nie wszystko od razu byście zrozumieli, co tam jest napisano; wtedy nie wielka rzecz pójść do księdza dobrodzieja, albo i do nauczyciela w szkółce, jeżeli ją macie, i poradzić się o tem lub owem, cobyście swoim rozumem pojąć nie mogli.

Szarańcza. Patrzajcie! tegoż nam jeszcze potrzeba na dobitek całego nieszczęścia, cośmy go w tym roku tyle zaznali. Jużci nas i szarańcza poczyna nachodzić! Powiadają, że właśnie temi dniami koło *Zaleszczyk* i *Zabłotowa* w obwodzie Czortkowskim moc tego szelmostwa naleciało i tam na polach całą chmurą osiadło. Dość niewiele chleba nam obiecują na ten rok, bo i ziemniaki, jak ze wszystkich stron słychać, na nic się psują, a tu nam jeszcze wypadło żywić takich nieproszonych gości — bodajże ich!..

Pioruny. Co też te pioruny nie dokazują tego lata, to aż strach! Co chwila gdzieś go licho nadniesie na ludzką biedę, i nie wiem czybyś dużo narachował takich dni w tym roku, żeby gdzie piorun nie strzelił i jakiej szkody nie wyrządził. Ot, pono jeszcze i miesiąca nie ma, jak w *Otyniowicach* w obwodzie Brzeżańskim, jedną kobietę zabił, a dwie jeno ogłuszył. — W tym samym czasie była wielka burza w *Łopusznie.* Jeden gospodarz tamtejszy wybiegł za końmi na pastwisko i także go piorun na śmierć poraził. — A znowu w *Boryszkowcach* zapalił jedną chałupę i dwoje ludzi tak mocno ogłuszył, że nie wiedzieć czy się ich docucili. — W *Beniowej* także od piorunu zgorzała chałupa i wszystkie budynki gospodarskie jednego włościanina. — Takci samo stało się w *Dusanowie* i w *Kropiwniku*, gdzie bardzo dużo szkody poczynił piorun. — Nakoniec w *Glinianach* zabił kobietę w samo południe, kiedy niosła objad swojemu synowi na pole. —

Jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził. — Pewien młynarz miał osła, którego tak pracą zmęczył, że już na nim tylko skóra i kość była. Widzi młynarz że źle, bo mu osieł lada dzień może zdechnąć, postanowił tedy sprzedać go za co bądź. Przywołał syna wyrostka i rzecze:

— Słuchaj ty, żeby się nasz osieł w drodze do miasta nie zmordował, zanieśmy go na drągach.

Dźwigają obaj; ale im dalej szli, tem bardziej im osieł ciężył. Gdy to postrzegli ludzie, zbiegać się zaczęli i dalej śmiać się z nich i szydzić:

— Patrzajcie jeno, oto trzy osły, a ten co na drągu, jeszcze najmniejszy!

Młynarz markotny, skoczył po rozum do głowy, i wsadził syna na osła. Aż tu pierwsi, których napotkali, nuż gniewać się na syna, mówiąc: — Ty hultaju! jedziesz sobie wygodnie na ośle, a biedna starowina pieszo? — I już się chycili do kijów, aby mu syna wybić. Młynarz

widzi że nie żarty, zsadził chłopaka z osła, a sam wsiadł na niego.

Przechodziły dziewczęta — i mówi jedna do drugiej: — Biedny chłopczyna! pieszo iść musi, a dziadzisko nielitościwe jedzie sobie wygodnie.

Usłyszawszy to, wsadza syna za siebie, myśląc, że już teraz dogodził wszystkim. Aliście zaledwo z lasu wyjechał, znowu krzyk: — Co to za głupcy, a któż od nich osła kupi? niedosyć że biedne oślisko ciężką odbywa podróż, jeszcze mu dźwigać każą dwóch takich drabów. Chyba skórę z niego sprzedadzą!

— Prawda, pomyślał sobie młynarz; więc zsiadają obaj.

Aż tu znowu odzywają się inni: — któż to widział, aby osieł szedł sobie wygodnie, a ty pieszo! wybacz człeku, ale wszyscy z ciebie śmiać się będą, jeżeli się nie poprawisz.

— Już tedy cierpliwości nie stało młynarzowi: — Nie poprawię! krzyknął obruszony do żywego — dość już tych przymówek; djabli by wam wszystkim dogodzili! robię tak, źle — robię inaczej, źle — robię jeszcze inaczej, także źle — a niech was nie znam! Odtąd już nie pytam nic, jeno zrobię to, co mi mój rozum i sumienie podyktują. — Jak mówił, tak zrobił i pono dobrze na tem wyszedł. —

Strach ma wielkie oczy. — Już wam nigdy tak późno czekać nie będę — rzekł zadyszały Bartek do tatusia, powróciwszy z żelazami od kowala. A dyć to człowiek w onym lesie za górą strasznym wilczyskom ledwo się opędził.

Ojciec jego Stanisław wiedząc, że w owym lesie wilków nie było, chciał synowi pokazać, iż niepotrzebnie się bał i tak rzeknie do niego:

Stach. Prosie czyje zabłąkało się, a tyś myślał że wilk.

Bartek. Przecieżbym się prosięcia nie bał, chociażby było jak chałupa wielkie i jak djabeł czarne i rogate. Alboż się to ich mało napasałem, jakem był chłopakiem!

Stach. Może zając który ciebie się zląkł i uciekał, a tobie się zdawało że wilk?

Bartek. Zająca miałbym się bać? alboż go to nie znam z dużemi uszami i z długiemi nogami.

Stach. Toć pewne żaby skakając, strachu cię nabawiły?

Bartek. Miałbym się koślawych żab ząląc? przecież byłem w bótach i w kożuchu, i alboż to ich mało w dołku naszym i w kapuście z Walkiem nazabijałem?

Stach. Zapewne krówki na pogodę latając, tak cię straszyły, boć wilka to tam nie było i niema.

Bartek. Te robaki miałyby mnie przestraszyć? i wy też! przecie szedłem z siekierą, tobym był którą rozciął.

Wreszcie Bartek widząc, że ojciec koniecznie mu chce pokazać, iż nie potrzebnie się bał, rzekł w gniewie: — Niech było co chciało, dosyć że w liściku tam się coś chrabęściało.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

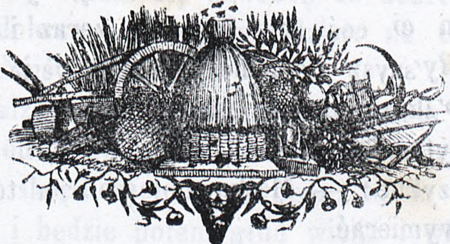
Tom III. **Nr. 7.**

1. Września **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dziwny sen.

Opowiedziała Ludka z Myślenic,

ca na swoje własne uszy słyszała.

Kto ciekawy, niech-no posłucha, jaki to dziwny sen miała tego lata jedna kobiecina wsiowa a moja dobra znajoma:

— Powiada, jakoś tego dnia bardzom się była spłakała nad mojemi ziemniaczkami, co mi się już na piękne psuć zaczęły. Tak-ci tedy sfrasowana przychodzę do domu i zaraz po zachodzie słonka układłam się spać. I otóż śni mi się, że widzę jakąś słuszną osobę, obleczoną w białe chusty, ale takie wam białe, jak kiedyby sam szczery śnieg. W koło niej tańcują nasze ziemniaczki, niby żywe; kręcą się, furkają, a onać osoba trzyma rózgę w ręku i raz w raz *ciach*, *ciach* po tych ziemniaczkach naszych, a co uderzy w który, zaraz-ci ziemniak *bęc* o ziemię i już-ci z niego jeno błoto i gnój. A to mi się aż na płacz zebrało, widząc to we śnie — więc rzeknę do onej osoby:

— Moja ty śliczna osobo, czy ta święta! i czegóż tak te biedne nasze ziemniaczki do reszty zagubiasz?

A na to mi ona osoba: — Słuchaj, ty dobra kobieto! prawi — powiem ci coś, ale żebyś to zaraz i drugim rozpowiedziała, co usłyszysz odemnie. Widzisz, ja jestem śmierć ziemniaków. Z rozkazu Boga jestem posłaną, aby to nasienie ze wszystkiem wytępić.

Jakże nie krzyknę: — Matko bolesna! a toć nam przyjdzie z głodu powymierać.

A zaś ona: — Cicho kobieto! co tak wrzeszczysz!... Naprzód wysłuchaj, jak to było przedtem, zanim jeszcze wasi ludzie poczęli sadzić ziemniaki. Oto bywały często głody, bo jużcić samem twardem ziarnem ludek się nie zawsze mógł obżywić — a ztąd potem bywały i wszelakie choroby, jak to zwyczajnie po głodzie. Ale że wasi przodkowie Polacy inaksi byli ludzie, a nie tacy, jak wy dzisiaj, coście się strasznie popsuli — toż Pan Jezus i Jego Matka Najświętsza ulitowali się nad ich niedolą i pokazali im taki kraj gdzieś daleko aże za morzem, a gdzie się już od dawien dawna rodziły ziemniaki. I posprowadzali sobie ludzie z tamtąd dużo nasienia a Pan Jezus pobłogosławił, iż się i u nas przyjęły ziemniaki i bardzo pięknie porodziły. I cieszył się ludek, że ciężkie przednowki od niego odeszły i że już nie potrzebował głodem przymierać.

Aliści dobrze to powiadają, *że chleb ma rogi* — więc, że się ludziom dobrze już działo, dalejże pasa popuszczać i hulać, a nie wiedząc co mają robić z ziemniaczkami, których im Pan Jezus nasporzył, wymyślili sobie taki sposób, coby z onych ziemniaczków gorzałkę pędzić. I jak zakosztowali tej *psiej pary* ziemniaczanej, dopieroż to zaczęli dokazywać, że się aż diabli pocieszyli a zaś Matka Najświętsza aż zapłakała, tak się jej żal zrobiło tego ludu, co się był tak bardzo rozpuścił. Wzięła więc prosić Boskiego Syna swego, aby jakoś temu zaradził. No, tedy Pan Jezus rozkazał, aby to nasienie ziemniaków było przeklęte i z ziemi zgładzone. I jużby do dziś dnia pewno jednej bulby nie było, gdybyć znowu nie Matka Najświętsza, nasza Królowa polska, którać jeszcze uprosiła Pana Boga, aby do razu nie zagładzał tego nasienia, co ludziom w ciężkim czasie

wielką jest pomocą — ale aby tylko swój ludek spróbował i po trochu im ujmował tego daru. Jeżelić usłuchają, wyrzekną się gorzałki i jeszcze wczas się nawrócą do dobrego — niechżeby im się znowu dobrze i szczęśliwie działo na tej ziemi. — Tak prosiła Matka Najświętsza.

I otóż widzisz, moja kobieto, ja jestem *śmierć ziemniaków*, com tu od Boga zesłana na wasze pokaranie. Opowiedz to ludziom, że skoro się nie poprawią, to im do reszty to nasienie wygubię i będzie potem głód wielki i wielka bieda.

Co gdy rzekła ona biała i słuszna osoba, to się kędyś podziała, a jam się wtedy ocknęła i poczęłam się modlić. A potem rano rozpowiedziałam naszym ludziom we wsi, co mi się ano śniło dziwnego.

— I jakże myślicie, moja jejmość! czy się też nasi kiedyś poprawią?...

— Bóg da i Matka Najświętsza, żeć się poprawią.

STOPKA JADWIGI.

Święta to była dusza ta *Jadwiga*, królowa nasza. Kazimierz Wielki był jej dziadkiem, a za męża miała Władysława Jagiełłę, litewskiego księcia, który się tak był w niej rozmiłował, żeć dla niej i sam się pogaństwa wyrzekł, i całą Litwę ochrzcił i jeszczeć ją do Polski przyłączył, tak, że już odtąd Polska a Litwa były sobie niby siostry rodzone. Przyjdzie czas, gdzie wam będziemy o tej Jadwidze dużo mówić — dziś wam tylko rozpowiemy historję o jej *stopce*, co ją był jeden mularz wykuł na kamieniu i oddał ją do kościoła na wieczną pmiątkę. Posłuchajcież, jak to było:

— Hej, zwijajcie się murarze, majstrowie,
Niechże stanie śliczny kościół w Krakowie,
Niechże stanie Panu Bogu mieszkanie —
Kiedy w łasce bez miary
Do swej przyjął mię wiary,
I dał śliczną polską ziemię na wiano
Z Jadwigą ukochaną,

Hej, zwijajcie się murarze, majstrowie,
Żeby stanął śliczny kościół w Krakowie,
Bo król każe złote stawiać ołtarze;
    A Jadwiga królowa
    Idzie spojrzeć z Krakowa,
Czy też będzie, jak przystało, chędoga
    Ta świątynia dla Boga.

Hej, już widać, idzie pani przez Kraków,
A koło niej starych kilka żebraków,
I sierotki bez opieki, kaleki —
    A Jadwiga słodziuchna
    Niby jaka ich druchna
Miło mówi, raz za razem przystaje
    I jałmużnę rozdaje.

Hej, zwijają się majstrowie weseli,
Bo Jadwigę miłościwą ujrzeli;
Tylko jeden czasem wzdycha choć z cicha;
    A co młotem uderzy,
    To łza z oczów mu bieży,
Ciecze licem i wesołość zeń żenie,
    I spada na kamienie.

Więc stanęła obok niego królowa:
— Co ci człecze? — Żona moja nie zdrowa,
Leży w chacie bez pomocy w niemocy
    A pisklęta dziecięta,
    Nikt o nich nie pamięta,
Z głodu prawie już umiera biedactwo,
    Jak w ostrej zimie ptactwo.

Żal oblał twarz Jadwigi miłośną,
Wszystko złoto da mu ręką litośną,
A tak jej się jeszcze zdało że mało;
    Toż sparła w tem strapieniu
    Stopkę swą na kamieniu,
Poodrywa z trzewiczków lamę złotą
    I daje mu z ochotą.

Hej, zwijają się murarze, majstrowie,
Żeby stanął śliczny kościół w Krakowie.
Jeden sobie wyśpiewuje i kuje:
    Wziął kamień ociosany
    I wapnem pobryzgany,

Żłobi dłutem, bo się na nim została
Królowy stopka mała.

Hej, zwinęli się murarze, majstrowie,
I już stanął śliczny kościół w Krakowie,
Okazały, Pannie czystej dla chwały, —
A w rogu jest od dłuta
Mała stopka wykuta —
Jak litośną była polska królowa
Na pamiątkę się chowa.

Grześ z Mogiły.

Domowy złodziej,
czyli:
Stach Słomka.

(Przepisano ze Szkółki Niedzielnej.)

Jednej niedzieli po nieszporach zasiedli sobie co starsi gospodarze z *Podlasku* na smętarzu pod wielką lipą a z nimi i kościelny. Więc *gadu gadu*, ten o tem, ten o owem, ot jak to bywa między słusznymi gospodarzami, co sobie nie jedno mają do powiedzenia. Nareszcie jeden między nimi, co się nazywał *Sebestjan*, tak się odezwie:

— Już-ci to prawda, moi ludzie, że złodziej jest djabelski człowiek; ale sto razy gorszy jest *domowy złodziej.* Bo któż go zna, kto go upatrzy! Raz po raz coś zginie. Już ci posądzenie na tego lub owego, a najczęściej na niewinnego: a winowajca spokojnie siedzi i jeszcze na drugich podwodzi — ztąd kłótnie i obraza Boska. Szczęściem, kiedy *oliwa wyjdzie na wierzch*, a czasem wyjdzie i to osobliwszym sposobem.

Pamiętam, jakby dziś, o jednym takim domowym złodzieju. Był-ci wtedy jeszcze nie duży ze mnie chłopiec i służyłem za koniarka u nieboszczyka Walka, może go jeszcze pamiętacie. Otóż w tym domu zawsze coś ginęło, to gospodarzowi, to dziewkom, to samej gospodyni, czasem i któremu parobkowi

parę groszy, a najczęściej wtedy, kiedy sobie nieźle podpruszył. Kto wziął? ani rusz zgadnąć! a przecie musiał ktoś wziąść i to nie z obcych, bo albo żadnego śladu nie było, albo też nikt u nas taki nie był, coby go można mieć w posądzeniu. Więc na kogo spadała wina? jużcić na któregoś z czeladzi; raz na tego, drugi raz na owego, a i mnie posądziła była raz gospodyni, żem jej świsnął trzy *czeskie*, choć Pan Bóg świadkiem, że nie była prawda.

A miał też gospodarz parobka Stacha, okrutnego pochlebnisia, czy jak my go tam nazywali: *lizuniem*. On na każdego podwodził, a sam się ze wszystkiego omywał — on też był powiedział gospodyni, żem jej wziął trzy *czeskie* i oberwałem od niej parę razy miotłą, a co mnie się *juchaczem* naprzezywała! Boże! odpuść jej to wszystko. Gospodarz to nie wiele mówił, ale okrutnie się kwasił.

Aż tu razu jednego wszystko się wydało. Poszli byli gospodarze do sołtysa na kiermasz. Czeladź była w domu, a ja wyprosiłem się po koszulę do matki. — Nazajutrz gospodarz miał kupić smoły; otworzył do skrzynki, a tu mu brakło dwóch złotych. Rozgniewał się bardzo, podchodził wszystkich, wszyscy się *dalibógowali*, że o niczem nie wiedzą, a najbardziej Stach. Koniec końcem dwóch złotych nie było.

W przyszłą niedzielę zawitał do nas świętej pamięci nieboszczyk Urban. Wówczas był jeszcze młody i żwawy, a taki filut i figlarz, żeś mu równego nie znalazł w całej wsi. Gospodyni powiada mu o zginionych dwóch złotych i o innych kradzieżach, co się były wydarzyły. Trąciła mu przytem do ucha, że to pewno nie kto inny zwędził te dwa złote, jak Stach, bo się najbardziej przysięgał i bił w piersi, choć w niego nikt tak bardzo nie wmawiał.

— Moja stryjenko! na to Urban — ja złodzieja wynajdę; każcie tylko wszystką czeladź zwołać.

Gospodyni kiwnęła na męża, aby też nas wyszukał i do izby sprowadził. Niebawem zeszliśmy się wszyscy. Urban ustawił nas rzędem i każdemu dał w gębę słomkę na dwa cale długą.

— Co to z tego będzie? myśli sobie każdy z nas — a tymczasem filut Urban bąka coś sobie pod nosem, czegośmy zrozumieć nie mogli. Nareszcie zawoła:

— Żeby mi się żadne nie ruszyło i na drugie nie patrzało. Jeżeli które z was owe dwa złote zwędziło, to niech wie, że mu słomka na cal w gębie urośnie i to nie za długo, najdalej w pięć pacierzy.

Staliśmy wszyscy jak wryci, żadne nie śmiało na drugie wejrzeć, chyba nieznacznie zyzem, czy któremu słomka z gęby nie wyrasta. A Urban stał naprzeciwko nas i patrzał w Stacha jak w tuza. Parobek raz pabladł, to drugi raz czerwienił się jak głownia, bo to nam zaś Urban potem wszystko opowiedział. Nareszcie usłyszał, że Stach zgrzytnął zębami.

— No, dosyć już tego! odezwał się Urban — teraz już wiem, kto złodziej. — I zacząwszy odemnie, poodbierał z gęby słomki. A gdy odebrał od Stacha, zaraz poznał, że on kawał słomki ugryzł, bojąc się, aby mu jako złodziejowi na cal nie urosła.

Tym sposobem wydała się sprawka Stacha; przyznał się do kradzieży, wszyscyśmy na niego gadali, a gospodarz już nie czekał aż mu się rok skończy, ale go zaraz odprawił. Odtąd inaczej go nie nazywano, jak *słomka.* Z wielkim wstydem odszedł Stach, a nawet się ze wsi wyniósł i przepadł gdzieś jak kamień w wodę.

— Jabym jeno rad wiedzieć — odezwał się teraz jeden z młodszych gospodarzy — czyby też owemu Stachowi było słomki na cal urosło?

— O, gdzie tam! rzeknie Sebastjan — zwyczajnie filut Urban podszedł w ten sposób złodzieja. Stach miał sumienie nieczyste; w strachu uwierzył na raz, że mu *słomki przyrośnie*, dla tego jej ugryzł. Rachował mu to Urban, bo wiedział dobrze, *że na złodzieju czapka gore*, i żeć go samo sumienie wyda, choć sam nie będzie wiedział jak.

— Oj, tak to tak! zakończył kościelny — najlepiej nie krzywdzić nikogo, to i sumienie będzie czyste i spokojne.

ŁASKA BOŻA.

Opowiadał Welenty ze Smolnicy.

Nie za górami i lasami, ale rzec-by można tuż pod nosem, bo ledwie milę za Lwowem, leży przy gościncu do Janowa wieś *Rzęsna ruska.* Nie wielkać to wioszczyna, ot najwięcej jak ma chat trzydzieści; ale zato ciągnie się przy murowanym gościńcu w pobliżu wielkiego miasta, gdzie o zarobek nie trudno; więc też jako tako mają się gospodarze a i zagrody wyglądają wcale nie szpetnie. Jednak do niedawna nie miło było jakoś jechać tamtędy, bo człek widział i chaty, i stodoły i stajnie, i opory i karczmisko setne z mendlem żydów przy drodze, ale nadaremno sięgał okiem za domem Bożym, za kościółkiem albo cerkiewką jaką taką.

Rzęsna ruska nie miała swej cerkwi własnej, gospodarze musieli do drugiej wsi o pół mili drogi chodzić na służbę Bożą. Nie dalekoć to wprawdzie, ale zawsze bardzo dolegliwie i nie na rękę; bo jedno szpetnie i nieprzyjemnie wygląda wieś bez domu Bożego na oko, a drugie wiecie jakie ztąd dla pobożnych mieszkańców kłopoty i przykrości: ot jeden wybierze się do drugiej wsi zawcześnie i parę godzin musi czekać na słońcu; drugi się znowu zapóźni i przyjdzie świece gasić, trzeci radby pomodlić się Panu Bogu, ale cóż, kiedy nie domaga, zepsuł sobie nogę i nie zajdzie pół mili drogi!

Otóż wszystko to rozważali sobie gospodarze w Rzęśnie ruskiej i jakby ich nagle Pan Bóg natchnął, wszyscy zawołali jednozgodnie:

— Już też tak dłużej być nie może, żebyśmy nie mieli własnej swej cerkwi. Śmiech powiedzieć, jeden i drugi i dziesiąty znać ma się nieźle, a tylko Pan Bóg u nas najbiedniejszy, bo nie ma swego domu własnego.

I jak jęli radzić i gwarzyć między sobą, tak też uradzili, aby jeszcze tej wiosny ściągnąć się z ostatniego i budować cerkiew. Wiedzielić z góry, że dwór da zaraz cegły, wapna i materjałów; ale chodziło o robotę, o dostawę, o majstrów,

a i to dla tak małej gromady rzecz nie mała. Przecież nie stracili ducha, jeno coprędzej zakasali rękawy a wzięli się całą siłą do roboty. W samej rzeczy wszystkich materjałów dostarczył dziedzic, gromada miała tylko pozwozić i dostawić majstrów i robotników.

Zdawałoby się, że to za wielki ciężar na tak małą gromadę; ale gdzie dobra wola tam nie za ciężko. Pewna rzecz, że człowiek za godzinę więcej zrobi, kiedy chce, niż na dzień, kiedy musi. Toż rychło i raźnie rozpoczęła się fabryka i roboty postępowały z każdym dniem dalej.

Tymczasem wszystkie wsie w sąsiedztwie nie chciały wierzyć, aby się tak prędko udała budowla.

— Ot waryjaty — mówili sąsiedni gospodarze i kiwali głowami — i wiosnę sobie zatracą, pola nie sprawią i cerkwi nie wybudują! gdzie to na trzydzieści chłopa takie roboty.

Zamiast tedy pomagać im przy tak uczciwej pracy, to jeszcze przymawiali. Aliści się zawiedli srodze. Rzęśnianie nie tylko że prędko budowali cierkiew, ale prędzej jeszcze od nich pokończyli roboty w polu, a nawet z częsta gęsta nie opuścili zarobku. Prawdaż, że pracowali wszyscy, młodzi i starzy, chłopi i baby, ba nawet dzieci podawały cegły, mięszały wapno i posługiwały przy fabryce.

I owóż posłuchajcie, jaka ich za to czekała nagroda. W tegorocznem lecie nie trudno było o nieszczęście, a szczególniej koło Lwowa wnet tu, wnet tam spadały burze i grady okrutne. I pewnego dnia w samo południe widzą Rzęśnianie, jak straszna chmura, czarna jak węgiel, z hukiem i szumem ciągnie ku nim a tuż za wsią widać nawet jak wali gradem, jakby kurzemi jajami. Serce im skamieniało z przestrachu i oddech się zaparł w piersi, bo to ściągnęli się na tę budowlę, a jedyna ich nadzieja była w polu.

Aliści czarna chmura huczy i szumi, lecz nie sypie już gradem, jeno z wolna przeciąga nadewsią, a dopiero druga mniejsza z tyłu rozlała się deszczem. I ani jedna grudka gradu nie padła na grunta Rzęsny ruskiej, a we wszystkich wsiach sąsiednich na około, w prawo i w lewo, z tyłu i z przodu zbiła na błoto cały zasiew. — Kto z Bogiem, Bóg z nim.

Pogadanki starego pszczolarza.

Opisanie przez Adama z Pepłowa.

Niedaleko *Płocka*, het aż na Mazurach, mieszka sobie nad samą Wisłą jeden gospodarz, co się nazywa *Jacenty*. Letni to już człek, ale jeszcze zdrowo i krzepko się trzyma, zwyczajnie jak stary żołnierz. Jacenty sługiwał jeszcze w polskiem wojsku, za czasów owego sławnego wojownika *Napoleona*. Jak się ta wojna skończyła, powrócił do domu i pomagał ojcom w gospodarstwie. Wkrótce potem ożenił się i był już ojcem *sześciorga* dzieci; aż tu się znowu na polską wojnę zaniosło. Więc żonę i dzieci zostawił Bogu w opiece a sam poszedł na wojnę i bił się z Moskalami aż do samego końca. A kiedy wrócił do swoich, to był jakiś bardzo smutny. Żonie tylko tyle powiedział, że Moskale wygrali — i przez cały rok potem nie mógł przyjść do siebie; chodził od rana do wieczora jak mruk jaki, rzadkoć do kogo zagadał i jeno się raz wraz modlił i wzdychał. Po roku już się był trochę uspokoił i dopiero na prawdę pomyślał o gospodarstwie, bo do tych czas to baba wszystkiem zawiadywała a jego jakby nie było. Jeszcze wtedy żył jego ojciec, ale już bardzo był stareńki. Jak była zima, to nawet z chałupy nie wyłaził; za to na wiosnę to już prawie cały dzień przesiedział w swojej *pasieczce* i słuchał jak pszczółki brzęczą. Otóż często gęsto i syn do ojca zaglądał i uczył się od starego *pszczolarstwa*. A im dłużej go słuchał, temci bardziej mu się to podobało. W końcu tak się był rozmiłował w pszczołach, żeć nieraz ojciec sam musiał go napędzać z pasieki, aby niezaniedbywał reszty gospodarstwa. — Po śmierci starego już się Jacenty pszczół nie popuścił, tem bardziej że widział, jaki z nich piękny pożytek może mieć pilny gospodarz. I jakoś Bóg mu błogosławił, pszczółki chowały się zdrowo i rok rocznie nowe roje przybywały, tak że dziś jego pasieka liczy coś z dwieście ulów — a jego już inaczej nie nazywają, jeno *starym pszczolarzem*.

Przed kilkoma laty byłem u Jacentego w gościnie. Zaraz mnie zaprowadził do swojej pasieki. Aj pasieka to pasieka! aż rozkosz bierze patrzyć. Jacenty pokazywał mi rozmaite ule, rozpowiadał historją każdego, pouczał jak należy chodzić wedle pszczół, aby się dobrze wiodły, wyrachował jaki do roku można mieć dochód z pasieki — że jak padnie na dobre lato, to i kilkadziesiąt reńskich się zbierze z jednego ula. — A ja to wszystko pilnie słuchał, i myślę sobie: dlaczego to nasi gospodarze tak mało dbają o pszczoły? Przecie na to nie potrzeba wielkiego wydatku, dochód jest piękny, a i pracy wedle tege nie wiele, boć taki zachód raczej bym nażwał zabawką a nie pracą! — Tak tedy myślę i zaraz sobie w głowie ułożyłem, żeby wam kiedyś na zachętę opowiedzieć wszystko to, co się tyczy pszczół, a com wtedy zasłyszał od onego *starego pszczolarza.*

I.

Co to jest rój?

Chcesz, mój człeku — mówił Jacenty — nauczyć się obchodzenia z pszczołami, powinieneś naprzód wiedzieć jakie są potrzeby tych *żyjątek.* Potrzeb zaś ich znać nie będziesz, jeżeli się dobrze nie przekonasz, jak one żyją i jak się rządzą w tej swojej gromadzie, co się nazywa *rojem.* Jedna taka gromada czyli rój składa się z *matki*, z *pszczół roboczych* i z *trutniów.* Roja chowa się w *ulu* albo w *koszce* słomianej. Kilkanaście takich ulów z rojami stanowią *pasiekę.*

Potem roztworzył stary Jacenty jeden z ulów, i wskazał mi na okienko szklanne, które były zaraz pod samemi drzwiczkami, abym się przypatrzył lepiej pszczołom. Na oko wszystkie zdały mi się podobniusieńkie do siebie; więc się obrócę i rzeknę do Jacentego:

— A przecie wszystkie pszczoły jeddakowe! nie widzę ani tej *matki*, ani *trutniów*, coście mi o nich gadali.

— Boś panie mój *fryc* jeszcze — powie Jacenty — to dla tego nie widzisz. Ale ja ci tu zaraz pokażę. — I pochwycił dwie pszczółki, siedzące na ulu. — Ot, patrzaj teraz! powiada dalej, ukazując mi obie pszczółki — to jest *truteń*, co

go trzymam w lewej ręce, a ta zaś w prawej to *pszczoła robocza*. Truteń, jak widzisz, porosły jest czarnemi włosami i daleko jest w sobie grubszy, niż pszczółki robocze; także nie jest ani taki zgrabny jak one, ani taki żywy w lataniu i w chodzeniu, ani też pracowity, bo owszem leniwiec jest wielki.

W tej chwili zabrzęczało mi tuż koło nosa; machnę ręką, aby się obegnać, i naraz tęgo krzyknę, bo mię pszczoła ukąsiła. Zaśmiał się stary, że ze mnie taka baba i że lada czego zaraz wrzeszczę; kazał sobie podać rękę, wyciągnął żądło i powie:

— Otóż masz jeszcze jedną różnicę trutnia od pszczoły pracownicy; bo truteń wcale nie kąsa, choćbyś go brał w rękę i nie wiedzieć jak długo trzymał, a zaś pszczółka ta cię zaraz utnie, bylebyś ją napastnął. Nie potrzeba było machać ręką, toby sobie była spokojnie przeleciała. Teraz przypatrzże się pszczółce, co takie żądełko ma ostre na swoją obronę: małać ona, ale zgrabna i niezmiernie żywa; do latania ma cztery skrzydełka: dwa małe i dwa znowu większe. Pod małemi skrzydełkami znajdują się dwa otwory do oddechu; niemi to ona wraz z skrzydełkami sprawia takowy brzęk. Do pracy służą jej nóżki, których ma aże sześć, a na każdej nóżce u końca ma dwa pazurki.

Spojrzałem przypadkiem na ziemię i widzę jedną pszczółkę nieżywą:

— Co to się jej stało? zapytałem Jacentego, wskazując na oną pszczółkę nieżywą.

Odpowiedział mi: — Toć ta sama, co ciebie ukąsiła; bo musisz wiedzieć, że pszczółka bez żądła żyć już nie może, i skoro go utraci, zaraz umiera. Pokażę ci teraz matkę, jak wygląda. — To mówiąc, otworzył ul i okazał mi palcem na jedną pszczołę, co siedziała w klateczce. — Widzisz, powiada, że ona większa od wszystkich, a nawet grubsza jest od trutniów. Skrzydła jej są tak krótkie, iż połowę tylko tułówia ukrywają. Po wierzchu jest jasno-brunatna; pod spodem koloru pięknie żółtego; nogi ma żółto brunatne, gdy tymczasem u innych pszczół są one czarnemi; przytem jast bardzo piękna i nadzwyczaj żywa.

— No, to sobie zapamiętaj na początek — mówił dalej Jacenty — com ci rano rzekł o matce, o pszczołach roboczych i o trutniach. Teraz pokaż mi swoją rękę! Widzisz, powiada, gdybym ci był zaraz żądła nie wyjął, byłaby ci ręka spuchła, jak poduszka, a tak toć jeno trochę napuchło; i temu wnet tu zaradzimy.

To mówiąc, dobył z kieszeni jakąś flaszeczkę, puścił z niej kilka kropel jakiegoś płynu na opuchliznę, natarł mocno i patrzaj, że prawie w jednej chwili już żadnego znaku nie było. Zapytałem go, co to jest za balsam gojący?

Odpowiedział, że to nie jest żaden balsam, ale po prostu *spirytus salmiakowy*, który w aptekach *amonią* nazywają. Mówił mi także, iż dobry jest na to *spirytus kamforowy*.

— Jeżelibyś, radził mi dalej — nie miał ani jednego ani drugiego pod ręką, to sobie nakop trochę świeżej ziemi i przykładaj do rany. Także często pomaga na takie rany: sok z cebuli — utarta sałata — mocna wódka lub oliwa.

Mówił mi nadto, że on sam przypadkowo doszedł jednego sposobu, który mu zawsze pomagał, ile razy go tylko pszczoła ukąsiła. Po prostu, bierze się mocny ług z popiołu drzewnego, i tem się ranę obmywa.

Nareszcie ostrzegał, że nie każdy środek jest zarówno dla wszystkich dobry. Często coś jednemu pomoże, a drugiemu i trzeciemu wcale nie — dla tego niech każdy wszystkie środki próbuje, o jakich tylko wie i dopiero jak mu się już jeden doskonale nada, niechże go zawsze ma w pogotowiu, aby w razie ukąszenia od pszczoły zaraz mógł sobie poradzić.

Zapytałem go jeszcze: — Proszę ja was, panie Jacenty, a dla czegoć to one takie nie dobre, żeć kąsają?

— Mój ty człeku! odrzekł Jacenty — pszczoła robocza nie jest wcale zła, jeno się wtedy gniewa i kąsa, kiedyć się jej ktoś przeciwi, albo napastuje. Za przeciwieństwo uważa ona wszelkie niechlujstwo i brzydki pot, jeżeli go słychać od człeka. Dla tego idąc do pasieki, uważaj, abyś był zawsze czysto wymyty i w świeże chusty ubrany. Radzęć także każdą razą, kiedy masz z pszczołami do czynienia, natrzeć się ziołami przyjemnie pachnącemi, jako to: melissą, macierzanką lub rumiankiem pachniącym. A kiedy wypadnie miód pszczółkom podbierać,

wtedy musisz być jeszcze ostrożniejszy; i nie dosyć na tem, abyś był cysto ubrany, wymyty i onemi ziołami potarty, ale potrzeba jeszcze sitko wziąść na głowę, rękawice na ręce i dobrze się zaopatrzyć ze wszystkich stron. Ale o tem potem. Ot, już i wieczór, chodźmy do domu.

Przez drogę dziękowałem Jacentemu za naukę: — Nie uwierzycie, panie Jacenty — powiadam — jak mnie to wszystko bawi! i gdybym wiedział, że was to nie utrudzi, tobym częściej tutaj zaglądał na taką pogadankę.

— A owszem, proszę! odpowie stary pszczolarz — rad wam będę z duszy serca i we wszystkiem pouczę, co mi jeno wiadomo. Jutro wybieram się do księdza *Dolinowskiego*, co to nowy ul wynalazł, tak zwany *ramowy ul* — tobym się chciał jemu przypatrzyć. Zabawię tam z parę tygodni — potem zapraszam was do siebie.

Nazajutrz pożegnałem starego Jacentego, życząc mu szczęśliwej drogi.

RÓŻNOŚCI.

Szarańcza. — Oj, rozleciała się ta bieda, rozleciała szeroko po naszej ziemi! Jak zaczęła się walić od moskiewskiej i mołdawskiej granicy, tak poszła sobie het przez Podole, aż na Stryj, Sambor i do Przemyśla. Powiadają, że kędy leciała, to się słońce na kilka godzin ścimiło, a taki był szum i hałas, jakby gradowa chmura szła; a kędy padła na odpoczynek, to już oddaj się Bogu, a nawet nie zazieraj na pole gdzie co było, boć jeno gołą ziemię zobaczysz — takie to psiarstwo żarłoczne! Nawet liściom na drzewach nie podaruje; to też i lasy i sady wiele od tej szarańczy ucierpiały.

Strach na koniczynę. — W krakowskiem i dalej jeszcze za Krakowem, miały się tego roku pokazać jakieś gąsienice na koniczynie, co jej na piękne główki poobjadały.

Sposób, aby ziemniaki nie gniły. — Przechwala się jeden niemiec, jakoby wynalazł pewny sposób na ziemniaczki, coby się nie psuły. Powiada on, że dosyć posypać je *gipsem mielonym*, a będą zdrowe. Kto ma ochotę, niechaj spróbuje, czy to prawda.

Skąpy dwa razy traci na swojem skąpstwie. Ciekawą też o tem wyczytałem historję. Ponoś to na Mazurach było w jednej wsi. Mieszkał tam

gospodarz nazwiskiem Mądrala, setny skąpiec, co to zbierał grosiwo, a tkał pod poduszkę, i za sochę i Bóg wie gdzie jeszcze, a nikomu nic zgoła, choćby też na obwinięcie palca nie podarował. Ten gospodarz zabił był sobie razu jednego wieprza wielkiego i tłustego. A trzeba wiedzieć, iże w onej wsi od dawien dawna był taki piękny zwyczaj, że kto zabił wieprza w domu, albo owoce zbierał, zaraz rozsyłał sąsiadom i przyjaciołom i z nimi się dzielił. Otóż Mądrala, kiedy wypadło brać od drugich, ho! to brał i nic nie pytał — aleć teraz, jak znowu przyszło swojem się podzielić, to mu się jakoś strasznie nie chciało. Kręcił się tedy i kręcił, czyby tu nie można jakiej rady wykręcić, aby nikomu nic nie dać a nie rozgniewać ludzi na siebie. Na to nadchodzi sąsiad Wyrwas; widzi że Mądrala jakiś kwaśny, więc się zapyta:

— Moiściewy! jakiego znowu robaka macie, hej?

— Oj miły sąsiedzie — powiada Mądrala — nie wiem co to począć! zabiłem ci wieprza, ale takiego maluśkiego żeć prawdziwie w głowę zachodzę, czem się to będzie podzielić z sąsiadami? a znowu nie podzielić się, to jakoś nie wypada?

— Ha jużcić, że nie wypada! odpowie Wyrwas, co go znał na wylot, że to Mądrala nad Mądrale; a że sam był człek przebiegły i nie koniecznie sumienny, więc daje mu taką radę:

— Udajcie kumotrze, że wam dzisiaj w nocy złodzieje wieprza zwędzili; wszyscy uwierzą i na tem się skończy, że nikomu nic nie dacie.

Mądrala aż klasnął w ręce, tak mu się ta rada podobała: — Dobrze mówicie, mój sąsiedzie! powiada — Bóg wam zapłać tymczasem! jak narobię kiełbas, to wam z jedną podaruję,

— Dziękuję wam! ja tam znowu nie taki chciwy — odrzeknie Wyrwas, pożegnał i odszedł. Przez drogę myśli sobie: — Poczekaj skąpcze, już ja ciebie nauczę rozumu. A gdy noc nadeszła, zakradł się on Wyrwas do mieszkania Mądrali i zwędził mu całego wieprza. Rano hałas i krzyk u Mądrali; wszyscy szukają wieprza, gdzie tam! jak kamień w wodę przepadł. Wybiega Mądrala i napotyka złodzieja Wyrwasa:

— Wiecie co, kumotrze — powiada ze żalem — wieprza mi ukradziono dzisiaj w nocy!

— Dobrze, odpowiedział mu złodziej — tak trzeba mówić wszystkim, których napotkacie.

— Ale to nie żarty, moiściewy! prawdziwie mi go ukradziono; przysięgam Bogu, że go ukradziono.

— Dobrze sąsiedzie, tylko tak przysięgajcie się wszystkim, a zaręczam, że wam uwierzą.

— Ależ na Boga! zaklął Mądrala i aże się zapłakał jak dziecko. A szelma Wyrwas jeno się uśmiecha: — Tęgo udajecie, powiada — zjedzą djabła czy się domyślą!

Mądrala widzi, że się z sąsiadem nie dogada i pobiegł dalej na wieś. Aliści przebiegły złodziej już poprzód był rozpowiedział całej gromadzie

jak się go radził skąpiec i co on mu na to poradził. Toż przed kim się jeno Mądrala skarżył, nikt mu nie wierzył, chociaż się klął na duszę, i płakał i ręce łamał. Owszem jeszcze sobie każdy pomyślał: — Nie dosyć że nas oszukał, jeszcze nam tu w żywe oczy łże, obmierzły skąpiec!... Miał więc Mądrala dwojaką karę za swoje sknerstwo: i wstyd i szkodę.

Prawda, że jakoś potem w rok wydała się cała ta sprawa; Wyrwasa przycapili gdzieś na złodziejstwie i oddali go pod sąd. Wtedy przyznał się i do wieprza Mądrali, żeć go zwędził — ale już mimo to skąpiec nie mógł do samej śmierci naprawić sławy swojej w gromadzie.

Odważne żydy. — Żydzie! byłeś ty w wojsku?... pytał stary wiarus handlarza.

— Co nie miałem być!... ja nawet *zginułem!*

— Zginąłeś? a żyjesz?

— Ny, chce pan to panu opowiem...

— Bardzom ciekawy!

— Jak się zrobiła wojna, to pan burmistrz zas *wsistkich* w Pinczowie wymustrował na *pikuniarzy.*

— Cóż to za wojsko?

— My mieliśmy piki od tyczkowego grochu i dla tegośmy sobie tak *nazowali.* Jak *nieprzyjacioł buł o kilke mile*, to my wsiscy ksiknęliśmy: ura!... on sobie zląk i poszed — ale potem drugi niepsijacioł miał zle przewodniki i psised do nas, jak mi byliśmy na mustrze. Jak zaczęliśmy robić gewałt! hałas! wojnę!... takeśmy wsisci zginęli. Dopiero w parę kilka tygodni, jak pan burmistrz ogłosił licytacjom, takeśmy się, Bogu ziękować, wsisci znaleźli.

— Patrzaj, to wy odważne żydy!

— Aj waj!

—

Poprawka. Proszę ja was, zajrzyjcie-no jeszcze raz do 6go numeru „Dzwonka“, bom się tam w jednem miejscu pomylił. Pokażę wam gdzie: w *Różnościach* zachwalałem wam jedną książkę, co się nazywa *Szkółka powszednia.* W onej tedy pochwale rzekłem był przez pomyłke, *żeć się nasza ziemia ze wschodu na zachód obraca*, zamiast cobym miał powiedzieć: *z zachodu na wschód.* Otóż sobie poprawcie tę pomyłkę — a ja wam za to kiedyś całą tę rzecz wytłumaczę: z kąd nam wiadomo, żeć się ziemia obraca a nie słońce, jak się to na oko wydaje.

Słowa z pisma świętego.

Temu, kto się Pana boi, będzie się dobrze działo na ostatku, a w dzień śmierci swej będzie błogosławiony.

Kto czci ojca swego, doczeka się pociechy z dziatek.

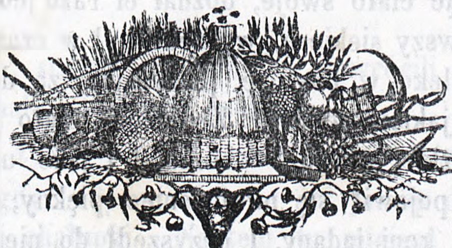
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. Nr. 8.

11. Września 1860.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ŚWIĘTY JĘDRZEJ ŻÓRAWEK

pustelnik.

Najpierwszy nasz Swięty był *Jędrzej Żórawek.* W Polsce się rodził jako ubożuchny wieśniaczek, a umarł na ziemi węgierskiej jako święty pustelnik. Na onej puszczy bardzo ostry żywot prowadził. Modlił się i pracował, kopiąc ziemię w ogródku, albo obrabiając drzewo w lesie na rozmaite potrzeby. Choć tak ciężko pracował, nie jadał jeno coś dwa razy na tydzień. Po dziennej zaś pracy takie było jego odpocznienie nocne: miał on w pośrodku izby pień jeden ogrodzony do koła ostrą trzciną i na nim siedząc, odpoczywał w nocy. Skoroż się we śnie na którą stronę przechylił, zaraz go ostra trzcina ukłóła i obudzić się musiał. Nie dosyć na tem! jeszcze nad głową zawiesił krążek drewniany, u którego ze wszystkich czterech stron poprzywiązywał kamienie. Otóż za każdą razą, jak mu się spiącemu głowa pochyliła, na którą bądź stronę, kamień w nią uderzał i sen z ciała wypłoszył. A gdy nadszedł post wielki, to na całe czterdzieści dni jeno sobie czterdzieści orzechów

zachował, przestając co dzień na jednym orzeszku — i tak aż do samej Wielkiejnocy przeczekał.

Tak martwiąc ciało swoje, doznał ci razu jednego cudownej przygody. Wziąwszy siekierę, wyszedł był w czas rano z domku i zapuścił się daleko w puszczę, pozierając za drzewem, co go potrzebował do jakiejś roboty. Zbiedzone ciało jego nie podołało tą razą ciężkiej pracy — omdlał i jako umarły leżał na drodze. Aż tu pojawił się młodzieniec piękny, na jakimś cudnym wozie bez koni jadący. I przyszedł do niego, podźwignął go z ziemi i omdlałe ciało złożył na on wózek cudny i tak-ci go przywiózł aż do chałupki, kędy zamieszkał na puszczy. Dopiero począł go cucić, aż nie ożył. Wtedy znikł, że nie wiedzieć gdzie się podział. — I poznał Święty, że to był Anioł Boży.

W takowej to łasce był u Pana Boga nasz św. Jędrzej pustelnik już za swego żywota. A cóż dopiero po śmierci!..... Mój człeku! nie wiem czybyś rychło policzył wszystkie cuda, które się działy za przyczyną tego Świętego. Jać tylko jeden opowiem:

Na onej pustyni, kędy zamieszkał nasz Święty, ukrywali się także rozbójnicy. Owóż razu jednego — a było to już po śmierci św. Jędrzeja — powadzili się byli owi rozbójnicy nie wiedzieć o co między sobą i przyszło do bitki. Z razu jeno kułakami się obkładali; aleć jak się bardziej rozżarli, dopiero się zaczęli dźgać nożami, aż jeden drugiemu na śmierć dojechał. Skoroż się zbóje opamiętali, poskoczą co tchu do tego, co był ranny, aby zobaczyć, czy też co z niego będzie, lub nie. Jeszcześ dychał nieboraczysko, ale już bardzo słabo — i nie było już żadnej nadziei, aby żył. Podnieśli go z ziemi i tak sobie myślą: gdzieby go złożyć?... Do jaskini, gdzie się na noc chowali, było nazbyt daleko — a nie opodal od tego miejsca stała właśnie chałupka pusta po św. Jędrzeju. Uradzili więc, żeby go tam zanieść i tak też zrobili. A zanim go donieśli, już-ci on w rękach im skończył.

Już tedy umarłego położyli w chacie, chcąc go nazajutrz pogrzebać. Skoro świt przychodzą do onej pustelni za umarłym. Aż tu nad podziw znajdą koleżkę swego przy życiu.

Polękli się wszyscy, jak byli i jęli uciekać — a on na nich zawołał:

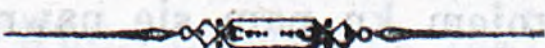
— Nie uciekajcie bracia! święty Jędrzej wskrzesił mię mocą Boską.

Słysząc to, strach ich minął i powrócili do chaty, a widząc go doskonale zdrowego rzekną:

— Kiedyś żyw i zdrów bracie, to chodźże z nami!

— Przenigdy! odpowie im — już ja się do samej śmierci nie ruszę z tej chałupki. Na tem tu miejscu pokutować będę za grzechy swoje, jako też i wam radzę, abyście zaprzestali złego rzemiosła.

Czy go usłuchali? tego nie wiedzieć; ale to pewna, żeć on sam się poprawił i jako pokutnik do samej śmierci na onej puszczy pozostał.



PIEŚŃ

o Najświętszej Pannie Częstochowskiej.

Witaj Jutrzenko rano powstająca,
Śliczna jak miesiąc, jak słońce świecąca;
Ty świecisz w miłej światu Częstochowie,
Gdzie czołem biją świata monarchowie.

Tobie z dwunastu gwiazd koronę dano,
Panią Cię świata wszystkiego nazwano;
Na Jasnej Górze, jaśniejszej nad słońce,
Tu lud upada do nóg swej Patronce.

Pocieszycielko ludzi utrapionych!
Do Ciebie, Panno, w nędzach niezliczonych
Lud się ucieka i prosi serdecznie,
By za przyczyną Twoją żył bezpiecznie.

Tam Twoje serce, kędy skarb przebywa,
Gdzie królewski stół Twój obraz nakrywa;
Niech odrobiny z niego nam spadają,
Twoi synowie niech głodu nie znają!

Otwórz Twój skarbiec, niech mamy Twe dary,
Któreś tu synom dawała bez miary;
Niech dziatki twoje doznają twej mocy,
Strzeż nas, o Panno, jak we dnie, tak w nocy.

Lubośmy Boga ciężko rozgniewali,
Jednakżeśmy się do Ciebie udali;
Obróć na nas Twe miłosierne oczy,
Niech nieprzyjaciel od Twych sług wyboczy!

Zastaw nas, Matko, Twojemi piersiami,
I syn Twój niech nas zasłoni ranami,
Niechaj gniew Boski w miłość się obróci,
Z złotym pokojem ku nam się nawróci.

A my Cię za to, ludzie utrapieni,
Gdy będziem przez Cię, Panno, pocieszeni,
Wychwalać będziem tu, póki żyjemy,
A potem wiecznie, gdy w Bogu zaśniemy.

Targowa przygoda Bartosza.

— Niech będzie pochwalony! rzekł Bartosz, wchodząc wieczorem do chałupy swego sąsiada Jędrzeja.

— Na wieki wieków! odezwał się gospodarz i podał mu rękę na przywitanie. — Siadajcie na ławie i powiedźcie mi, proszę, czyście wczoraj z miasteczka szczęśliwie powrócili, boście sobie nieźle u Szmulowej czubek gorzałką zalali. Czekałem ja na was dość długo, ile że mnie *wasza* o to prosiła; ale widząc, że nie ma końca, wsiadłem na wóz, wrzasnąłem na moje chetki i zostawiłem was przy kieliszku.

— Żeby was gęś kopła, Jędrzeju! zaklął Bartosz — wy nigdy nie dotrzymacie placu; zawsze się gładko wyniesiecie, gdy się człowiek w najlepsze zagada. A toć bywa, że dopiero

przy trunku język się ze wszystkiem rozplącze. Ja bym tam nie był i do karczmy zaglądnął, aleć mię coś w sumieniu gryzie, a to odtąd, jak mię ten drab przywłoka do procesu z panem namówił.

— O wa, a o cóż wy się to procesujecie z panem?

— To wy nie wiecie!?

— A coś mi tam moja baba mówiła, alem nie zmiarkował wszystkiego.

— Więc słuchajcie — odrzekł Bartosz. — Otóż widzicie, będzie temu ze cztery niedziele, jak się trafiło, że moja Jagusia zagnała chudobę na oną łączkę pańską, co jest za naszą zagrodą. Więc mi też pan zajął moje dwie krowiny. At no, kiedym tak zafrasowany onym wypadkiem zabierał się do dworu wyprosić nazad chudobę, naniósł czart, Panie odpuść, tego pismaka przywłokę, co się to często koło nas kręci. Owóż wziął się ten drab wywiadywać, czemu ja taki zaturbowany: a co to, a jak, a zkąd to ma pan prawo do tej łąki — zgoła o wszystkiem. Ja mu opowiedziałem wszystko po sprawiedliwości, a kiedym mu rzekł na końcu, że to mój tatuś nieboszczyk wynajmywali na odrobek od Pana oną łączkę, a to bywało i po kilka lat swoje bydło na niej pasał — tak-ci on przywłoka klasnął w ręce i krzyknął: — Ach, dobrze — będziemy procesować; Bartoszu, łąka będzie wasza!...

— Tfu — splunął Jędrzej — a bodajże go siarczysty piorun... I cóż wy na to?

— Ha, no — ciągnął dalej Bartosz — jak mi zaczął przygadywać i doradzać, tak-ci ja i przystałem na proces, jako żem był zły na ono zajęcie, choć ta i po słuszności się stało. Poszedłem więc zaraz na drugi dzień do miasta, dałem pismakowi na stemple i papier — aleć już od tego czasu tak mi się markotno na sumieniu zrobiło, żem zaczął i do karczmy zaglądać, bo to jak mówią: *dobry trunek na frasunek.*

— Hej, hej, Bartoszu — ozwał się sąsiad — to nieczysta sprawa!!...

— Oj, mój Jędrzeju, przekonał ja się wczoraj o tem — rzekł Bartosz, a potem się oglądnął za siebie i szepnął sąsiadowi na ucho: — Ten przywłoka to jakiś niesamowity!

— Ha, ha — zaśmiał się Jędrzej — a cóż wam zrobił?

— A no, posłuchajcie — zaczął Bartosz — a toż mi na wspominkę jeszcze teraz ciarki po plecach chodzą. Owóż tedy jakeście się już wy z karczmy wynieśli, tak ja dalej z Kubą o moim procesie, boć to on nie głupi człowiek. Kazałem dać półkwaterek wódki; poczciwe Kubasisko rozczuliło się, kazał dać drugi, ja trzeci. Wychodzę nareszcie ostatni z szynkowni, chcę siadać na wóz, wytrzeszczam oczy, bo mi się w głowie wszystko kręciło; nic nie widzę. Domyśliłem się zaraz, że moje zniecierpliwione szkapska, jak zwyczajnie, same ruszyły do domu. Ha, cóż było robić? musiałem wracać pieszo do domu, choć mi głowa okropnie ciężyła, ba i nogi nie statkowały. Już tego wreszcie nie baczę, co się ze mną stało; pomnę tylko, jak gdyby we śnie, że gdym się z trudnością dobił do rozstajnej drogi wedle mostku, to mi on całkiem zniknął z oczu. Szukam, biedolę się, aż tu woda coraz jakoś bardziej przybiera; ani podobna przejść. Pomyślałem sobie, Boże odpuść grzechy, żeby cię trzysta kaduków porwało razem z mostkiem — aż tu ci ni ztąd ni z owąd postrzegam w rogatym kapeluszu blisko mnie stojącego kusiciela.

— Hou, pewnie ów przywłoka — zawołał Jędrzej.

— Nie, poczekaj — prawił dalej Bartosz.

— Dobry wieczór kmotrze! — rzekł do mnie ten nieznajomy; — co porabiacie? cóż wam to? czego się tak w kudły drapiecie?

— Dobry wieczór waszeci — mruknąłem — domyślałem się bowiem, co to za sztuczka, zwłaszcza, że nie pochwalił Pana Boga. Z razu myślałem, że to on przywłoka, bo taki był podobny do tamtego, jak dwie krople wody; takoż suchy jak szczypa i we fraczku. Tylko wiecie co — szepnął znowu Bartosz na ucho sąsiadowi — zobaczyłem u niego dwa rogi na głowie.

— Dwa rogi! — zawołał Jędrzej, odskoczył i przeżegnał się uczciwie.

— Alem się go nie zląkł bynajmniej — ciągnął dalej Bartosz. — Księżyc świecił pięknie, a ja, jak wiecie, kiedym podochocony, nie dam sobie lada komu w kaszę napluć. Jednakże,

pomyślałem sobie po chwili: lepiej dać mu będzie dobre słowo. Bo mnie tak poczciwe tatusisko, Boże świeć nad jego duszą, nauczyło: żeby być potulnym, nie brać nigdy na kieł, chyba gdy do ostatniego przyjdzie, a wszakże lada urwisz może człowiekowi dopiec, gdzie się ani spodzieje. Owóż tedy, dodałem spokojnie:

— A jakże się nie mam frasować, kiedy moje poczciwe kobiecisko już dawno mię wygląda, a tu przeklęty mostek znikł jak dym: żeby go trzysta djabłów wzięło!

Rozśmiał się kusal na to moje nabożeństwo i nabierając, jak się zdawało, lepszej ochoty, rzekł do mnie:

— No, kmotrze, jeżeli wam tylko o to idzie, to ja was przeniosę.

W to mi graj, myślę sobie, tego mi właśnie było potrzeba. To jakieś poczciwe i usłużne djablisko.

— No, jeżli wielmożny pan — rzekę — chcesz być tak łaskaw i nie żartujesz z biednego człowieka, to proszę.

— Zaraz — odpowiedział tamten i w tej chwili straszne orlisko nastawiło mi swego grzbietu. Ja nie wiele myślący skłoniłem mu się nisko do nóg, a potem wewaliłem się śmiało na niego i uchwyciłem za szyję. Raz tylko machnął skrzydłem, gdyby śmigą od wiatraku, a już wzbił się het tam w powietrze ze mną, jak gdyby z dudkiem.

— Ależ jaśnie wielmożny orle — rzekę pokornie — gdzież-to u kata lecicie? toć ja was prosiłem tylko o przeprawę do mojej chałupy; przecie ja nie mam gniazda na skale, jeżeli sobie pozwolicie powiedzieć.

— Milcz przeklęty gaduło! — ofuknął mię orzeł — a trzymaj się dobrze, byś nie zleciał i karku nie skręcił. A czy nie widzisz strzelca z fuzyą heń za krzakiem. Tego by jeszcze trzeba, żebym sobie dał wpakować nabój do brzucha, dla takiego jak ty szubrawca! A kto wie, głuptasie, czyby się i tobie nie dostało!

Nie było co na to odpowiedzieć, choć wam powiem szczerze, że mi się nie bardzo spodobał taki ton pański z temi pięknemi przezwiskami. Cóż było ano robić. Połknąłem wszystko spokojnie, choć mię zbierała chętka nakręcić temu urwiszowi

karku, boć właśnie był w moim ręku. Alem dał spokój, bom się zmiarkował, żeby to i dla mnie źle było.

— Ależ zważcie, jaśnie wielmożny orle — rzekę znowu — moja niska zagroda znikła mi już zupełnie z oczu. Gdzież to lecicie, jak oparzeni?

— Tam do kata, jaki mi zuch, wrzasnął orzeł — mówię ci obwiesiu, siedź spokojnie; bo jak cię kopnę nogą, to zlecisz na łeb i zetrzesz się na miazgę, że ani ziewniesz.

Pomyślałem sobie: Przeklęta gorzałko! do czegoś ty mnie przywiodła. Bartoszu! mogłeś sobie spokojnie chrapać przy piecu na ławie, a teraz jak włóczęga jaki wałęsasz się po nocy. Tu między kawkami za katy wietrzno i duszno, a co gorsza, mój znarowiony wierzchowiec djable mi się coś rozbrykał; gdybym go się tak mocno nie trzymał, jużby mię był podobno dawno z siebie zrzucił.

— No, cóż tam sobie pomrukujesz przebrzydły opoju — odezwał się znowu do mnie. — Tobie dobrze siedzieć, ale mnie dźwigać takiego bałwana! już mi skrzydła mdleją. Szczęściem, że ot księżyc niedaleko; musisz się na chwilkę za róg uchwycić, aż sobie trochę wytchnę.

Nie chciałem na to przystać, boć mi się wcale nie zdawało dyndać i nogami w powietrzu przebierać, nito wisielec jaki. A do tego jeszcze chwytać garścią za ów sierp błyszczący. Lecz wiele ten z siebie robi, co musi. Jakoż dolatując właśnie do samego miesiąca, tak się gwałtownie otrząsnął mój orzeł, żeć ja samochcący chwyciłem za rożek i zadyndałem w powietrzu.

— Do szczęśliwego zobaczenia — zagrzegotało z czartowskim śmiechem przeklęte orlisko. — Pozdrówcie odemnie waszą, jak ją zobaczycie; a tymczasem możecie sobie trochę podyndać i czekać na inną okazyę.

— O urwiszu, obwiesiu, cygańska duszo! żebyś z piekła nie wyjrzał! Tak to umiesz zwodzić poczciwych ludzi? — Nakląłem mu do woli, co mi tylko ślina na język przyniosła, boć już i widziałem, że mi się na nic nie zda.

Ha, owóż, kiedym onego tym sposobem pożegnał, obróciłem oczy moje na miesiąc i patrzę jakowej pomocy: aż tu potężne chłopisko gnój z kupy rozrzuca.

— Szczęść Boże — rzekę do owego chłopa, żeby go na język wyciągnąć. Ledwo mi odmruknął: daj panie Boże, aleć ja pytam się go dalej: — Jak się miewacie? co porabia wasza? czemuż to tak ciężko pracujecie, jak gdyby wam kto z batogiem stał nad karkiem? I, dalibyście pokój robocie. Hej, zażyjcie no sobie tabaczki, a opowiem wam moją przygodę.

Ale ów mrukliwy gnojek jak gdyby mię nie słyszał, robi sobie dalej i ozwał się tylko z pogróżką: — A ja wam mówię Bartoszu idźcieże sobie precz, bo tu dla was nie ma miejsca.

— Tać poszedłbym se chętnie, ale nie mogę — rzekę mu jeszcze pokornie. — Przecie wam tu nie zawadzam, boć się tylko troszynkę samego rożka czepiam.

— A toż właśnie, że nie mogę pozwolić, byście tu wisieli— odmruknął on gnojek. — Miesiąc mógłby się przegibnąć na jedną stronę, tobym i ja się skulnął. Idźcież więc precz, mówię wam po raz ostatni!

Już mię też niecierpliwość wzięła; widzę, że to niepeć więc rzekę mu po prostu: — Ej, co mi tam! komu się tu nie podoba, niech sobie idzie precz; ale ja się tu zostanę. Widzisz go, jaki mi zuch! Wiedz-że miesięczny drągalu, że mię teraz sam pan nie ma do rozkazania, a cóż dopiero taki drab i taki grzesznik, jak ty jesteś! Myślisz pewnie, że nie wiem, coś ty zacz? O, znam ja cię dobrze, ptaszku; i słyszałem ja nieraz od mego poczciwego tatusia, Panie świeć nad jego duszą, o twojem ukaraniu. Ho, ho, dobrze ci tak! A na cóżeś ty drągalu gnój rozrzucał w niedzielę podczas nabożeństwa? Jeżeli ano Pan Bóg za twój grzech cię karze, to przynajmniej bądź gościnny, a może ci to być pomocnem.

Lecz ten niegodziwy mruk od gnoju ani słowa nie powiedział na moje tak mądre gadanie, jeno podniósł widły do góry i gruchnął z całej siły w róg, za który się trzymałem. Róg się naturalnie ukruszył, a ja w ręku go trzymający het znowu lecę z powrotem.

— Szczęśliwa droga, Bartoszu! — zawołał teraz niegodziwy on człowiek. Pozdrówcie waszą odemnie, a nie spieszcie się tak prędko, bo wam tchu zabraknie.

Chciałem mu należycie odpowiedzieć, bo wiecie, że nie lubię w kieszeń chować takich przekąsów. Aleć miałem sam o sobie myśleć, przewracając się jak snop słomy, to głową, to nogami na dół. Aż tu coś zaszumiało i zagęgało mi koło uszów. Myślę sobie — dobre spotkanie, to pewnie sznur dzikich gęsi także w podróży. Nie omyliłem się wcale. Stary gąsior na przodzie odezwał się do mnie:

— Bartoszu, jak się macie? a co porabia wasza i dzieci, czy wszyscy zdrowi?

— Odpowiedziałem, że wszystko zdrowe chwała Bogu, a nie zdziwiłem się wiele oną łaskawością gęsiorka, boć same dziwy działy się przedemną.

— A zkąd-to — zapytał dalej — dokąd tak spieszycie?

— Lecę sobie na ziemię z miesiąca — odrzeknę — bo mię tam niegodziwe orlisko zaniosło. — I nuż zatem mu całą rzecz opowiadać, jak się to stało.

— No, kiedy nie macie pilniejszego interesu, to się uchwyćcie za moją nogę — rzecze gąsior — polecicie w naszej kompanii.

Pochwyciłem go mocno za stopę i lecieliśmy tak razem całym sznurem.

Po małej chwilce zaleciało mi coś do nosa, jak gdyby moja *stara* szperkę na ogniu smażyła.

— Stójcie-no chwilkę! — zawołałem na mego pana gąsiorka — a wszakże to moja chałupa. Pozwólcie mi na nią się spuścić.

— Gdzie tam Bartoszu, przetrzyjcież dobrze oczy a zobaczycie, że tu kałuża pod nami — rzecze gąsior. — Gdybym was puścił to pluśniecie jak szczupak do wody.

— Przecie ja to muszę lepiej wiedzieć, gdzie moja chałupa — obruszony, bo mię złość brała, że mię jeden gąsiorek chce rozumu uczyć. Więc nie wiele myślący puściłem z garści gęsią stopę i — kłap — w samą kałużę. Brrr, tak mi się wtedy zimno zrobiło, żem się od razu przebudził...

— A bodajże was Bartoszu! to się wam tak śniło? — wykrzyknął na to sąsiad Jędrzej, co się z ciekawością przysłuchiwał całej historyi.

— A jakżeście wy myśleli, że naprawdę?

— A niechże was Pan Bóg kocha — zawołał Jędrzej — toście w kałuży nocowali?

— I, zaś tam. Podpity uczciwie zawlokłem się pod chałupę, przewaliłem się koło wrót i takem sobie chrapał aż do rana. Dopieroć kiedy moja Magdusia wstała i zajrzała mnie wedle domu, tak też i wylała na mnie konew wody, żebym się orzeźwił.

— Ha, ha, dobrze wam tak Bartoszu! A co, pójdziecie jeszcze do Szmułowej?

— Ej, niech ją tam choroba.....

— Ha, ha — śmiał się dalej Jędrzej — a co, proces będziecie dalej prowadzić?

— Ej, niech go tam siarczyste pioruny... Jakbym też chwycił tego przywłokę, tobym wszystko z niego wytrząsł.

— A to za co?

— Bo widzicie, Jędrzeju, mnie się widzi, że to on sam mi się we śnie zjawił, i pewnie-by mię też ze swoim procesem aż na miesiąc zaprowadził.

— A może i do piekła! zawołał Jędrzej. — Toć u tych przywłoków to tak, jak u samych czartów: Nic u nich nie znaczy zabić sumienie w uczciwym człowieku i posłać go na wieczystą zgubę.

— Oj prawda, Jędrzeju, pójdę się wyspowiadać, żeby tam Pan Bóg dobrotliwy nie nakarbował sobie już tego zaczątku nieuczciwej rzeczy.

— Idźcie, mój Bartoszu — rzekł Jędrzej i uściskali się serdecznie sąsiedzi. — A jak wam kąpiel smakowała? zaśmiał się jeszcze Jędrzej.

— Ej, no, no, dajcie już spokój kpinom — rzecze Bartosz — a pożyczcie mi lepiej gratu do koszenia owsa.

Wziął Bastosz grat, pożegnał się, i już od onej przygody nie wdawał się z żadnemi przywłokami, ani w żadne procesa.

P. L.

O psie,

jako przydatny jest człowiekowi w nie jednym razie.

Nie zbyt to dawno, kiedym wam opowiadał, jak wiernym przyjacielem jest pies dla człowieka. Nie tylko, że mu tam jedno, czy mieszka z swoim panem w królewskim pałacu, czy w kmiecej zagrodzie; że jak kocha pana, to i w jadle wiele nie przebiera, byle srogiego głodu nie czuł; ale do tego nieraz bardzo jest przydatny dla człowieka. Powiem wam więc teraz o tem że psy są różnorakie i jak się niemi wedle tego można posługiwać.

Owóż najprzód jest *brytan*, a ten jest bardzo mocny w sobie, i potem go zaraz poznasz, że mu się skóra mocno zwiesza po obu stronach pyska. Użytek z niego wielki jest przy domu. W dzień go trzymasz na łańcuchu, żeby cudzych ludzi nie kaleczył, jako że jest zły bardzo, kiedy się przywiąże do ciebie i do twego gospodarstwa. Przyzwyczaja się brytan do takowej służby i dla tego spi sobie w dzień spokojnie; aleć za to w nocy nie potrzebujesz stróża, kiedy go tylko spuścisz z łańcucha. Nie zmróży on wtedy oka, obchodzi całe gospodarstwo, straszy szczekaniem złodzieja, a jak mu się tam już jaki nawinie, to pewnie nie uciecze z całemi łytkami. Jeżeli go zaś pies dostać nie może, to cię choć szczekaniem zbudzi i ostrzeże.

Jest potem *kądel*. Pies to zwykły podwórzowy; broni domu i często go także na łańcuchu trzymają, choć nie jest taki zły i mocny, jak brytan.

Jako trzeciego postawię wam tu psa, co się zowie: *owczarek*. Bardzo to jest pojętne stworzenie i da się włożyć doskonale do pilnowania owiec. Ładne ma takoż wejrzenie. Kudły u niego długie a najczęściej białe, tak, że prawie sam jako owca wygląda.

Używają jeszcze, jako wiecie, psów do polowania, bo jedne gonią, inne zwietrzają zwierzynę i tem są przydatne strzelcowi. Psy do polowania są te:

Ogar albo *pies gończy.* Ma on nos przytępiony, a pysk gruby i krótki i trochę do góry zadarty. Bardzo on jest dobry do polowania po kniejach i lasach. Zwietrza zwierza między haszczami, a gdy go wypłoszy, wtedy z ogromnem szczekaniem użera za nim i czepia się go, bo bardzo jest w onczas zażarty.

Potem jest *wyżeł*, a ten ma długie uszy i służy do szukania zwierzyny w polu. A toście może nieraz widzieli, jak uczony wyżeł idzie na ściernisko czy między trawę i wietrzy za ptastwem. Kiedy ano przyjdzie i co zobaczy, wtedy wstaje, podnosi łapę do góry i czeka. Dopiero na rozkaz pana skacze i płoszy, tak, że strzelać łatwo.

Dalej należy tu *chart*, a ten jest postawy cienkiej, wysmukłej, a lekki i szybki, jak wiater. Ztąd on jest bardzo zdatnym do polowania w otwartem polu, a już to na zająca najlepszy, bo go potrafi dogonić i schwytać.

Jest-ci j szcze jeden pies, mały i o krótkich nogach, a ten się zwie *jamnik*. Dla tego go tak zowią, iż jest bardzo dobry do wypędzania z *jam* lisów i borsuków. Że zaś jest nie wielki, więc się tam wszędzie pomieści.

Są jeszcze inne psy, a z tych już nie taki wielki pożytek, jak zabawa. Owóż takie psy są: *pudel* i *mops*. Pudel jest dosyć wielki, ma włos kędzierzawy i wełniasty, mops zaś z krótkim pyskiem, wielkiemi oczami; do tego ma uszy przycięte i płową sierść na całem ciele. Potrafisz nauczyć takie psy przez kij skakać, służyć na dwóch łapach, a jak mu co rzucisz, choćby na wodę, to ci zaraz przyniesie. I różne takie zabawne sztuczki, co czasem setnie ubawią człowieka.

Posłuchajcież teraz o niektórych psach dobrze znanych, jak wielkie usługi robili ludziom. A toż nieraz człowiek ma psu podziękować za utrzymanie zdrowia i życia własnego: albo z wody wyratuje, albo przed złym człowiekiem obroni; a choćby i z własną szkodą.

Jest-ci z parę set mil od nas jeden kraj, co go zowią *Szwajcarja*. Kraj to strasznie górzysty. Czubałki tych gór to gdzieś aż po za chmury wystają, a tam już na nich czy lato, czy nie lato śnieg leży. Kiedy zaś zima nadejdzie, to już śniegu

jest wszędy pełno, a takie zawieruchy, że niech Pan Jezus broni. Niebezpiecznie teżto iść człeku śród takiej zamieci, a tu kiedy głód doskwiera tobie i dzieciom, to przecież się trzeba z chałupy wychylić. Oj straszne wypadki wydarzają się wtenczas! Albo się na człeka w drodze taki świat śniegu zwali, że go het do znaku zagrzebie — albo też kiedy zacznie pruszyć i pruszyć i tak wszystko zasuje, że ani krzaczka, ani drzewka nie widać, to wtedy się ludzie błąkają; nareszcie jeden i drugi się zmęczy, sen go zmorzy — a na onczas kładzie się na ziemi i już nie wstanie, chyba na sąd ostateczny.

Wiele bardzo ludzi zginęło tym sposobem w onych górach, i już nikt nie zasłyszał o nich, ani się doszukał choćby martwego ciała.

Tym końcem osiedli na jednej z tych gór pobożni zakonnicy. Góra ta zwie się św. Bernarda, a najwięcej ludzi ginęło tam zawsze na niej.

Od tego czasu, jak na górze św. Bernarda owi zakonnicy osiedli, nie ma już tyle wypadków straszliwej śmierci w śniegu. A pewniebyście nie zgadli, kto się do tego najwięcej przyczynia. Otóż nie kto inny, jeno psy. Jest tam kilka tych poczciwych stworzeń, a są rosłe i tęgie, żeby jak trzeba, i człeka potrafiły udźwignąć.

Owóż tak to bywa: kiedy spadną ogromne śniegi i wielkie zamiecie nadejdą, wtedy codziennie rano wypuszczają mnichy dwa swoje psy na zwietrzenie, czyli jakiego nieszczęśliwego tam nie ma. Przywiązują wtedy jednemu płaszcz ciepły, zaś drugiemu kosz ze żywnością. Litościwe te zwierzęta naprowadzają zbłąkanych i osłabionych na drogę do klasztoru; tych ano odgrzebują, co już ich śnieg zasypał i wyciem dają znać swoim panom, aby przyszli z ratunkiem dla nieszczęśliwych. Są tam także i dzwonki po drogach, któremi przywołują zabłąkani pobożnych mnichów na pomoc. Oni więc idą za psami, biorą nieszczęśliwych do klasztoru, i tam ich już różnemi sposobami rzeźwią, jeżeli dadzą się jeszcze do życia przyprowadzić. Jak atoli Pan Bóg chciał, że już nie ma ani iskry życia w takim zabłąkanym, wtedy zanoszą trupa do zimnej piwnicy, kędy sko-

stniały stoi, żeby go choć krewni po jakim czasie poznać i uczciwie pogrzebać mogli.

Razu pewnego stało się, że szło kilku podróżnych przez górę św. Bernarda, a z nimi kobieta z dwojgiem dzieci. Straszliwa była zamieć. Wiatr wył jakby stado wilków, a śnieg sypał się ze wszystkich stron, niby ogromne chmury. Wypadek chciał, że nieszczęśliwa matka zbłądziła. Idzie, idzie, a tu ani żywego ducha, ani żadnej wioski, ni mieszkania ludzkiego. Zaczęły ją wreszcie siły opadać, zebrało się jej niby na sen słodki i upadła z dziećmi do śniegu. Mróz trzaskący przejmował srodze ich kości. Biedne dzieci cisnęły się do matki i wołały ratunku — ale daremnie. Nieszczęśliwa kobieta skostniała już z małem chłopięciem, a starszy chłopiec snem znużony, leży jeszcze żywy. Aż tu nadchodzi taki pies z klasztoru. Zwietrzył on podróżnych, wygrzebał ich ze śniegu i ogrzewał sam sobą, ale nic nie pomogło. Chłopczyk tylko przyszedł do siebie, a pies uradowany, jak się jął łasić i przymilać do niego, tak też ów w końcu siadł mu na grzbiet i tym sposobem dostał się do klasztoru. Skoro też w klasztorze chłopca odebrali, poczciwe psisko póty wyło i wracało się na tę drogę, zkąd przyszło dopóki zakonnicy nie poszli za nim i nie przynieśli owej matki z drugiem dzieciątkiem; ależ już oboje byli nieżywi. Dziwnie sprytny i dobry był ten pies. Zwał on się *Barry*, a uratował życie przeszło czterdziestu ludziom. Już też i sam nie żyje; a długo zakonnicy za nim żałowali, bo im był bardzo przydatny.

Jeszcze wam powiem o innych psach, które są w *Syberji*. Syberja jest to kraj daleko od nas na północ leżący, a wiecznie tam prawie śnieg leży i zimno jest okrutne. Owóż w tym kraju są psy wielkie i mocne, a bardzo do *owczarków* podobne. Mają one włos długi, gęsty, zwykle rudawy, albo żółto-biały; uszy prosto stojące. Zwą je *psami sybirskiemi*. Bardzo to są pożyteczne stworzenia. Przez krótkie lato, co jest w Syberyi, nikt się tam o psa nie frasuje. Chodzi on sobie po nad wody, łapie sam ryby i to jest jego jedyne pożywienie. Potrzebuje się ano dobrze wypaść w lecie, bo w zimie dla niego wielka robota. Owóż, moi mili, w takim kraju, gdzie się prawie nic nie rodzi, tylko co ludzie ryby suszą i tem żyją, trudnoby było

chudobę jaką utrzymać, a do tego konia, co przecież jeść mu trzeba dać dobrze. Kto wie, czyby nawet koń wytrzymał na takie zimno. Używają więc tamtejsi owych psów do jeżdżenia. Do lekkich sanek zaprzęga sobie sybiryjczyk pięć takich psów, a wtedy może siąść troje ludzi i mogą jeszcze mieć dobre pół cetnara pakunku. Jak są złe drogi, to jadą na dzień po pięć albo i sześć mil, ale po dobrej drodze to dwanaście a nawet i dwadzieścia za jednym razem potrafią upalić. Podczas drogi nie dają mu nic jeść, aż dopiero na nocleg. Wtedy zeżre kilka suchych ryb i już sobie nie krzywduje. Sami przecie widzicie, żeby to koń w takim śnieżnym kraju nie wiele poradził; a coby to jeszcze kosztowało wyżywić konia uczciwie! Aleć Pan Bóg w mądrości swej niedościgniony wie, gdzie jakie sposoby ludziom dawać, aby im było dobrze.

Widzicie więc, jaki to wielki z psa pożytek! A toć mu człowiek nieraz własne życie winien! Ileż to razy pies rzuca się do wody i ratuje tonącego. Nawet nad morzami trzymają psów, a te są już wyuczone do wyciągania tych nieszczęśliwych, co kulną przypadkiem do wody. I jakżeż to nie kochać tak pociwego stworzenia! Pamiętajcież więc przeczytać sobie jeszcze raz, com wam już dawniej powiedział i pilnujcież tego, żeby psom bez potrzeby nikt krzywdy nie robił. A jak się wyuczycie być łagodnemi dla podłego stworzenia, to i ludzi miłować będziecie.

Słowa z pisma świętego.

Odstąp od nieprawego, a odstąpi złe od ciebie.

Człowiek mądry będzie milczał aż do czasu słusznego.

Jeźli nabywasz przyjaciela, przez doświadczenie go nabywaj, a nie łacno mu wierz.

Czegoś w młodości swej nie zgromadził, jakoż w swej starości znajdziesz?

Nieobyczajnej mowie niech nie przywykają usta twoje: albowiem w niem jest słowo grzechu.

Wszelka mądrość od Pana Boga jest.

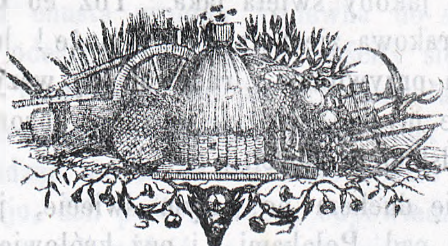
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. **Nr. 9.**

21. Września **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KRÓLEWNA JADWIGA

Ludwikowa córka.

I. *Jej strapienie i radość.*

Nie wiele pamiętają ludzie o *Ludwiku*, co był razem polskim i węgierskim królem. Dobrze to mówią, że *nie można dwie sroki za ogon chwytać;* jakoż i on nie podołał w dwóch miejscach panować. Siedział ciągle u Węgrów, a jak się zjawił w Polsce, tak-ci zaraz i uciekał. Toż nie dziwota, że nie było żadnego ładu przy takich rządach; jeden ciągnął tu, drugi owdzie, a tymczasem wrogi napadały na naszą Polskę i broiły gdzie się tylko dało. Szczęściem, że to dłużej nie trwało, jak przez lat dwanaście. Król umarł a z nim skończyły się te nicpotem rządy.

Owóż co się dzieje. Zostawił Ludwik dwie córki: jednej było Marya a drugiej Jadwiga. Maryę wydali Węgrzy za niemieckiego cesarza, a Polacy widząc, że drugie niebożątko Ja-

dwiga sama się została, posłali po nią do Węgier, żeby im też przyjechała królować. Cudnej urody była to panienka, a taka dobra i łagodna, jakoby święta jaka. Toż co to było uciechy kiedy jeno do Krakowa zjechała. Miły Boże! ludu jak mrowia wysypało się na przywitanie; radowali się wszyscy oną cudną panią, i nie wiele myśląc, włożyli jej zaraz koronę na nie wielką główkę, jako polskiej królowej.

Rozniesło się duchem po całym świecie, jako prześliczna panienka króluje nad Polakami, i nuż królowie słać w swaty. Aliści Jadwiga upodobała sobie była jednego księcia niemieckiego imieniem Wilhelma, i tak jej się już zdawało, że bez niego żyć nie może. Lecz owo Polacy, krzywo się na to patrzyli, bo im było jakoś nie do smaku z niemieckim księciem się bratać. Kiedy więc tak myślą, jakby tu królowej wybić z głowy owego gacha, zjechali suto do Krakowa nowi posłowie. Nie byłoć tam na nich wiele złota i jedwabiu, ale za to skóry niedźwiedzie i rysie, a chłop w chłopa jak dęby. Ledwo że w mieście stanęli, tak-ci się zaraz każą prowadzić przed królowę.

Nie mało było dziwów i zdumienia, skoro tylko posłowie przed naszą cudownie urodziwą Jadwigą stanęli. Setnej ochoty dodało im łagodne spojrzenie tej pani.

— Miłościwa królewno — rzekną tedy — przybyliśmy tutaj od naszego pana, *Jagiełły*, co jest wielkim księciem nad całą Litwą i Żmudzią. Zasłyszał pan nasz o twojej anielskiej śliczności, miłościwa pani, i szle nas tutaj abyśmy go tobie na męża raili. Jest on wielkim i mocnym księciem, ale jako jest wielki i mocny, tak nisko chce się ukorzyć przed tobą, jeżeli go przyjmiesz do twojego serca. Jest nasz pan teraz poganinem i my wszyscy w pogańskich bożków wierzymy; ale jeżeli ty przecudna pani zechcesz go przyjąć do siebie, tak on i cała Litwa przyjmie chrzest święty, bo wierzymy w ciebie, jak w anioła Bożego. I już odtąd jako z tobą Jagiełło, tak będzie na wieki Litwa z Polską, jako mąż ze żoną. —

Pobladła Jadwiga na oną mowę posłów i nic nie odrzekła; zaś panowie polscy uradowali się bardzo, bo to, jak widzicie, nie lada szczęście było, najprzód nawrócić takie gromady ludu

na wiarę świętą chrześciańską, a potem połączyć się na wieki z Litwinem, co był poprzód srogim Polski nieprzyjacielem.

Zbladła jak chusta wróciła królewna do swojej komnaty, skoro posłowie odeszli. Tu dopiero puściły się jej łzy z oczków, niby perły najdroższe, bo już przeczuwała, że jej wypadnie porzucić drogiego Wilhelma. Jakoż i tak się stało. Panowie polscy widząc, co to za szczęście będzie i dla królewnej i dla całego kraju, dali posłom dobrą odpowiedź, a owego księcia niemieckiego wzięli pędzić na cztery wiatry. Potemże dalej w prośby do Jadwigi, by też zapomniała o onym gachu, a uczciwie przyjęła litewskiego księcia. Ale królewna ani sobie powiedzieć nie dała, tylko nuż płakać i lamentować za swoim Wilhelmem.

— Ach ja nieszczęśliwa! co ja pocznę nieboga, co pocznę! zaczęła zawodzić załamując ręce.

— Nie rozpaczaj tak miła pani — rzeką jej starsi z panów — książe litewski bardzo jest uczciwy, a do tego dziarski rycerz, jako ludzie mówią. Nie tak owo jak twój gach malowany.

— I cóż mi potem, co mi potem — zawodzi Jadwiga żałośnie.

— Miła pani, ale Polsce będzie dobrze — odezwą się owi. — Tyle ludu nawrócić do Pana Boga jedynego, tyle kraju przyspożyć, a z najzawziętszych wrogów zrobić braci kochających!... Królewno! i Bóg i ludzie umiłują cię za to.

Zadumała się na to Jadwiga i już jej lżej było na sercu, widząc, że ludkowi siła dopomoże, choć się nie stanie po jej własnej woli. I panowie odeszli spokojniejsi i weselsi na twarzy.

Aż tu wejdzie służebna, a ta była zapłacona od Wilhelma, żeby buntować Jadwigę.

— Miłościwa pani — rzecze ta fałszywa — straszne oto rzeczy słyszałam od dworskich. Mówi jeden, że widział Jagiełłę, jako jest człek obrzydły. Mówi, że jest cały jako niedźwiedź kudłami obrośnięty, że nie ma głosu ludzkiego, ale prawie jakoby ryczał, kiedy się odezwie.

Mrowie przeszło królewnę na one słowa, zakryła oczy rękami, ale już sobie w duszy tak postanowiła, że gdyby i umrzeć było ze strachu, to pójdzie za Jagiełłę, a niech tylko Polska będzie szczęśliwa. Kiedy sobie tak ślubuje w duchu owo święte postanowienie, zrobił się hałas wielki na zamku, a tuż weszli wysłańcy do izby z nowiną, że Jagiełło jedzie. Zadrzała Jadwiga na te słowa niby liść osiczyny, i już jakoby święta jaka na stracenie, poszła do królewskiej komnaty przyjmować księcia litewskiego.

Słychać było gwar i szczęk broni z podwórza. Jadwidze biło serduszko z przestrachu, aż tu nagle podwoje się otworzą i wszedł książę litewski ze swoją drużyną. Jadwiga o mało nie krzyknęła z podziwu, taki był tęgi i urodziwy. I nie wiedziała sama, czy to sen, czy na jawie. Aż skoro książę przystąpił do niej i przemówił, dopiero się onej tak słodko zrobiło, jak w niebie.

Mój Boże! widzicie, co to złe języki nie potrafią. Tak strasznie obmówili źli ludzie Jagiełłę i przestraszyli królewnę, ale ona wytrwała w swojej świętej woli, i Pan Bóg ją za to nagrodził. Do razu też zapomniała i o dawnym gachu, bo nie było tęższego a łagodniejszego pana nad Jagiełłę, choć jeszcze był poganinem.

Owóż dobrze cała rzecz się skończyła. Wszyscy nie myśleli o niczem, jeno o weselisku. Jakoż za parę dni ochrzcił najprzód biskóp krakowski Jagiełłę, brata jego i wielu przedniejszych panów litewskich, a potem dał mu ślub z królewną przy ołtarzu. Niezadługo też ukoronowali Jagiełłę jako króla polskiego, a małżonka urodziwej Jadwigi. Więc potem dopiero były huczne gody na krakowskim zamku, a na godach pan młody rozdawał dary bogate. I radość była wielka w Polsce, a w Litwie chrzcili się ludzie i chwalili Pana Boga Najwyższego.

Śpiewka o Madeju rozbójniku.

Był las czarny, a w tym lesie Madej, zbój był srogi,
Z straszną pałką jabłoniową siadał wedle drogi;
Kto w las jechał, nie powrócił, śmiałość płacił drogo:
Madej ojca, matkę zabił, nie bał się nikogo.

Rok za rokiem siła ludzi potraciło życie,
Nikt nie wiedział kędy szczeźli, tak ginęli skrycie,
A w jaskini, w wielkiej skrzyni Madej składa gości,
Są tam białe, są i stare, pobutwiałe kości.

Szumią lasy ciemne lasy, boryczą niedźwiedzie,
Dzwonią dzwonki u dryndulki, ktoś tam lasem jedzie;
Słyszy Madej, waży pałkę, na palce się wspina,
A tu drogą krętą jedzie jakiś ksiądz, chudzina.

Trwoga padła na Madeja, rzucił pałkę skrycie,
Skoczył z krzaków: — Słuchaj księże, jeźlić miłe życie!
Jestem Madej, zbój nad zbóje, już mi w piekle łoże,
Już mi łoże wyścielają w same ostre noże.

Chcę się tobie wyspowiadać; ciężkie moje grzechy!
Bardzo smutne, puste życie pędzę bez pociechy,
Tak mi tęskno, tak mi duszno za tym młodym wiekiem,
Gdym krwi ludzkiej jeszcze nie pił, kiedym był człowiekiem.

I zapłakał Madej gorzko po raz pierwszy może,
I skruszony w sercu ukląkł i mówił w pokorze,
Mówił, mówił długie dzieje, dzieje bardzo krwawe,
A ksiądz słuchał zadumany i miał oczy łzawe.

Skoro skończył spowiedź oną, rzekł ksiądz: — Ciężkie grzechy!
I pokuty wielkiej trzeba dla dusznej pociechy;
Rozgrzeszenia-ć dać nie mogę, może kapłan inny
Razem z Bogiem ci odpuści twoje ciężkie winy.

Zaś pokuta będzie taka: za tą skałą w lesie
Potok górski czyste fale na dolinę niesie,
Z niego w ustach na kolanach będziesz nosił wodę,
Aż ta zaschła pałka twoja puści listki młode.

Gdy okwitnie białym kwiatem i owoce zrodzi,
Wtedy módl się a już wielki Bóg cię oswobodzi. —
Rzekł, i zatknął pałkę w ziemię i pojechał dalej;
I bezpiecznie odtąd ludzie przez ów las chadzali.

Rok za rokiem, długie lata Madej wodę nosił
W ustach swoich, na kolanach, Pana Boga prosił,
Po pas broda mu urosła, wyschły ręce, nogi —
I zakwitła jabłoń biała, dała owoc drogi.

Szumią lasy, ciemne lasy, boryczą niedźwiedzie,
W złotym wozie przez las gęsty stary biskup jedzie,
Jedzie biskup, a tu skwarno wody ni kropelki,
W tem go z lasu gdzieś doleci jabłek zapach wielki.

Szle ksiądz biskup w las woźnicę: — Przynieś jabłek parę —
Szedł woźnica, z niczem wraca, dziwi oczy stare:
— Cuda — prawi — jest tam jabłoń, złota jako żywo,
Pod jabłonią klęczy dziaduś po pas z brodą siwą.

Nic nie mówi, w niebo patrzy, jakiś taki święty,
Jakby miał być dzisiaj jeszcze żywcem w niebo wzięty;
Nad nim złote, wonne jabłka, a gdym rwać się wadził,
Głos z jabłoni do mnie mówi: Ten urwie, co sadził! —

Zadumał się biskup stary, schylił głowę siwą,
Jakby młodość chciał przypomnieć, co ubiegła żywo —
I zawołał: Wielki Boże! toć w tem ręka Twoja!
Ja sadziłem jabłoń złotą — więc to jabłoń moja!

I przystąpił do jabłoni, pod nią dziadek klęczy,
Broda po pas, wyschłe ręce, ale wzrok młodzieńczy,
Patrzał w niebo, nic nie mówił, taki zdał się święty,
Jakby jeszcze o tej porze w niebo miał być wzięty.

Śliczna jabłoń rozsochata; w górze na jabłoni
Miejsce w miejsce jabłka złote o przedziwnej woni;
Oj nie jabłka ci to złote, to duszyczki owe,
Co je z ciała wypłoszyły ręce Madejowe.

Stanął biskup i do starca wyrzekł klęczącego:
— Miłosierny Bóg na niebie — tajne sądy jego —
Największemu grzesznikowi przebłagać się daje,
Jeźli przed Nim z szczerą skruchą i pokutą staje.

Snać przebaczył, widzę jasno, gdy wysłuchał ciebie;
Czas rozwiązać i na ziemi, co rozwiązał w niebie!
Więc odpuszczam — rzekł i ręką gdy tknął starca lica,
W proch go rozwiał, w niebo śnieżna zbiegła gołębica.

A ze wszystkich jabłek złotych białe dusze gonią:
Dwie jak świeczki rozetlały w górze nad jabłonią,
Ojca, matki są to dusze, co tak jasno świecą,
Razem z czystą duszą syna w sine niebo lecą.

Wicenty Srokacz.

Batożki Kościuszki.

W wielkiem mieście w Warszawie, a będzie już temu lat sześćdziesiąt i kilka, żył sobie biedny, bardzo biedny rymarz. Nie był on taki ubogi ani dla tego żeby się zapijał, albo nie pilnował swego rzemiosła, ale jakiemś dziwnem dopuszczeniem Bożem nie miał z nikąd żadnego zarobku, a tu jak na nieszczęście żona go odumarła i zostawiła pięcioro drobiazgu. Było mu na imię Jakób. Dawniej bywało, przy dostatku, mieszkał sobie Jakób w samem mieście, a i najwięksi panowie dawali roboty do niego; ale teraz, miły Chryste, wyprowadził się na brudną i ciemną uliczkę, i tam ślęczał w takiej izbince, gdzie mało co że się wszystko nie waliło.

— Miłościwy Boże — modlił się nieraz Jakób — nie doświadczaj dłużej twojego sługi, bo nie zdoła wytrwać w tej niedoli. Wiem, że jesteś opiekunem biednych i sierót, i już sam poddaję się bez szemrania Twojej świętej woli, ale miej litość nad dziatkami, sierotkami memi, dobrotliwy boże!

Lecz znać nie przyszedł jeszcze koniec jego niedoli, bo owo na dobitek zasłabła mu śmiertelnie najstarsza dzieweczka. Było to bardzo dobre i usłuchliwe dziecko, a samo już sobie zarabiało po parę groszy, szyjąc paniom chusteczki.

Ogromnie strapiony siedział rymarz przy pościeli swego dziecka, a ono biedactwo w gorączce leżało bez żadnej pomocy.

— Cóż cię boli mój robaczku? — pytał się Jakób, biorąc za rękę swą dziecinkę.

— Nic mię nie boli; Pan Jezus się do mnie uśmiecha i woła na mnie — rzekło dziewcze w gorączce.

— Może ci co potrzeba, moje dziecko — rzecze rymarz, a w sercu go samego kłóło od wielkiej boleści.

— Nic mi nie trzeba; ja pójdę do mamy. Mówiła mi mama, że tam jej bardzo dobrze. —

Dreszcz zimny przebiegł po całem ciele Jakóba. Zrozpaczony wstał z ławki i wyszedł z izby, sam nie wiedział po co. I szedł i szedł, aż niechcący skręcił na drogę ku Wiśle, co płynie pod Warszawą. I pomyślał sobie w duszy, że pójdzie się utopić do Wisły, bo mu już strasznie ciężko patrzeć się na własne nieszczęście. Jakoż kiedy tak idzie, i już o Bożym świecie nie myśli, tylko o tem, gdzieby tu skoczyć do wody, zrobił się wielki gwar na ulicy i ogromny tłum ludu wali prosto na niego.

Ocknął się rymarz z zadumy, patrzy, wielka siła ludu, a więc jednego się zapyta:

— Moiściewy, a cóz to za procesya?

— Ho, ho, a to wy nie wiecie? — nasz Kościuszko przyjechał.

— Co mówicie, sam jenerał Kościuszko?

— A jużci że nie kto inny.

— A kędyż on jest, niech mu się choć napatrzę.

— Patrzajcież, tam na koniu jedzie: w białej sukmanie, czerwoną ma czapeczkę na głowie i pawie piórko za barankiem.

Wypatrzył rymarz oczy, spogląda, a tuż prawie jedzie sobie taki wielki jenerał a po chłopsku ubrany. Mnóstwo panów koło niego, kłaniają mu się pięknie, a on tylko rękę wyciąga i czapeczką wywija do ludu, co go z wielkim krzykiem odprowadzał. Nigdybyś nie był poznał, że on taki tęgi wojownik, bo miał-ci taką twarz łagodną a w oczach tyle dobroci, że iście na świętego a nie na rycerza.

Zapatrzył się rymarz w oblicze Kościuszki, i jakoś lepiej mu się na sercu zrobiło; tak prawie, jakoby mu Pan Bóg jaką pociechę zesłał z wysokiego nieba. Więc zapomniał na chwilę o swojem nieszczęściu, a wrócił nazad do miasta z całą gromadą ludu.

Wielka pociecha migała z oczów Kościuszki, więc myślał rymarz po drodze: — A cóż z tego, choćbym się utopił? jeszcze w większej nędzy zostawiłbym dziatki, a to by grzech był śmiertelny. Chyba ja pójdę do naszego jenerała a on mi poradzi. Jakoż wielka nadzieja wstąpiła mu do serca, i już postanowił zrobić tak, jako pomyślał.

Owóż nie wiele myślący skoczył rymarz duchem do domu, ubrał się co w najlepsze, chociaż i tak liche suknie świąteczne, i idzie prosto do Kościuszki. Łatwo tam było dostać się do tego sławnego jenerała, bo każdego łaskawie przyjmował, choćby i niewiedzieć jakiego chudzinę.

Staje więc Jakób przed Kościuszką, i nuż mu opowiadać całą swoją niedolę. Rozbeczał się aż rymarzysko, tak mu już ciężkie i przykre było to życie.

— A teraz — rzecze w końcu ocierając oczy — nic mi już nie zostało, jeno głód i nędza. Do tego jeszcze zachorowało mi dziewcze najukochańsze, a tu z nikąd jakowej pomocy.

Zachmurzył się jenerał na oną opowiedź Jakóbową, bo mu się takoż przykro w sercu zrobiło. Siągnął do kieszeni, szuka, alić nic tam nie było, tylko jeden talarek. Więc go wyciągnął i rzecze:

— A cóż ja ci pomogę, mój miły, toć nie został mi tylko ten talarek, a to bardzo mało dla ciebie i dla dzieci.

I prawdę mówił jenerał, bo to się najczęściej litościwym ludziom zdarza, że sami wiele nie mają. Porozdaje, porozdziela ubogim, aż mu nareszcie samemu zabraknie.

— Ale poczekaj-no! — zawołał nagle Kościuszko i uśmiechnął się radośnie do siebie — masz tu choć talarka mój Jakóbie, ale tak z nim uczyń, jak ci powiem. Owóż za to i za wszystko, cobyś jeszcze znalazł w domu, narób samych batożków do konia, jeno rychło; a nie frasuj się już o resztę. —

Opowiedział jeszcze rymarz jenerałowi, gdzie mieszka, i uradowany poskoczył zaraz do domu wziąść się do roboty. Jakoś i dziewczęciu jego, Hanusi, lepiej się zrobiło, więc owo nadzieja wielka wstąpiła w serce Jakóbowe.

Minęła prawie niedziela od onych odwiedzin. Kościuszko wyjechał sobie na koniku w miasto, a koło niego cała gromada

panów i jenerałów. Jadą po wielkim rynku, jadą po ładnych ulicach a rozmawiają przytem o różnych sprawach, jakoby wroga pobić, aż tu Kościuszko skręca w bok na ciasną i brudną uliczkę. Dziwno było panom, że jenerał jedzie w taki brudny zakątek, ale nic nie rzekli, jeno się patrzą, co to z tego będzie. Otóż i niezadługo zatrzymał konia Kościuszko przed domkiem Jakóbowym, i woła rymarza po imieniu.

Rymarz wyskoczył co tchu z izby.

— A nie masz tam batożków do konia? — pyta się go jenerał śmiejący.

— Są panie jenerale — odrzekł Jakób i wyniósł razem z zdrową już Hanusią cały pęk batożków.

Kościuszko nachylił się z konia, wziął sobie jeden batożek, a Hanusię pogłaskał po twarzy i dał jej talara na rękę.

Skoro to panowie ujrzeli, nuż jeden za drugim wołać o batożki. I ani się rymarz nie obejrzał, kiedy mu wszystkie batożki rozebrali, a nietylko po talarze, lecz po dwa i trzy za jeden dawali. Pokazało się na końcu, że batożków jeszcze nie starczyło, więc panowie nakazali Jakóbowi, żeby czemprędziej narobił, bo chodziło im o to, żeby mieć taki sam batożek, jak nasz tęgi Kościuszko, za którego każdy życie byłby oddał.

Nie wiedział rymarz, jak panu Bogu dziękować za jego łaskę bezmierną. W oczach mu świeczki stanęły, radość mu mowę odebrała, więc ręką i sercem błogosławił Kościuszkę odjeżdżającego, a w końcu rozpłakał się jak nieletnie dziecko. A kiedy już pierwsza radość przeszła, zwołał dzieci do izby, i razem z Hanusią i wszystką dziatwą ukląkł pobożnie przed obrazem Przenajświętszej Panny Częstochowskiej, i dziękowali wszyscy i gorąco prosili Matki Bożej o powodzenie dla litośnego Kościuszki. Hanusia dziękowała także po cichu za przywrócenie zdrowia, i osobno jeszcze modliła się za jenerała, bo z talarka od niego kupił też Jakób i lekarstwo dla swojego dziecka.

Żył jeszcze w długie lata rymarz Jakób i coraz lepiej mu się powodziło. Mieszkał potem znowu w mieście, roboty miał huk, a gospodarstwo prowadziła mu urodziwa Hanusia. Aleć niedługo wykradli mu ptaszka z klatki. Poszła Hanna za mąż, za młodego i bogatego krawieckiego majstra. Doczekał się

jeszcze Jakób, że jeden ze synów objął po nim rzemiosło; więc żył sobie potem spokojnie, wychowywał wnuczęta, a chwalił Pana Boga i modlił się za Kościuszkę aż do samej śmierci.

Ludka z Myślenic.

Ciekawy Wojtuś.

Perły.

Żona Walentego była bardzo rządna i gospodarna kobieta; ztąd też lubiała porządek i czystość, bo to zwykle w parze ze sobą chodzi. Kiedy więc ciepłe dnie nastały, tak już musiała wszystkie kąty przepatrzyć, czy to kożuch Walentego, czy swoje futerko wytrzepać i wywietrzyć, wszędzie proch powymiatać, zgoła cały dom wyczyścić. Wojtuś, jako ciekawy chłopiec, musiał się wtedy wszystkiego przypatrzyć, wszystko mieć w ręce, a nie o jedno pytał się matki albo Walentego.

Owóż raz się trafiło, że kiedy matka ze skrzyni różne rzeczy wyjmuje i na dwór wywiesza, tak-ci Wojtuś spostrzegł w kąciku pudełeczko, co w niem były matczyne perły. Walentowa wyszła właśnie na podwórze, więc Wojtuś wyjął z pudełka perły, patrzy, ogląda na wszystkie strony i nie mógł zgadnąć, co to jest i do czegoby się zdało.

— Co ty tam znowu ruszasz? — zawołała matka wchodząc do izby.

— Nic moja matuś. Ja sobie tylko myślę, na co te paciorki...

— To nie są żadne paciorki, to perły — odezwie się matka. — A połóżże na swoje miejsce, żeby się gdzie nie zarzuciły, bo to drogie.

— A cóż to są te perły i dla czego takie drogie? — pyta Wojtuś rozciekawiony.

— Połóż tylko, połóż; jak ojciec wróci, to ci wieczorem opowie. —

Położył Wojtuś perły i ledwo mógł doczekać się wieczora, żeby mu ojciec o nich opowiedział. Przez cały dzień myślał

sobie, czy to ze szkła, czy z czego innego. Szczęściem zaczęło się już mroczyć, a Walenty jak zwykle zapalił fajeczkę i usiadł sobie na ławie, żeby odpocząć trochę po robocie.

— Tatuś mi miał o perłach opowiedzieć — rzecze Wojtuś usiadłszy na ławie i przytuliwszy się do ojca.

— A cóż, zasłużyłeś ty na to? — spytał ojciec — niceś matce nie zbroił?

— Nic — odrzekł Wojtuś — cały dzień byłem spokojny.

Kiedy zaś i matka przyznała, że chłopiec się dobrze sprawował, tak Walenty pyknął sobie parę razy z fajeczki i jął prawić o perłach.

— Widziałeś pewnie już nieraz *muszle*, takie co są po stawach; z wierzchu brunatne a we środku białe i szklące? —

— A widziałem — odezwał się Wojtuś — to w tych muszlach żaby siedzą? —

— Otóż widzisz, że nie żaby — prawił dalej Walenty. — Tak-ci to wprawdzie ludzie myślą, ale to wierutna bajka. W tych muszlach, co je zowią *skójki*, siedzą zupełnie osobne zwierzęta, a te nie mają ani ości, ani kości, jeno owo tak jak ślimaki są miękkie, i ztąd zwą też mądrzy ludzie te zwierzęta *mięczakami*. Owe chałupki na wierzch robią sobie te mięczaki same. Dał im Pan Bóg w całem ciele taki sok lepki, co jak go tylko wypuszczą ze siebie, tak-ci on twardnieje i skorupą na wierzchu osiada. A że siła wapna jest rozpuszczonego w tym soku, więc taka muszla to ci tyle dla zwierza, co dla nas domek murowany. Takich mięczaków jest mój chłopcze bardzo dużo. Nie znajdziesz ich wprawdzie wiele u nas po stawach, ale za to w morzu to masz niezmierną moc owych zwierząt.

Owóż w jednem morzu, co strasznie daleko jest od nas, są takie muszle do naszych *skójek* stawowych bardzo podobne, tylko że większe i okrąglejsze. Zwą się one *perłopławy;* są po wierzchu czarniawe, a we środku jeszcze się bardziej błyszczą, jak nasze. W tych to muszlach znajdują się wewnątrz perły. Kiedy bowiem wpadnie co takiemu zwierzęciu między skorupy, choćby ziarnko piasku, tak go to mocno gryzie, nieprzymierzając jak gdyby tobie co do oka wpadło. Ponieważ zaś jest taki

czuły ów perłopław, więc zaraz wypuszcza ze siebie tego soku trochę, com ci już o nim mówił, i obciąga nim ziarnko piasku, żeby mu tak nie dokuczało. Kiedy to zaś zaschnie po jakimś czasie, tak-ci masz już perłę gotową.

— A jakże to dostają te perły? — zapytał Wojtuś wielce rozciekawiony.

Walenty pyknął znowu z fajki i prawił dalej:

— Te muszle perłowe leżą na samem dnie morza, więc bardzo rzecz jest trudna wydobyć je na wierzch. Bo idź-że tam, kiedy Pan Bóg wie ile sągów głębokości, a do tego jeszcze i różne ryby potworne, co człowieka zeżreć mogą. Ale są już tam tacy ludzie, co się odważają na oną podróż do morza; są oni prawie na pół dzicy, bojaźni Bożej nie znają, a życie mało co sobie ważą. Owóż tak się to odbywa ów połów na perły.

Zbiera się kilkadziesiąt ludzi, a ci biorą kilka szerokich i długich łodzi, dzielą się na każdą łódź po kilkunastu, i tak wyjeżdżają na morze. Z tych ludzi połowa są *nurki*, to jest ci, co do wody idą, a połowa ich pomocnicy. Oprócz tego na każdej prawie łodzi jest jeden człowiek, po dziwacznemu ubrany który się mieni być czarownikiem, a w rzeczy jest okpiszem, tylko, że mu ów dziki lud zawierza. Owóż ten człowiek wykrzywia się różnorako, mruczy jak niedźwiedź, i niby to zaklina morze i wszelakie potwory, żeby nie szkodziły nurkom. Na brzegu stoi mnóstwo luda i przypatrują się temu wszystkiemu.

Skoro już ów okpisz swoje tam czary pokończy, tak-ci każdy nurek opasuje się mocnym powrozem; u jednego końca powroza przywiązuje duży kamień, a drugi koniec mocuje dobrze do łodzi. Kiedy to już gotowe, wtedy nurek przyczepia sobie do pasa długą sieć, w jedną rękę chwyta nóż, drugą zatyka nos i usta i tak skacze do wody. Trzeba to tam tęgiego człowieka, żeby w sobie tak długo oddech zapierał. Jakoż za dobrą chwilę rusza się jeden sznur przy łodzi. Ludzie ciągną prędko i wyciągają szczęśliwie nurka, a ten ma pełną sieć perłowych muszli. Skoro sobie odsapnie i odpocznie nieco, tak-ci wysypuje te muszle do łodzi, a sam znowu idzie do wody.

Aleć nie każdemu udaje się to tak szczęśliwie. Nieraz się wydarza, że nurkowi krew nosem i ustami się puści, kiedy za długo oddech w sobie zaprze, a wtedy wyciągają zemdlałego na wierzch. Czasem też się wydarza, że nurka jaki potwór pod wodą napadnie, a on tu nic nie ma, tylko jeden nóż do odrywania muszli. Jużci nie wypada, jeno się borykać pod wodą. Ludzie na wierzchu poznają to zaraz po tem, że się sznur straszliwie rusza, ale ciągnąć nie mogą, bo kto wie, czyby potwór właśnie wtedy nie chwycił nurka za nogę. Więc czekają, co to z tego będzie. Skoro się uspokoi, wyciągają sznur, a wtedy różnie bywa: nurek albo pokaleczony, albo do szczętu poszarpany, albo też i zdrów czasem, jak mu się uda zabić w morzu potwora. A strasznie musi to być przykro umierać pod wodą, i nie pożegnać ani ziemi swojej, ani rodziny, ani tego słoneczka, co człowiekowi przez całe życie świeciło. —

Wojtusiowi aż mrowie po kościach przeszło na to opowiadanie.

— Kiedy już dosyć muszli nałowią — prawił dalej Walenty — wtedy rozkładają wszytkie na suchym piasku, a tu się każda jak na zawiasach otwiera, skoro tylko zwierze zamrze we środku. Wyjmują wtedy perły, czyszczą miałkim piaskiem, i dopiero przebierają co większe razem, a co mniejsze, to znowu osobno.

Drogie są bardzo ładne i wielkie perły, ale bo też droższe życie ludzkie, a nie jedno tam się przytem straci. Ot i nie warto mówić. Obwieszają się ludzie lada świecidłami, a to na nic się nie zda; a inny dla marnego zysku życie swoje niby pieniądz na kartę stawia. Lepiej coby wszystkie perły robili fałszywe. Mało co kosztują, a także się tak dobrze świecą.

Matka twoja ma te parę sznurków jeszcze z wyprawy, a trzyma to na pamiątkę; i chroń Panie od jakiego przypadku lub nieszczęście, dobrze jest mieć jakąś drogą rzecz w domu. —

Zamyślił się tu Walenty i spojrzał przed siebie na ścianę, kędy wisiał obraz Matki Bożej.

— Ale słuchaj no — zawołał na żonę — wszakże dziś sobota, a przed Panną Najświętszą lampka się nie świeci. —

— Oj prawda — zaturbowała się Walentowa, i zwinęła się chyżo, żeby lampkę zaświecić.

Walenty wstał i wyszedł trochę na dwór spojrzeć; a Wojtuś siedział i myślał ciągle o perłach. I kiedy zasnął, to mu się jeszcze śniło, jak ludzie perły łowili.

Rady na rozmaite przypadki w gospodarstwie.

Sposób na krowy kopiące. Jeżelić się trafi, gosposiu, taka krowa niespokojna przy dojeniu a kopiąca, to się na nią nie zżymaj i nie wyklinaj, ale raczej rób to, co ci radzę: Oto weź po prostu kawał jakiegobądź płótna, umaczaj go w zimniej wodzie i taki mokry włóż krowie na krzyż, a zobaczysz, że się zaraz stanie spokojniejszą i już-ci nie będzie broić przy dojeniu.

Aby łaski, koty i kuny nie psuły gołębi w gołębniku, a kur w kurniku. Na drapieżną kunę podają dwa sposoby a obydwa mają być dobre: Raz, mówią, żeby można dostać futro z wilka, albo też i z ladajakiego psa i powiesić go w onem miejscu, którędybyś miarkował, że się może kuna dostać do kurnika — to się tego zlęknie i nie wnijdzie. Ktoby zaś nie miał takiego futra pod ręką, dla tego jest znowu drugi sposób: Niech weźmie kości wieprzowe i niech je ugotuje z liściem szałwii i takie kości niechaj rozrzuci po kurniku — a ubezpieczy się cd kuny. — Na łaski i koty jeszcze łatwiejszy jest sposób, bo jeno sobie narwij *zielonej ruty* i rozwieś ją na gołębniku lub na kurniku — to się tam ani łaska, ani kot nie pokaże.

Co się robi, by wróble wiśniom nie szkodziły? — Uwieś w pośrodku drzewa pół główki czosnku, a wróble będą z daleka wiśnie omijać, bo strasznie tego zapachu nie lubią. — Na ten rok jużcić rada niewczesna, bo jużeśmy wszystkie wiśnie pojedli — ale nic nie szkodzi! da Bóg doczekać na drugą wiosnę, to się możecie przeświadczyć, czy też to prawda.

Pluskwy — Nie dobre muchy i komary, nie dobre i pchły, co nam się w lecie setnie nadokuczają, ale już z tego wszystkiego najgorsze, bo i najobrzydliwsze są *pluskwy.* To też ludzie już nie od

dzisiaj głową kręcą i przemyślają nad tem, czemby się dały najłatwiej wygubić, te obrzydłe pluskwy. Ja wam tutaj podaję dwa sposoby, com o nich wyczytał z innej książki; obydwa mają być dobre i nie potrzebują wielkiego zachodu. Pierwszy sposób jest: abyś wszystkie miejsca, gdzie są pluskwy, wysmarował terpentyną z czosnkiem raz i drugi, a pluskwy od niej po zdychają. Aleć że to z tego bardzo mocno i nie miły jest zapach, to należy potem izbę dobrze przewietrzyć. — W łóżku można też nakłaść ziela tataraku, kwiatu bzowego lub szałwii pachnącej, bo i tego zapachu pluskwy nie lubią. To jest jeden sposób. Drugi trocha dziwniejszy, ale powiadają, że także dobry: Oto nałap sobie z kilkanaście takich pluskiew wielkich, szarych, co to je nazywają *drzewne* i napuść je do izby, a one ci wnet wyczyszczą mieszkanie z pluskiew domowych, bo je co do nogi wyjedzą. Jużcić sam nie wypróbowałem tego sposobu, toż nie przysięgam na niego — ale co to szkodzi spróbować, kiedy nic nie kosztuje! a może to i prawda.

RÓŻNOŚCI.

Spryt złodziejski. — Szedł sobie mieszczan w Warszawie w polskim stroju i w czerwonych butach, ale tego nie wiem, czy to teraz, czy też dawniej się stało; dosyć, że się tam zwijali moskiewskie kozaki. Owóż dwóch takich brodatych drabów założyło się ze szynkarzem, że mieszczanowi bóty z nóg zwarują. Zabrali się więc, idą za owym panem i nuż się kłócić a prawie że nie bić. Jeden wrzeszczy *ma*, drugi wrzeszczy *nie ma*. Obrócił się mieszczan na ten wrzask straszliwy i pyta, czemu tak krzyczą?

— Bo mój kamrat mówi, że pan ma słomę w butach, a ja mówię, że nie — rzecze jeden.

— O to wam tylko chodzi? — zawoła mieszczan — nie mam, nie!

— A my by chcieli obaczyć — rzecze drugi kozak — bośmy się założyli.

— Ale gdzież! ta na ulicy nie będę bóta zdejmował — odrzeknie mieszczan.

— Nie na ulicy, nie — prawi znowu kozak — ot tu w tym domu; bardzo prosimy.

Mieszczan poczciwa dusza, idzie do sieni, zdejmuje jeden bót i mówi:

— No widzicie że nie ma słomy.

— Tak, tak, w tym nie ma, ale może w drugim?

— No to ściągnijcie i drugi — rzekł mieszczan.

Kozaki ściągnęli i drugi, i nuż w nogi mój drogi, a mieszczan został boso.

Patrzajcież, co za złodzieje!

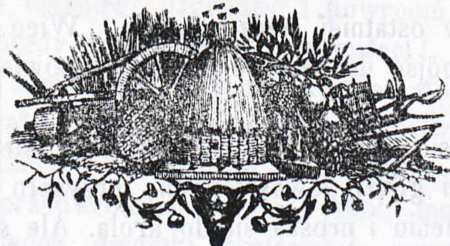
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. **Nr. 10.**

1. Października **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JADWIGA I JAGIEŁŁO.

II. Jak żyli w małżeństwie.

Trudna to sprawa być królem! Jak się ubogi człek ożeni, to już może sobie spokojnie przy żonie siedzieć, Pana Boga chwalić, i nikt mu nie śmie za to marnego słowa powiedzieć. Ale z królem to inaczej! Musi wszędzie zaglądnąć, dopilnować i porządek zrobić, a nikt się tam nie pyta, czy on potrzebuje wczasu czy nie.

Owóż i nasz Jagiełło nie mógł sobie w miejscu siedzieć i rozkoszować, bo go wieści zaszły, że w Wielkiejpolsce srogie rozruchy i rozboje. Duchem się więc zebrał, wziął też i Jadwigę ze sobą, i pojechał do Wielkiejpolski robić ład między swymi.

Najgorzej to jest, kiedy się ludzie w własnym domu kłócą; więcej sobie czasem szkodzą, niż żeby ich jaki nieprzyjaciel napadł. Więc i tu rozbijali się wzajemnie, i nie mógł król przyjść

z nimi do końca. Jakoż trafiło się w tem zamięszaniu, że rycerze królewscy zabrali ludziom w kilku wioskach chudobę, sprzęty, zgoła cały dobytek. Ciężko to było onym biednym kmieciom, bo się prawie w ostatniej nędzy zostali. Więc zaczęli radzić i uradzili, żeby pójść do samego króla i opowiedzieć mu swoją niedolę.

Jakoż tak się stało. Kiedy sobie król siedzi na zamku i radzi z panami i godzi powaśnionych; przyszło kilku chłopków w nędznem odzieniu i proszą się do króla. Ale służba uzbrojona stanęła przed drzwiami, i nie chce ich puszczać do środka.

A ludzie płaczą i proszą:

— Już pięć dni na darmo czekamy. Jakeście łaskawi, puśćcie nas do króla! Tam w chałupach nasze żony i dzieci nie mają co włożyć do gęby. Może już umierają z głodu! —

Ale służba nie chce tego słyszeć, jeno ich odpycha. Aż tu pokazuje się naraz we drzwiach królowa Jadwiga. Od razu zajrzała ona ubogich ludzi i płaczących, więc kazała się rozstąpić wartownikom, a sama pyta ich słodkim głosem:

— Cóż wam tak smutno moi ludzie?

— Ach, miłościwa królowo! — zawoła jeden — wojownicy króla zabrali nam dobytki i spalili domy.

— Nasze żony i dzieci umierają z głodu! — jął narzekać inny.

— Chodźcież moi mili — rzekła Jadwiga, i szła sama prosto do króla. Tu dopiero opowiedziała mężowi rzewnemi słowami całą krzywdę ludzi, jaka im została wyrządzona przez jego wojowników.

Poruszył się król na to opowiadanie Jadwigi, i kazał zaraz przynieść swoją szkatułę z pieniądzmi. Więc po królewsku obdarzył ludzi za ich szkody, a potem obrócił się do Jadwigi i rzecze:

— Stało się jak chciałaś. Za pieniądze, jakie im dałem, będą mogli domy postawić, sprzętów i bydła nakupić...

— Prawda — rzeknie na to litośna Jadwiga — wynagrodziłeś ich szkody, lecz *kto im łzy wylane powróci?*

Patrzajcież, moiściewy, jaka to anielska dobroć była w tej naszej królowej. Nie dosyć, że ludziom biednym dopomogła

i zapłaciła wszystkie krzywdy, ale się troskała jeszcze o ich łzy, które płacząc wylali. Oj wiedziała ona dobrze, że wszystko można biednemu człekowi nagrodzić i powrócić, ale łez i płaczu to mu już nigdy nie wróci ani nie opłaci!

Aleć takich litościwych ludzi rzadko Pan Bóg długo trzyma na tej ziemi. Miała Jadwiga za swego panieństwa dużo utrapienia, więc jej to zabrało siła zdrowia, a nie dosyć na tem, jeszcze ją teraz dworacy przed królem obmawiali, jakoby mu wierną nie była.

Osobliwie jeden dworski królewski, imieniem Gniewosz, oczernił królowę przed mężem, tak, że aż król gniewem rozgorzał ku Jadwidze. Martwiła się królowa, płakała, ale jakże miała swoją niewinność pokazać.

Skoro się tylko panowie o tem dowiedzieli, co byli przy królu, tak się ich zaraz dwunastu zebrało, przywdziali zbroje, wzięli szable, i mówią do Gniewosza:

— Ty oczerniasz naszą miłą królowę i musisz się bić z nami. Jeżeliś prawdę mówił, to cię Pan Bóg ochroni od wszystkiego złego; a jeżeliś potwarca, to i tak musisz zginąć.

Dopiero Gniewosz pobladł okropnie, i zaczął się wymawiać i prosić żeby mu darowali. I długo się radzili, coby zrobić z tym potwarcą. Zabijać go nie chcieli, bo wiedzieli, żeby królowej był żal wielki; więc zgodzili się na to, że Gniewosz musiał pod stół wleźć, i z pod stoła odszczekał wszystko psim głosem na własną hańbę.

Ale cóż to pomogło? Jak królowa nie mogła łez onym biednym ludziom zapłacić, tak jej nie mógł już nikt powrócić tego strapienia i tych zgryzot, co jej tylko zdrowie popsuły.

Pośród takiego smutku porodziła dzieweczkę królowi, aleć po niedługim czasie zabrał Pan Bóg do siebie to dziecko. Więc już i sama Jadwiga zaczęła niknąć, niknąć, aż się też już i zobaczyła blisko śmierci. Więc rozdała połowę swojego majątku na ubogich, a połowę na tę *szkołę najwyższą*, co ją, jak już wiecie, król Kazimierz fundował; a potem w modlitwie gorącej Panu Bogu oddała swoją czystą duszę.

Dopieroż wtedy jęli płakać wszyscy biedni w Krakowie! żal był nieutulony za naszą litościwą Jadwigą. —

Mazur za wołami.

Ptasze śpiewa, bo ptasze,
Bo ma w lesie swobodę;
Dziéwcze śpiewa, bo nasze,
Bo wesołe i młode,
Bo ma liczko, jak róża,
I nie mała, nie duża.

I ja sobie zanucę,
I ja czasem wesoły;
Jeno woły zawrócę,
Wołyż moje, hej woły!
Albo ja to sierota,
Albo jaki niecnota.

Mam ja rolę i chatę,
I poszyte stodółki,
I bydełko rogate,
I dwa konie i pszczółki!
I kobietę Jagusię,
I dziecią̨tko malusie.

Pan Bóg łaskaw na człeka,
Grady biją z daleka;
U mnie zboże się kłosi,
Deszczyk przyjdzie, porosi,
Albo lunie jak z cewki,
Na ogrody, przysiewki.

Jak to woły się cieszą,
Kiedy jarzma nie czują!
A rogami się czeszą
A patrzą się, a żują.
Idzie słonko po niebie,
A no! woły od siebie.

Już z południa daleko,
Ludzie z miasta się wleką;
Idzie baba śród drogi,
Wiedzie krówkę za rogi.

Chłopak pędzi a krzyka,
Że aż kładą się szkapki;
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki:
Dylu dylu od ucha,
Kto ma uszy niech słucha.

Środkiem włodarz się toczy,
Nawdział czapkę na oczy,
Zajrzał w dzbanek, nie dużo.
A nogi mu nie służą.

Ot i dzwoni już dzwonek
Na wieśniaczym kościele,
Dzięki Bogu za dzionek,
Za serdeczne wesele,
I za wszystko, co boli;
W ciężkiej pracy za siłę,
I za uśmiech w niedoli.

Już i zorza przygasa,
A no! woły, do lasa,
Na podwórko przed chatę,
Pod te sosny garbate.

T. L.

Czcij ojca i matkę

jeżeli chcesz żyć długo na ziemi, i aby ci się dobrze powodziło.

I.

Siarczyste było weselisko u Józefa Szuby. Józefowi Pan Jezus szczęścił; wszystkiego było dostatkiem i w polu, i w obotrze, i w pasiece; toć nie szczędził niczego dla miłych kumów swachów, co się zeszli na wesele. I jakże było szczędzić, kiedy przecie żenił syna swego Antka z Rózią Marcinowy. Więc się wszyscy radowali, że aż chałupa do koła chodziła, a trzaski leciały z podłogi.

Nie miała tam Rózia wielkiego wiana, aleć za to chwacka była dziewucha i rządna, jak się patrzy. Trzeba się było jeno przyglądnąć, jak to ze swoją matusią we dwoje gospodarzyły! bo tatuś, Panie świeć nad ich duszą, dawno już pomarli. Ale choć bez chłopa, wszystko było w porządku. Najmity grunt zorały, choć i Rózia za pługiem umiała chodzić, a jak już przyszły żniwa, to się z matką prędzej krzątały niż wszyscy ludzie we wsi.

Antek także był chłop nie leniwy do roboty, ale mówili o nim ludzie, że ojcom nigdy dobrego słowa nie da, że bywało swarzył się z niemi nie raz, a to, jak Bóg na niebie, nigdy na dobre nie wyjdzie.

Ale co tam, kiedy ochota, to się o wszystkich urazach zapomina, więc owo i teraz ludzie nie pamiętali o tem. Tylko sobie Waluś, drugi syn Józefów, coś był smutny. Mały to był wyrostek, więc jeszcze nie tańcował, ale się ani nie odzywał do nikogo, tylko coś zaturbowany siedział wedle pieca.

— Do was, moja kumoszko! — ozwał się Józef przypijając do Marcinowej. — A patrzcie-no, toć to jak żeby dla siebie urośli.

I pokazał Józef palcem na Antka, co sobie z Rózią oberkta wywijał, że aż się wszyscy święci w niebie radowali.

— Oj, oj, moje robaczki! — zawołała Marcinowa, i aż jej się łzy z radości puściły.

A na boku szeptały sobie kumoszki znowu inaczej.

— Hej, kumoszko — mówiła jedna — żeby tylko Antek nie dokazywał tak z ojcami, jak dotychczas.

— Ej, bo widzicie — prawi druga — *kto się ożeni, to się odmieni.*

— Bogać ta — rzekła na to pierwsza — toć ludzie też mówią, że *czem skorupka za młodu nawre, tem i na starość trąci.*

— Ha no, widzicie, bo go tu ojcowie pieścili za młodu. Przyszło do roboty, a Antek mówi: nie pójdę! „Niech ta sobie spocznie niebożątko, boć to jeszcze słabieńkie“, mówiła matka. Przyszło do kościoła, Antek spi. „Niech ta się przespi, mówił ojciec, pójdzie na drugą niedzielę.“ A to widzicie, źle tak z dziećmi robić.

— Ba i jak! Ja im ta źle nie życzę, ale zobaczymy — rzekła kumoszka. — No, teraz napijwa się na to strapienie! —

I napiły się kumoszki na to strapienie, i dalej była uciecha, jak się patrzy.

Aleć wszystko na świecie ma swój koniec, tak się też i skończyło ono weselisko. Nareszcie ludzie się rozeszli, a potem, to już tak było jak zawsze.

Jakoś z początku spokojnie dosyć było w Józefowej zagrodzie. Chałupa była spora, więc się tam dwoje młodych na jednej stronie pomieścili, a starzy na drugiej, zaś Marcinowa siedziała z dziewką w swojej chałupince.

Jeno nie długo było tego spokoju. Nie wyszło i cztery niedziele, zaczął Antek zdziwiać różne rzeczy, i już mu wszystko było nie do składu. Ustępowali mu starzy z drogi, nie chcieli się już do niczego wdawać, aleć gdzie tam! jak nie Józefowie, to mu mały Waluś zawadzał. Czasem się Rózia ujęła za Józefami, jako że było dobre kobiecisko, to ją jeszcze za to nawyzywał; i już taki był harmider w domu, że niech Pan Bóg broni.

Trafiło się raz, że był kiermasz w mieście, więc Antek wybrał się ze żoną, a starych zostawił na gospodarstwie. Owóż cóż się dzieje. Jakoś nieszczęście chciało, że jedna z krów Antkowych poszła gdzieś na konicz, obżarła się sporo i zdęło ją jak banię.

Gwałtu! co tu robić. Pastuch zląkł się przeokropnie, przypędził krowę do zagrody, a ta jak weszła na podwórze, tak się też zaraz i obaliła. Myśleli wszyscy, że już po krowie; ale jak się stary Józef nie weźmie, przebił ją w dobrem miejscu, zasadził trąbkę z bzu, i nuż wodą zlewać, tak też i krowisko przyszło po jakiej godzinie do siebie. Już też zgoła jej nic nie było, jeno że wstać jeszcze nie mogła, aż tu trzask, prask z bata, i Antek przyjechał z kiermaszu.

Skoro tylko skoczył z wozu i zobaczył krowę na ziemi tak-ci się zaraz wziął za głowę i zawołał przeokropnym głosem,

— Gwałtu! a co mi też te stare bestyje porobiły!

— Ta co się stało, co? Krowie nic nie będzie — rzeknie stary Józef. —

— A niechże was piorun trzaśnie! To tak mi pilnujecie gospodarstwa? — zawrzeszczał Antek.

— Antek Antek, co też ty pleciesz? — zawołała żona — wolałbyś spać iść do komory, boś się coś gorzałczyskiem zalał.

— Ej, idź precz ty pałubo, bo jak cię walnę! — krzyknął Antek rozsrożony, i aże mu się oczy od złości świeciły jak u wilka.

— Oj ty bluźnierco — ozwał się tu Józef — ciebie Pan Bóg srodze kiedyś ukarze za to, że tak uczciwą żoną i starym ojcem poniewierasz!

— Ja wam tu pokażę! — zawrzeszczał Antek strasznie niby jakie zwierze, i porwał za kół wielki, co leżał na podwórzu. — Fora tu z mej chałupy!

Rózia i Waluś chwycili go za ręce, ale im się wyrwał.

— Ruszajcie sobie odemnie! ja was tu nauczę! — wołał Antek okropnie i chciał już lecieć z drągiem na ojca, aleć rzuciło nim coś o ziemię, że upadł jak długi —

Wielki był potem płacz w chałupie. Antek był z początku jak nie żywy, ale skoro mu krwi puścili, tak i przyszedł do siebie. Zaś starego Józefa taki żal okropny ścisnął za serce, że się jeszcze tej samej nocy wyprowadził z żoną do Marcinowej, i tam już u niej komornem zostali.

Wyszło ze dwie niedziele, nim się Antek podźwignął. Aleć jakiś był ponury, mało co do kogo mówił, a częściej jak przódy zaglądał do karczmy. Jakoś też i w gospodarstwie źle mu się wzięło powodzić. Grad innych obchodził a do niego zajrzał; to znowu Rózi chłopak się urodził, ale nie wybył parę niedziel na tym świecie i umarł — tak-ci ludzie zaczęli między sobą gadać, że to kara Boża ściga złego Antka.

Tymczasem Józefowie żyli sobie spokojnie z Marcinową. Ubogo tam było, ale chędogo. Waluś siedział także przy nich, lecz miarkował, że tu nie ma żyć z czego, więc się prosił, żeby mu pozwolić iść do miasta.

— A cóż ty tam będziesz robił, moje dziecko? — pytał się ojciec.

— Będę chodził do szkoły, mój tatusiu. —

— A któż ci tam będzie jeść dawał? — prawił znowu Józef.

— To ja sobie tam jakoś poradzę — odrzekł Waluś — a Pan Bóg dopomoże. Tylko mi pozwólcie mój tatusiu!

Ha no, więc puścili ojcowie Walusia do miasta, bo był bardzo zmyślny, i widać było po nim, że sobie sam da radę. I było im smutno i biedno, ale przecież nie ostatnio, bo Rózia tam niby czasem pamiętała, kiedy Antek nie widział.

Lecz co Antkowi, to się ciągle kiepsko i kiepsko wiodło. Nieraz mówili mu ludzie: Ej, Antek, pogódź się z ojcami, weź ich nazad do domu! — ale on sobie ani rzeknąć nie dał, tylko się owszem jeszcze odkazywał na nich. Więc źle i źle, i nie było końca temu złemu, a Antek jak sobie już nie mógł z czem dać rady, to do karczmy chodził.

Wybyło tak ze trzy lata; a co się przez ten czas zrobiło z Antkowego gospodarstwa, to byłby nikt nie poznał. Ze sześciu krów nie zostało się jeno dwie, a na tych tobyś był, wszystkie kości porachował; ule w pasiece stały puste; sama chałupa prawie że się waliła, a przez dziury w poszyciu zaciekało zimą i latem. Do tego jeszcze słabości nawiedzały Rózię, takoż i Antka, ale się nie chciał poprawić dla swoich ojców. Wyraźnie jak ślepy, nie widział co się z nim dzieje. Znać dobrze ludzie mówią: że *jak Pan Bóg chce kogo ukarać, to mu najprzód rozum odejmie*, boć każdy widział jasno, że to nie co innego, jeno kara Boża za poniewieranie ojców.

Stara Marcinowa zgryzła się bardzo taką złą dolą swojej Rózi, i umarła nieboga z tej zgryzoty. Józefowie pochowali ją uczciwie, i zostali się dalej na gruncie po nieboszcze i w jej chałupince. Smutno im było bardzo, bo już nikogo nie mieli koło siebie. O Walusiu też także nic nie było słychać; wyjechał gdzieś dalej z miasta i tak już przepadł, jak kamień w wodę rzucił.

Tymczasem Antek z żydem w karczmie się naradzał, jakby tu naprawić swoje gospodarstwo.

— Albo wy to nie możecie wziąść grunt Marcinowy na siebie? — radził arendarz.

— A jakże? kiedy tam starzy siedzą — odrzekł Antek.

— A nie można ich z tamtąd wypędzić — mówił dalej arendarz.

— Kiedy widzicie, Marcinowa im to na dożywocie dała, to nie można.

— Co ty mówisz Antek! to im można proces zrobić, bo to oszukaństwo.

— Prawda, można ich prawować — zadumał się Antek. Jakoż potem ruszył do miasta oskarżyć swoich ojców, że niesłusznie na jego gruncie siedzą, choć to była nieprawda. I widzicie, niecnota tak już serce stracił, że chciał własnych ojców z ostatniej chałupy i na żebry wygonić. To też Pan Bóg nie mógł tego dopuścić, żeby się taka niesprawiedliwość stała.

Wieczorem już wracał Antek z miasta, a strasznie był ponury, bo go coś przecie gryzło w sumieniu, że bardzo źle robi. Jakoż i na świecie było pochmurno. Zbierały się ciężkie chmury na niebie, wiatr szalał jak opętany, i słychać było grzmoty z daleka. Prawie Antek doszedł do karczmy, a tu deszcz lunął jak z cebra, i zaczęło grzmieć i łyskać się na piękne.

W szynkownej izbie siedziało kilku gospodarzy, co się także przed burzą schronili.

Antek wszedł, nawet Pana Boga nie pochwalił, taki był ponury, jeno sobie kazał zaraz dać półkwaterek i siadł milczący za stołem.

— Cóż to wam Antoni, żeście tacy mrukliwi? — zagadnął jeden z gospodarzy.

— Ej nic! — odmruknął Antek pod nosem.

— Możeście nie znaleźli tego, co prośby do becyrku pisze? — zapytał arendarz.

— Ej cobym nie miał znaleźć! — mruknął znowu Antek.

— Ny, to coście tak posmutnieli? — mówił żyd — napijcie się jeszcze jeden półkwaterek.

Antek napił się jeszcze półkwaterek, obrócił się tyłem do ludzi, i już ani jednego słowa za zęby nie wypuścił. A tu coraz gorsza burza szaleje na dworze. Łyska się i łyska, a czasem słychać że i piorun uderzy, i aż się cała karczma trzęsie.

— A z kimże się Antek prawuje? — zapytał żyda jeden z gospodarzy.

— A z kimżeby się prawował, jak nie z ojcem, co na gruncie Marcinowej siedzi, a to do niego należy. —

Gospodarze spojrzeli milczkiem po sobie, i przeżegnali się od strachu, tak się mocno łysło.

— Antek! — zawołał jeden.

Ale Antek siedział jak nieżywy, tylko się do okna spoglądał, chociaż ciemno było.

— Antek! ty coś źle robisz — ozwał się drugi — nie dosyć żeś wygnał ojców od siebie, jeszcze ich prawujesz i chcesz żeby z torbami poszli.

Zerwał się na to Antek na równe nogi.

— A co wam, chamy, do tego! — zawrzasnął straszliwie — trzystaście djabłów zjedli. Ja tych starych bestyjów ani na oczy widzieć nie chcę! Niech se idą do czarta.

Ledwie to Antek ze swoich grzesznych ust wypuścił, aż ci się tu łysło przeokropnie, i taki piorun walnął, że się wszyscy, jak byli na nogi zerwali.

Jeszcze się nie opamiętali z przestrachu, kiedy owo łona wielka uderzyła w okno.

— Gwałtu! pali się, pali! — i wszyscy wybiegli na pole.

Jeno stanęli na polu, patrzą się, a tu Antkowej zagrody nie widać, tylko ogień na tem miejscu.

— Pali się, pali, Antkowe obejście! — zawołało po całej wsi i ludzie biegli zewsząd na ratunek.

Ale gdzie tam uratować! Deszcz jak na zakaz przestał, a za to wiatr się zerwał ogromny, więc ogień coraz sroższy obejmował wszystko, że już i ratunku nie było. Ledwie że Rózia mogła uciec żywo i jednę krowinę wypędzili, i tyle wszystkiego; reszty już nawet ludzie nie rozrywali, jeno bronili pobliskich chałup, żeby się co więcej nie zajęło.

— A gdzież Antek? — zawołał ktoś z gromady, kiedy już z pierwszego strachu ochłonęli.

— Bóg-że tam raczy wiedzieć — ozwał się jeden z gospodarzy, co w karczmie z Antkiem siedzieli. — Widziałem go jak tu przyleciał, stanął niby przymurowany do ziemi, a oczy

mu stanęły, Panie odpuść, jak u konającego. Potem się zabrał i gdzieś poleciał z wiatrem.

Szukali Antka na wszystkie strony, wołali, hukali, ale gdzie tam, szczezł jak kamień w wodzie.

Co zaś było lamentu i płaczu, to i mówić nie trzeba, a Rózia się zabrała do ojców do chałupy po Marcinowej, i tam we troje zawodzili, że aż słuchać było przykro, a ludzie mówili sobie po cichu: — Ot, widzicie, kara Boża padła na Antka, że ojców nie uszanował!

Już dobrze po północy rozeszli się ludzie do domu, jeno kilku parobków jeszcze przy dogorywających belkach zostawili, a Antka jak nie było, tak nie było. Więc sobie zaczęli już różnorako myśleć, co też się z nim stało.

Na drugi dzień rychło świt wybrało się kilku rębaczy do lasa rąbać pańskie drzewo na sągi. Szli sobie polami. Pochmurno było na niebie, a wiatr taki przeokropny, że aż im poły do góry podwijało.

— Czy Pan Bóg skarał z tym wiatrem — ozwał się jeden i łapał kapelusz po zagonach.

— Pewnieć się ktoś obwiesił — ozwał się drugi, a prawie już wchodzili do lasu.

Nie zbyt jeszcze daleko uszli leśną drogą, patrzą na bok, i wszyscy jak jeden zawołali: Jezus Marya!

I byłoć się czego zląknąć, bo na drzewie nie daleko drogi wisiał Antek cały już zesiniały. Oderznęli go rębacze duchem, krzysili, tarli, ale nic nie pomogło. Więc sobie jeno rzekli ze smutkiem: Patrzajcież, jak Pan Bóg Antka ukarał! —

II.

Smutnaby to była historya, żeby się na tem skończyła. Bo znowu było płaczu srogiego dużo po Antku, choć go tam za życia mało kto lubiał. Rózia pobladła na twarzy a oczy jej mało z łzami za Antkiem nie wypłynęły, boć go bardzo kochała, chociaż był taki niepotem. Aleć, jak to mówią, czas wszystkie rany zagoi, toć po jakim roku i im się serca pogoiły, temi wszystkiemi nieszczęściami srodze poranione.

Zaczęli się we troje powoli oglądać za jakim ładem w domu i na polu, i szczęścił Pan Bóg uczciwym zabiegom, bo jakoś nabezrok dobrze się urodziło i przecie biedy nie zaznali, a nawet dostatnio było wszystkiego. Jedno jeszcze mieli zmartwienie kędy się tam Waluś niebożątko obracał, czy żyje, czy nie żyje, bo ani słychu o nim nie było.

Takiego to życia upłynęło całe trzy lata. Pan Bóg przysparzał dobytku, obrabiali najmitami i grunt po Antku i grunt po Marcinowej, i zawsze szło dobrze, tak, że się nawet i weselej u Józefów zrobiło. A czy to przyszło kogo zapomódz, to się w chałupie zawsze coś znalazło; a przyszło się składać na szkółkę, co pan budował dla wiejskich dzieci, to Józef także dał uciułanych parę cwancygierków. Przy pracy i spokoju zabrała się i Rózia jakoś do świata i do ludzi, i zaczęło się jej już nawet cnić we wdowieńskim stanie. Ani to dzieci nijakich nie było; i była z niej ni kobieta, ni dziewucha, boć jeszcze dosyć młoda. Jakoż pod jesień zaczął się do Rózi przypytywać jeden wdowiec, gospodarz uczciwy ze wsi. Widział, jako Rózia rządna i gospodarna, a on miał troje dzieci i nie miał kto chodzić koło nich. Wiedział do tego, że Rózia ma dobre serce i będzie się starać o ten drobiazg, więc nie wiele myśląc wysłał w swaty do Rózi. Starzy przyjęli swatów uczciwie, a po trzech niedzielach sprawiał znowu stary Józef wesele, jako było przed ośmiu laty.

Nie byłoć ta prawda tak wesoło, jak ongi, ale przecie nikt sobie źle o niczem nie myślał, jeno wszyscy błogosławili i cieszyli się z tego małżeństwa.

— Kiedy owo tak u Józefów bawią się nie głośno ale serdecznie, otwarły się drzwi do chałupy i wszedł jakiś pan młody do izby.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powitał po staremu, i pięknie się skłonił do okoła.

Nikt nie wiedział, kto to taki, ale wszyscy widzieli, że mu bardzo miło patrzyło z oczów. Aleć jeno go Józefowa zobaczyła, tak-ci duchem się zerwała z ławy.

— Mój Waluś, mój Waluś! — zawołała z ogromną radością i wzięła go ściskać i całować.

Boć to był ten sam Waluś, który, będzie temu z ośm lat, jak wywędrował do miasta.

Stary Józef aż zatrząsł się z radości, i wszyscy troje rozpłakali się serdecznie. Waluś całował ojcom ręce, i nie mógł się naściskać i napatrzyć; a i Rózia przypytała się też do niego.

Stali ludzie na około i przypatrywali się tej serdeczności, a nie jedna kobiecina ocierała też oczy fartuszkiem.

— A cóż ciebie tu prowadziło, moje dziecko! — ozwał się wreszcie stary Józef. — Takeś po pańsku ubrany, żebym cię był i nie poznał.

— Choć ta po pańsku ubrany, ale zawsze wasz syn i ten sam Waluś — odrzeknie im na to. — Przyjechałem ja tu do was i już nigdy nie pojadę. Wiecie pewnie, że pan postawił szkołę, więc ja tu przyjechał na nauczyciela do tej szkoły. Będę uczył wasze dzieci, moi ludzie, tak, jakoście wy mnie Józefie zawsze uczyli, żem przecie między ludźmi nie zginął i sam wyszedł na człowieka.

— Nauczyciel! patrzajcie, patrzajcie! zaczęli ludzie szeptać na około, a Waluś całował znowu ręce swym ojcom.

Dopieroż potem zaczęli mu opowiadać wszystkie rzeczy, jak się tu stało, i o grzesznym Antku i o tem, jak go Pan Bóg skarał, i zgoła o wszystkiem. Zasmucił się tem Waluś i tak się odezwał:

— Tak to zawsze bywa. Kto swoich ojców nie miłuje, i kto pamięci ojców nie czci w swojem sercu; albo kto własne gniazdo nieuczciwością kala i nie kocha swojej ziemi, na której się zrodził; tego Pan Bóg zawsze srodze ukarze. Bo nasi ojcowie są nam od Boga dani, i ta nasza ziemia, co nas wszystkich karmi niby jedna matka, jest nam od Boga dana, i Bóg chce, żebyśmy ją miłowali!

— Oj, prawda, święta prawda! — ozwali się ludzie w około.

Jakoż potem rozweseliły się wszystkim lica, nareszcie sobie i potańczyli troszeczkę, aż im do rana zeszło.

Nie ma się i co pytać, jak tam dalej było, bo Pan Bóg wszystko na dobre obrócił. Waluś został we wsi nauczycielem, wziął ojców do siebie, a Rózi dał cały grunt, co dotychczas

mieli. I żył długo i dobrze mu się powodziło na ziemi, bo czcił ojca i matkę. Matka, jako już starowinka, umarła po dwóch latach, ale stary Józef żył jeszcze parę lat.

Modlili się oni wszyscy często i gorąco za duszę grzesznego Antka, i na mszę świętą dawali na tę intencyę; a widać Pan Bóg wysłuchał ich gorące prośby, bo kiedy stary Józef umierał, to widział dzień przed śmiercią, niby na jawie, swego syna Antoniego, a spokojny był na twarzy i ręce miał złożone do modlitwy.

O ziemniakach.

Dotknął nas Pan Bóg świeżem nieszczęściem, boć się nam znowu ziemniaczki psują, a to już parę lat nie było słychać o tem. Wielkie to nieszczęście, bo ziemniak tak dla ubogiego zarobnika, jako i dla bogatego kmiecia do uczciwego pożywienia służy; a jak też ich nie stanie, to wielki skwierk po wsiach i po miastach. Opowiem wam też tutaj, jak trzeba ziemniaczki chować, żeby się nie psuły, jaki można mieć pożytek z pomarzniętych albo i nadpsutych, i jakie trzeba wybrać, da Bóg doczekać, do sadzenia na bezrok.

I. Jak się ziemniaki przechowuje przez zimę.

Bardzo źle jest chować ziemniaki po sklepach, kędy duszno i powietrze nie przewiewa, albo po dołach w ziemi wykopanych. Jeszcze się i to zdarza, że ludzie takie ziemniaki, co w mokry czas wykopane, zaraz do sklepów zesypują, a to jest niedobrze. Jeżeli ziemniaki po deszczu są wykopane, a więc i wilgotne, to trzeba je na boisku przewietrzyć, ażeby obeschły, a potem dopiero zsypywać w suche miejsce.

Najlepiej to przecie składać na zimę ziemniaczki w *kopce*. Tym końcem radzę stawiać kopce nie wielkie, a na miejscu wyniosłem, suchem i trochę spadzistem, żeby woda deszczowa dobrze ściekała; zaś jeżeli można, to najlepiej na podwórzu, boć to pod okiem, to i oglądnąć częściej można, i ustrzedz prędzej od złego człowieka. Uważajcież więc, żeby ziemniaczki dobrze

przebrać, co tylko choćby trochę nadpsute, to odrzucić, a same zdrowe osobno na zimę zachować; bo jako człowiek zepsuty drugiego popsuje, tak i ziemniak inne ziemniaki. Nie radzę także brać co maleńkie, albo co bardzo wielkie, jeno same średnie, a czelne i jędrne.

Chcesz owo usypać ziemniaki w kopiec, to ci trzeba najprzód wykopać dół na ćwierć łokcia, a jak więcej ziemniaków, to i na dwie ćwierci głęboki; ten dół wyściel-że dobrze słomą i na to syp dopiero ziemniaki, a zgartuj jak można najlepiej do góry. Potem musisz to wszystko dobrze okryć słomą, najmniej tak na ośm palców grubości, a najbardziej od dołu obścielać, żeby mróz nie doszedł. Tu dopiero obsyp dobrze ziemią, a jak ziemia sypka, to nie zawadzi pokryć ją łęcinami, mchem albo perzem, i to obsłanie drążkami przymocować, żeby się wszystko dobrze kupy trzymało. Nie trzeba też kopców na piękne zakrywać, jeżeli jeszcze na świecie pogoda, bo to może bardzo szkodzić; tym końcem robi się niby komin u góry, czy to z żerdek, z deseczek, czy ze słomy, żeby para z kartofli miała gdzie wychodzić, i to tak trzymać długo, dopóki mrozy nie nastaną. Jak mrozy nadejdą, trzeba znowu dobrze wszystko założyć; lecz skoro tylko w zimie odwilż nastąpi, tak im gospodarzu znowu rób taki komin, żeby świeżego powietrza trochę naszło. Jeżeli zaś przyjdzie kopiec w zimie rozbierać, czy to na jadło dla siebie, czy na sprzedaż: to trzeba tak wymiarkować, żeby to nie na mróz, ale na ciepłe dnie padło. Dobrze jest wtedy cały kopiec wybrać (a radzę, żeby kopce były nie wielkie) i już w chałupie w suchem miejscu trzymać.

Jeżeli tak zrobicie, a oględnie i przezornie, to da Pan Bóg, że się wam może nie będą psuć ziemniaczki, czego wam z całego serca życzę. Jabym wam i nieba przychylił, żebyście tylko, broń Boże, biédy nie zaznali, ale cóż, kiedy nie potrafię! —

Dawne przysłowia i przypowieści.

Bez ochoty nie spore roboty; bez prace nie będą kolacze.

Lepsza cnota w błocie, niż niecnota w złocie.

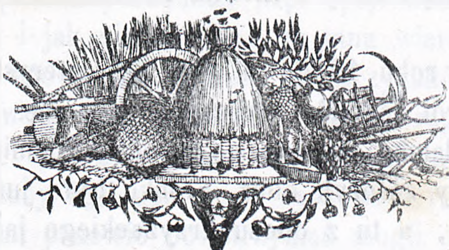
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. Nr. 11.

11. Października 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO.

III. Jaki był wojownik.

Nie mógł się król Jagiełło utulić w żalu, skoro pogrzebał Jadwigę.

— Pojadę sobie — mówił zasmucony — wrócę do moich borów w Litwie, zbierę siłę luda, pójdę wojować, a może Pan Bóg da zginąć uczciwie, bo mi już nie żyć bez Jadwigi.

— Miłościwy królu! — wołali panowie — a toż ci droższa jedna niewiasta, niż cały naród polski?

— Ja wam nic nie poradzę; bierzcie sobie innego króla — rzeknie Jagiełło zadumany.

— My ciebie chcemy, nasz królu jedyny — proszą panowie. — Obroń nas od wrogów! A toć srogi Krzyżak na kark nam lezie i plądruje Polskę; i nie ma kogo, co by nas powiódł na te zbójce. Zostań z nami i wiedź nas na Krzyżaki!

— Ha, nauczę ja Krzyżaka! — zawołał Jagiełło, i jary

gniew zabłysnął mu z oczów. — Zostanę z wami, zostanę aż do śmierci, i powiedę was na tych rabusiów!

Jakoż jęli się Polacy i Litwini zbierać do rozprawy z Krzyżakami.

Było to w roku 1410, a więc już czterysta i pięćdziesiąt lat temu, jak król Jagiełło wyruszył na wojnę. Rankiem 15go lipca stanął niedaleko wsi, co się zwała z niemiecka *Grunwald*, a kędy Krzyżacy założyli obóz. Słonko było już dobrze w górze, patrzą nasi, a tu z obozu krzyżackiego jadą dwa rycerze i prosto walą do króla. Skoro stanęli, wydobyli dwa miecze i odezwą się w te słowa:

— Sławny królu! Nasz wielki dowódzca *Ulryk* przesyła ci te dwa miecze: tobie jeden, a twemu bratu Witołdowi drugi, abyście się mieli czem bronić. — A zrobił to *Ulryk* z wielkiej pychy, boć mawiał on, że w obozie litewskim to więcej łyżek jak mieczy.

Żachnął się król z razu na to; aleć się wnet pomiarkował, i prawi z pokorą:

— Biorę ja te miecze, da Bóg, może się zdadzą przytrzeć wam trochę rogów. —

Jakoż duchem dał znak i trąby polskie zagrały do bitwy. Całe wojsko, jak było, zaczęło spiewać pieśń św. Wojciecha: *Bogarodzica Dziewica*, i ruszyło obces na wroga. Ciężka to była chwila, skoro się wojska starły. Łamały się hartowne żelaza, chłop na chłopa wręcz uderzał, krzyk i brzęk oręży daleko słychać było, a ziemia stękała pod ludźmi i końmi. I dobrą chwilę nie chciał jeden drugiemu ustąpić.

Aliści wielką siłą posunęli się Krzyżacy na Litwinów i tak ich zaczęli przypierać, że wojowniki litewskie jęli uciekać z pola. Wielki książę Witołd, brat naszego króla, był najwyższym wodzem Litwinów. Setny to był rycerz, aleć tu nie mógł sobie dać rady, i nie mógł powstrzymać swego wojska przed ogromną krzyżacką siłą. Już też i polskim wojownikom wydarli wrogowie chorągiew, toż i owi jęli ustępować; a tak się zgoła zdawało, że Krzyżacy wygrają.

A otóż Pan Bóg przecież naszych nie opuścił. W tejże chwili, kiedy Krzyżacy naszym tak mocno dopiekają, puścił się

deszczyk z nieba i osadził kurzawę, przez którą nie można było dojrzeć bożego świata. Król patrzy, a tu owi niemieccy rycerze rozbiegli się w nieporządku, więc spiął duchem konia, ruszył do swoich, i jak nie zawoła: za mną wiara! tak nasi wojownicy spadli znowu jak piorun na Krzyżaków. Poszczęścił Pan Bóg naszym tą razą, odebrali swoją chorągiew, i nuż rzezać niemieckich rycerzy. Więc znowu się strasznie zwierali, jako że i Krzyżacy byli uparci, a nasz król rwał się naprzód, że go ledwie inni panowie powstrzymać mogli.

Kiedy się tak spierają, wyskoczył nagle jeden rycerz niemiecki, i z ciężką piką wali prosto na króla. Nie spostrzegł król tego nieprzyjaciela, ale jeden rycerz polski, imieniem Oleśnicki, zobaczył go rychło; a że nic nie miał w ręce, jeno włócznię, co mu się w boju złamała, więc rzucił połowę na Krzyżaka, i tak go tęgo w łeb zwalił, że ów stoczył się na ziemię. Zmiarkował się król natenczas, przypadł z włócznią na rycerza i ugodził go w samo czoło.

Nie było już nakoniec i z kim się bić. Czterdzieści tysięcy Krzyżaków legło bez duszy na polu, a reszta uciekła. Zginął też i ów wielki dowódzca krzyżacki *Ulryk*, co się tak przed bitwą przechwalał. A oto pan Bóg ukarał go za tę jego pychę, i nietylko że swoich tyle stracił, ale i sam się pożegnał ze życiem.

Niezmierna moc różnych rzeczy dostała się naszym z obozu krzyżackiego. Więc ładna zbrój, paki z pieniądzmi, kufy z winem; zgoła niesłychane skarby. Krzyżacy zaś upokorzyli się bardzo po tej bitwie, i nigdy już nie przyszli do takich sił i majątków. Skoro król wrócił do Krakowa, odprawił zaraz solenne nabożeństwo, Panu Bogu na podziękowanie, że mu dał zwalczyć małą siłą tak wielkiego wroga, i obronić Polskę już na zawsze od krzyżackiej napaści.

Żył jeszcze nasz Jagiełło dwadzieścia lat z okładem po tej walnej bitwie. Miał on aż trzy żony po śmierci ukochanej Jadwigi, a wszystkie go odumarły. Zostało po tych żonach dwóch synów: *Władysław* i *Kazimierz*. Miał-ci Jagiełło na starość różne jeszcze kłopoty z swoim bratem Witołdem, co

chciał być gwałtem królem. Szczęściem umarł dumny Witołd i nie bruździł już więcej.

Późnego wieku doczekał się nasz Jagiełło. Miał prawie ośmdziesiąt i sześć lat, kiedy się wybrał w drogę do Rusi. Było to w czas na wiosnę; zimno było rankami i pod noc, a stary nasz król lubiał nad życie słowicze śpiewanie. Owóż trafiło się, że kiedy przyjechał już za Przemyśl do Medyki, siedział długo w nocy i słuchał słowika. Zaszkodziło to staruszkowi, jakoż rozchorzał się bardzo, i zaraz w Gródku pode Lwowem Bogu ducha oddał.

Żałowała Polska i Litwa tęgiego króla; a choć i po jego śmierci, to się Polacy z Litwinami już razem zostali, i obrali sobie za króla Jagiełłowego syna, *Władysława.*



Spiewka na jesień.



Idzie deszczyk z nieba, zimny wiatr powiewa,
Na zoranem polu ptaszę już nie śpiewa,
Jaskółeczka mała z gniazdka poleciała,
Bociek się zasmucił, starą lipę rzucił.
Lipie schyla wiatr konary,
Żółtym liściem sypie,
Kiedyż siędziesz boćku stary
Na zielonej lipie?....

Cieknie woda, cieknie, droga zabłocona,
Na wysokim brogu pokrakuje wrona;
Co skrzydło roztoczy, deszczyk ją pomoczy,
Smutno już na dworze, litościwy Boże!
Hej nie długo czekać pono,
Mróz nadejdzie srogi;
A któż ciebie prosił wrono
Na wysokie brogi?

Zorałem, zasiałem, i zasiali ludzie,
Wnet przyjedzie Szymon po zmarzniętej grudzie;
Przyszedł święty Łukasz, czegóż w polu szukasz?
Już ci nie urośnie, aż w zielonej wiośnie.

Hej rzuciłem ziarno w rolę,
Nie skąpiłem sprawy;
A czy nam też lepszą dolę
Zeszle Bóg łaskawy?

Wedle pełnej sterty wróble uganiają,
A mili sąsiedzi dziewczynę mi rają;
— Hej miły sąsiedzie, co się żenić w biedzie?
A toć przecie wiecie, że tak źle na świecie....
Hej zaczekam — da Bóg wiosnę,
Bieda się odczepi,
Może w lepszy puch porosnę,
Może będzie lepiej.

Grześ z Mogiły.

Historja o sierotce Jadwisi.

Małą Jadwisię odumarli ojcowie, i nie zostało się po nich jeno jedna jałówka; toż biedną sierotkę wzięła chrzestna matka Regina do siebie za pastuszkę. Więc pasała Jadwisia gęsi i pasała krówki na polu, a jak padło, to Jadwisia musiała iść trawy uciąć, i drobiu pilnować żeby w grzędy nie lazł i koni napoić; zgoła wszystka robota patrzała się do biednej sierotki, toż i nie dziwota, że nie mogła wszystkiemu podołać. A Regina zrzędziła jeno ciągle, a bywało to i wybiła nieraz nieszczęśliwą Jadwisię, nie dała temu jeść jak się patrzy, a starą zapaskę, co jej jeszcze przed rokiem darowała, bywało zawsze wypomina.

— Nieszczęsna moja dola! — płakała nieraz Jadwiga. — A gdzieżeś moja mateńko, a pocóżeś mię odumarła! O ja nieszczęśliwa!...

A tu przybywało coraz więcej tego nieszczęścia. Owóż jednego wieczora poszła gęsi spędzać, patrzy, a tu gęsi na staw poleciały, i ani rusz je zegnać. Dobrze się musiało nauganiać niebożątko i nawołać, zaczem gęsi wyszły z wody, a tu się już i mroczyć poczęło. Pędzi owo gęsi do chałupy, a tu chrzestna Matka z daleka już wydziwia i wywołuje:

— Jadwiga, słyszysz! Co też to i za pędrak taki? A czemuż krowy nie przygonisz z pola? Jak wezmę kija z płota, to ci wszystkie żebra porachuję; nie dam ci nic na wieczerzę, zapaskę ci zedrę i wypędzę z chałupy na dziady, jak mi się będziesz tak lenić!...

— Oj, nie bijcie mię też, chrzestna matko! — ozwała się Jadwiga z bojaźnią — już idę po krowę, już idę.

Jakoż zwinęła się duchem i skoczyła po krowinę na pastwisko. Jenoć tam przybiegła, a tu jej zastępują drogę pastuchy i śmieją się psotniki, że jej krowę do dworu zajęli, bo w pańskie proso wlazła.

Jadwisia załamała ręce i jęła krzyczeć w niebogłosy:

— A cóż ja teraz pocznę, mój Boże, mój Boże! A pocóż mi już wracać do chałupy, toć mię tam chrzestna matka zabiją na śmierć!

— Widzicie, jak beczy ta cyganka! — ozwały się pastuchy i popędzili dalej swoją chudobę.

Jedna tylko marynka ulitowała się nad nią; oddała swoje krowy innej pastuszce, a sama jęła cieszyć Jadwisię, bo jej się żal wielki zrobił w sercu, za co też to wszyscy pastwią się nad biedną sierotką; chyba jeno za to, że nie miała ani takiej ładnej zapaski, ani takiej chustki na głowie, jak inne.

— Nie płacz nie płacz moja Jadwiś — mówiła Marynka — już ja pójdę z tobą do dworu i wyprosimy krowinę, bo panna we dworze łaskawa na mnie, że jej też czasem fijołków z lasa przyniesę.

Utuliła się Jadwisia w swoim żalu i poszły obie z Marynką do dworu. Jakoś szczęśliwie trafiły panienkę na podwórzu, więc też panna wyprosiła zaraz krowę i oddała Jadwisi. Dziwno jej tylko było, dla czego tak brudno i biedno koło Jadwisi. Dopieroż jej Marynka jęła opowiadać, jako Jadwisia jest sierotka, jako jej źle jest u chrzestnej, i wszystko zgoła wypowiedziała. Owoż ulitowała się panienka nad nieszczęsną sierotką i dała jej cienką koszulkę ze siebie i spodniczkę, i chustkę na głowę, a Marysi darowała też ładne paciorki i trzewiczki do kościoła za to, że dobre serce ukazała ku sierotce.

Ucałowały dziewczęta rączki panience i pobiegły co tchu z krową do wsi.

Regina się aż przeżegnała, skoro ujrzała Jadwisię w takiem ładnem obleczeniu.

— Duchu święty! a to zaś co? Z kądże ty masz taką przyodziewkę? — pytała się zdziwiona.

Jadwisia opowiedziała jej sumiennie wszystko, jako się wydarzyło.

— Widzisz? w szkodę puszczać — zaczęła dopiero wydziwiać Regina — w pańskie proso! A czy ja ci to każę, he?... Nie godnaś tej łaski od państwa, i ja ci nie pozwolę w tem chodzić, to będzie dla mojej córki do kościoła. Zdejm mi to zaraz; dla ciebie prawie te szmaty coś je nosiła.

— Jak mi każecie, to i oddam — ozwała się Jadwiga. — Weźcie sobie tam dla córki, mnie i tak Bóg nie opuści.

— A nie pyskuj ty pędraku! — zawołała Regina — Ja ci tu zaraz gębę zamknę, a i dwór ci na to nie pomoże, bo ty nie we dworze służysz, jeno u mnie.

Zdjęła Jadwisia ładną przyodziewkę ze siebie, wdziała nazad starą zapaskę, i wyszła przed chałupę wypłakać się serdecznie na taką krzywdę.

Spodobały się bardzo Reginie owe cienkie husty, aleć znowu bała się, żeby Jadwiga nie poskarżyła się we dworze, bo by i bieda jaka była. Medytuje więc baba, jakby to zrobić, żeby to dla jej córki Kundy te chusty zostały. Jakoż nie bała się samego Pana Boga, żeby skrzywdzić sierotę, a swoją chrzestnę do tego, co zaś jest grzech wielki, i jak świat światem nigdy tego Pan Bóg nie daruje. Duchem też podszepnął jej zły czart dobrą radę. Zawinęła się po izbie, wyjęła z swojej skrzyni papierek na trzy cwancygiery, owinęła w jakiś łaszek Jadwisi i włożyła między węgły od chałupy. Prawie też weszła sąsiada do izby.

— Toście coś dużo podarunków dla Jadwisi dostali — ozwała się sąsiada wchodzący.

Regina nic nie rzekła, jeno się oglądała po izbie.

— A cóż to tak szukacie zaturbowani? — pytała się znowu sąsiada.

— Ej, bo mi się papierek na trzy cwancygiery zatrącił, moja Onufrowa — odrzekła Regina, a zbliżyła się w tej chwili do ściany i wyciągła z pod węgła ów łaszek, co go dopiero sama tam zatknęła.

— O, na rany Chrystusa! Widzicież tę cygankę! — zawołała Regina — a toć mi Jadwiga papierek ze skrzyni wyciągnęła i tu go schowała.

— Co powiadacie! owa sierotka, coście ją z miłosierdzia wzięli?...

— A przypatrzcie-że się sami, że to łach tego pędraka — zawołała Regina i wyleciała za drzwi.

Jakoż słychać było zaraz z dworca wyzywanie Reginy i płacz okropny Jadwisi, do której się chrzestna zaraz bić wzięła.

— A ty złodziejko! a ty cyganko! — wymyślała Regina. Onufrowa wyleciała duchem na ten krzyk z chałupy, a jeszcze tego samego wieczora wiedzieli ludzie w Stebnicy, że sierotka Jadwisia ukradła papierek na trzy cwancygiery swojej chrzestnej matce.

Nabrała się Jadwiga dużo bicia niesprawiedliwie, i tak jej się żal zrobiło w swojej niewinności, że płacząc i zawodząc serdecznie, wyszła sobie aż daleko na pole.

— Mój Boże kochany, miejże litość nad sierotą — zawodziła Jadwiga. — Moja mateńko, moja mateńko, a na cóżeś ty mnie odumarła!...

Jakoż nie wiedząc sama o tem, zaszła aż pod mękę pańską, co stała nie daleko lasu, a tam uklękła sobie biedna sierotka, i jęła się modlić gorąco do Pana Jezusa, żeby też jej niewinność okazał, albo ją zabrał z tego świata. I już tak sobie myślała, że woli zginąć marnie na polu, jak wracać do swojej chrzestnej.

Późny już był wieczór. Niebo było czyściutkie, zasiane gwiazdami jak makiem; a miesiączek świecił sobie w pośrodku niby rybie oko. Jadwisia siedziała pod krzyżem, płakała ciągle i tak już sobie pomyślała, że się ztąd nie ruszy, a niechby tam i wilcy z lasu przyszli i żywcem ją pożarli. Ledwo też o tem pomyślała, aż ci tu nagle załomotało coś za krzakami.

— O dla Boga, o dla Boga! -- krzyknęła Jadwisia i przysunęła się mocniej do krzyża.

— A czegóż ty wrzeszczysz, jakby cię kto darł ze skóry? ozwał się w tej chwili gruby głos na drodze, i wyszedł z lasa pan Wojciech, kowal z trzeciej wioski.

Dobre to było człeczysko, pan majster z Podwala. Wracał owo teraz z jarmarku, a zajrzał troszkę do dzbana i nogi mu nie bardzo statkowały.

— To ja jest, panie majster — ozwała się drząca z bojaźni Jadwisia — ale się boję. O mój Boże kochany, nie bijcie mnie też panie majster!

— A ktoby cię tam bił, dziewucho! — rzekł pan majster i skłonił się przed figurą. — A coś ty za jedna?

— Mnie Jadwisia na imię — rzekła sierotka i opowiedziała mu całą historję, jaka jej się przytrafiła.

— A toś ty może porwiszka! — ozwał się pan Wojciech — A ja na porwiszów jak ogień!... Tyle-by było twego życia!

— Oj, nie pokradłam nikomu nic nigdy, i cała wieś mię wyświadczy. Wolałabym umrzeć z głodu, jak kraść — odrzekła Jadwisia płacząco.

— No, to pójdź za mną a dam ci wieczerzę, i przenocujesz się na strychu.

— Kiedy się też okrutnie boję!...

— Ale głupia, czego się boisz? — zawołał podchmielony kowal. — Przecież cię nie zjem wrzasku przejęty! Dalej chodź, bobym cię zbił i tyle twego życia.

Jakoż zabrała się Jadwisia i poszła z panem Wojciechem do Podwala. — Wydziwiała trochę pani kowalicha, skoro jej mąż sierotkę przyprowadził, bo myślała z razu, że to jaki próżniak i włóczykijek. Ale skoro Jadwisia parę dni u nich wybyła, a pani Wojciechowa ujrzała, że to pracowite i potulne dziecko, tak-ci dobra kobiecina prawie za swoją córkę ją przyjęła; jako że nie dał im Pan Bóg dzieci, a dostatku siła. I wnet przywykli wszyscy troje do siebie. Pan Wojciech robił w kuźni; pani Wojciechowa krzątała się wedle gospodarstwa, a Jadwisia jej pomagała, albo szyły razem i śpiewały pieśni do Matki Najświętszej. I było tam Jadwisi jakby w raju.

A owo w Stebnicy rozgadywali ludzie, że Jadwiga swojej chrzestnej matce trzy cwancygiery ukradła, a potem uciekła, i pewnie ją gdzieś wilki zjadły w lesie. Jakoż pobiegła także Marynka powiedzieć o tem wszystkim we dworze i zaklinała się na wszystko, że to być nie może, aby Jadwiga była złodziejką, jeno że jej pewnie Regina pieniądze podrzuciła, żeby też łatwiej zabrać od niej owe chusty. Panience we dworze było także bardzo dziwno, bo widziała w kościele na Kundzie, córce Reginy, oną przyodziewkę, co ją Jadwisi darowała. Jakoż poprosiła panienka swojego ojca, żeby się w to wdał, i żeby też sąd tego dochodził.

Zaś u Reginy zaczęło się teraz wszystko dziać na opak. Gęsi się rozlatywały, a nawet kilka zginęło, bo ich Kunda ani troszkę nie potrafiła dopilnować; krowina padła na paskudnika, a ludziska zaczęli po wsi rozgadywać, że Regina w parła na Jadwisię owe trzy cwancygiery. Jakoż bieda zaczęła zaglądać drzwiami i oknami, i każdą, byle najmniejszą dziurką cisnęła się do chaty. Spuścił Pan Bóg do tego na Reginę srogie wyrzuty sumienia, jako że nikt nie wiedział we wsi, kędy się Jadwisia obraca, a Regina myślała jak inni, że ją gdzie wilki w lesie zjadły, albo też z głodu uskwierkło biedactwo. Toż nie mogła Regina ani zasnąć, ani łyżki strawy wziąść spokojnie do gęby, tak się jej wewnątrz sumienie odgrażało.

Wybyło tak z miesiąc. Aż ci tu jednego wieczora drzwi się uchyliły i weszedł sołtys.

— Niech będzie pochwalony! — powitał uczciwie. — Moja Regino, przyszło pismo, żebyście się jutro do sądu stawili, a zeznali gdzie się podziała Jadwiga sierota.

— Abo ja to wiem? — Uciekł pędrak odemnie, bo mu się gęsi paść nie chciało — ozwała się Regina, ale pobladła strasznie na oną nowinę.

— Ha, no, to tam będziecie w sądzie o tem gadać — odrzekł sołtys. — Panu Bogu oddaję — dodał jeszcze i wyszedł z chałupy.

Na drugi dzień poszła Regina do sądu, a była tam i Jadwisia z panem Wojciechem. Jadwisia, dobre dziecko, jako mogła, broniła swojej chrzestnej matki, mówiła że jej u niej dobrze było;

zgoła dobrocią wywdzięczała się Reginie za te wszystkie bicia i przekleństwa, co od niej słyszała. Znać zapamiętała sobie sierotka owe słowa naszego Chrystusa Pana, że *kto na ciebie rzuci kamieniem, to ty na niego chlebem*. Aleć nie pomogło to wszystko; przewąchał sąd co to za ziółko ta Regina i zamknął ją do aresztu. Do tego kazali jej jeszcze złożyć pieniądze za jałówkę sieroty, co po ojcach została, i za cały czas co Jadwisia służyła u Reginy. Jakoż była to już pierwsza kara, którą Pan Bóg spuścił na oną niedobrą kobietę.

Ale nie było dosyć na tem; bo Pan Bóg litościwy, co się każdym podłym robaczkiem opiekuje, ma też i sieroty w szczególnej swojej opiece, i nie dozwoli, aby się kiedy sierotce jakowa krzywda stała. Owóż cóż się znowu dzieje. Skoro jeno Regina wyszła i zaczęła się jako tako krzątać wedle gospodarstwa, aż tu jednego poranku przywędrował urlopnik do wsi, i wszedł do jej chałupy ze sołtysem. Aż się zatrzęsła Regina z przestrachu, bo to był Szczepan brat jej rodzoniuteńki, a na niego był cały grunt z chałupą zapisany.

Ledwie się przywitali, odezwał się Szczepan:

— Moja siostro, przyszedł ja się tu upomnieć o swoją ojcowiznę.

— Oj mój Boże! — zawołała Regina — a toć ludzie powiadali, że ciebie na wojnie zabili!

— Nie zabili mię, chwała Bogu, a i zdrów jestem, jak się patrzy — odrzekł Szczepan — a teraz chciałbym już osiąść na gruncie od świętego Jakóba, a i ożenić by się zdało.

— A mój bracie, a przecież chałupa z gruntem na mnie zapisana?

— Oj nie, moja Regino — chałupa z gruntem jest na Szczepana. Są tam do tego wszystkie papiery, to wam już nic nie pomoże.

Dopieroż Regina jęła płakać i lamentować:

— A mój bracie, a nie wyganiaj-że mię też na dziady razem z córką! A nie miałbyś chyba Boga w sercu!

— Ej, co mi tam pleciesz! — odfuknął Szczepan. — Natłukł ja dosyć moje kościska, toć chciałbym sobie także gdzie

na starość odpocząć. Dam ci spłackę, co się będzie patrzało, i możesz sobie gdzie komornem mieszkać.

— A ja spłackę zabierę za jałówkę, coście Jadwisi stracili — odezwał się znowu sołtys.

Nic tam nie pomogły Reginie płacze i lamenty; musiała się bratu ustąpić z chałupy i osiadła komornem, a w takiej komorze, co o niewiele się od chlewka różniła. Patrzajcież, co się zrobiło z zasobnej gospodyni! Musiała teraz z córką za zarobkami chodzić, a i to nie wszędzie przyjęli, bo się babsko leniło. Więc też bieda była wielka, a Kunda musiała iść kłoska po ściernisku zbierać, albo grzyby w lesie, żeby przecież było coś do gęby włożyć. Zaś Jadwisi na niczem nie zbywało u Wojciechów. Kowalicha przepadała za nią; kupowała jej co najładniejsze chusty, a i trzy sznury korali na szyję jej sprawiła, tak, że zgoła rodzonej córce lepiejby nie było. A zmienił Pan Bóg tak w swej sprawiedliwości, że teraz Kunda chodziła w starej zapasce i grubą płachtą na deszcz się okrywała. Jakoż bardzo było biedno koło niej i koło matki.

Trafiło się owo, że kiedy raz tak Regina z Kundą o głodzie i o chłodzie siedziały, weszedł do komory pan Wojciech i pochwalił Pana Boga.

— Która tu jest komornica Regina — spytał się, spozierając po pustych i brudnych kątach.

— To ja gospodarzu, a czegoż odemnie chcecie? — ozwała się Regina.

— Oto sołtys wasz — prawi kowal — przyniósł mi dwadzieścia reńskich za jałówkę, coście przepaśli sierocie Jadwidze, i za zasługę i za odzienie. A że ona dziękować Bogu nie potrzebuje, bo ma z nas ile chce, i na nią gospodarstwo zapiszemy, więc wam odnoszę, abyście mieli dla waszej dziewuchy. Jadwisia, jako chrzestnej matce, posełа wam też kołacz.

— O mój Boże kochany! Spodziewała ja się też takiej łaski w mojej biedzie — zawołała Regina i ściskała kolana Wojciechowi.

— A teraz się przez prawo pokazało — prawił dalej kowal — że na Jadwigę przypada jakaś chałupka, co przy garncarzowej roli...

— Wiem też wiem — rzecze Regina — to po ciotce.

— Więc mogę wam oddać tę chałupinę — prawił Wojciech — a wy sobie ją poprawicie za te pieniądze, i weźcie ją sobie na wieczyste, bo Jadwidze nic po niej. Jest tam i ogródek na kapustę i na ziemniaki, a to wam za to Jadwisia daje, coście ją po śmierci matki do siebie przyjęli.

Rozbeczała się Regina na piękne, rzuciła się całować Wojciecha po kolanach, a i Kunda ściskała nogi kowalowi. I wstąpił w tej chwili Pan Jezus do serca onej niewieście i jej córce, i żyły potem w bojaźni Bożej i w uczciwości ku ludziom. Bo ani pogróżkami, ani zawziętością nie zyszczesz sobie człowieka; ale litością i dobrocią przyciągniesz sobie bliźniego i nawrócisz grzesznika na łono Pana Boga.

W kilka lat później zaprosili mię ludzie w kumy do Marynki, owej pasterki, co to za Jadwisią w dworze się stawiła. Była ona już rok za mężem; dostała chłopa jak świeca, a owo mnie zawołali, żebym jej też trzymał do chrztu chłopaka, jak jabłuszko. Ochoty tam było dużo, a jadła i napitku, co nie miara. — Nie wyszło też i sześć miesięcy, bo jakoś pod jesień łońskiego roku, zaprosił mię też i pan Wojciech na wesele Jadwisi, co szła także za kowala młodego ze sąsiedniej wsi. Ustroiłem się co się zowie, bo mię też panna młoda za drużbę obrała. O moiściewy! a co tam było radości, to wam i nie wypowiem. Hulaliśmy aż do białego rana, a mnie się z radości aż w głowie zamroczyło, choć nigdy ostrych trunków nie używam.

(Cz. N.)

O ziemniakach.

II. Jaki może być pożytek z pomarzniętych i nadpsutych.

Skoro ci ziemniak cały się zepsuje, to już nie ma z nim co robić, jeno wyrzucić; ale na takie, co tylko przemarzną, albo też trochę dopiero gnić zaczęły, to jest jeszcze rada. Bieda potrafi siła nauczyć człowieka; bo w biedzie próbuje człek wszystkiego, aby tylko było lepiej. Owoż posłuchajcie, co ja wam poradzę:

Jeżeli ziemniaki nie są zepsute, ale tylko zmarznięte, wtedy oskrob je w zimnie, poprzerzynaj i jeszcze nie odtajałe włóż do zimnej wody. Skoro zamróz we wodzie z nich wyjdzie, wtedy wyjmij, i już je możesz gotować a będą dobre do jedzenia. Jeżeliby zaś były nadpsute, to pamiętajże o tem, żeby przedtem zbolałe miejsca dobrze powyrzynać.

Kiedy ujrzysz, że ci się ziemniaki zaczynają psuć w kopcu, tedy trzeba wyjąć wszystkie, bo choroba jest zaraźliwa i wnet by wszystko zgniło. Radzę ja wtenczas kartofle oskrobać, powyrzynać zbolałe miejsca, pokrajać w kawałki i rozłożyć je w piecu po wysadzeniu chleba. Aleć miejże na baczności, aby piec nie był taki gorący, iżby ci się ziemiaczki upiekły; potrzeba tu żeby jeno uschły, a tak są przydatne do gotowania, albo można z nich wtedy zrobić mąkę a nawet i kaszę.

Jeżeli chcesz, abyś miał mąkę z takich ziemniaczków, to trzeba je dobrze do suszenia na małe kawałątka pokrajać, a potem zemleć duchem czy to na żarnach, czy też i w młynie. Mąka ta jest żółtawa, a trzeba ją chować w suchych faskach i na suchem miejscu. Możesz z tej mąki piec chleb, a to najlepiej zmięszać ją czy to z mąką żytnią, czy też i pszeniczną. Dosyć jest smaczny taki chlebuś.

Zmarznięte albo też nadpsute ziemniaczki dadzą się jeszcze użyć dla bydła; jako i wy też często paciuki ziemniaczkami karmicie. Kiedy zaś jest bieda, to można karmić krowy i konie ziemniakami. Nie można do tego używać surowych, ale muszą być zawsze dobrze sparzone. Jeżeli są zaś nadpsute, to trzeba z nich ile się da nadbolałe miejsca powyrzynać; a jak już na kartoflach nać wyrosła w sklepie, to broń Boże dawać razem z nacią, bo to szkodliwe.

Lepiej-by to było, żebyśmy tego wszystkiego nie potrzebowali, żeby ziemniaczki były czelne i zdrowe, aleć trzeba się opędzać, jak kto może, kiedy bieda na karku, a mówią takoż ludziska, że *wiele ten zrobi, co musi.*

RÓŻNOŚCI.

Pożary. — We wsi *Dydni* w Sanockiem uderzył zeszłego miesiąca piorun w bróg koniczyny, co stał między dworskiemi budynkami i zapalił go od razu. Strach był wielki, bo lada chwila mogła się zająć stodoła, a za nią byłoby i wszystko zgorzało. Aleć wnet przybiegła gromada ze wsi i wzięła się siarczyście do obrony. Tak też przy łasce Boskiej i pomocy ludzkiej skończyło się tylko na onym brogu. Pan dziedzic podziękował ze serca gromadzie, i pewnie im za to będzie wdzięczny aż do śmierci. A jeżeli pan razem z gromadą są w zgodzie i przyjaźni, to tam już nie ma niebezpieczeństwa o jakowy przypadek albo niedostatek. Wy się też ociągacie często z obroną, skoro wybuchnie pożar od piorunu, mówiąc, że to z wolą Pana Boga się stało; a toć piorun taki sam jest wypadek, jako i grad albo woda kiedy wyleje. — Niedawno temu w sam sądny dzień żydowski spaliło się też gumno we wsi *Wierzbowczyku* w Złoczowskiem. Znaleźli się też i tu zaraz poczciwi ludzie, bo nie wyszło i pół godziny, a przyjechał co tchu pan rządzca ze wsi niedalekiej Pieniaki, wiodąc ze sobą ludzi i sikawkę. Wielki był wiatr onego dnia, i tylko podziękować tęgiej pomocy, że inne budynki dworskie nie zgorzały, a może i wieś cała. Spaliło się tylko samo gumno ze zbiorami, więc i tak była bardzo wielka szkoda, a strachu tyle, żeć to naprawdę jak sądny dzień się wydawało.

Chleb zatruty. — Będzie temu dwa miesiące, jak upiekła jedna kobiecina chleb we wsi *Sapowej* w tarnopolskim obwodzie, a nie dawała na to pozoru, że w życie było dużo *sporyszu*, czyli *śniedzi* czarnej, co to często na kłoskach wyrasta, a także dużo nasienia z kąkolu. Jadła go spokojnie razem z córką, dorosłą dziewuchą i czteroletnim synem. Nie wyszło owo dwie doby a wszyscy troje pomarli. Miejcież się na baczności moi ludzie, żeby ziarno ze *śniedzi* i kąkolu dobrze przebierać, bo to wielka trucizna. Osobliwie *śniedzi* jest tego roku siła, bo lato było mokre. Mówicie wy na takie rady: Ej, co mi tam ma szkodzić; a oto macie przykład, że taka nieuwaga to może człowieka przyprowadzić o zdrowie i o życie.

Babskie rządy. — Mój sąsiedzie, czy jutro pójdziecie do kościoła?

— A nie wiem, jak ta kobieta się rozrządzi.

— Jeżeli pójdziecie ta weźcież ta moją Maryśkę, bo młodej dziewusze tak samej iść tyli sztuk drogi, to jakoś nie ładnie i nie wypada. Jakże weźmiecie?

— Spytajcie się sąsiedzie mojej kobiety, to ona wam to najlepiej wytłumaczy.

— To chodźcież przynajmniej, wypijemy po kieliszku gorzałki, bo się to dziś napracowało, że aż barami trudno ruszyć.

— Ja by rad mój sąsiedzie, ale kobiety jeno patrzyć z pola, to by jej ta zaraz różne cudeńka przyszły do głowy, że człek więcej dba o karczmę jak o dom.

— Bo widzicie, na starą Janowę gromada się składa i my dajemy po garncu żyta, a parobcy dworscy po dwa garnce ziemniaków i po trzy główki kapusty, więc chciałem z wami pogadać....

— To już z kobietą moją pogadajcie.

— No to choć zażyjcie tabaki.

— Bóg wam zapłać, bo żona by poczuła, to zaraz byłoby jej to z przykrością.

— A niechże was Bóg kocha, a cóż to? czy nie macie już ani rozumu, ani pomiarkowania jak wypada?

— Ej, spytajcie się żony...

— Oj, mój sąsiedzie, pamiętajcie, że:

Biada temu domowi,
Gdzie krowa doboda wołowi.

Za co biją leniwca. — U pewnego gospodarza służył parobek, co miał wielką ochotę do miski, a przeokropny wstręt do roboty. Co się mu nie nagadał, nie nagroził, nie naprosił, ale ani w ząb; tyle to wszystko znaczyło, jakby wdział na psa łyko. Sprzykrzyło się to gospodarzowi, i razu jednego dopadłszy bata, nuże po Stachu, bo tak się zwał on nicpotem parobek.

— A za co wy mnie bijecie! — wrzeszczał parobek w niebogłosy — dyć wam *nic nie robię?*

— Za to właśnie, za to — rzeknie gospodarz, chłodząc go z całej siły — że *nic nie robisz!*

Słowa z pisma świętego.

Nie wstydź się bliźniego twego, w upadku jego.

Synu, nie odejmuj jałmużny ubogiemu, a oczu twoich nie odwracaj od ubogiego.

Nie bądź prędkim w języku twoim, a niepożytecznym i niedbałym w uczynkach twoich.

Dawne przysłowia i przypowieści.

Nie każdy kąsa, co wąsami trząsa.
Oglądaj się na poślednie koła.
Obiecanka, łganka, a głupiemu radość.
Jest-to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.
Domowego złodzieja nikt się nie ustrzeże.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III.



Nr. 12.

21. Października **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pan Bóg najwyższa mądrość.

Młody jeden królewicz zwykł był mawiać: „Na co też Pan Bóg stworzył muchy i pająki? Stworzenia te żadnego pożytku nie przynoszą człowiekowi. Żebym miał na to sposób, wszystkiebym wygubił.

Zdarzało się, że sąsiedni król wpadł z dużem wojskiem, pobił żołnierzy co nad nimi królewicz przewodził, i jego samego zmusił do ucieczki. Nieszczęśliwy królewicz tułając się po lasach, gdy bardzo był zmordowany, rzucił się pod drzewo i usnął. A owo jeden z żołnierzy nieprzyjacielskich, którzy go ścigali, odkrył go, a poznawszy w nim królewicza, dobył szabli, i zamierzył się, aby go zabić. Wtem mucha usiadła na twarzy królewicza i tak go mocno ukłuła, że się natychmiast zbudził, a postrzegłszy niebezpieczeństwo, dobył oręża i uderzył na żołnierza. Żołnierz uciekł, przestraszony niespodzianym napadem. —

Nie widząc się bezpiecznym w lesie, wynalazł królewicz ciemną jakinię z ciasnym otworem i w niej miał na noc spoczynek.

czynek. Tymczasem w nocy przyszedł pająk i wnijście do jaskini zasnuł swoją cieniutką siecią. Nad rankiem dwóch żołnierzy nieprzyjacielskich zatrzymało się przed jaskinią, i jęli coś między sobą rozmawiać. Królewicz nastawił ucha.

— Założyłbym się — mówił jeden, wskazując na jaskinię — że się tu schował.

— Nie podobna — odpowiedział drugi — bo wchodząc, byłby popsuł tę sieć pajęczą.

I obadwa żołnierze precz poszli, królewicz zaś, padając na kolana i wznosząc ręce do nieba, zawołał: „Dzięki ci wszechmocny Boże! wczoraj zachowałeś mi życie za pomocą muchy, a dziś siecią pajęczą zasłoniłeś mię od nieprzyjaciół.“

Widzicie, moi ludzie, że Pan Bóg nic na próżno nie stworzył; wszystko co uczynił, służy ku dobru naszemu. Nie wyrzekajcie na Pana Boga, jeżeli wam się coś przykrego stanie; nie wyrzekajcież na jakie nieszczęście, ale się oglądnijcie dobrze, a ujrzycie, że to własna wina wasza do różnych nieszczęść i wypadków was przyprowadza. I ukorzcie się wtedy przed Bogiem, i starajcie się postępować według przykazań Jego, a zobaczycie, że wszystko stworzył On ku potrzebie i wygodzie człowieka.

Maluczkim jest człowiek i głupim, a często wyrzeka na Boga, który jest *najwyższą Mądrością!* —

OJCOWSKA RADA.

Dobry mój znajomy Sebastjan Lesiczka z Jeżowej, przysłał mi tu śpiewkę co ją złożył do składu. Nie ma on tam wiele czasu do tego, bo mu wypadło jako też innym chodzić z pługiem w pole i ze sierpem i z kosą jak co kiedy trzeba; a wtedy przychodzą mu różne myśli do głowy. Skoro więc padnie Niedziela albo jakie święto i wolny jest od pracy, wtedy siędzie sobie za stołem, i śmiga piórkiem po papierze, i spisuje takie rzeczy, coby były innym na pożytek albo ku zabawie. Otóż i ja wam tu wydrukowałem jedną jego śpiewkę:

Ojciec już umierał, iść się ztąd zabierał,
A synowi smutek do serca zazierał.

— Cóż mi na ostatek tatusiu powiecie?
Jak ja tu sierota będę żyć na świecie?

— Synu, pilnuj swego i bądź pracowity,
Nikt jeszcze z *czyjego* nie pozostał syty;
Zresztą się ze wszystkiem spuść na Pana Boga.

A niechże ci utkwi jeszcze ta przestroga:
Skoro tylko wyjdziesz do twej pracy z domu,
Dopomóż ci Boże! nie powiedz nikomu,
Bo jak zechcesz wszystkim szczęścia w pracy życzyć,
To ci niedostatek będzie przewodniczyć. —

Zadumał się synal, nie wie co to znaczy,
Więc umierający jasno mu tłumaczy:

— Kiedy wyjdziesz, jak lud sieje, orze,
Trza-ć każdemu mówić: *dopomóż ci Boże!*
A jak pójdziesz rano gdy zaczną śpiew ptacy,
Wtedy tobie życzyć będą szczęścia w pracy.
Bo kto rano wstaje i zaczyna z Bogiem,
Temu niedostatek nie bywa za progiem.

Usłuchał syn dobrej ojcowskiej przestrogi,
Toż ma pełne stajnie i wypchane brogi. —

Sebastyan Lesiczka z Jeżowej.

Kara Boska.

Małe pół milki od Myślenic, we wsi Osieczanach, bywali z dawien dawna bardzo bogobojni państwo. Modlili się oni często do Pana Boga, a że z tamtąd kawałek do kościoła, więc mieli sobie w ogródku kapliczkę, co się w niej co dnia pomodlili; a skoro przyszedł piątek i sobota, to już świecili lampkę w onej kapliczce Panu Jezusowi na chwałę.

A był w tej kapliczce Pan Jezus pod trzecim upadkiem. Figura Syna Bożego była udatnie z drzewa wyrzezana, a na kamiennym postumencie. I nieraz tam zachodzili ludzie ze wsi do

owej kapliczki, pomodlić się w strapieniu lub jakiej boleści, bo tego państwo nie zabraniali.

Owóż opowiem wam, co się raz w tej kapliczce wydarzyło:

Będzie temu już pięćdziesiąt lat z okładem, jak był we wsi żyd pachciarz, co mleko w dworze kupował. Żyd jak żyd bachorów miał co niemiara, a że sobie nie mógł dać z onemi rady, więc przyjął do nich nauczyciela żydowskiego, co go oni *belferem* zowią. Był to jeszcze młody żydziak ten belfer, a zuchwały i hultaj jakich mało. Więc się nic nie ostało przed nim; każdemu psotę wyrządził, we wsi i we dworze po sadach szkody robił, zgoła, nie można się było ustrzedz przed onym hultajem.

Otóż trafiło się raz, że przyszedł do wiejskich chłopaków, jak paśli bydło, i ozwał się do nich:

Słuchajcie pastuchy, chodźmy do pańskiego sadu. *Ach waj*, tam są *fein* jabłka i gruszki.

— Jédz sobie sam żydzie, kiedy takie dobre — odezwią się chłopcy.

Ale żyd jak wziął ich namawiać i namawiać, tak się też i pastuchy złakomiły i poszły z belferem do sadu, zapominając na to, że Pan Bóg mówi w siódmem przykazaniu: *nie kradnij.*

Szczęściem nie było żywej duszy w sadzie, więc chłopcy uganiają, a trzęsą i obrywają, co się tylko wlezie. Aleć skoro przybiegli pod kapliczkę, co była w kącie sadu, tak się w nich jakoś sumienie ruszyło, i spostrzegli się, że to grzech robić szkodę w cudzym sadzie. Więc zdjęli czapki i stanęli milczący przed kapliczką, nie wiedząc sami, co dalej zrobić. I chcieli już uciekać z ogrodu, tak im się markotno zrobiło, aż tu przybiegł do nich belfer.

— Ny, a cóż wy tak stoicie? — ozwał się żydziak.

Chłopcy nic się na to nie odezwali.

— Aj, to przed tym kapliczką — zawołał belfer! — No, niechże i ja się waszemu Panu Jezusowi przypatrzę!

I weszedł żyd do kapliczki, i w kapeluszu na głowie zaczął się z kpinami figurze przypatrywać. U rączat Pana Jezusa, spartych w upadku na kamieniu, wystawały długie paluszki; więc cóż temu niewiarze żydziakowi nie przychodzi do łba:

— Ny, niech ja waszemu Panu Jezusowi obetnę paznokcie — odezwał się heretyk, wyjął kozik z kieszeni, i dalej obcinać palce u figury.

Dzieciom wiejskim aż włosy na głowie stanęły na on widok; uciekły z wielkim strachem do domu, i nikomu nic o tem nie rzekły. Aleć sumienie robiło im straszne wyrzuty, , wylęknione pastuchy zarzekły się już na zawsze chodzić zem z tym hultajem żydem.

Belfer wrócił także swoją drogą do domu, i wydawało się już, że mu Pan Bóg przepuści tę srogą obrazę. Nadszedł wieczór i noc nadeszła, żydzi poszli spać, a belfer także z nimi.

Na drugi dzień z rana bachory żydowskie pobudziły się, szwargoczą między sobą, a belfer nie wstaje, tylko się przewraca i hałasuje, że jeszcze noc wielka, czemu oni powstali. Z razu myślały bachory, że on sobie kpi; ale skoro on ciągle przy swojem obstawał, że noc i noc, toć oni jęli mu dopiero mówić, że widno i dzień, a jemu się chyba w głowie przewróciło. Jakoż na prawdę świeciło słonko czysto i ogniście.

Dopieroż żydziak jak nie zacznie krzyczeć, co mu tylko sił starczyło, jak nie zacznie o mur bić głową, to mało że sobie jej nie rozbił. Bo, o cudzie niepojęty! Pan Jezus go skarał, i rzucił mu ślepotę na oczy przez jedną noc.

Taka osobliwa straszna historja rozniesła się wnet po całej wsi, także i do dworu, a wtedy dopiero one chłopaki, co były w sadzie z belferem, jęły opowiadać, co ten poganin zrobił figurze Pana Jezusa. Nie mogli się ludzie wydziwić sprawiedliwości Pana Boga, wychwalali Imię Jego, że tak ukarał zuchwalstwo żyda dla przykładu drugich. Żydzi zaś ledwo nie pamarli od strachu i żalu, bo belfer jak nie widział tak nie widział, i nic mu nie pomogły żadne leki.

I odtąd cała wieś miała w poszanowaniu oną kapliczkę z figurą Pana Jezusa upadającego pod krzyżem, i nieraz tam dostąpił nie jeden człowiek ulgi w swych strapieniach, jeżeli gorące modły zanosił do Pana Jezusa.

Ludka z Myślenic.

PRZYPADEK BARTKA.

U sołtysa Kality schodzili się ludzie na pogadankę w niedzielę wieczorami, i tam już każdy co wiedział to powiedział, a nie było to ani na obrazę Boską ani ludzką. Bo się też nie bawili żadnemi plotkami, jak to często świegotliwe baby lubią, ku szkodzie a obrazie drugich; ani też żadnych poswarków nie bywało, jak się to często zdarza w karczmie przy kieliszku. Sołtys nie mógł znieść ani plotek ani poswarków i był jak ogień na oboje; a skoro jeno kto kluczkę do tego dawał, to mu tak wyciął prawdę, że mu aż w pięty poszło. Więc się go bali ludzie we wsi, ale go i kochali, boć było z niego nad wyraz uczciwe chłopisko.

Więc bywało, na schadzkach u sołtysa opowiadają sobie same ciekawe i nieobrażające uszów rzeczy. I tak nie jeden się co nauczył z tych pogadanek, czasem bywało spłakali się ludziska, a czasem jak się już jęli śmiać z czego, to aż się rozlegało.

Nie raz ja tam byłem na tych wieczornicach, a owóż dzisiaj powtórzę wam, co nam raz opowiadał Bartek, jako mu się samemu ze strachem wydarzyło:

— Nie pomnę, jak to było — zaczął mówić Bartek — dość, że szedłem sobie w poniedziałek bardzo rano z siekierą do boru i odmawiałem pacierze. A kiedym dochodził do ostatniego mostu, co heń pod lasem, a pod którym, jak mówią, ma być taka głębia, że nie jeden tam się już utopił, ciarki mnie przeszły po ciele i stanąłem pod mostem. Już to tyla nagadali ludzie o tym diabelskim moście w Olszynie, na którym szatan wyprawia co noc swoje figle i sprowadza wędrowników w przepaść, aby ich duszę zacapnąć do piekła, że i mnie jakoś obeszło. A nuż bestya mi się pokaże! myślę sobie. I stoję i oglądam się na wszystkie strony po zaroślach, i czekam, póki ktoś więcej nie nadejdzie. Ale gdzie tam! słońce jeszcze nie zeszło; nikt tam rano tędy nie przejeżdża, bo każdy się też i boi. Tak tedy nie wiem, co mam z sobą począć. Iść, czy nie iść? W tem przypomina mi się, że mam kij lipowy w ręku, a lipiny ma się djabeł lękać jak święconej wody. Przeżegnałem

się, zaśpiewałem: *Kto się w opiekę*, i wszedłem na most. Ledwiem doszedł do połowy, a tu, Jezus Marja, jak nie grzmotnie, jakby most się zawalił. Nie pamiętam, jakem go przeleciał, bo w oczach mi się zaćmiło i nogi stężały. Na trakcie przedemną mignęło się tylko coś z ogromnemi rogami. To pewnie sam lucyper. Stanąłem o kilkadziesiąt kroków i obejrzałem się, bom i siekierę zgubił i kapelusz mi z głowy zleciał. Nie chciałem się po nie wrócić, żeby czasem i samej głowy nie stracić. Więc stoję i czekam zmiłowania boskiego, aż kto nadejdzie. A serce mi tyka, a pot z czoła ciecze, jakby przy najcięższej pracy w żniwa.

Kiedy tak medytuję, co pocznę bez siekiery i kapelusza, zaszeleściało coś w krzakach, zląkłem się na nowo i już brałem nogi za pas. A w tem ukazał się na trakcie nasz gajowy Wojciech Dzięcioł z fuzyą na ramieniu. Ochłonąłem. Zbliżył on się do mnie, ale jakoś z kwaśną miną i rzekł:

— A cóż to Bartłomieju, wyglądacie, jakbyście ze skóry wyleźli, albo jakby was kto postrzelił!

— A bo i prawda. Ledwiem ze skóry nie wyskoczył. Jak to ludzie zawdy wygadają.

— Musieliście się chyba spotkać z biesem.

— Spotkać jak spotkać, śpiewałem pieśń nabożną, to i nie miał do mnie przystępu; ale ryknął ze złości tak straszliwie pod mostem, że jeszcze nie mogę przyjść do siebie. A jakem na pół żywy przelatywał most, przemknął się tylko ów bies przedemną i przepadł w krzakach na prawo. A jakie też to ma rogi! niby dwie gałęzie sterczały mu na łbie.

— Ha! ha! ha! śliczny mi bies, coby było na pół roku mięsiwa z niego, żeby nie proch, co mi zwilżał na panewce, i chybiłem.

— Coście chybili, Wojciechu?

— No, tego biesa, co wam tyle napędził strachu, żeście i kapelusz zgubili.

— Toście wy?...

— Tak, ja strzeliłem za jeleniem, alem go chybił, i potem widziałem, jak się wam przemknął żywy przed oczami i przepadł w krzakach.

— Bodaj was! a myślałem Bóg wie co.

— Strach ma duże oczy. Nie myślcie drugi raz i nie wierzcie bajkom ludzkim. Boć ja tu przy tym moście nie jednę noc przeczatuję, a jeszczem biesa nie spotkał, chyba że mnie ludzie wzięli za owego opętańca z piekła. Tak się to dzieje na świecie, człowiek człowieka, albo zwierz człowieka nieraz przestraszy, i zaraz gadania, że coś pokutuje, że to i owo. Ale bądźcie zdrowi, bo muszę pójść za tym jeleniem, a może go udybię.

— Bóg wam zapłać Wojciechu za naukę. O będę się też śmiał z ludzi, a naprzód z siebie samego.

Uśmieliśmy się wszyscy z tej Bartkowej przygody, a on sam najwięcej, że był taki głupi; aleć teraz się już odmienił, a jak padnie, to i o północy przez most w Olszynie pójdzie, a jak pacierz mówi, to nie żeby od jakiego strachu albo djabła, ale żeby mu się nie cniło, i Pan Bóg łaskawy uchował od jakiego wypadku. Bo jak kto nieostrożny, to może guza nabić, albo i nogę złamać, a to gorsze od wszystkich strachów, co o nich ludzie pletą koszałki opałki. *(Km.)*

Waszemu zdrowiu na pożytek.

Zapadają u was dzieci a i starsi często na słabość, którą nazywacie *gliniec* albo *gnilec* czyli *szkorbut.* Słabość ta pokazuje się najczęściej na miejscach niskich, koło jezior i błót, i w lata nieurodzajne. Trafia się ona zywkle między nowym rokiem a pełną wiosną, póki się nie pokaże świeża zielenina. W takim razie puchną słabemu dziąsła i krwawią się za lada dotknięciem; całe ciało nabrzęknie i ociężeje, a pod kolanami i u stóp pokazują się sine plamy. Niema wtedy słaby żadnego smaku do jadła, a jak się słabość zaniedba, to mu się dziąsła coraz bardziej ranią, a wreszcie i gnić poczynają. Ztąd też nie trzeba chorego zaniedbywać, ale zaraz z początku wziąść się do leczenia. Radzę najprzód żeby słaby w zadusze dużo nie przesiadywał, ale żeby

był jak najwięcej w czystem, ciepłem i suchem powietrzu, żeby jadł świeże ogrodowiny jeżeli już są, a szczególniej szczaw, cebulę, rzodkiew i chrzan. Sine plamy pod kolanami i koło stóp nacierać trzeba octem nalanym na chrzan, i niechże sobie także octem do połowy z wodą zmięszanym gębę wypłukuje. Jeżeli zaś już starszy, a używa gorzałki, to może dwa razy na dzień wypić po kieliszku wódki moczonej z piołunem, tatarskiem zielem albo dzięglem. Gdy zaś choroba już tak daleko zaszła że dziąsła gnić poczynają, to nie ma co z tem żartować, ale nie odwlekać i zawieźć słabego do doktora.

Jak też u was komu noga albo ręka spuchnie, a do tego i zczerwienieje, oho, to już zaraz wszystkie baby we wsi krzyczą że to *róża*, i posyłają chorego do wiejskiej doktorki, żeby mu różę spaliła. Doktorka, jak zwykle głupia baba, zaraz mu tam pali, czerwonem suknem naciera, papierem z cukru owija, i Pan Bóg nie wie co jeszcze wyrabia; koniec końcem każe sobie dobrze zapłacić, choć niejeden po tych lekach dobrze na wieczne czasy okaleczeje, a czasem mu i dziura wypadnie aż do kości, żebyś w nią całą pięść wsadził. — Owóż nie wszystko jest *róża*, co wy *różą* nazywacie. Czasem się ciało zaogni, napuchnie i *zczerwienieje mocno*, a ze środka rwie jakby kto młotem walił; w takim razie ma się w tem miejscu jakiś wrzód zrobić, który to wrzód *czyrakiem*, *bolakiem*, *świniakiem* albo *żydówką* nazywacie. Poznać to potem, że się to coraz bardziej podnosi i narywa. Wtedy trzeba w tem miejscu przykładać albo ciepłą kaszę z tłuczonego *lnianego siemienia*, albo ciasto zrobione z żytnej mąki z miodem. — Jeżeli zaś robi się na nodze, na ręce, czy gdzie indziej na ciele, czerwoność, ale *blada* i bokami żółtawa, i nie rwie pod nią jak przy wrzodzie, ale tylko świerzbi i pali: wtedy to jest prawdziwa *róża*. Czerwoność ta nie puchnie i nie rośnie tak do góry jak u wrzodu, zaś jak ją naciśniesz palcem, to się biała robi. Róża ustaje zwykle po siedmiu albo dziewięciu dniach, a potem łuszczy się skóra w tem miejscu. — Jeżeli kto róży dostanie, nie trzeba babrać żadnemi mokremi ani tłustemi rzeczami, bo może stwardnąć i rana się otworzy, a potem to już źle bardzo. Najprzód trzeba dać choremu na wymioty, a to wtedy, jeźli ma język brzydki, biało obłożony, i

smaku nie ma do jadła. Proszki na wymioty miewają zwykle po dworach. Potem trzeba słabego poić odwarem z *bzu* albo *lipowego kwiatu*, żeby się pocił. A niechże przytem w łóżku leży i ciepło się trzyma bo zaziębienie najgorsze; z jadła mu także nic więcej nie dawać jak krupnik, lekki żur, przytem wodę i chleba niewiele. Zaś na różę nie trzeba nic przykładać tylko trochę utartej kredy na miękkiem suknie, albo woreczek z grzaną i suszoną mąką. Broń Boże moczyć czemkolwiek różę, bo się może rozranić. — Powiecie wy na to: A ktoby tam tyle zachodu robił wedle takiego głupstwa! — A ja wam wówię, moi ludzie, że lepiej jaki tydzień w łóżku przeleżeć, przebiedować i roboty odbieżać, jak potem rok albo i więcej z paskudną raną chodzić. Oj widział ja już nieraz: nogę spuchniętą jak kłodę, a ranę taką coby kacze jajo włożył, a wszystko z róży zamoczonej, albo co ją doktorka tak dobrze wyleczyła. Najwięcej zaś wypada strzedz się tego, z czego się róża robi. Powody do tej słabości są: przeziębienie, tłuste i ostre jadło, zmartwienie, gniew, złość i pijaństwo. A najprędzej gniew i pijaństwo. — Oj, to pijaństwo już niejednego o życie przyprawiło. —

Wydarza się najczęściej pomiędzy dziećmi, że chorują na *robaki* czyli *glisty*. Poznać to potem, że dziecko takie ma brzuszek wielki, chociaż zato całe jest blade i słabieńkie. Skrobie się zawsze rączką koło nosa, w nocy zgrzyta zębami i oczy do połowy otwiera, chce jeść dużo albo zgoła nic, a często cierpi nudności i ztąd jest niespokojne. Najlepiej jest leczyć dzieci na robaki przed nowiem, a więc w ostatniej kwadrze. Tym końcem trzeba dać dziecku na czczo ze dwie łyżeczki tartego *cytwarowego nasienia;* a dobrze jest zmieszać pierwej ten proszek z miodem, bo sam jest gorzki i dzieci go nie lubią. Tartego *cytwaru* czyli *gliśniku* dostanie w każdej aptece. Dostanie także po aptekach cukierków na glisty, a te są jeszcze lepsze niż cytwarowy proszek, bo słodkie, i dzieci to chętnie gryzą.

Uważajcież matki na to ażeby dzieci wasze robaków za młodu nie miewały. Jak się to tam raz przytrafi, a do tego i niewiele, toć i niewiele zaszkodzi; ale jeżeli częściej dzieci na robaki cierpią, to na koniec zbiednieją, zchyrleją, wybladną i wychudną, i potem ni do ludzi ni do Boga. A przecież matki,

każdaby z was chciała, żeby to dziecko jej było jak jabłuszko urodziwe; więc nie żałujcież czasem parę krajcarów i drogi do miasta, żeby kupić dziecku cytwaru albo cukierków na robaki.

Teraz pod zimę trafia się często między ludźmi *kaszel.* Kaszel może być różnoraki, ale u was to wszystko jedno, na każdy kaszel radzi baba pić psie sadło, albo borsukowe z mlekiem, a to nic nie warte, i niejednego w suchoty wpędzi, co byłby się mógł łatwo kaszlu w inny sposób pozbyć. Takie sadła z mlekiem co wy zawsze na kaszel pijacie, są stare, i tylko zapaskudzają żołądek a więcej nic.

Owoż kaszel może być najprzód przez zaziębienie, wtedy to razem boli głowa, ciężkość spada na piersi, a czasem i w uszach strzyka. Przychodzi to ztąd, jeżeli kto nieostrożny wybiegnie nagle zgrzany na zimny wiater, jak się to często zdarza po karczmach, kiedy jest ochota i pije się przytem. Na taki kaszel najlepiej jest położyć się do łóżka, ciepło się nakryć i nic nie jeść prócz kleiku z jęczmiennej kaszy. Niechże przytem zaparzy kto choremu bzowego albo lipowego kwiatu, aby się napił tego odwaru z kwartę, albo i więcej na gorąco, a potem niech się dobrze kożuchem i z głową nakryje. Jak się słaby tęgo wypoci, to cały kaszel gdyby ręką odjął. Trzeba zaś uważać, aby chory nie odkrył się nagle w tych potach, albo żeby bosemi nogami po izbie nie chodził. Lepiej więc jest położyć się odrazu na dwa albo i trzy dni do łóżka, niż kaszel zaniedbać, żeby potem z pół roku męczył, i posunął człowieka o kilka lat naprzód do grobu.

U dzieci, a czasem i u starszych, trafia się często kaszel, który zowią *koklusz.* Ten kaszel zdarza się jeno raz w życiu człowieka, a po tem go łatwo poznać, że tylko kilka razy na dzień porywa, ale wtedy człowieka o mało że nie zadusi. Dzieci czerwienieją, sinieją i zachodzą się przy tym kaszlu. Trwa on całe sześć niedziel, a czasem i dłużej; i nie ma na niego rady, bo musi swoje wybyć. Więc też i lekarstwa nie ma na to żadnego, jak tylko żeby słaby zawsze się ciepło trzymał, a chłodu i wilgoci się wystrzegał. Jeżeli dziecko dostanie kokluszu, to go zaraz trzeba od innych dzieci odłączyć, bo to jest zaraźliwa choroba. Nie jest on zaś taki niebezpieczny ten kaszel,

jak tylko to, że okrutnie męczy. Przytem strzedz się trzeba gniewu, mocnego krzyku, albo przelęknięcia, bo to kaszel powiększa.

Wydarza się u dzieci jeszcze jeden kaszel, a ten jest bardzo niebezpieczny. Chwyta on niespodzianie, i dusi coraz bardziej. Dziecko wtedy pieje, jak to ludzie mówią, tj. że się tak zanosi od kaszlu. Z tym więc kaszlem nie ma co żartować bo może i w jednym dniu udusić. Trzeba więc jechać duchem po doktora, a ten już będzie wiedział co na to poradzić.

O Ziemniakach.

III. Jakie mają być do sadzenia.

Ziemniaki do sadzenia najlepiej jest brać ze ziemi lekkiej i sucho położonej. Są one najzdrowsze i najbardziej mączaste, a dają obfity plon i na mocniejszej roli. Powinny być przytem zdrowe, nie nadpsute i nie chrościate. — Jako wam już pierwej rzekłem, najzdrowsze ziemniaki są te, co ani bardzo wielkie, ani małe, lecz średnie; takie więc radzę też wybrać do sadzenia. Na wiosnę przed sadzeniem trzeba takie ziemniaczki dobrze wysuszyć na powietrzu, nie zaś na słońcu, bo to im szkodzi.

Jak padnie na zdrowy rok, to ziemniaczki na każdym gruncie dobrze się udają; aleć skoro jest zaraza na ziemniaki, to trzeba i z gruntem przebierać. Na ziemi lekkiej, przenikliwej a wysoko położonej, rodzą się ziemniaki zdrowe, mączyste i trwałe do przechowania. Jeżeli więc kto ma taką rolę, to niech na niej sadzi. Kruche ziemie także są dobre, skoro tylko dosyć gnojne i przenikliwe. Ale rola gliniasta i tłusta, nieprzenikliwa a nisko położona, najgorszą jest pod ziemniaki. Lepiej na takiej ziemi sadzić buraki, rzepę, brukiew albo marchew.

Najlepiej jest sadzić ziemniaki w polu jarzynnem, bo mierzwa świeża nawozi się pod ozimę, a więc ziemniaki przychodzą w drugoletniej mierzwie. Nie radzę sadzić ziemniaki na świeżej mierzwie; wydają one większy plon, ale też i prędzej ulegają chorobie. Choćbyś zaś i mierzwił trochę, to najlepiej na polu

jarzynnem, bo po ziemniakach dobrze jest siać groch, wykę, lub mięszaniny na zielone, a potem dopiero oziminę. Niedobrze zaś jest sadzić ziemniaki w ugorze, bo oziminy po nich mało ziarna wydają. Wam się to często trafia że siejecie oziminy po ziemniakach, więc też bardzo na tem tracicie; bo tylko słomisko wielkie urośnie, a ziarna skąpo.

Już pod zimę trzeba rozpoczynać uprawę roli pod ziemniaki, a im więcej rola zrosła, gliniasta i silna, tem bardziej trzeba rąk przyłożyć do niej. Pod zimę powinno być już wszystko poorane i głębiej odwrócone. Rola lżejsza i pulchna musi być zbronowana; roli spoistej i gliniastej lepiej nie bronować. Każdą zaś uprawę pod ziemniaki trzeba na zimę opatrzyć przegonowemi bruzdami, żeby woda na zimę prędziej ściekała, a tak i rola duchem oschnie. Najwięcej na to uważać żeby orka pod ziemniaki była jak się tylko da głęboka. —

Czem rychlej sadzi się ziemniaki tem lepiej. Trzeba uważać jak tylko ziemia z wilgoci osiąknie i wygrzeje się trochę, a już możesz gospodarzu rozpocząć sadzenie. Więc rychłe ziemniaki z początkiem kwietnia, a późniejsze w połowie. W dwojaki sposób sadzą u nas ziemniaki: albo w *zagony* albo w *rzędy* czyli *radlonki*. — Sadzenie w zagony jest nic nie warte, bo się wydobywa dużo surowej ziemi na wierzch. Tylko w mokrych nizinach dobrze jest sadzić w zagony; aleć w takiem miejscu trudno żeby ci się ziemniaki udały. Sadzą też ziemniaki pod pług; a to w taki sposób, że się zawsze jedną bruzdę opuszcza, a w drugą dopiero sadzi, zaś tę nakrywa się wyoraną skibą. Dobry to jest sposób, ale na roli lekkiej i przenikliwej; gdzie zaś miejsce mokre i trudno wodę odprowadzić, tam się na nic nie zda. W ziemi niskiej, gliniastej albo iłowatej, tak sobie trzeba poczynać: — Wyorują się radliny na pół albo trzy ćwierci łokcia od siebie oddalone, i dopiero w rozory między radlinami sadzi się ziemniaki na trzy lub cztery pięście jeden od drugiego. Nie trzeba sobie przytem niedbale poczynać, i nie porzucać ziemniakami bez porządku, ale się nachylić i każdy osobno położyć, a trochę go wgnieść do ziemi. Najlepiej się z tem obchodzić umieją kobiety. Skoro już zasadzone, rozpędza się radłem grzebienie radlin, i robi się nad zasadzonym rzędem nowe radliny. Jeżeli jest ziemia gliniasta,

to trzeba, żeby radliny były głębokie. Później zaś, kiedy gospodarz miarkuje, że ziemniaki wypuściły już kiełki pod ziemią, przynajmniej tak do połowy jak grzbiet radliny wysoki, wtedy powinien zbronować całe pole lekkiemi bronami. Kiedy już zaś łodygi na trzy albo cztery palce nad ziemią wyrosną, wtenczas trzeba radliny wyradlić, ale broń Boże jedna po drugiej, bo się przez to roślina osłabia i szkodzić jej może. Dla tego trzeba wyradlić jedne radlinę, drugą przeskoczyć, aż znowu trzecią wyradlić; potem znowu czwartą opuścić a piątą wyradlić, i tak ze wszystkiemi. Dopiero po jakim tygodniu resztę wyradlić trzeba, a za radłem powinna chodzić kobieta i motyką poprawiać gdzie wypadnie. Takim sposobem obradla się ziemniaki jeszcze raz, a i drugi, jeżeli tego potrzeba. Uważajcież na to wszystko jakem wam tu powiedział, a Pan Bóg da, że się nam ziemniaki na bezrok już nie będą psuły. —

RADY GOSPODARSKIE.

Jak przechowywać zboże w ziarnie, aby się nie zepsuło.

Kiedy się zboże do szpichlerza zesypuje, powinno być suche i przewiewne, a sypanie powinno być tak zaopatrzone, iżby zboże w niczem nie cierpiało.

Więc najprzód, nie powinno być nad stajniami i chlewami, bo te wyziewy zwierząt i smród szkodzą bardzo zbożu.

Ani śnieg ani deszcz nie powinien zaciekać dziurami; tym końcem trzeba wszystkie rysy i szpary w ścianach, w pułapie i podłodze pozabijać i zasmarować.

Sypanie powinno być tak urządzone, żeby, jak trzeba, można i powietrze i światło do niego wpuszczać. Okienka do przewiewania powietrza powinny być naprzeciw siebie, a tak wysoko nad podłogą, jak wysoko zboże we środku jest nasypane. Trzeba także na te okienka kratkę z drutu przybić, żeby niemi ptaki nie wlatywały i zboża nie psuły. Przy okienkach powinny być takoż okiennice do zamykania.

Na szczury i myszy trzeba zastawiać łapki, bo to wielkie szkodniki w zbożu.

Jeżeli zboże świeże i wilgotne, albo ziarna takie co mają olej w sobie, jak rzepak, lniane siemie i t. d., powinien gospodarz cienko rozpościerać.

Kupy trzeba porządnie i regularnie usypywać, i naznaczać, wiele jest w której zboża. Kupy te powinny być takoż deskami przegrodzone.

Zboże należy od czasu do czasu przerabiać; a to dla tego, żeby nie zatęchło, lub czy też nie ma jakiego gniazda myszów pod spodem.

Sypanie powinno być pod kluczem, a klucz powinien wisieć na pewnem i jednem miejscu, albo też gospodarz powinien mieć go przy sobie: bo tylko *pańskie oko konia tuczy*, a *kto nie dołoży okiem, to dołoży workiem.* Równie w ładzie powinny być strychulec, miara i inne porządki.

Gdyby ci się wołki do zboża zakradły, natenczas wywoź gospodarzu i uprzątaj zboże, a na tem miejscu nie syp już ziarna przez cały rok, bo by ci go zjadło.

Ubędzie zawsze trochę zboża na składzie, a to przez zeschnięcie, jako też i przez przerabianie. Nie dużo jednak ten ubytek wynosi: jeżeli trzy albo cztery korce na sto przy świeżem zbożu, to już wiele; zaś na sto korcy starego zboża nie powinno ubyć więcej nad półtora.

Rzeczą gospodarza w ogóle, jest wszędzie porządek i dozór. Jak kto dobytek swój w porządku trzyma i dogląda swego, to zawsze musi też i wyjść na swoje. Kto zaś sam leniwy, a pozwoli do szpichlerza lada komu łazić, czy to parobkowi, czy to dziewce, to przecie trafi raz na nieuczciwego, co go okradnie i szkodę mu wyrządzi.

RÓŻNOŚCI.

Jakich ludzi najwięcej na świecie? Za króla polskiego Zygmunta Starego żył na królewskim zamku jeden człowiek a ten się zwał *Stańczyk*. Bardzo on był dowcipny, a choćby i samemu królowi, to zawsze prawdę powiedział;

nie tak jako inny podchlebca, co w oczy się łasi, a po za oczy niestworzone rzeczy gada. Raz pyta się go król:

— Powiedz-no mi mój Stańczyku jakich to ludzi najwięcej na świecie?

— Doktorów! miłościwy Panie — odrzekł Stańczyk i ani się zająknął.

Zdziwił się król na to powiedzenie Stańczykowe, jako że w onym czasie bardzo trudno było ustrzedz jakiego lekarza, nie dopiero żeby ich można na kopy rachować.

Więc ozwał się na to król do niego:

— Ależ od rzeczy mówisz mój Stańczyku, a zkądżeby zaś doktorów było najwięcej na świecie?

— Ha, to ja cię przekonam, miłościwy królu — rzecze Stańczyk.

Jakoż na drugi dzień zabrał ze sobą jednego człowieka, co był u królewskiego boku, za świadka, a sam podwiązał sobie brodę białą chustką i tak wyszli na miasto. Znali Stańczyka wszyscy ludzie, a o mało, że nie każda przekupka. Skoro się więc pokazał z owiązaną twarzą na rynku, tak-ci zaraz przybiega jeden do niego:

— A cóż to wam Stańczyku? — pyta ciekawie.

— Zęby mnie bolą — odrzekł Stańczyk i skrzywił się, jakby mu kto octu do gęby nalał.

— O, to źle, a weźcież sobie kamfory i przyłóżcie na ząb, to duchem przestanie boleć.

Skoro uszli kilka kroków, zdybała ich znowu jakaś kobieta a znajoma Stańczyka, i znowu go się pyta, coby mu było.

— Oj, strasznie mnie zęby bolą zawołał Stańczyk — i tak oczami zawrócił, że mu aż białka było widać.

— A weźcież sobie rumianku i bzozowego kwiatu, przyłóżcie na gębę, a przestanie.

I tak zaczem obeszli rynek do koła, tak im każdy człowiek radził na ból zębów, a każdy co innego.

Jak tylko wrócili się do zamku, pyta król już z daleka:

— No, a cóż, znaleźliście dużo doktorów?

— Całe miasto — ozwał się ów dworzanin, co ze Stańczykiem chodził.

Skoro zaś król spojrzał na Stańczyka i zobaczył go z podwiązaną brodą, tak się zaraz domyślał wszystkiego i uśmiał się serdecznie. Boć i prawda, najwięcej jest doktorów i doktorek na świecie; lada baba, co się nic a nic na tem nie zna, będzie ci zaraz radzić na różne słabości, i plecie ni w pięć ni w dziewięć, aby tylko pletła. A swoją radą toby ci prędzej duszę z ciała wypędziła, niżbyś się oglądnął.

Dawne przysłowia i przypowieści.

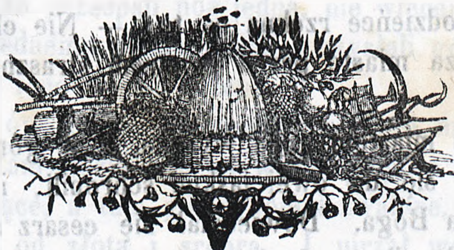
Poznać z mowy, jakiej kto głowy.

Nie pomoże krukowi mydło, ani umarłemu kadzidło.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. Nr. 13.
1. Listopada 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O siedmiu braciach spiących.

Roznieśli apostołowie naukę Chrystusa Pana po całej ziemi, a poszło prześladowanie za nimi i wszelkie okrutności. I kto uwierzył w Syna Bożego, ten nie uniknął złego, a zginął śmiercią męczeńską. Męczyli poganie bez liczby wiernych chrześcianów. Wszystkie wieże nimi zapełnili; ciała ich po murach wieszali, głowy na drzewach zatykali; a ptacy, wrony i sępy ciała Świętych pożerały i do koła miasta latały.

A jako bicz pański, usiadł na krwawym tronie cesarz pogański, i kazał jeszcze mordować.

I owo tak się zdarzyło, iż się siedmiu młodzieńców zmówiło, że będą wierni i zniosą dla Chrystusa i przeczystej Panienki wszystkie męki, choć srogie. Więc odtąd razem chodzili i wzajem się żywili, i razem mieszkali, a wzajemnie się wspomagali w stateczności i wierze.

Skoro się o tem cesarz dowiedział, zaraz ich kazał wieść przed siebie, a w srogim gniewie tak rzecze:

— Czy chcecie wy się wyrzec waszej wiary? Nie pomogą wam żadne czary waszego Boga, ani On was obroni od mej dłoni.

A owi młodzieńce rzekną na to: — Nie chcemy.

I uciekli za miasto przed gniewem strasznego cesarza pogańskiego.

A była za miastem góra wysoka, a w górze była jaskinia głęboka, więc się do owej jaskini schronili, i tam się modlili gorąco do Pana Boga. Dowiedział się cesarz srogi, gdzie się młodzieńce zuchwali przed nim schowali. I posyła cesarz wojsko swoje, i posyła murarzy, a rzecze: — Jak zobaczycie skałę, gdzie młodzieńce zuchwałe, tak mi zaraz zamurujcie do jaskini wnijście, i nazad przyjdźcie zdać sprawę.

Poszli cesarscy słudzy na pole, i pełnią jego wolę, i wzięli się ogniście zamurować do jaskini wnijście, żeby owi już na świat nie wyszli.

A młodzieńcy w skale klęczeli, i nie słyszeli mularskiego stukania, jeno swoje modły i błagania zanosili do Boga. A skoro im się ciemno w jaskini zrobiło, myśleli że się słońce skryło i zapadło za góry. Więc po chwili do snu głowy skłonili, i spuścił Pan Bóg sen na ich powieki.

I wnet wszyscy o nich zapomnieli, jak gdyby już poginęli. Tylko jeden chrześcijanin wyszedł rano, a miał tabliczkę ołowianą, i spisał na tabliczce tych młodzińców imiona, i rok, kiedy uczyniona zbrodnia owa, i wrzucił szczeliną tabliczkę do pieczary.

Płynęły odtąd lata jak woda. I tak lato po lecie dwieście lat minęło, a na świecie wszystko się odmieniło. Czysta wiara przez Chrystusa Pana opowiadana, zwyciężyła wszystkie ludzkie bałwany i złości, i rozprószyła ciemności. A trafiło się tego czasu, że powstali mędrcowie, a były w ich mowie fałsze i niedowiarstwo. I zaprzeczali owi Jezusowi, i mówili złem sercem, że Pan Bóg umarłych nie wskrzesi na sąd ostateczny i żywot wieczny. I była ztąd wielka rozterka w chrześcijańskich ludach.

Ale Bóg wszechmocny przekonał w prędce one mędrce o prawdzie nauczenia Syna swego Boskiego.

Wydarzyło się onego czasu, że wedle tej pieczary, gdzie śmierć ponieśli młodzieńce dla wiary Chrystusowej, zakładał ogród

owocowy dziedzic tej góry. A skoro ludzie kamienie odwalili, to się przestraszyli i uciekli, bo młodzieńce odżyli i powstali. I tak im się zdało, że przespali noc jedną, nie więcej; więc po modlitwie gorącej jednemu pieniądz dali i wysłali go do miasta, aby nakupił chleba i co więcej trzeba.

I wszedł ów do miasta bramą, i zdało mu się, że miasto nie to samo. Tam gdzie widział wczoraj bydło się pasące, były ogrody woniejące, a tam gdzie domki zwalone, były postawione pałace pyszne od złota i srebra. I ujrzał wszędzie krzyże, a wczoraj ich nie było; i słyszał słowa: Jezus Chrystus! Więc go ta mowa zdziwiła, że wiara Chrystusowa tak rychło zwyciężyła.

Zatrwożył się młodzieniec i pyta człowieka: — To jest miasto Efez?

A ów rzeknie zdziwiony: — Toć jest ono.

I szedł dalej młodzieniec wziąć chleba i coby więcej trzeba. A skoro dał pieniądze piekarzowi, to się ludzie dziwili, że pieniądz taki stary, i z cicha do siebie mówili: Oto skarb znalazł w ziemi. I wiedli go do starszego, aby zdał sprawę z tego skarbu znalezionego. A on staje, ogląda się i nikogo nie poznaje, choć był rodzic z Efezu.

Przywiedli go przed biskupa i starostę pospołu.

I pyta go starosta: — Gdzieś ten pieniądz wziął? skarb pewnieś znalazł; powiedz, gdzie leży?

On rzekł: — Ja ten pieniądz mam od ojca mego. Więc pytali się o rodzica jego, a skoro im rzekł, to się śmiali i szaleńcem go zwali. A skoro im rzekł dalej o cesarzu, co ich kazał wczoraj zamurować, tak się ludzie jęli dziwować, i szli za nim do jaskini, gdzie bracia jego inni także byli. A w jaskini znaleźli tabliczkę, gdzie był razem z imiony rok naznaczony.

Wtedy biskup ukląkł i chwalił Imię Pańskie przed ludem, że swoim wielkim cudem niedowiarki pogańskie nawraca. Bo oto dwieście lat w jaskini leżeli i śmiercią posnęli, a na głos Boskiego rozkazu powstali od razu, i ani się nie zestarzeli, ani posiwieli, a tak na nich wszystko było, jak przed dwustu laty.

Więc pisał biskup do cesarza, a ten był już chrześcijanin, nie poganin. Pisał biskup: Przyjeżdżaj prędko panie, bo oto Bóg na pokaranie fałszerzy cud uczynił.

I przyjechał cesarz w prędce i pozdrawiał młodzieńce, a oni go błogosławili i mówili, że na fałszów potępienie są zbudzeni.

A skoro to wymówili, ku ziemi się pochylili, i pomarli. — O Panie! my wierzymy w ciał zmartwychwstanie, a skoro nas pobudzi trąba Twego sądu, bądź na nas łaskaw, o Boże, w dobroci nieogarniony, postaw nas od prawej strony, i daj nam spocząć życiem wiecznem, pod Twem skrzydłem bezpiecznem, Amen.

Nie wesoła śpiewka.

Wieje wiater, wieje, kołysze drzewami,
Uganiają wróble całemi chmurami;
Jeden sobie usiadł na gałązce głogu,
Świegocze wesołą piosnkę Panu Bogu:
— A ja sobie jestem wielki pan,
Dla mnie się zieleni cały łan;
A w łanie ziarneczka,
Głód mi nie doskwiera —
Z piórek koszuleczka
Szaro mię ubiera —
A jak swoje skrzydła na wiater rozwinę,
To mię cała ziemia zaprasza w gościnę.
Hej jestem ja sobie wolny pan,
Dla mnie się zieleni cały łan;
Pan Bóg mnie łaskawy
Od wrogów obroni,
Przyjdzie jastrząb krwawy,
To go het odgoni —
Za to się do Ciebie modlę miły Boże,
Zaczem do snu główkę pod skrzydełko włożę.

Wieje wiater, wieje, kołysze drzewami,
Czerni się gościniec, czerni rekrutami;
Jeden sobie idzie, serce mu się kraje,
Śpiewa sobie smutno, aż łza w oczach staje:

— Hej biedny ja biedny jestem człek,
Oj darmom się darmom od nich strzegł;
Przyszli i zabrali,
Na wojenkę wiodą —
Matusia płakali
Nad moją urodą —
I nikiej gościny, i nikiej zabawy,
Idę z karabinem, idę na bój krwawy.
Hej biedny ja biedny jestem człek,
Oj darmom się darmo od nich stozegł;
Jest tam szabel siła,
Zginę na wojence —
A tam Zosia miła
Załamuje ręce —
Pęknie od żałości serce u dziewczyny...
Zlituj-że się zlituj, Boże mój jedyny!

Wieje wiater, wieje, kołysze drzewami,
Czerni się gościniec, czerni żołnierzami;
A dwóch sobie idzie i gawędzą z cicha,
Czasem jeden westchnie, czasem drugi wzdycha;
— Oj szkoda go szkoda, walny chłop!
Poległ na ściernisku niby snop;
Jak powiem matuli,
To będą płakali —
Szablą go zakłuli,
Ledwie pogrzebali —
I ledwie że trawa zrosła na mogile,
Daleko, nie jedna, ani nie dwie mile.
Oj szkoda go szkoda, walny chłop!
Poległ na ściernisku niby snop;
— A cóż tam mateńko
Z jego Zosią miłą? —
— Oj, żyła maleńko
Jak go niestarczyło —
Aż jej serce pękło jednego poranku...
W panieńskim ją ludzie pogrzebali wianku. —

Grześ z Mogiły.

Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.

I.

Mówili już głośno ludzie w Piasecznej, że Kuba Świstek ma się do Marynki Kwiczołównej. Kiwali przytem głowami, bo gdzie zaś tam parobczakowi do kmiecej dziewki zaglądać. Jeszcze do tego stary Kwiczoł był sobie kmieć nad kmiecie, i nie jednego mieszczana byłby w kieszeń schował.

Marynka nie była bardzo gładkiego liczka, lecz nic jej też nie brakowało: cienka była w pasie, a do tego ubierała się zawsze w szerokie wstążki i nową chustkę, i w spodniczkę w kwiatki — że iście wyglądała jakoby jaka miejska a nie wiejska dziewczyna. Ale rozpowiadały baby, że też i tyle na niej; że do roboty nie bardzo skora, i woli się do lusterka przeglądać, choć i nie ma czego.

Że Kuba miał się do Marynki, to ludzie sobie nie znowili, ale szczera była prawda. Kwiczołowie gościli Kubę u siebie, już o swataniu myśleli, i wyprawę Marynce sporządzali, jako że nikt inny Marynce się nie trafiał; nie miała szczęścia do ludzi Zaś Kuba, prawda że był tylko parobkiem we dworze, więc i nie bogaty, ale był chłop jak świeca, miał dwoje rąk do pracy, a przytem rzetelny i uczciwy, więc mu już stary Kwiczoł chciał oddać swoje dziecko.

Było to raniutko w Niedzielę, a że pod jesień, więc i chłodno trochę, choć jasno i czysto na niebie, jak zwykle babskie lato. Kuba ubrał się w świąteczną sukmanę, za kapelusz zasadził pawie piórko, jak każdy szczery mazur, i tak ruszył do kościoła. A szło się przez wieś do kościoła, więc też i koło Kwiczołowego obejścia.

Idzie Kuba, patrzy — a tu Marynka uwija się po ogródku i zrywa resztę kwiatków na głowę. Poskoczył Kuba do płota:

— Dzień dobry Maryś! — zawołał, i uchylił kapelusza.

Oglądnęła się Marysia na to niespodziewane powitanie.

— O, Kuba, a kędyż to tak rano?

— A tam, gdzie i ty się zbierasz, do kościoła.

Marysia na to nic nie rzekła, jeno rwała dalej kwiatki.

— Cóż, Maryś, to mi nawet rączki na dzień-dobry nie podasz? — ozwał się Kuba po chwilce.

— Ej, ja nie mam czasu. Toć muszę się zebrać do kościoła, a trzeba przecież godnie się ubrać, żeby ludzie palcem nie wytykali.

— Bo też ty się jeno ubierasz — ozwał się Kuba — i chciałabyś się wszystkim spodobać. Naraili mi ciebie ludzie, a ja cię i w białej spodniczce kocham, byle tylko czysto.

— O, jaki mi wielki pan! — zawołała Maryśka urażona.

— No, nie gniewajże się, moja Maryś, i chodź mi podać rączkę.

— Kiedy mi się nie chce, jeszczem nie twoja — odmruknęła Marysia i rwała dalej kwiatki.

Ale Kuba, chłopiec gorący, nie chciał tak z niczem odejść; więc sparł się rękami o płot, jednym skokiem przesadził, i chwycił za spodniczkę uciekającą Marynkę. Nic to nie pomogło; wyrwała mu się Marynka i zmykła do chałupy.

Został Kuba jak głupi w ogrodzie, a że też właśnie coś zakaszlało na podwórzu, więc nie wiele myślący skoczył nazad przez płot i ruszył do kościoła.

— Co też i za dziewczysko takie! — mruczał sobie po drodze. — Niby to chce iść za mnie, a ucieka od człowieka jak oparzona, i za innymi spogląda. Tfu! to mi się nie podoba. A teraz to się będzie stroić do południa.

Jakoż najpóźniej przyszła Marynka do kościoła, choć razem z słonkiem wstała. Ale za to tak była wystrojona, że wszyscy się na nią oglądali.

Wieczorem była w karczmie muzyka. Byli tam Kwiczołowie z Marynką, był tam i Kuba, i dużo jeszcze ludzi. A owo między ludźmi był także niemiec Johan z Kolonii, co graniczyła z Piaseczną. Dawno już nie widziano kolonisty w karczmie. Bywało przed laty, chodzili oni na muzykę do Piaseczny; ale skoro nasi mazurowie zadarli się z nimi parę razy, i wygarbowali im skórę, tak się już na oczy w karczmie nie pokazywali. Jakoż teraz patrzyli się wszyscy na niemca jak na raroga, i nie wiedzieli po co przyszedł.

Zaczęła muzyka rznąć od ucha. Johan posunął do Marynki, a ona też ruszyła do tańca. Kuba stanął sobie wedle pieca, zły, że go ubiegł niemiec i nie poszedł do kółka. A Johan wywijał sobie z Marynką, a ona już tak do niego szczerzyła zęby, jak do Kuby nigdy. Niemiec stawiał miodu Kwiczołom, oni pili i śmiali się z niego', a Kubę mało djabli pod piecem nie wzięli, i skrobał się aż w ręce, tak go pięście świerzbiały.

Przecież wytrzymał jeszcze jakoś, aż muzyka skończyła, a Marysia zadyszana usiadła przy ojcach na ławie. Przysunął się wtedy bliziutko, i czekał, póki świeżego grać nie zaczną. Nie długo czekał; skrzypiciel włożył skrzypki pod brodę, basista zadudniał na basach, i ozwał się oberek, aż nogi skakały.

— Pójdź-że Maryś do oberka — ozwał się Kuba stanąwszy przed nią.

— Oj, kiedym bardzo zmęczona — odrzekła i tak się skrzywiła, jak żeby jej kto piołun gryźć kazał.

Zaświeciły się oczy Kubie, zacisnął pięści i poszedł nazad pod piec. A owo duchem przyskoczył Johan, wziął w pół Marysię, a ona się do niego słodko uśmiechnęła, i poszli do tańca.

Kuba mało ze skóry nie wyskoczył. Chciał z razu skoczyć w środek i łeb rozwalić Johanowi. Aliści upamiętał się po chwili, założył kapelusz na oczy i wyleciał z karczmy.

Żal było Kubie w drodze, że nie zrobił burdy z niemcem, ale pomyślał sobie: A po co? Marynka by myślała, że ja o nią tak stoję, a nie warto. Niech se lęci za kim chce na złamanie karku. Aleć przecie temu przywłoce psiewiarze nie podaruję. Nauczę ja go, co to znaczy mazurowi dziewkę brać z pod nosa. Poczekaj!

Tak mruczący Kuba szedł sporym krokiem do dworu, a w karczmie tymczasem hulał niemiec z Marynką, zastawiał ojcom napitek; i ani Marynka, ani ojcowie o Kubę nie spytali, choć ludzie zauważali, jako Kuba zaperzony wyleciał na pole.

II.

Kolonia niemiecka ciągnęła się wedle gościńca. Widziałeś tam porządne, czysto wybielone domki, ustawione w ulicę, podworce zamiecione, ulica zamieciona; aż się dusza radowała, tak

wszędzie czysto i ładnie. I kto jechał gościńcem, a spojrzał na Piaseczną po jednej, a na kolonię po drugiej stronie, to sobie pomyślał: a czemu też to u nas tak być nie może? A przecież mamy tak samo dwoje rąk, i tak samo głowę na karku, jak i niemcy. Żeby też tylko człowiekowi nie było żal tych rąk, a grosza nie przehulał w karczmie, to by i u nas tak mogło być!

Działo się to na drugi dzień w poniedziałek. Mroczyło się już powoli na niebie. Na ulicy w kolonii nie było nikogo, tylko małe dzieci bawiły się w piasku, i gdzieniegdzie stara kobieta siedziała na progu przed domem. Reszta ludzi w polu; wzięli się jak mrówki do pracy: orać i siać pod zimę.

Nareszcie zjawił się jakiś człowiek na ścieżce od gościńca do kolonii. Był to nasz Kuba; w zębach trzymał fajkę, kapelusz założył na bakier, a podpierał się sporym buczakiem. Chodził sobie po ścieżce tam i nazad, jak gdyby wyczekiwał kogo.

Jakoż nie wyszło i pięć pacierzy, ukazał się też Johan na tej samej ścieżce. Pogwizdywał sobie i szedł z workiem na plecach od siewu. Bieżał Kuba przeciw niemu, a skoro się zrównali, uderzył w bok pięstukiem kolonistę.

— Czemuż mię sturkasz? — zawołał Johan i stanął.

— Toś ty mię wyciął sobako! — krzyknął Kuba.

— Ja ci tu dam sobakę — zawołał Johan, rzucił worek na ziemię a pięście wyciągnął przed siebie.

— Spróbuj! — odrzekł Kuba, wypuścił fajkę z zębów, i wywinął kosturem po nad głową niemca.

Nie ma co o tem prawić, jak się obaj za łby wzięli, bo człowiek kiedy się bije, to szczere zwierzę; a jeszcze straszniejszy, kiedy ma żal na sercu taki, jako Kuba. Migało się chwilkę, buczak się złamał, a potem leżał niemiec na ziemi, zaś Kuba przykląkł mu na piersi i dusił go za gardło. Johan jął krzyczeć w niebogłosy, a Kuba dusił i klął co się wlazło.

Jakoż na głos Johana zjawiła się cała gromada kolonistów, co z pola wracali; i nuż biegnąć chyżo na ratunek.

Zrobiło się Kubie trochę markotno, skoro ujrzał taką kupę na siebie; i pewnie byłby z rąk ich nie wyszedł żywo, kiedy owo zaturkotało w tej chwili na gościńcu, i jakiś wóz stanął. Z woza skoczył jakiś cudzy człowiek, pobiegł do Kuby, por-

wał go za ramię, i zaczem się owi razem z Johanem oglądnęli, siedział już Kuba na wozie, a ów cudzy człowiek zaciął konie, i zniknęli jak błyskawica.

Wóz, konie i człowiek zdawali się z daleka, nie wyglądali bowiem wcale po mazursku. Ale Kuba nie miał czasu przypatrywać się temu, bo zapamiętały w złości wyklinał jeszcze na kolonistę, wywijał pięściami, i opowiadał cudzemu człowiekowi całą historję, jakby jakiemu staremu znajomemu. Nie wiele odpowiadał na to ów człowiek, tylko wołał na swoje koniki, co czesały jak kula. Skoro się już zrównali z dworem, prosił go Kuba, żeby się troszkę zatrzymał. Jakoż wyskoczył z wozu, podziękował grzecznie swojemu wybawcy i ruszył do dworu — a ów zaciął koniki i pojechał dalej.

Na drugi dzień zaczął Kuba myśleć o tem wszystkiem, co nabroił; i klął na samego siebie, i byłby się rad pod ziemię schował, tak mu wstydno było. Jakoż zmiarkował sobie, coby tu ze sobą zrobić, i przyszła mu dobra myśl do głowy.

Trafiło się właśnie, że Pan młodszy ze dwora miał wyjeżdżać gdzieś daleko na Podole, kędy mu spuścizna przypadała, i miał się już tam zostać na gospodarstwie. Więc Kuba nie wiele myślący posunął do młodszego pana, skłonił mu się czapką do kolan, i prosił, żeby go też zabrał ze sobą.

— A to dla czego? — zapytał pan zdziwiony.

Kuba opowiedział całą rzecz, jak się wydarzyło.

— A teraz — mówił przy końcu, prawie że z płaczem — wytykają mię ludzie palcami, żem się miał do kmiecej dziewki, a inny mi ją sprzątnął z przed nosa. Więc mi już tak markotno, choć między swoimi, żebym się rad pod ziemię schował.

Wysłuchał pan całej opowieści biednego Kuby, i przyrzekł, że go weźmie ze sobą. Jakoż nie wyszło i dwie niedziele, a było to właśnie w piątek, wybrał się pan młody rychło świt w drogę, a z nim i Kuba. Przeżegnał się Kuba, skoro wyruszyli z podworca, i mruknął do siebie: *w piątek dobry początek*, może mi Pan Bóg przecie zginąć nie da między Rusinami.

Dwa dni później, bo prawie niedziela wypadła, ogłaszał ksiądz proboszcz z ambony pierwszą zapowiedź kolonisty Johana z Marynką. Marynka się cieszyła, bo to przecież Johan więcej

znaczył jak Kuba, prosty parobek. Aleć ludzie kiwali głowami i mówili:

— Oj, dobrali się, dobrali! Ona by się jeno stroiła i wydawała na chusty, a on sknera i grosza z łapy nie puści. Ale dobrze Marynce tak; nie trza jej było porzucać Kubę, kiedy był rządny chłop i uczciwy. Wnet ona z tym niemcem zmarnieje, że ani nie będzie wiedziała kiedy.

III.

Jechał Kuba z panem jeden dzień i drugi, a jeszcze nie było końca tej drodze. Mijali miasteczka, mijali i wsie różne, że się Kubie aż we łbie mąciło, a jeszcze nie mógł zobaczyć Rusina. Co zajrzał jakiego człowieka, to het każdy wyglądał jak uczciwy mazur, jeno że trochę inaczej odziany. Zaś Kubie powiadali inni mazury, że rusin to ma tylko jedno oko w głowie. Więc Kuba patrzał i patrzał, i nie mógł zobaczyć rusina, choćby na lekarstwo.

Aż też trzeciego dnia zajechali wieczorem na miejsce. Niczem skręcili do nowego dworu, przejeżdżali wedle karczmy, a z karczmy szedł blask na pole i słychać było gwar ludzi, jako że była to niedziela.

Dziwno było Kubie, że dotąd rusina nie widział, aleć myśli sobie: przecież we dworze choć jednego znajdę. Zajechali do dworu; pan się przywitał, Kuba poszedł do czeladniej izby, patrzy ciekawy, a tam każdy ma dwoje oczów.

— Hou — myśli sobie — to tu chyba nie ma rusinów. Prawdać, że trochę inaczej mówią, jak szczery mazur, ale cóż, kiedy dwoje oczów!

Jakoż przypomniał sobie Kuba, że przejeżdżali wedle karczmy, a tam pełno ludzi; że zaś go korciło napić się choć z półkwaterek, a przytem chciał też końcem zobaczyć rusina, więc się wymknął do karczmy.

No — pomyślał sobie — tam już pewnie każdy z jednem okiem: I aż go zimno przechodziło, skoro otwierał do szynkownej izby. Wszedł — patrzy, a tam wszyscy wyglądają jak na Mazurach.

— Ha, przewidziało mi się, że tu rusiny mieszkają —

pomyślał Kuba, uchylił kapelusza, pochwalił Pana Boga, i rzekł żydowi o półkwaterek.

Ludzi było dużo w karczmie; pili i rozmawiali, a skoro wszedł Kuba, wszyscy się na niego wypatrzyli, co za jespan.

— O, jakiś mazur z pod ciemnej gwiazdy! — ozwał się jeden.

Dosłyszał tego Kuba, odwrócił się od szynkwasu, i rzecze:

— A cóż to wy, z przeproszeniem, może rusiny?

— A jakżeś chciał, szczere rusiny — odrzekną owi.

— O, dla Boga! — zawołał Kuba, przykucznął do ziemi, wytrzeszczył oczy i załamał ręce.

— No, i cóż tak wytrzeszczasz ślipie? — ozwał się jeden tęgi parobczak z gromady.

— Ba, a toć jest czemu — ozwał się Kuba — dyć mi we wsi powiadali, że każdy rusin to ma jedno oko.

— Nie kpij sobie niewiaro! — zawołał parobek, bo myślał, że tak naumyślnie zdziwia. — Toć my także wiemy, ze każdy mazur, jak się narodzi, to dziesięć dni na oczy nie widzi.

— Stul gębę drągalu! bo ci widać czarne podniebienie — zawołał Kuba rozjędyczony, że mu ów tak przygaduje.

Przypatrywali się temu inni ludzie, i śmiali się z gniewu Kuby; aż też jeden powstał, i nuż śpiewać:

Mazurowie nasi, po jaglanej kaszy
Słone wąsy mają, w piwsku je maczają.
Mazurowie mili, gdzieście się popili?
W Warce na gorzałce, w Czersku na złem piwsku....

Do tego skrzywił się ów śpiewak, a wszyscy się śmiali, jakby z jednego gardła.

Za wiele było już tego Kubie. Rzucił się jednym skokiem i złapał za piersi owego kpiarza. Jużci i tamten nie był z gliny, i byłoby przyszło do srogiej bójki, aż ci tu wstał z pod pieca jakiś chłop wysoki, a siwy już trochę na głowie, wziął obydwóch za kołnierze i oderwał od siebie.

Kubie się to nie podobało — i chciał się z razu porwać na starego, ale w tejże chwili stanął i wypatrzył się na niego wielkiemi oczami.

— Jak się macie kmotrze? — zawołał po chwili, rzucił mu się na szyję, i nuż go ściskać i całować.

— A zkądże ty przychodzisz do tego kmoterstwa? — zawołał stary odsuwając się nieco.

— A cóż to, nie pamiętacie? Toć będzie temu ze cztery Niedziele, jakeście mię od niemców heń przy gościńcu obronili?

— A prawda, prawda! — ozwał się stary — ale toć to głupstwo, że i mówić o tem nie warto.

— Ba, nie głupstwo — rzecze Kuba — byłyby mię bestyje na sztuki poszarpały.

— No, widzisz — prawił na to stary — ledwoś się im wydobył, a tu znowu chcesz ludzi rozbijać! A czy to po ludzku, a czy to się godzi?

Zawstydzony Kuba poskrobał się w głowę:

— Ba, jakżeście chcieli, kiedy mię ludzie napastują.

— Toś ty się nie powinien lada czem urażać; a ten, co cię napastuje, to głupi. — Otoś ty głupi! — ozwał się stary do tego chłopa, co Kubie o mazurach śpiewał, aż zmyty i zawstydzony do kąta się schował.

— Nigdy też nie możecie przyjść do rozumu — prawił dalej stary — wyzywacie się ostatnemi słowami; mazur rusina gorzej jak psa nie cierpi, a ów by go także w łyżce wody utopił. A czyż to jeden drugiemu nie jest bliźni? czyżeście to nie bracia? a czyż to jeden z drugim nie mieszka na jednej ziemi? — Tfu, do czarta! jak się tak żreć będziecie, to wam zawsze będzie bieda dokuczać, i w niczem was Pan Bóg nie pobłogosławi!

Zasapał się stary i przestał mówić, a w karczmie było cicho jakby mak siał.

No, a teraz się uściskajcie na znak zgody i braterstwa — ozwał się stary po chwili. — Chodź tu ty z kąta — a nuże!...

Rusin przyszedł do Kuby, wzięli się za szyję i tak uściskali, aż im i świeczki w oczach stanęły.

— Żydzie, dawaj piwa! — zawołał stary, a owo wesołość się wielka zrobiła i gwar w całej izbie.

Dopieroż usiedli wszyscy za stołami, a Kuba jął im teraz opowiadać, zkąd on się tu wziął i co go z mazurów wypędziło. Zaś stary opowiedział znowu, jako Kubę obronił, powracając z drogi próżnym wozem. Dowiedział się przytem Kuba, że stary

zwie się Mykita, i że ma wielkie gospodarstwo, a trudni się też furmanką. Uważał też po nim, że człek bywały, że miał głowę na karku, a więc też go wszyscy ludzie szanowali, boć przytem i mocny był, i taki miły a dobry, jako małe dziecko.

Dużo było uciechy tego wieczora; jeden kazał dać miodu, inny wódki, a choć siła nie pili, to przecież plątały się nogi Kubasiowi, kiedy powracał do dworu.

Owóż już pierwszego dnia zapoznał się Kuba z całą wsią od razu. A chociaż zatęsknił czasem za mazurami, toć mu się przecież nie cniło i między rusinami. Poznał, że dobre chłopiska, i do roboty i do ochoty. A nie wybyło i ze dwie niedziele, to jeszcze lepiej spodobało mu się na Rusi. Była zaś ku temu taka przyczyna:

Najwięcej serca do Kuby okazywał stary Mykita; więc też i Kuba przylgnął bardzo do niego. Zaprosił go też stary i w swoje progi; a skoro tam Kuba zaszedł, ujrzał w chacie Ksenię Mykitową córkę. Była to dziewczyna jak mleko i jagoda, a skoro się czarnemi oczkami na Kubę popatrzała, to serce Kuby od razu do siebie przybiła, jakby ćwioczkami. I tak z początku mało widywał się Kuba z Ksenią; ale potem bywało tak go coś ciągnie i piecze, że już i spać dobrze nie może, skoro nie pójdzie wieczorem do Mykitowej chaty i z Ksenią nie pogada. Stary Mykita patrzał się na to, a nie był krzywy Kubie, jeno owszem jeszcze łaskawszy na niego. Zaś rusini grozili mu w żarcie i mówili: — Ej Mazurze, Mazurze! weźmiesz nam ruską dziewkę!

I wywróżyli Kubie rusini. Nie wybył nawet roku między nimi, kiedy posłał w swaty do Mykity, a swatów przyjął stary dobrze i ugościł. We trzy niedziele potem hulali już ludzie na weselisku Kuby. Ksenia była najszczęśliwsza, a tak rzucała oczkami na Kubę, że mu serce o mało do niej nie wyskoczyło. Więc i stary Mykita i wszyscy ludzie byli temu radzi, a mówili między sobą: a toć tak się dobrali, jak żeby ich Pan Bóg naumyślnie dla siebie stworzył! Nie będzie też im skąpił swego błogosławieństwa.

Owóż od tego czasu osiadł Kuba między rusinami. Mieszkali z Ksenią w obejściu Mykitowem, jako że stary był

wdowcem, i także się przy nich pomieścił. I tak prawie, jak troje gołębi siedzieli sobie razem w świętej miłości i zgodzie.

Po dwóch latach, Mykita, jako że już stary, umarł. Nie mogła go opłakać Ksenia, cieszył ją choć sam pochmurny Kuba, a cała wieś żałowała starego, jak ojca. Został po nim dobytek znaczny, a Jakóbom tak było, że w raju lepszego kąta by nie znalazł. Ale cóż tam z tego, *wilka zawsze ciągnie do lasu*, więc i Kubę ciągnęło na Mazury, i już nie mógł wystać, tak mu się tęskno zrobiło za Piaseczną.

— Moja Kseniu — mówił do żony — albo my sprzedajmy nasz grunt i chodźmy na Mazury, albo co zróbmy, bo ja już nie dam sobie rady. Jak długo jeszcze nieboszczyk żyli, Panie świeć tam ich duszy, to jeszcze pół biedy, ale teraz to mnie i na łańcuchu nie utrzyma.

— Ja się tam ze wszystkiem na ciebie zdaję — powiadała żona — choćby i na koniuszku świata, byle z tobą, to mi zawsze będzie dobrze.

Jednego więc dnia wstał Jakób, pomodlił się, westchnął do Pana Boga i ubrał się w świąteczną kapotę. Nikomu nic nie mówiąc, wymknął się potem z chałupy, i walił prosto do dworu. Jakoż za kilka godzin wrócił się, a był wesoły na twarzy.

— Kseniu, pojedziemy na Mazury! — zawołał już w progu.

— A do czegóż, kiedy tam nic nie masz — pytała Ksenia.

Owóż potom chodził do dworu, i jużem zrobił z panem. Obiecał pan napisać do Piaseczny, a tam ojciec jego sprzedadzą mi za tanie pieniądze piękny kawał gruntu, chałupę sobie postawimy, a grosza dość będzie, skoro tu sprzedamy nasz dobytek.

Poszedł tu Kuba do żony, i tak ją ucałował, że aż odgłos dało. Ksenia siedziała przy kolebce i kolebała dzieciąteczko jak z wosku.

— Niechże się dzieje wola Boska — poszepnęła tylko spoglądając na Kubę.

Nie ma co o tem wiele mówić, jako Jakóbowie swój dobytek sprzedali, jako ich rusini żałowali, i bez płaczu się nawet rozejść nie mogli, bo wszystko im poszło po myśli, a Pan Bóg błogosławił.

Za kilka miesięcy zjechali już do Piasecznej, do nowej

chałupy, bo Kuba naprzód sam jeździł, i majstrów najął i postawił porządną chałupę. I tam ich ludzie przyjęli z otwartemi rękami, bo Kubę lubili jeszcze, kiedy był parobkiem we dworze, a Ksenia choć kobieta, to zakasowała wszystkie dziewki w Piasecznej, taka była zwinna jak wrzeciono, a oczy to jej tak w głowie latały jakby dwie czarne jaskółki. I żyli na Mazurach szczęśliwie, a Pan Bóg przysparzał dzieci, a z dziećmi i dobytku.

Nieraz pytał się Kuba starych znajomych o Marynkę, co za niemca poszła:

— No, i jakże to było?

— A jakby miało być — powiadał stary znajomy — skoroście pojechali, tak się oni też i pobrali niezadługo. Mówili ludzie zaraz przy ślubie, że to niedobrana para; jakoż pokazało się to wkrótce. Johan bił żonę i katował, bo na chusty trwoniła, a on chciał żeby sobie od gęby odejmowała. Owóż nie pociągnęło długo to biedactwo. Bladła i chudła z dnia na dzień, coraz bardziej, coraz bardziej, aż ją też i pogrzebali niespełna we dwa lata po ślubie. Johan zagarnął cały dobytek, boć tylko o to mu chodziło; a widzieliście sami starego Kwiczoła w jakiej jest biedzie. Coś mu tam zięć nie wiele kapnął, że siedzi teraz komornem... Oj mówię ja wam mój Kuba, że to zawsze co swój, to swój — a co cudzy... ot to i mówić nie warto!

A Kuba mawiał na to:

— Widzicie, *nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.* Wyrządzili mi swoi przykrość, a ja poszedł do rusinów. Głupie ludzie bają tu niestworzone rzeczy o rusinach, a widzicie ja tam znalazł gościnę, żonę i dobytek: zgoła, całe szczęście. Wszędzie znajdziesz uczciwych ludzi; cudzy cudzemu zrobi dobrze, a cóż dopiero rusin mazurowi, albo też ów owemu, kiedyć to jako bracia jednej matki! — Ot, szkoda dziewczyska! zmarniło się!

Westchnął tu Kuba za duszę Marynki. Żal mu było dziewczęcia, chociaż go na dudka wystrychnęła. Staremu zaś Kwiczołowi pomagał w czem tylko mógł, a Pan Bóg błogosławił mu we wszystkiem za tę dobroć serca.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

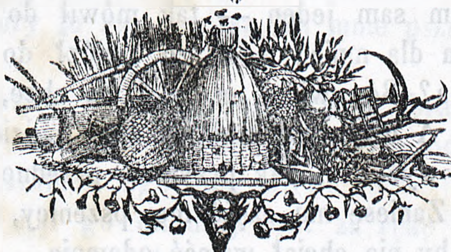
Tom III. Nr. 14.

11. Listopada 1860.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Braterska miłość.

W dalekiej od nas krainie żyło dwóch braci, a każdy z nich miał gospodarstwo wielkie i trzody liczne, bo nie zbogaciły ich ludzkie łzy i narzekania, jeno własna praca i zapobiegliwość. Starszy brat miał żonę, pobożną niewiastę, i czworo dzieci, a młodszy sam żył jeszcze w wybielonej chacie, bo nie mógł znaleźć dziewki według swojej woli. Obejścia ich były obok siebie, a bracia żyli w świętej zgodzie, i pomagali sobie we wszelakiej pracy.

Błogosławił Pan Bóg ziemi, gdzie bracia zamieszkali. Po spokojnej zimie i po wesołej wiośnie, nastało skwarne lato i ozłociło kłosy po zagonach. Wychodzili żeńce na pola, a z żeńcami wychodzili bracia, i żęli chleb Boży przy wesołych śpiewach. A skoro ręce opadały i słonko zaszło za góry, to pracowite woły zwoziły do domu pozłociste snopy.

I był dostatek w całej krainie, i ludzie składali dzięki Najwyższemu Bogu za urodzaj i za dobrą dolę.

A przecież późno w nocy nie mógł zasnąć brat młodszy, bo różne myśli chodziły mu po głowie.

— Ja jestem sam jeden — tak mówił do siebie — i za wiele tego ziarna dla mnie, com go zwiózł do stodoły. Cóż dla mnie potrzeba? Bóg widzi, majątku nie chcę, jeno tyle, aby wyżyć uczciwie. A owo brat mój ma żonę i dzieci, i wszystko to musi odziać i wyżywić. Jak przyjdzie przednowek, może mu głód dokuczyć. Zaniesę mu część mej pszenicy, ale tak, żeby nie widział, bo by nie chciał wziąść odemnie.

I powstał młodszy brat z pościeli, poszedł do stodoły, wziął kilka snopów pszenicy na siebie, i zaniósł do stodoły brata, a tak cicho, że nikt tego nie widział, jeno Pan Bóg na gwieździstem niebie. A dwa razy tyle waży u Pana Boga dobroć serca, w cichości okazana.

W ślicznych snach przespał brat młodszy resztę nocy; a skoro na drugi dzień równo z słonkiem wstał i pacierz ranny zmówił, ruszył obejrzeć swoje gospodarstwo. A kiedy przyszedł do stodoły, zadziwił się mocno, bo oto pszenica była jakby nie ruszana i żadnego snopka nie brakowało, choć w nocy kilka z nich bratu swemu zaniósł. Więc upadł na kolana i sławił Imię Pańskie, bo myślał, iż Bóg mu przymnożył pszenicy.

— Będzie dla brata — pomyślał sobie w duszy, i zaniósł drugiej nocy znowu kilka snopków starszemu bratu.

A tak przez cztery nocy chodził i zanosił, i nigdy snopków mu nie ubyło.

Aż oto piątej nocy, skoro znowu wyszedł z snopkami na plecach, ujrzał koło stodoły brata cień jakiegoś człowieka ze zbożem na plecach. Myślał, że jaki zły człowiek zachodzi szkodę bratu wyrządzić; więc rzucił swoje snopy, i przyspieszył kroku. A kiedy się przybliżył do owego człowieka, poznał w nim brata starszego, a ten dźwigał pszenicę na plecach i zmierzał ku stodole jego.

— Dokąd ty niesiesz snopy tak późno? — zapytał młodszy brat.

— Wybacz mi — odrzekł starszy — ja myślałem sobie w nocy, iż ty jesteś sam jeden, i nikt ci nie może pomódz w gospodarstwie: a ja mam żonę i dzieci, co dopomogą i do-

pilnują. Pan Bóg dał mi zebrać wiele, więc chciałem tobie zanieść kilka snopków, żeby ci nie zabrakło.

— A który to raz niesiesz dla mnie pszenicę? — zapytał młodszy.

— Już piąty — ozwał się starszy brat i spuścił oczy, jakby co złego uczynił. — Ale Bóg wynagrodził mi to stokrotnie, bo mi pszenicy nigdy nie ubywa.

A wtedy ujął go młodszy brat za rękę i zaprowadził do owego miejsca, gdzie leżały snopy.

— Patrz — ozwał się tu radośnie — miłość to nasza przymnażała nam pszenicy. Jam tobie nosił, a tyś mi oddawał w dobroci twego serca i nic nie wiedzieliśmy o tem.

Łzy radości puściły się z oczu obydwóch braci. Padli sobie w objęcia, i płakali w radośnym uścisku, a w górze niebiescy Anieli śpiewali chwałę Bogu, że taką miłość świętą zaszczepił w sercach braci.

Kochajmy się bracia! Miłość braterska stwarza szczęście i spokój w tem życiu; miłość braterska jest jak żelazna odzież na piersi: ona obroni od ognia i wody, i od złości srogiego nieprzyjaciela; miłość braterska przysparza cnót na ziemi, a chwałę niebieską gotuje w niebie.

TĘSKNOTA.

Czy mnie matka porodziła
  Pod nieszczęsną gwiazdą?
Czy mi wiedźma określiła
  Rodzicielskie gniazdo?

Całe nocy, dnie i lata
  Płaczę bez ustanku;
Przyszły swaty, — nie chcę swata,
  Męża, ni kochanka.

Oj! pojechał, oj — pogonił
  Maciek na wojenkę;
Ni zasłonił, ni obronił,
  A rzucił panienkę.

Sama kołacz piekłam w drogę,
  I szkaplerzyk dała —
Odjechał ci mnie niebogę,
  Com go tak kochała!

W dzień Najświętszej Matki Boskiej,
  Siła gromnic jaśnie;
Z wszystkich świeczek całej wioski,
  Moja pierwsza gaśnie.

Zima idzie, liść opada,
  W polu pies skowyczy;
Nocą pućka na dach siada:
  „Pójdź Marychno!" krzyczy.

Pewno zanim ja zobaczę,
  Kochaneczku, ciebie!
Pierwej mateńka zapłacze,
  Na moim pogrzebie!

Oj! przyśpilcież mi nad głową
  Rozmarynu ziele, —
Suknię białą — a różową
  Wstążkę na wesele!

Zaśpiewajcie mi piosneczkę,
  Moje siostry młode;
Pochowacie swą dzieweczkę,
  Zagasłą urodę.

A lubemu jak zastuka
  Do chatki matczynej,
To powiedźcie, niech nie szuka
  Marysi jedynej.

Leży ona przy kościele
  Pod zimną mogiłą;
Świętą ziemię zielska wiele
  Nad nią umaiło.

Nad mogiłą, w nocnej dobie,
  Błądzi płomyk mały; —
To jej dusza tańczy sobie
  W sukieneczce białej!

T. L.

MĄDRA.

Na *Matkę Boską zielną* wielki był odpust w Grodzińcach, i ze wsi Kawęczyna prawie wszystko, co żyło, gromadnie poszło: gospodarze, gospodynie, parobcy i dziewuchy. Baszajowej Zośka to i przodowała wszystkim, raźna z niej była dziewucha, a suknie miała czyste i nowiuśkie, wstęgi i kwiaty gdyby żywe. No, nie dziwota! boć Bajaszowie mieli podostatkiem wszystkiego: dobytek śliczności i kawał roli, co się na niej żytko i pszeniczka rodziła, że i wąż-by się nie przedarł.

Dziewucha była dobra i ładna, i popadła też w oko Frankowi Rzepce, a pracowity był to parobek i syn ludzisków poczciwych. W żniwo kiedy pójdzie, zawsze pierwszy na zagonie, a rolę uprawi kiejby pod cebulę.

Gromadka dziewuch i parobków szła sobie przodem, gwarząc wesoło: i śmiechy tam były i żarty. Tuż przy Zośce szedł Franek, a przy nim brat jej, Jakóbek. Dalej za młodymi poważnie i powolniej szli gospodarze i gospodynie, i także po swojemu sobie gadali.

Pozostało się tylko we wsi parę starych niewiast, dzieci, kulawy Grześko i niewidomy Wojtasiuk.

Z południa, zrobiwszy porządek domowy i przystawiwszy wieczerzę, gospodynie: Sobczyna i Wronkowa, sąsiadki i kumoszki, usiadły przed domostwem, a w koło zebrały się chłopczęta i małe dziewuszki. Dziewczęta pobrały się za ręce i kręciły się w koło, śpiewając i chichocząc wesoło, chłopcy grali w kręga, a czasem to i wyczubili się należycie, ku wielkiej uciesze dziewcząt.

Jeszcze słonko było wysoko, kiedy raz po raz ktoś z odpustu nadciągnął. A kumoszki zagadywały do wracających ciekawe, jak też odbył się odpust? Dowiedziały się, że ludzi było gdyby mrowia; że ani część szósta nie weisnęła się do kościoła; że księża na smętarzu spowiedzi słuchali, a pocili się chudziaczkowie, bo słońce doskwierało i par był wielki.

— A kazanie, jakież tam było? — zapytała Wronkowa.

— Śliczności! wszyscy płakali — odpowiedział jej Szymon Garstka — jak to Przenajświętsza Panna, Matka Boska, królowa Korony polskiej, w tryumfie do nieba wziętą została, i największej dostąpiła chwały.

— I dużo było księży?

— Ej, naliczyłem ich piętnastu.

— A szlachty?

— Widziałem trzy powozy i pono z pięć bryczek. A różnego narodu z miasteczka to gdyby nasiał.

Kumoszki jeszcze dłużej wypytywać chciały, ale Szymonowi pilno do domu było.

W tem Franek z zarzuconą przez ramię sukmąną nadchodził szparko, jak gdyby go kto gonił.

— No, widzicie, jak to on rychło powraca! — zawołała Sobczyna.

— I sam jeden — zdziwiła się Wronkowa. — Hej, Franku, a co tak rychło wracacie? — zawołała na niego.

— Zośka coś strasznie zaniemogła: coś jej zrobiło się w głowę, że i o Bożym nie wie świecie, a rozpalona gdyby głownia.

— O dla Boga, dla Boga! — wyrzekły obie kobiety — i gdzież ona została?

— U znajomych w Grodzińcach. Jakóbek po nią jedzie i po matkę, która, nieboga, jeno ręce załamuje i płacze.

— Nie dziwota, mój Jezu, nie dziwota!

— Palnę też zaraz po doktora — i Franek zabierał się pójść dalej.

— Po doktora! A po co jej doktor? Na jakie licho? — zawołała Sobczyna — zły urok ktoś rzucił na dziewuchę, i potrzeba, żebyście jej *mądrą* przywieźli.

— Ej, co tam gadacie! — odparł Franek — skwar i par był okrutny, to i zaszkodziło dziewusze.

— No, widzicie go: cielę chce być mędrsze od krowy! To zły urok, miły chłopcze, nic innego, jeno urok. A przywieziecie doktora, to ją lekami zabije.

— Po mądrą, po mądrą jedźcie! — dodała także Wronkowa swoje trzy grosze — co tam wie doktor! Mądra, to przecież ma sobie od Boga dane, a doktor, zwyczajnie jak doktor.

Kumoszki jeszcze tam więcej gadały, ale Franek się zawinął i już ich więcej nie słuchał.

Baszajowa nadjechała z Zośką, która żadnej przytomności nie miała i w okropnej leżała gorączce. Franek przywiózł doktora, ten jej przystawił pijawki, czy bańki, i dał chłodzące lekarstwo.

Potem przyszła sama pani dziedziczka Kawęczyna, i pogadawszy z doktorem, kazała przynieść lodu z lodowni, i kładli go Zośce na głowę.

Dziewusze też zaraz i lepiej było: przytomność poczęła wracać, i raz po raz pić wołała. Pani ze dworu przysłała soku z malin, zaprawili z nim wodę, i matka podawała chorej, skoro zażądała.

Ale chociaż tak wszystko ku dobremu się miało, to wszelako Sobczyna i Wronkowa wciąż wodę mąciły i o mądrej gadały. A gdy doktor odjechał, to i poczęły Baszajowej cudeńki wygadywać, że biedne matczysko aż oszołomiły, i ani wiedziała, czemu wierzyć.

— A nie oglądajcie się jeno na Franka — powtarzała Sobczyna — że on gada na mądrą: pstro on ma w głowie, a myśli że wszystkie pojadł rozumy.

— A przecież chodził na naukę do księdza proboszcza — wtrąciła Baszajowa.

— To i co? Nie wierzy w czary, nie wierzy w mądrą, bo niby szlacheckiego zarwał rozumu. Bajtała z niego! Nie tu doktor nie podoła: dziewuchę uroczyli i mądrej jej gwałtem potrzeba.

I tak wciąż biednej matce prawiły. To też zmartwiona i obałamucona, wysłała jeszcze przededniem Jakóbka po mądrą, o milę drogi; i przywiózł ją też właśnie, gdy słonko już było na niebie.

— Matusiu — opowiadał matce Jakóbek — a musiałem aż od młynarza dziesięć złotych pożyczyć dla mądrej, bo inaczej nie chciała ze mną jechać.

Baszajowa dłonie złożyła i spojrzawszy w górę, westchnęła:

— A niech tam już, miły chłopcze, byle tylko nasza dziewucha ozdrowiała.

— Otóż to, matusiu, otóż to! — dodał Jakóbek.

Mądra, była to wielka baba, gdyby drab jaki, a zaraz wołała o kawę: bo ona tego nałożna, i wielką niby też to udawała panią. A napiwszy się kawy, której Baszajowa od ekonomowej przyniesła, to i zaraz słodkiej zażądała wódki.

— O, dla Boga! a po co też ten lód na główinie dziewusze! — wykrzyknęła, stawając przy łóżku Zośki, i poczęła rękoma machać — a zrzucić mi go zaraz, bo dziewczynie mózg zamrozicie.

I przelękniona Baszajowa od razu go zrzuciła. Potem zaczęła mądra coś tam zażegnywać chorą i jakieś cudaczne szeptać androny. Gdybyć ją tylko była przeżegnała, to i owszem, boć w tem jest chwała Boża — ale ona szeptała a szeptała jakieś niestworzone rzeczy. Odrzuciła lekarstwo i nie pozwoliła jej pić wodę ze sokiem, a nawarzyła tam czegoś i prawie gwałtem dziewusze w gardło wlewała. To też Zośka znowu

straciła przytomność, majaczyła Bóg tam wie co wszystko, i we wielką wpadła gorączkę.

Pani ze dworu przysłała dowiedzieć się o zdrowie chorej, i zbyli ją powiedzeniem: że niby lepiej.

W południe przyleciał Franek od roboty, a gdy zobaczył mądrą, a Zośkę bez przytomności i czerwoną, gdyby burak, to jeno pięście zacisnął, spojrzał na babę, jak gdyby ją chciał udusić, i wprost do dworu poleciał.

Pani aż ręce załamała z podziwu, gdy jej opowiedział wszystko, i sama zaraz do chorej pobiegła. Mądra widząc, że pani nadchodzi, prędko się do komory schowała. Pani łajała, co się tylko zmieściło: że zabiją dziewczynę, boć widoczne było, że zamiast ustąpić, to choroba wzmogła się znowu.

Odzywał się i Franek, że babę roztrąci, jak ją zobaczy: boć w tem wszystkiem jest oszukaństwo i czysta obraza Pana Boga. Baszajowa poczęła wyrzekać i rozpłakała się serdecznie.

Pani rozkazała chorej znowu lód przyłożyć na głowę i lekarstwo podawać, a usadziła przy niej swoją pokojowę. Zaś Franek ciągle się mądrej odgrażał, a ta siedziała w komorze i wszystko słyszała. To też gdy po chwili z izby wybiegł, i baba zmiarkowała, że go nie ma, to i wyszła dopiero, porwała swoją czerwoną chustkę, koszyk z jakiemiś tam różnościami, i nie powiedziawszy słowa jednego, dalej w nogi, co tylko sił starczyło.

Franek był na wsi, i widział jak zmyka, i jeszcze jej wymyślał. Potem przybiegła dziewuszka Sobczyny i chłopak Wojtusiaka, którzy paśli gęsi na ściernisku, i opowiadali: jako mądra za ogrodami wyrzuciła wszystko zielsko z koszyka, przykucnęła pomiędzy ziemniakami Wronkowej, i ugrzebała ich sobie sporo.

— Oj, złodziejka! zawołały kumoszki.

Doktor przyjechał, gniewał się, że głupiej usłuchali baby, świeże zrobił lekarstwo, i głowę Zośki wciąż lodem okładać kazał.

Powoli wracała Zośce znowu przytomność, i wszyscy się przekonali: jak to ona mądra swojem głupiem zaszkodziła jej szalbierstwem, a jak te leki uczonego prawdziwie doktora okazały się skuteczne.

Franek ręce złożył i *Zdrowaś* zmówił, gdy pod wieczór z pola powrócił, i powiedzieli mu, że Zośce o wiele jest lepiej.

— To widzicie — ozwał się też do obudwóch kumoszek, które przed domostwem Baszajowej stały — to widzicie, że wasza mądra, pal ją kaci, byłaby zabiła dziewuchę. Co tam taka sekutnica i złodziejka ma umieć? Zkądżeby jej była taka łaska Boża, kiedy ona szalbieruje i ludzi tumani. Co innego doktor, toć to on, mój Jezu, przez długie lata uczyć się musi, nie dospi, nie doje, mitręży się, nieboże, a jeszcze go ta nauka i kupę pieniędzy kosztuje. To też, jak Bóg da, nauczy się przecie różne poznawać chorobiska, i różne tam zdrowe zioła. Byłybyście uśmierciły dziewuchę.

Kumoszki już nic nie odrzekły, i każda w swoją stronę poszła.

Dnia trzeciego Bóg pocieszył Zośkę, bo już na łóżku siedziała, gorączka ją minęła, i zdrowo przemawiała do wszystkich.

Przez tydzień całkiem przyszła do siebie, i odtąd o mądrej już i nikt we wsi całej posłyszeć nie chciał.

Na *Matkę Boską siewną* było wesele Franka ze Zośką — i przez całe dwa dni na nim tańcowali.

Paulina z L. Wilkońska.

Ciekawy Wojtuś.

Bursztyn.

Rymarz Walenty siedział na stołku i naprawiał siodło, a tak już ściegi przeciągał, że mu aż w plecach trzeszczało. W tejże chwili drzwi się otworzyły i weszła Walentowa, niosąc w koszyku mięso i zieleninę z miasta. W jednej zaś ręce trzymała dwa sznurki żółtych bursztynów.

— Moja matuś, co to, co to takiego? — zawołał tuż za drzwiami Wojtuś i wpadł zadyszany do izby.

Nie uważała na niego Walentowa, jeno zbliżyła się do męża.

— Zobacz no, mój stary, czy też to prawdziwe? — odezwała się do niego, pokazując mu bursztyny.

Walenty wziął sznurki do ręki, ważył chwilę na dłoni, poprawił okulary i przypatrywał się im z bliska.

— Prawdziwe — odrzekł w końcu — oddając żonie bursztyny, a Wojtuś przechylił matczyną rękę i przypatrywał się ciekawie onym paciorkom.

— Ale na cóżeś to kupiła? — zapytał pan rymarz.

— Hm, na co — rzekła, uśmiechając się Walentowa — a czyś zapomniał, że jutro świętej Katarzyny?

— No, i cóż z tego?

— A toć przecie imieniny Kasi, mojej chrzestnej — mówiła Walentowa.

— Aha, dobrze, dobrze, zrobisz dziewczynie uciechę — ozwał się Walenty i przyciągał dalej swoje ściegi.

— Co mię ty tak szarpiesz za rękę? — zawołała matka na Wojtusia zabierając się do drugiej izby.

— Bo też ja nie wiem, co to jest — mówił Wojtuś rozciekawiony — przecież to nie perły?

— Nie perły, nie; to są *bursztyny* — rzekł Walenty i spojrzał na zegar, co wisiał na przeciwnej ścianie i kłapał po swojemu.

— A cóż to jest, bursztyn? mój tatusiu — zapytał Wojtuś.

— To się później o tem dowiesz — odparł ojciec — a teraz spojrzyj-no, która godzina?

— Oj, oj, to już ósma godzina, trzeba iść do szkoły — zawołał Wojtuś zafrasowany.

— Więc idź-że teraz do szkoły, a jak wrócisz, to ci powiem, co to jest bursztyn — rzekł Walenty, i zabrał się dalej do swojej roboty.

Wojtuś uwinął się duchem, zabrał książki i czapkę na głowę, i pobiegł do szkoły. Prawie biła jedenasta godzina na kościelnej wieży, kiedy wracał do domu. Nie chciał już Walenty przed obiadem rozpoczynać swojej pogadanki z Wojtusiem, jako

że miał jedną pilną robotę, a skończyć ją wypadało. Dopiero więc po objedzie zaszedł do kuchni, wyciągnął smolną szczypkę z pod pieca, a wyszedłszy na ławkę przed dóm, zawołał do siebie Wojtusia.

— Widzisz tę żółtą żywicę? — zapytał syna, pokazując mu zaschłe żółte krople na szczypce.

— A widzę, to tak zawsze na smolnych szczypkach.

— Otóż *bursztyn*, to także żywica podobna do tej.

— Jak to — zawołał Wojtuś — to bursztyn także ze sosny cieknie?

— Oho, już mi bałamucisz — rzekł ojciec — siedź tylko cicho, a słuchaj.

Wojtuś zamilkł i poprawił się na ławce, a Walenty ciągnął dalej w ten sposób:

— Będzie temu już siła tysięcy lat, że człowiekowi zgoła i zrachować trudno, jak rosły na tej ziemi drzewa, do naszych sosen bardzo podobne. Więc też jak z naszych sosen, tak i z onych drzew zciekała żywica, i zasychała w spore kawałki. Wtedy to, jak już wiesz z historji świętej, zesłał Pan Bóg potop na ziemię. Więc woda szła ogromna, rozbijała góry, wywracała lasy i niosła pnie całemi gromadami. Trwało to tak długi czas i zniszczenie wielkie było na ziemi. Aż oto kiedy już gdzieniegdzie obsychać zaczęło, więc i wodę zawarło w różne koryta, i porobiły się rzeki i morza.

— A cóż się z temi drzewami stało, co to do naszych sosen były podobne? — zapytał się ciekawy Wojtuś.

— Owóż chcę ci właśnie powiedzieć — prawił dalej pan rymarz. — Jedną część tych drzew zagrzebało w ziemi, a inna część zatonęła w morzu razem z piaskiem i z kamieniami. Że zaś na tych drzewach była owa żywica zaschła, o której ci mówiłem, więc i tę żywicę razem z drzewem zabrało. Najwięcej ano musiało zatonąć w tem morzu, kędy nasza *Wisła* płynie, a które się zwie *bałtyckie*, bo tam najwięcej tej żywicy na wierzch wypływa. Otóż tę żywicę łowią tam na tem morzu, i zowią *bursztynem*.

Aleć to nie wszystko, co łowią na wodzie. Siła bursztynu jest jeszcze w ziemi. Drzewo zczerniało i zrobił się

z niego węgiel, a niedaleko tego zwęglonego drzewa znajdują ludzie także bursztyn. Czasem też i osobno się trafia, w piasku i glinie, a to najwięcej po nad brzegi owego *morza bałtyckiego*.

— Proszę taty, a czy to kto był przy tem, że ludzie tak dobrze o wszystkiem wiedzą — zagadnął Wojtuś, kiedy Walenty przestał na chwilkę.

— Być, nie był — mówił pan rymarz — ale się ludzie dowiedzieli o tem z tych pniaków, co w ziemi zagrzebane leżą. Musisz wiedzieć, że każde drzewo to ma inne *słoje*. Jak widzisz, bukowe inne jest jak sosnowe, a to znowu nie takie, jak dębowe; więc też przypatrywali się ludzie tym pniakom, co razem z bursztynem w ziemi zakopane leżą, i zaraz zobaczyli, że one bardzo do naszej sośniny podobne. Że zaś bursztyn był kiedyś taką miękką żywicą, jak nasza sosnowa, to ztąd można widzieć, że w bursztynie znajdziesz często albo muszkę, albo gałązkę, albo kroplę wody. A gdyby bursztyn nie był dawnemi czasami miękki, to jakżeby się to tam dostało.

— A prawda — zawołał Wojtuś patrząc ojcu w oczy.

— Owóż powiem ci jeszcze — kończył Walenty swoją pogadankę — że z bursztynu robią ludzie różne rzeczy. Więc paciorki, jakoś to u matki widział, bursztynki do cybuchów, a okruszków używają do kadzenia, bo przyjemnie pachnie, a także czasem i na słabości pomocne. Za takiemi fraszkami, co to jeno do ubrania, to się i ubiegać nie warto; choć to na dziewczynie ładnie wygląda, kiedy sobie dwa albo trzy sznurki bursztynowych paciorków na szyi zawiesi. Aleć trudno to znaleźć prawdziwy towar; najczęściej oszukują po targach i jarmarkach, i sprzedają paciorki ze szkła żółtego, zamiast bursztynów. Kto się zna na bursztynie, to łatwo go od szkła rozróżni. Bursztyn jest lekki i nie tak przezroczysty jak szkło, a przytknąć go do świecy, to się zaraz płomieniem zapali. Także jeżeli weźmiesz kilka maleńkich kawałeczków papieru i pióra, a bursztyn potrzesz na rękawie i przytkniesz do owych kawalątek, to ci zaraz podskoczą do niego jak żywe.

— No, powiedziałem ci już wszystko — rzekł Walenty

podnosząc się z ławy — więc teraz marsz do szkoły, bo już niezadługo druga godzina.

Zerwał się Wojtuś, podziękował ojcu za historję o bursztynie, i poszedł do szkoły, a po szkole opowiadał innym chłopcom, co słyszał od ojca.

Na drugi dzień zaniosła Katarzyna swojej chrzestnej Kasi owe dwa sznurki bursztynu. Siła było uciechy, kiedy sobie Kasia zawiesiła na szyi owe żółte paciorki, i tak jej było w tem ładnie, że jej aż zazdrościły inne dziewczęta.

Grześ z Mogiły.

GOSPODARSKA POGADANKA.

Stał sobie Wasyl przed chałupą, fajkę w zębach trzymał i spoglądał po Bożym świecie. Aż tu na zakręcie pokazały się koniki, a stary Stanisław szedł wedle wozu i popędzał batem.

Wasyl. Niech będzie pochwalony! Stanisławie, a co to wieziecie?

Stanisław. Wiozę szczepki ze sadu, com je sobie wychował.

W. A gdzież to wieziecie?

S. Posadzę wedle drogi, bo w sadzie drzew już i tak jak nabił.

W. A pocóż-to wedle drogi, na co się to zdało, szkoda waszej pracy Stanisławie.

Stanisław zatrzymał koniki i stanął przed chałupą:

— Pytacie mnie się, mój kumie, z drwinami, jak żebyście nic tego nie rozumieli. Już-ci lepiej że drzewka będą wedle drogi, niż tak, jak wasza wielka grusza, co w środku pola stoi, a takie na niej dziczki rosną, że aż gębę wykręca.

W. Ta ja jej tam nie sadził, a z resztą dzieciska mają uciechę, że sobie mogą wyleźć na drzewo i strząsać gruszczęta.

S. Ale wam się za to pszenica pod grusza nie rodzi?

W. Prawda i to, że tam zawsze nikła bywa, a czasem i nic nie urośnie, ale co tam te parę kłosków, to i mówić nie warto.

S. Posłuchajcież mię kumie. Wasza grusza stoi w samym środku pola, rozrosła się szeroko i taki cień rzuca na zagony, że nic pod nią nie urośnie; jeno się owoc na niej pokaże, to wam pastuchy biegają po pszenicy, rwą zieleninę i słabują, więc jakaż ztąd korzyść dla was i dla ludzi?

W. Ta prawda, że człek z tego nic nie korzysta; prędzej szkoduje.

S. Teraz wam powiem, poco ja chcę sadzić drzewka przy drodze. Prawda, że przy drodze nic nie ma, nawet bydło i trawy nie uskubie, bo krótka. A pamiętacie wy, jak Kuba wracał przed trzema laty w zimie z jarmarku, i jak ugrzązł w śniegu w tej paryi, co za figurą, to się go ludzie już więcej i nie dokrzysili?

U mnie ten jest dobrym gospodarzem, co potrafi każde kawałątko ziemi na użytek dla siebie i dla innych obrócić. Przy drodze nic nie rośnie; a nie będzie to lepiej, jeżeli tam będą drzewka owocowe? Patrzajcież jeszcze, jaki to pożytek dla ludzi na zimę, kiedy śniegi wielkie spadną. Skoro ci zasypie cały świat na biało, to żebyś był nie wiedzieć jaki bywalec i pięćdziesiąt lat w własnej wsi mieszkał, przecież nie potrafisz dopatrzyć się drogi, i łatwo możesz z konikami i z wozem zajechać do rowu, albo co gorzej, to do jakiej paryi, jak owo Kuba przed trzema laty. Gramol-że się wtedy, nieboże, ze sążniowej przpaści! Kiedy zaś są drzewka przy drodze, to niech sobie śnieg wali, jak chce, a zawsze ci choć po koniuszku ze śniegu będzie wyglądać, i wtedy już nie potrzebujesz się strachać, ani złazić z wozu i doglądać drogi, jeno śmigasz sobie pomiędzy drzewka, jak po bitym gościńcu.

W. A prawda, prawda! Widzicież, mój Stanisławie, że ja na to nie myślał! Ale że wam to pastuchy połamią i zepsują, jak zasadzicie.

S. Cóż do licha! A czy to nie ma kija na szkodników? Niech-by tylko każdy gospodarz pilnował dobrze, a skropił uczciwie jednego i drugiego szkodnika, to by im się wnet tego odechciało! Mój kumie, nie darmo mi głowa zesiwiała; bywał ja już w świecie, a w innych krajach tom widział, jak drzewka sadzą koło gościńców i byle jakich dróg, i nikt tam ani listka

nie ruszy. A nie są to takie płonki i dziczki, jak wasza grusza, ale owoc wielki i ładny, coby się i na pańskim stole nie powstydził. I tak zamiast tego gruntu, coby pusto stał, i zielsko na nim rosło, to ludzie mają owoc smaczny i na swój pożytek, i na sprzedaż, za co nie jeden grosz do kalety wejdzie.

W. Mój Stanisławie, a toć to bardzo mądrze. I czemuż to u nas tak nie jest?

S. Widzicie kumie, teraz ich przechwalacie, skorom wam powiedział. A i u nas by tak być mogło, żeby się jeno ludzie nie lenili, a każdy w swoim sadzie chodował szczepki z dobrych owoców, a nie cierpkie dziczki, i potem je wysadził wedle drogi. Pracy nie wiele, a wielki pożytek. A nie mogłoby to tak być, żeby gospodarze ze wsi, jak są, wszystkie drogi drzewkami owocowemi obsadzili, i innego co roku na to wyznaczali, żeby drzewek pilnował i chodził koło nich? Jakby drzewka urosły i obrodziły, wtedy owoc gromadą zebrać, część jedną rozdzielić między gospodarzy, a resztę wysłać do miasta na sprzedaż. Grosz za owoce rozdzielił-by się znowu sumiennie na gromadę, a temu, coby drzewek pilnował, to by się dało dwa albo i trzy razy tyle. Wam się dziwno wydaje, a jakbyście tylko tak raz zrobić chcieli, to by już potem dzieci miały sobie za powinność.

W. Ja przed wami czapkę zdejmę, mój Stanisławie, bo wy bardzo mądrze mówicie. Muszę ja moją gruszę zaraz wyrąbać, i lepiej że ją spalę, niż cobym miał szkodować. Jutro będzie gromadzka narada, więc też wy to na rozum powiedźcie gromadzie, ja będę za wami i namówię jeszcze do tego Walka i Szymona. Co mądra rada, to i mądra, duchem jakoś człowiekowi do głowy lezie. Żebyście zaś nie myśleli, że to u mnie jeno próżne gadanie, to pójdę zaraz z wami, i pomogę wam obsadzić drogę temi szczepami, co owo wieziecie. Sam zaś proszę was, mój kumie, żebyście mi dali parę szczepków z waszej szkółki, a będę sobie w moim sadzie chodował, i da Bóg na wiosnę, znowu trochę wedle drogi obsadzę.

Uradował się bardzo stary Stanisław tą powolnością Wasyla, obiecał mu dać parę szczepków ze swojego sadu, a tymczasem pojechali razem, i obsadzili temi, co były na wozie, owo miejsce

wedle drogi, gdzie przed trzema laty Kuba ugrzązł razem z wozem i z końmi.

Na drugi dzień była wielka narada, a długo się tam sprzeczali i kłócili. Będzie zaś dwa dni temu, pisał mi stary Stanisław, że się nareszcie zgodziła wieś na wszystko, i będą obsadzać drogi drzewkami, da Bóg, na bezrok.

Niech im tam Pan Jezus we wszystkiem dopomoże, bo jak mówię, co mądre, to i ludziom na pożytek i na chwałę Panu Bogu!

RÓŻNOŚCI.

Szczur zjadł żelazo. Pewien kowal wybierał się na parę niedziel do fabryki, a że nie chciał w kuźni zostawiać czterech sztab żelaza, więc dał je sąsiadowi, gospodarzowi, do schowania. Sąsiad schował żelazo do komory, a kowal pojechał.

Wybyły trzy niedziele, wrócił kowal i mówi sąsiadowi o żelazo.

— Mój majstrze — rzecze gospodarz — a toć nie uwierzycie, co się stało! Długo nie zaglądałem do komory, aż raz wchodzę, patrzę — daj go czartu! — szczur, mówię wam, szczur ogromny, jak cielę, siedzi sobie i dogryza ostatniej sztaby!

Kowal zmiarkował, że sąsiad łże, jak się patrzy, ale nic nie rzekł, jeno poszedł do kuźni, i myśli, coby tu zrobić. Kiedy sobie tak głowę łamie, spojrzy, a tu na polu bawi się dziecko sąsiadowe. Wziął więc dziecko do siebie, dał mu sera gumułkę, i schował przez noc w komorze.

Sąsiadowie wołają dziecka całą noc, szukają na drugi dzień, a tu jak nie ma, tak nie ma. Idzie sąsiad do kowala:

— Mój majstrze, nie widzieliście mego chłopca?

— Ho, ho, pewnie go jastrząb porwał, bo tu latała wczoraj ogromna bestyja.

— Nie kpijcie sobie z biednego ojca, gdzież-by zaś jastrząb porwał trzechletnie dziecko?

— A cóż to dziwnego — rzecze kowal — kiedy u nas jeden szczur może zjeść cztery sztaby żelaza, to jastrząb potrafi też i dziecko porwać!

— Mój majstrze, to nie szczur zjadł żelazo, tylko ja go potrzebowałem i zapłacę wam, co się będzie należało.

— A skoro tak, to już dobrze — odrzekł kowal i wyprowadził chłopca z komory.

Gospodarz zapłacił majstrowi za sztaby, i odtąd nie było już słychać o szczurach, coby żelazo zjadały.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. Nr. 15.

21. Listopada 1860.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Władysław, syn Jagiełłów,

KRÓL POLSKI.

Niespełna dziesięć lat miał Władysław, kiedy go ojciec odumarł. Więc zaczęli mówić niektórzy ludzie, że chłopię bardzo młode, i oglądali się, czyby też kogo innego na króla nie obrać; ale więcej było takich, co pamiętali na cnotę nieboszczyka ojca i rzekli: Chcemy, żeby syn rządził! Jakoż tak się stało; obrała sobie nasza Polska Władysława królem, a że był bardzo młodzieńki, to mu dodali radnych panów do boku.

Tak mijał rok za rokiem. Aż też jednego czasu zaczęli sobie ludzie rozpowiadać, że poganin Turek zaczyna napadać na węgierską ziemię i srodze tam dokazuje. Myśleli panowie, że to próżne gadanie; aleć jednym razem zjechali wysłańcy węgierscy na królewski zamek i rzeką:

— Miłościwy panie! król nasz umarł, Turek nas napada, pali i pustoszy. Króluj nam panie, radź nam jak możesz.

Nasz Władysław był już wtedy sporym młodzieńcem, i rządził już swoją głową, a tu przecie nie wiedział, co sobie począć, i pyta panów:

— Jakaż wasza rada?

— Królu nasz — rzeką owi — jedź i pomóż braciom Węgrom, kiedy są w biedzie. Chrześcijańska to rzecz bronić inne chrześcijany przed pogańską napaścią; a Polacy, miłościwy panie, nie zwykli spozierać na zyski, jedno żądni bronić świętej wiary katolickiej, i nie leniwi oswobadzać inne ludy z pod ciężkiej niewoli.

Zadumał się nasz król młody na oną mowę panów, i sparł na białej ręce biedną swoją głowę. Dumał, dumał, aleć się wnet porwał i zawołał:

— Pójdę was bronić Węgrzy, moi mili bracia!

Jakoż duchem zebrali się rycerze, chłop w chłopa jak dęby, a zbroice złociste przywdziali na siebie. I siedli na konie, jakby z ognia i z wiatru, pobrząkali szablicami, a młody Władysław wyjechał na przodek i powiódł ich do Węgier.

Powitali Węgrzy polskich wojowników, jakby rodzonych braci. Ugościli i uraczyli, a potem zebrała się ich kupa, i razem z naszymi ruszyli na Turka poganina.

— Hej, Turku poganinie! krew się z ciebie lała, jakoby rzeka jedna, hej, nie dorachowałeś się tam siła twoich ludzi, skoroś się zwarł z naszymi na Kosowem polu! Dojechał-ci tam do żywego nasz Władysław młody, i pobił twoje wojsko, jak grad młode żytko! Nie mogłeś się opamiętać srogi Turczynie po tej walnej bitwie; i przyszedłeś do młodego króla i prosiłeś go na wszystko, żeby cię już nie zabijał więcej.

Nasz Władysław skłonił swoje serce na ono błaganie Turczyna, jako że nie był na krew ludzką chciwy, a chciał tylko obronić swoich braci Węgrów. Po długich więc ugodach stanęło na tem, że oba wojska będą siedziały cicho przez całe lat dziesięć, i jedno na drugie ani ręki nie podniesie. A przysięgli na to Turcy i przysiągł nasz król młody!

Ale byli tam ludzie o świętą wiarę gorliwi, a tym się gwałtem zdawało wojować dalej Turka. Więc też i ojciec święty wysłał posłańca do króla Władysława z takowem gadaniem:

— Synu mój, królu polski! Zacząłeś wojować Turki, srogie nieprzyjacioły Chrystusa, a czemużeś ich nie wygubił

do nogi? Jak się poganie rozmnożą, to znowu napadną na ciebie z całem wojskiem, i wyrzną was wszystkich. Wiem, mój synu, żeś przysiągł Turkowi, ale ja cię uwalniam od tej przysięgi, bo to z poganinem sprawa. —

Wysłuchał król tego gadania i nie wiedział co zrobić. Coś w sercu mu mówiło, żeby nie złamał przysięgi, aleć ludzie jak ludzie, namawiali go bardzo, bo im skoro było rzezać pogańskiego syna.

— Ha, niechże się stanie według wszej woli — odezwał się król smutny. — Przygotujcież się na jutro, to pójdziemy na Turka.

Rozeszli się rycerze ostrzyć ciężkie szablice, a król nasz poszedł do swego namiotu, i nie mógł zasnąć, tak mu było smutno w młodem sercu.

Na drugi dzień rychło świt, ozwały się trąby po obozie. Zerwał się młody król na nogi, i przywdział zbrój na siebie.

— Podaj-no mi hełm żelazny na głowę — zawołał na sługę.

Porwał się sługa i niesie królowi, a oto wypadł mu hełm z ręki, i coś w nim żałośnie zabrzęczało.

Ozwał się smutek w młodem sercu króla, ale nie dbał wiele na to, jeno wdział hełm na głowę i wyszedł na pole.

— Podaj-no mi konia z czarną grzywą — zawołał na sługę.

Porwał się sługa, wiedzie konia, a koń wierzga i skacze, i nie chce dać wsiąść na siebie.

Ozwał się znowu smutek w młodem sercu króla, aleć nie dbał już wiele na to, jeno chwycił konia białą ręką za grzywę, i dosiadł go spokojnie.

— Hej, na Turka, na Turka! — zawołał po całym obozie, i leciały konie i lecieli ludzie, a błyskali szablami, i nic się nie zatrzymali choć wiatr srogi zaszumiał od tureckiej strony i łamał polskie chorągwie.

I ozwał się smutek w młodem sercu króla jeszcze po raz trzeci, lecz już nie było czasu dbać na niego. Wyjechał jeno sam na przodek wojska, i całe gromady uderzyły na poganów.

A naprzeciw stała cicho spora kupa Turków, co się ustawili w taki kabłąk, jak miesiąc na młodziku. Stali cicho, jeno przed sobą wystawili spisaną przysięgę królewską na wysokiej tyce.

Lecą nasi w sam środek, a młody król na przedzie. I zwarli się strasznie z Turkami, i nuż siekać na wszystkie strony. A Turcy nie bronili się dużo, jeno ustępowali ze samego środka. Myśleli nasi, że uciekają, i dalej-że gonić za nimi. A owo w tejże chwili zaskoczyli im Turcy z tyłu, i wzięli ich w kółko.

Trudno-by to opowiedzieć, co się wtedy działo. Wywijali Turcy krzywemi pałaszami, a co który wywinął, to chlusła krew czerwona. Uderzyli na młodego króla. Bronił się nasz król, jakoby zwierz dziki; siła poganów położył koło siebie, aż ci osłabł w końcu. Przyskoczył wtedy jeden Turek i uciął mu głowę.

— Król zabity! król zabity! — zawołało polskie i węgierskie wojsko, i jęli uciekać, a poganie za nimi.

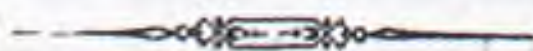
Co ich tam zginęło, trudno-by zrachować; wylało się też i tureckiej krwi co nie miara, ale ich to pocieszyło, że mieli głowę królewską. Zatknęli ją bezbożnicy na wysokiej tyce, i obnosili z radością po wojsku, a białe ciało młodziutkiego króla leżało krwią zbroczone na zielonej trawie.

Rozpłakała się polska za swym młodym królem.

— Hej, Władysławie, Władysławie, a cóżeś ty zrobił! Złamałeś przysięgę Turkowi, i Turek uciął ci głowę, a my dzieci, sierotki płaczemy i płaczemy, i źle i smutno nam bez ciebie i nie ma rady na ten smutek!...

Będzie temu dziesięć dni, kiedy minęło czterysta i szesnaście lat od owej strasznej bitwy. Była ona pod miastem Warną, i od tego to miasta nazwali ludzie *Warneńczykiem* zabitego króla.

Dzieci, módlmy się za nieszczęśliwą Polskę!



Boże grajki.

— Moja matuś, coś tak smutno śpiewa we wiklinie,
Że mi się o mało serce z żalu nie rozpłynie.

— Słowik śpiewa we wiklinie, wychodzi, wychodzi,
Słonko zaszło, ciemność płynie, zachodzi, zachodzi:
Moje złotko! i na świecie ludziom nie radośnie,
Bieda padła, bieda gniecie i jak oset rośnie.
Słowik śpiewa, bo ma wiarę, że nadejdzie ranek,
A i dla nas... hej, do czasu nosi wodę dzbanek!
Módl się, pracuj, i na Boga zdaj boleści stare,
Wszystko będzie, jeno chowaj w twojem sercu wiarę.

— Moja matuś, heń skowronek poświerguje w górze,
Aż się śmieją wszystkie kwiatki, lilije i róże.

— Poświerguje skowroneczek, aż się niebo śmieje,
Boski grajek, parobeczek, w Bogu ma nadzieję:
Moje złotko! jak ci kiedy bieda już dogodzi,
Ufaj ludziom, ufaj Bogu, że cię oswobodzi.
Skowroneczek ma nadzieję, modli się do nieba,
Niebo się do niego śmieje i użyczy chleba.
Choć człek biedny, przecież w sercu coś go trochę grzeje,
Biedny, biedny a szczęśliwy, kiedy ma nadzieję.

— Moja matuś, coś tam w gniazdku pod poszyciem gada,
Głosik gruby, głosik cieńki, jak cała gromada.

— W małem gniazdku jaskółeczki gawędzą po cichu:
Coś tam dużo wesołości i pustego śmiechu:
Moje złotko! są tam małe wesołe pisklęta,
Jest tam matka, co z miłości o dzieciach pamięta,
A tak wszystko między niemi zgodnie i pięknie,
Aż żal człeku, że nie ptakiem, tak mu serce mięknie.
Boć tam zawsze łaska Boża i dostatek gości,
Kędy ludzie żyją w zgodzie i w świętej miłości.

— Moja matuś, któż to ptaszków wyuczył śpiewania,
Czy to słonko, czy ten wiater co światem ugania?

— Moje złotko! ani słonko, ani wiater prędki
Jeno święta Cecylija uczy ich piosenki:
Kiedy rankiem Panu Bogu wyśpiewuje chwałę,
To jej ptaszki posiadają na rączęta białe;
Kiedy wieczór Panu Bogu piosnkę wyśpiewuje,
To gromada małych ptasząt cicho podsłuchuje;
A kiedy się już poranne zaczerwienią zorze,
Grają razem z Cecyliją owe grajki Boże.

Grześ z Mogiły.

TATARSKA SIEROTA.

Zadzwonili w dzwony w Rabach, a była to mała wioska w sanockiej ziemi, nie daleko miasta Liska. Ludzie poczciwi a nabożni w sukmanach i kubrakach wysypali się z cerkiewki po nieszporach i zatrzymali się przed plebanją.

Ksiądz Michał, proboszcz Rabski, zdiął z siebie kościelny ubior, i wyszedł fórtą zapytać gromadę, czegoby żądała. Twarz Jegomości była blada, smutna, chuda, znać było po niej, że nie dawno jak wyszedł z tatarskiej niewoli.

A trzeba wam wiedzieć, że to było w onym strasznym czasie, kiedy Tatarzy najokropniej pustoszyli naszą polską ziemię. Król, jak mógł, uwijał się z poganami, aleć mimo tego dymiły się w około belki niedopalonych chałup i rozsypywały się w gruzy zamki pańskie. Co było jeszcze całych zagród, to były puste, bo Tatarzy pognali siła ludu jak bydła na swoje stepy.

Codzień było mniej obrońców, a codzień więcej nieprzyjaciół. Matki chowały z trwogą dzieci, bo ojców już nie ma w chacie, żeby ich bronili. Hej, hej, jednych pozabijali, a drugich powiedli gdzieś daleko. Piją oni pod płóciennym namiotem poganina kobyle mleko, jedzą surowe końskie mięso, a kryją na piersiach szkaplerze, żeby ich też niegodna ręka nie znieważyła.

Otóż takie to były czasy, kiedy gromada Rabska wyszła z nabożeństwa i skupiła się w około kochanego plebana.

W pośrodku niewiast i kmieci stało czternastoletnie pacholę, a po onem pacholęciu spoglądali wszyscy jakoby ojcowie. Cała gromada otoczyła tego chłopca, bledszego i smutniejszego od innych, a Grzegorz, gospodarz największej lecz najbardziej spustoszonej chyży, powiedział:

— Przyszliśmy do Jegomości z tą tatarską sierotą.

— Więc cóż? — zapytał ksiądz proboszcz z pospiechem — chcecież ją opuścić i oddalić od siebie?

— Opuścić? — krzyknęła gromada razem — o niech nas Bóg uchowa! dobrodzieju. Pamiętamy dobrze na on dzień straszny, kiedy Tatarzy od strony Ustrzyk wpadli do cichej naszej wioski.

Ksiądz Michał wstrząsnął głową, a Grzegorz mówił dalej:

— Byliśmy wtedy w polu, i nie było już czasu ratować dobytku: Poganin białą czeladź zabierał w jasyr; kto mógł, to uciekł z życiem i nas oto garstka została.

— Do czegoż te smutne przypomnienia — przerwał ksiądz proboszcz — mamyż znowu płakać i szlochać nad tem, co się już raz stało?

— Oj, pozwólże nam Jegomość jeszcze raz rozpłakać się na tę spominkę — ozwał się głos z gromady. — Widzimy to jak dzisiaj, kiedy Tatarzy zrabowali cerkiewkę. Wtedy i was zabrali dobrodzieju.

Ksiądz proboszcz złożył ręce, i popatrzał z żalem na rozwaloną wieżyczkę i na podrapane ściany kościoła.

Grzegorz mówił dalej:

— Oj tak, i ciebie, wielebny Ojcze porwali w niewolę. Pan nasz, ledwie że się obronił z dziarską czeladzią. Sam Pan Bóg czuwał nad nim.

Jasna łza wdzięczności ku Bogu zabłysła w oczach księdza plebana. W milczeniu słuchał smutnej powieści.

— Wróciwszy do wsi, znaleźliśmy puste chaty i puste stodoły — ciągnął dalej Grzegorz. — Dobytek przepadł wraz z czeladzią! Spoglądamy smutni, a tu przy drodze, pod jesionem, co go Tatar ociął toporem z gałęzi, ozwał się płacz cichy i cieniutki.

Było to niedaleko chyży Tańczynej. Zbliżyłem się ostrożnie i ujrzałem pod jesionem maleńkie dziecię Tańki na trawniku. Matki jego nie widać do dzisiaj. Gromada widziała, jak ją Tatarzy przywiązaną do konia pędzili; więc postanowiła wychować jej dziecię i przygarnąć do siebie.

Wzięliśmy chłopca jak swojego. Kobiety dały mu opiekę i pokarm, a parobcy postarali się o odzież dla chłopca. Minęło lat czternaście: dziecię ślicznie wyrosło, a ponieważ je Tatarzy osierocili, tośmy go i nazwali: Tatarską sierotą.

— Oto jest Tatarska sierota — dodał Grzegorz, kładąc rękę na ramieniu czternastoletniego Janka, a ksiądz proboszcz rzekł:

— Wiem o tem wszystkiem; do czegóż więc przypominacie mi wasz dobry uczynek?

— Niech nas Bóg broni — przerwał Grzegorz — żebyśmy się chcieli przechwalać tem, cośmy zrobili w Imię Jego i dla Jego chwały. Nie o to więc idzie; ale pacholę ma już lat czternaście, trzeba więc, żeby poznało swój początek, a wartoby też i pomyśleć, co będzie dalej robiło na tym świecie. Złożyliśmy tam garstkę pieniędzy, co przy biedzie uciułano, więc niech też Jegomość weźmie od nas, a odda chłopca do takiej szkoły, gdzieby go nauczyli albo szablą wywijać, coby matkę odbił z niewoli, albo też umiał zarobić na jej wykupienie.

Księdzu Michałowi wypogodziła się twarz. Aż zapłakał z radości, i rzekł do gromady:

— Nie dziwcie się, dzieci moje, łzom starego człeka. Toż to ksiądz zawsze z wami smuci się i weseli, z wami się modli, z wami zaznał niewoli, i z wami czuwał nad młodością tatarskiej sieroty. Niech-no się przeda tegoroczne żytko, to mój grosik dodam do waszego, ta i odwieziemy Janka do miasta.

Jeszcze ksiądz pleban nie dokończył, kiedy od Ustrzyk zaczerniła się droga całą chmurą piasku, co podlatywał do góry. Gwar i hałas rozchodził się po zielonych łąkach, ubranych w przeróżne kwiatuszki. Zdawało ci się, że się miód sączył z wonnych ziół, a mleko z tłustych krów, co się pasły na łące.

Aleć w tej chwili wszyscy zapomnieli o dostatkach. Ksiądz pleban patrzał się długo po ciemnej drodze, a potem zawołał ciężkim głosem:

— Tatarzy!

Organista uderzył na gwałt. Gromada nie wiedziała co robić: bardzo ich było mało, żeby się bronić poganom. Nikt się nie ruszył, jeno wszyscy stanęli w okrąg tatarskiej sieroty, nieruchomi i niemi, jak z kamienia.

— Przecież zdołamy obronić dziecinę — każdy z nich szepnął, i pocałowawszy szkaplerz, czekał spokojnie.

Tłum nieznajomy zbliżał się coraz więcej do kościółka; ale wkrótce zdziwili się wszyscy i uradowali, skoro poznali sukmany kmiece ze wsi sąsiedniej. Szli drogą swoi ludzie i prowadzili pośród siebie z gwarem i krzykiem jakąś niewiastę.

Tłum się zatrzymał: wynędzniała, drżąca i wylękła kobieta padła na kolana przed księdzem, twarz jej była blada, jak u trupa, suknie krwią pobryzgane, a jednak wszyscy od razu ją poznali i wszyscy razem wykrzyknęli:

— Tańka!

— Tańka, Tańka! — powtórzyły gromady, a niewiasta klęczała przed Jegomością, a Janko u nóg jej leżał, wołając:

— Matko, mateńko!

Trudno sobie zgoła wyobrazić radość tej biednej niewiasty. Uciekła ona z niewoli tatarskiej, i przebyła wszystkie męki ucieczki, aby się jeszcze choć pomodlić w swoim kościółku.... a tu zobaczyła swego synka jedynego, co już myślała o nim, że zginął gdzie marnie na polu.

Nie można też było oderwać matki od syna! płakali i ściskali się z radości. Wreszcie kobieta drżąca i trwożna ze zwyczaju, oglądając się, czy Tatarów nie widać, rzekła:

— Przed czternastu laty, gdy Tatary rabowali naszą wioskę, zobaczyłam ich kiedy gnali za mną. Chciałam choć dziecko ocalić od strasznej niewoli, i rzuciłam je w trawę pod wielkim jesionem. Później żałowałam tego ciężko, srodze wyrzucając sobie, żem nie zachowała dziecka przy sobie, żem mu przyspieszyła może śmierci z głodu albo z tatarskiej ręki! Ale już było wszystko daremnie, i przez czternaście lat jęczałam i

za siebie i za dziecko moje, aż dzisiaj dopiero zakończył Bóg srogie męki!

Tutaj ksiądz pleban opowiedział Tańce po krótce, jakim sposobem Janek ocalał. Łzy rzewne płynęły jej z oczów, a ręce raz poraz wznosiła do góry z modlitwą za poczciwą gromadę. Biedna i trwożliwa przygarnęła syna do siebie, i wskazując w strony stepów, mówiła:

— Oj straszno tam, straszno u nich! Ani Boga ani pacierza! rzucą ci kawał surowego mięsa, dzikie śpiewy odzywają się w około, a ostra szabla wisi ci prawie nad głową!

I długo, długo Tańka miała jeszcze co opowiadać. Gromada słuchała jej ze zgrozą, Janko ze smutkiem. A skoro pieniądze zebrane na dalszą naukę sieroty oddawał ksiądz proboszcz gromadzie, pacholę prosiło, aby go też wysłali do jakiej szkoły, gdzieby się mógł nauczyć szablą robić, i pójść obronić i odbić inne matki i dzieci, skoro mu Bóg łaskawy pozwolił już odszukać swoją mateńkę. (*Ze złotej księgi.*)

WINCENTY DEKIERT.

Z dalekać to wprawdzie, ale zawsze z kraju polskiego, bo z pod Poznania piszę do was, i dzielę się z wami łzą rzewną, a razem i błogiem uczuciem, które mi w sercu zaległo.

Czytaliście już w Dzwonku po parę razy wspomnienie o naczelniku Tadeuszu Kościuszce, któremu to pod Krakowem wielką usypali mogiłę wspólnemi rękoma: panowie, mieszczanie i chłopi.

Otóż pod tym ukochanym naczelnikiem służył wojskowo Wincenty Dekiert, gospodarz ze wsi Dubieszyna, pod miasteczkiem Bukiem położonej, o mil cztery od Poznania. Urodził się roku 1768, kropił wrogów przez długie lata, a zawsze przy ukochanym wodzu, i był we wielu potyczkach i bitwach. A kiedy się potem wszystko nieszczęśliwie skończyło, i ukochanego naczelnika, ciężko rannego, do moskiewskiej wzięto niewoli, —

Wincenty Dekiert smutny i zbolały powrócił do swojej zagrody w Dubieszynie. Poszczęścił mu też Pan Bóg i poczciwość jego nagrodził. Dochował się wnet pięknego dobytku, a co stokroć jeszcze więcej znaczy: poszanowania i miłości u ludzi, nietylko we wsi ojczystej, ale i okoliczna szlachta poważała go wielce.

Posłyszał on, że ukochanemu naczelnikowi powrócił cesarz moskiewski wolność, po latach kilku niewoli. Wolny naczelnik udał się na drugi koniec świata, do Ameryki, gdzie za lat młodych bił się o wolność tamtejszego ludu, za co też owi imię Tadeusza Kościuszki z wielką wspominają wdzięcznością i na zawsze wspominać będą. Toć-że mu tam i pomnik wystawili z kamienia, piękny a wielki. I gdy okręt, na którym płynął, zawinął na brzegi Ameryki, to luda co nie miara witało go z okrzykami radości i łzami. Potem wyprzęgli konie od powozu, i zaciągnęli go własnemi rękoma do miasta. A jeszcze i tłoczyli się do tej roboty, bo żaden nie chciał być gorszym od drugiego.

O tem wszystkiem dowiedział się zaraz Wincenty Dekiert, bo panowie sąsiedzi chętnie mu przeczytali gazetę, albo też opowiedzieli, co tam się dzieje w świecie.

Później jakoś, bo w roku 1803 czyli 1804, powrócił Tadeusz Kościuszko z Ameryki, zamieszkał w górzystym kraju Szwajcaryi, gdzie wiele, bardzo wiele dobrego czynił. Przypomnicie sobie zapewne ono opowiadanie o koniu jego wierzchowym, który to zawsze przystanął na drodze, gdy ubogiego zobaczył: nałożył się do tego, bo naczelnik zawsze przy każdym zatrzymał się ubogim i udzielił mu wsparcia.

W r. 1817 umarł wódz nigdy niezapomniany. Ciało jego przewieziono do Krakowa i złożono w grobach królewskich, w pięknym grobowcu kamiennym. A lud wszystek usypał mu mogiłę, która i żelazne przetrwa pomniki.

Wincenty Dekiert rozpłakał się serdecznie, gdy go doszła wiadomość o śmierci wodza, Tadeusza Kościuszki.

W Poznaniu obchodzono bardzo uroczyście pogrzebowe nabożeństwo za uwielbionego wodza. Wystawiony był katafalk z samej broni, pozatykano i kosy — i czerwoną krakuskę.

Zjechało się mnóstwo panów, i poczciwego narodu aniby naliczył. Rozumie się, że tam był i stary wojak, gospodarz Wincenty Dekiert z Dobieszyna.

Mijały lata — dużo upłynęło wody, a może łez jeszcze więcej; przeżyło się różności — a smutków bardzo wiele.

Wincenty Dekiert przeżył lat 94 — aż owo teraz umarł z wielkim żalem wszystkich: zasnął w Bogu — zasnął spokojnie niby dziecię. Wieczny odpoczynek sprawiedliwemu!

Gdy o zgonie jego rozeszła się po wsi wiadomość, zbiegli się wszyscy, aby go raz jeszcze oglądać.

Uchwalili panowie, księża i chłopi, by uczcić chłopa-żołnierza, i piękny, wystawny wyprawić mu pogrzeb. Wystawiono w kościele, w Buku, katafalk wysoki, przystrojony bogato i stosownie. Zebrały się cechy i muzyka kościelna.

Rano o świcie wysłał jeden z sąsiednich dziedziców wóz czterokonny, ślicznemi kobiercami pookrywany, do Dobieszyna po ciało. Złożono je na nim i ruszył z wolna, a za nim wieś cała i siła ludu okolicznego. Skoro się wóz zbliżył do miasta Buku, wyszli w procesyi księża, cechy wszystkie, dużo panów obywateli, i reszta co mieszkali w miasteczku. Panowie zdjęli trumnę z wozu i na barkach swoich zanieśli ją do kościoła, na katafalk. W koło liczne paliło się światło. Za katafalkiem rozsiedli się kapłani i na godnem miejscu dwóch starców, którzy kiedyś także walczyli pod wodzem Tadeuszem Kościuszką, i z rąk jego otrzymali krzyże za swoją waleczność.

Po odśpiewaniu wigilij i odprawieniu trzech mszy świętych, zanieśli ci sami panowie ciało na smętarz. Nad grobem przemówił bardzo pięknie ksiądz kaznodzieja, wykazując ludowi: że nie urodzenie i bogactwa, ale uczynki dobre i zasługi otrzymują uznanie i uświęcenie.

Łzy w każdem były oku — i każdy z gorącą modlitwą rzucił garść ziemi na grób wojaka-chłopa.

Westchnijcie i wy tam, przyjaciele poczciwi, w dalekiej stronie!

Paulina z L. Wilkońska.

Rady na różne przypadki w gospodarstwie.

Jak sobie poczynać, żeby się cielęta dobrze chowały.

Trafia się często w gospodarstwie, że cielęta zdychają i nie można się doczekać nijakiego przychowku. Owoż nie dzieje się to z przypadku, jeno dla tego, że ludzie zwykle nie umią chodzić koło wychowania cieląt. Najczęściej karmią je gosposie *makuchami lnianemi* z mlekiem, a to im bardzo szkodzi. Nie dobre są makuchy takie i dla krów. Nie raz się pani krzywi na kobietę, co jej mleko do miasta nosi, że nabiał nie dobry i trąci za czemś. Gosposia zaklina się, że od tej samej krowy, skosztuje sama mleka; a prawda nie dobre, jak stary olej! Zaturbowana nie wie, co to znaczy, i zwala na czarownicę, że jej mleko oczarowała. A to nie czarownica, moja gosposiu, jeno te makuchy, co je krowom dajesz. W makuchach zostanie się zawsze trochę oleju, a jak makuch stary i zatęchły, to ci potem i mleko czuć za starym olejem. Otóż nie wiele z tąd zysku, a do tego jeszcze krowy słabują i z ciała spadają. Jeżelić zaś krowy słabują, co przecież twardszej natury, to nie dziwota, że cielę tego znieść nie może i zdycha.

Mówił mi jeden stary gospodarz, że on sobie tak z cielętami poczyna:

Zaraz po urodzeniu odsadza cielę od krowy, i daje mu przez pierwsze dwie niedziele trzy razy na dzień po kwarcie mleka, a do każdej kwarty dosypuje przed pojeniem pół kwaterek suszonego i pokruszonego chleba razowego. Na trzecią niedzielę daje po pół garnca mleka trzy razy na dzień, i po pół kwaterku chleba. W taki sposób karmi ciele aż do ośmiu tygodni. Po tym czasie daje już owies i siano; a cielęta tak chowane trzymają się pięknie, wyrastają i ciągle są zdrowe.

Z jakich jaj wykłuwają się kokoszki.

Nieraz zawodzą żale gosposie, że im się same kogutki wylęgły. Bo to koguty jak koguty, biją się i czubią, kiedy

ich jest dużo, a taki z nich jeno pożytek, że rano do roboty budzą, albo na odmianę pieją. Przecież co kokoszka, to lepsza: znosi jajka, a jajka można w mieście dobrze sprzedać, albo też na własny obrócić pożytek.

Owóż jeden gospodarz długo na to uważał, jakby tu temu zaradzić, i tak już umiał potem jaja podkładać, że naprzód powiedział, ile będzie kogutków, a ile kokoszek. I wy tak sobie możecie zaradzić, jeno pamiętajcie na to: Jajko, z którego się ma kogucik wylęgnąć, ma długi wązki koniec i więcej spiczasty; zaś jajka na kokoszki mają wązki koniec tępy, i po obu stronach ładnie są zaokrąglone.

Uważajcież na to dobrze gosposie, jak będziecie miały sadzać kokosz na jajach.

Jak goić rany u koni i u wołów.

Jeżeli koń albo wół się gdzie otarł i zrobi mu się rana w tem miejscu, to najlepszym sposobem na to jest: przywiązać mu szmatkę w kilkoro złożoną, a umaczać ją najpierw w *świniej żółci*. Próbowali to różni gospodarze, a zawsze pomagało. Czem zaś żółć starsza, tem skuteczniejsza ma być na takowe rany u bydła. Nie zawadzi więc mieć zawsze trochę świniej żółci w garnuszku: a najlepiej to gdzie trzymać w lochu, żeby się nie psuło.

Gdzie siać marchew.

Próbowali ludzie siać marchew na wiosnę między ozime żyto, i pokazało się, że była dobra i ładna.

Kto nie ma miejsca na warzywa, a chce mieć marchew, temu spróbować nie zawadzi, a zwłaszcza kiedy zasiał żyto na dobrem gruncie. Marchew rozrasta się dopiero po sprzęcie żyta, i wtedy można ją wygodnie kopać; zaś żytu nic to nie szkodzi, ani przy żęciu nie zawadzi.

RÓŻNOŚCI.

Kto na piszczałkę dał, będzie na niej grał. Pewien pan zamożny wysyłał raz swego marszałka do miasta Gdańska za różnemi sprawunkami. Skoro się dworscy o tem dowiedzieli, dalejże biegnąć do pana marszałka z karteczkami, gdzie mu swoje potrzeby pospisywali. Więc jeden chciał żeby mu przywieść sukna, drugi słodkiej wódki, trzeci strzelbę — i tak bez końca, a żaden z nich nie dał pieniędzy na swój sprawunek jeno mówił:

— Panie bracie! jak powrócisz, toć ci u nas nie zginie!

Tylko jeden koniuszy, co przyszedł do marszałka a prosił, aby mu przywieść piszczałkę z Gdańska, i dał zaraz złotówkę na nią.

Nie było wtedy żeleźnicy, i ludzie tak prędko nie jeździli jak dzisiaj; a jak kto chciał do Gdańska, to mu wodą było najskładniej. Siadał na galar i po naszej Wiśle wio! do samego Gdańska. Tak samo zrobił też i pan marszałek, a podróż odbył szczęśliwie, i wrócił za kilka niedziel.

Zaledwo jeno stanął na miejscu, tak ci się zaraz zwaliła na niego cała zgraja dworzanów.

— Witajcie panie marszałku! A cóż moje sukno, a co moja wódka, a co moja strzelba?

— Przepraszam panów braci, alem zapomniał o waszych sprawunkach — ozwał się pan marszałek.

— Panie marszałku, a gdzież moja piszczałka? — zapytał tu koniuszy co świeżo weszedł do izby.

— Jest, jest panie bracie — rzekł marszałek i wyciągnął piszczałkę z podróżnego kufra.

— Co zaś za człowiek! — jęli wygadywać owi dworzanie co nic nie dostali. — To o głupiej piszczałce pamiętał, a nam nie przywiózł takich ważnych rzeczy.

— Nie gniewajcie się Waszmość panowie — ozwał się marszałek — ale ja niezadługo znowu pojadę to wam wszystko przywiezę. Powiem jak to było. Miałem siła pańskich sprawunków na głowie, więc chciałem się obrachować jak mi długo wypadnie siedzieć w Gdańsku. Tym końcem rozłożyłem sobie na galarze wszystkie kartki, gdzie były sprawunki popisane, i na każdą kartkę położyłem odebrane pieniądze. Ni ztąd ni zowąd zerwał się nagle wiater silny, i wszystkie nie przykryte pieniądzmi karteczki powrzucał do wody. Kartka pana koniuszego była przykryta złotówką i została na galarze. Żem zaś miał dużo pańskich sprawunków, tom też nie wiedział na pamięć co przywieść panom braciom.

Przechylił się tu pan marszałek i szepnął koniuszemu do ucha.

— Nie głupim był przywozic! Pewniebym potem czekał do sądnego dnia na pieniądze.

Pomiarkowali się dworzanie, że im

trzeba było dać choć trochę grosza na sprawunki, i pospuszczali nosy; a pan koniuszy, że był człowiek wesoły i dowcipny, przegrywał sobie na piszczałce i śpiewał do tego:

Kto na piszczałkę dał, będzie na niej grał;
A Waszmość nic nie dali, to nie będą grali.

Nieużyty sąsiad. Mój sąsiedzie, kiedy się wybieracie z pługiem w pole pożyczcież mi maźnicy, bo jadę do lasu; na południe zaraz wam oddam.

— Ej, nie dam, bo mi zgubicie.

— No, to wam na zastaw zostawie złotówkę.

— Nie, nie mogę, ja ta nie fantownik.

— No, to mi ją przedajcie, bo mi duchem dzisiaj potrzebna, a taką samą kupicie se w mieście.

— Nie, mój sąsiedzie, nie mogę, ja sam kontent, że ją mam.

— No, to wam za pożyczkę kupię wódki w prowizyi.

— Bóg wam zapłać, ja ta na wódkę nie pragnący.

— No, to mi ją darujcie.

— Albo ja głupi.

— Wyście nie głupi, tylko nieużyci, mój sąsiedzie, jak w gadce mówią, nieprzymierzając: *leży pies na sianie, co sam go nie je, ale i krowie go nie da.*

Kumeczka, wielka pani. Ja ta, moja kumezko, nie lubię tak jak drudzy, co byle czem zasycą się i jużcić. Ja jak pojadę na targ albo na jarmark, to sobie dobrze podjemy we dwoje, weźmiewa jeszcze do domu, nagotujewa i pożywiewa się poczciwie. Mój także bez kieliszka gorzałki dnia nigdy nie spędzi, a i piwa kwartę ściągnie się do izby. Jak znowu większy grosz kapnie do ręki, czy za zboże, czy za nierogaciznę: to i miodu wygarniewa po sporej miarce, i słodkiej wódki po jednym i po drugim kieliszku, bo i czegóż mamy se żałować.

— Zapewno zapewne moja kumo, kiedy was stać, to i dla czego se nie pozwolić?

— Ej, stać ta jak stać, bo dziur jest dosyć, coby się je groszem wartało zapchać, ale widzicie, my lubimy jeść i smaczno, i maśno i z wygodą, i człek już nawykł do lepszego dojadku, to do zbytkowania aż cosić człeka ciągnie.

— Bo źle robicie, moja kumo, bo powiadają:

Co trunki radzi pijają,
I tłuste kąski jadają,
Nie zbiorą pieniędzy,
Zawsze będą w nędzy.

Dawne przysłowia i przypowieści.

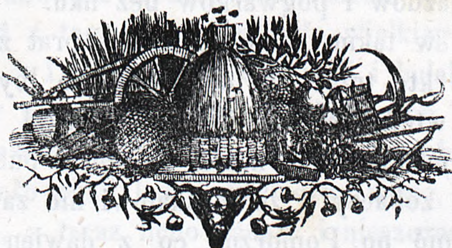
Kocioł garnkowi przymawia, a oba smolą.
Daj kurowi grzędy, to on zechce wszędy.
Kto się raz sparzy, ten dmucha i na zimną wodę.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. Nr. 16.

1. Grudnia 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kazimierz, drugi syn Jagiełłów,

KRÓL POLSKI.

Nie skoro uwierzą ludzie srogiemu nieszczęściu; więc też i Polacy nie chcieli wierzyć, że młodego Władysława zabili Turcy pod miastem Warną.

— Hej, hej, może jeszcze powróci — mówili sobie nasi i czekali. Aliści skoro przybyli rycerze z onej nieszczęśliwej wojny i opowiedzieli całą rzecz, jak się przytrafiła, tak też pomodlili się jeno za duszę młodego króla i wysłali panów do brata jego Kazimierza na Litwę, aby zjechał objąć rządy całej Polski.

Wymawiał się z razu Kazimierz, bo mu dobrze było między Litwinami; aleć jak zmiarkował, że to i reszta polskiej ziemi bez króla się nie obejdzie, tak też i zjechał do Krakowa, a tam mu arcybiskup włożył koronę na głowę jako polskiemu królowi.

Ledwie że Kazimierz zaczął w Polsce rządzić, aż ci się tu wzięła Litwa z Polakami swarzyć, że aż brzydko było.

Litwie się zdawało, że król dla Polaków lepszy, a owi się znowu kłócili ząb za ząb, że Kazimierz Litwinom więcej sprzyja: i ztąd też było zjazdów i pogwarków bez liku.

Aleć źle to w takim domu, gdzie się brat z bratem użera, bo jak przyjdzie kto trzeci, to obydwóch za łby weźmie. Tak się też i nam wtedy przytrafiło, bo Moskal urwał kawałek polskiej ziemi, a nikt mu za to nawet palcem w bucie nie pokiwał. Jak też Krzyżak zobaczył, że Moskalowi nic za to, więc i on zaczął sobie broić po Pomorzu, co z dawien dawna do nas należało. Uciskał i katował biednych chłopków, sprowadzał Niemców całemi gromadami i osadzał ich na zamkach i miastach, żeby też dokuczali; zgoła w piekle by już nie było gorzej, jak pod onemi krzyżackiemi rządami.

— Ha, poczekaj Krzyżaku! — pomyśleli sobie owi utrapieni ludzie — zalejemy my ci sadła za skórę!

Jakoż wysłali pędem kilku do niemieckiego cesarza prosić o pomoc i obronę od krzyżackich rycerzy.

— Dam ja wam tu skarzyć się na Krzyżaka — ozwał się ostro cesarz niemiecki — to wy sami dokazujecie, buntowniki!

Przelękli się posłowie na to groźne gadanie, a mieli też i czego, bo cesarz zamiast dopomódz, to kazał jeszcze głowy pościnać trzynastu Pomorzanom. Taka była to sprawiedliwość cesarska!

Owóż Pomorzanie pomiarkowali się po niewczasie i wysłali posłów do Kazimierza z taką gadką:

— Królu polski! Pomorze było do niedawna jeszcze polską ziemią, a teraz uciska nas Krzyżak, i znowu wydziwia, choć go ojciec twój zbił na łeb na szyję. Słaliśmy do cesarza i nie dał nam cesarz sprawiedliwości, więc ty nas ratuj miłościwy panie!

Kazimierz żenił się właśnie wtedy w Krakowie, więc też i panów było przy nim dużo. Jakoż zaczęli się wszyscy naradzać, i uradzili wojnę na Krzyżaka.

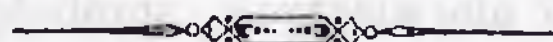
Ha, no, kiedy bić się, to bić. Wyjechało wojsko do Pomorza, i zaczęło Krzyżaka napastować; aleć nie było między wojskiem żadnego ładu, bo król sam nie był tęgi wojak, a nie znalazł się też żaden człowiek szykowny do takich rzeczy.

Więc też kto chciał, to się bił, a inny jechał do domu, i tym sposobem ciągła się ta wojna przez całe lat czternaście, a ledwo że nasi skąpy kawałek wydarli drapieżnemu Krzyżakowi.

Widno już z tego, że nie było wielkiego ładu w Polsce za Kazimierza. Ludzie stroili się, pili i hulali, a nikt się ani nie spytał, czy nie trzeba gonić Moskala albo Prusa. Na nasze nieszczęście nastało też wtedy u nas niedobre gorzałczysko. Przedtem bywało pijali ludzie kryniczną wodę, czasem piwo lub sycony miodek, a taraz licho nadało i nieszczęsną wódkę. Z początku pijali ją ludzie jako lekarstwo, i krzywili gębą, jak przyszło zażywać; aleć wnet się przyzwyczaili i nie jeden potem leżał spity jak bydle, kiedy trzeba było bronić drogiej ojczyzny od nieprzyjaciela.

Na takich to nie bardzo dobrych rzeczach zeszło lat czterdzieści i pięć, boć tak długo panował król Kazimierz, co go od ojca *Jagiellończykiem* zwali. W roku 1492 zaskoczyła go śmierć w Grodnie, właśnie kiedy jechał z Litwy do Polski.

Zostawił król ten sześciu synów po sobie, i żal a nowy kłopot dla Polski.



ŚPIEWKA

o świątobliwej pannie zakonnicy.

Hej, wojuje król Łokietek wojuje!
I niemieckie w Szlązku kraje plądruje —
Boć mu przedtem Niemcy Polskę napadli,
I złota mu dużo w kraju nakradli.

Wiedzie wojsko król Łokietek do bitwy,
Ma go siłę z Polskiej ziemi i z Litwy;
Ale Litwin jeszcze wtedy pogański,
Pali nawet i plądruje dóm pański.

Hej, stoi tam stary klasztor na górze,
Siedzą panny zakonnice w klasztorze,
I mocno się heń panienki frasują,
Bo Litwini w okolicy grasują.

Ratuj że ich mocny Boże, hej Boże!
Boć już Litwin zbytki robi w klasztorze,
Pochowały się panienki do sali,
Ależ jedną nieboraczkę złapali.

I zdziwiają się Litwini śród śmiechu,
I panienkę świętą wabią do grzechu,
A ona się nadaremnie im prosi
I od płaczu serdecznego zanosi.

Długo, długo tak prosiła daremnie,
Wreszcie rzeknie: „Idźcie sobie odemnie!
A ja za to dam wam sposób takowy,
Że nie utnie żadna szabla wam głowy,

— „A jeźli mi nie wierzycie, spróbujcie
Na mej szyi, a o mnie się nie bójcie.“ —
— Nie źle mówi — pomyśleli Litwini,
Trza ją puścić, jeźli nam to uczyni.

I wyciągnął jeden szablę jak żmiję
I panienkę zakonnicę tnie w szyję —
Aliści tu krew trysnęła czerwona,
A bez grzechu święta panna już kona.

I skonała, a do nieba jej biała
Po zapłatę wieczną dusza leciała;
A Litwini od takiego cnót wzoru
Strachem zdjęci uciekali z klasztoru. —

Wincenty Srokacz.

Jakim sposobem Mruwiak poszedł po rozum do głowy?

We wsi Makowicach, jeden z gospodarzy Paweł Mruwiak, w młodszych latach swego gospodarstwa, niby to chłopisko pracował, niby nie trwonił, zabiegał, zaskakiwał, z kieliszkiem się nie wdawał; a przecieć u niego grosz za groszem gonił, nigdy z chlebem nie wystarczył do nowego i zawsze na przednowku po uszy się zapożyczył. Jeszcze kiedy we dworze szukał ratunku, było to pół biedy, bo dwór nie zdarł go ani na cenie, ani na prowizyi, tylko policzył uczciwie co przypada, zapisał do książki, i potem co tydzień z zarobku po trochu wytrącał; ale gdy we dworze którego roku było skąpo, i trzeba się było udać do kogo innego, co to choć da, ale tak ściągnie na wszystkiem, i na cenie i na prowizyi, że mało z człeka skóry nie zedrze, wtedy to dopiero wzdychał, skrobał się w głowę Pawlisko, ale trudna rada, wiele ten może co musi. Co rok też było gorzej z Mrówiakami, z dwóch krów pozostała jedna stara, niezdatna do mleka, ni przychowku: szkapinę młodą jak zaczęli zmieniać na starszą, żeby na dopłacie coś zyskać, przyszli wreszcie do szkapy starej, włogawej i ślepej, do niczego nieprzydatnej. Tak samo wyzbyli się gęsi, kur, a długów coraz więcej przybywało. Z wiosny więc, a szczególniej też na początku lata, strasznie cienko bywało z Pawłem, co tydzień to pasa przyciągał, że po świętej Annie zawsze doszedł z nim do ostatniej dziurki. Przytem był miny smutnej, ni gadki, ni śpiewki nikt z niego nie wyciągnął, mówił cicho i jeszcze ciszej odpowiadał, jakby w izbie u chorego; usuwał się każdemu potulnie z drogi, każdemu się skłonił, każdego powitał Boskiem słowem; a kiedy szedł przez błonie, to tak się skulił, tak zgarbił, tak czapczysko zasadził na oczy, że wyglądał jak jaki staruszek.

Za to na jesień zaraz po żniwach, Paweł stawał się innym człowiekiem. Czy czapki czy kapelusza nigdy inaczej nie nosił, tylko przez pół głowy na jednem uchu, rękę trzymał zawsze przy pasie, jakby nie tylko Makowice, ale wszystkie wsie przy-

ległe do niego należały, a na twarzy tyle było wesołości, w ustach tyle śmiechu i różnych rozgadek, że jak szedł przez wieś, to tylko się rozlegało, co tak mówił głośno albo wyśpiewywał. Że zaś dojadku sobie nie żałował, ciągle więc z pasem miał robotę, co mu dolegał, i jak zaczął go od pierwszego z nowego pieczywa popuszczać od dziurki do dziurki, to prawie na Boże Narodzenie doszedł do pierwszej, a w tej mierze go trzymał, póki chleba starczyło. I tak było co rok.

Przytem powiadali ludzie, że był strasznie szczery i niewymowny. Jak też częstował, to choćby koszulę zdjąć, a uczcić jak wypada, nikomu zaś, co prosił w kumy albo na wesele, niech Bóg broni, nie wymówił się, i wtedy choćby przyszło przedać ostatnią krowę, to przedał, aby tylko przed ludźmi pokazać się i nie dać się nikomu, choćby największemu bogaczowi zakasować.

Pawłowa była taka sama kubek w kubek jak Paweł, jakby się znaleźli z sobą w korcu maku. Na przednowiu u Pawła rzadka mina, nie weselsza i u Pawłowej; Paweł wzdycha i smuci się, Pawłowa łzy opaską ociera; Paweł przyciąga pasa, Pawłowa robi się coraz smaglejsza, żeby ją w stanie prawie biczem przeciął.

Z nowego zaś Paweł robi się miniasty i Pawłowej w drogę nie wchodź; Paweł popuszcza pasa, Pawłowa zapaski; Paweł pośpiewuje, Pawłowa podryga; Paweł śmieje się i rozprawia, Pawłowa całuje się ze wszystkiemi i tak pytluje językiem, że aż na końcu wsi się oglądają.

Więc ma się rozumieć, że Paweł choć rąk do pracy nie żałował, choć uczciwie jak wypada odrobił pożyczkę i u siebie w gospodarstwie obrobił się wczas i dobrze, jednak jak przyszło oddać zboże pożyczone na przednowku, prowizyą, tu pięć dutków, tam cwancygiera na sól pożoczone, tu znowu na chrzcinach stracić z kilka cwancygierów, na weselu z kilkanaście, to wnet zbiór cały rozleciał się po świecie, że Pawłowie prawie się nie obejrzeli, a tu pusto w stodole. Ale raz w jednym roku, jakoś czwartego po pobraniu się Pawłów, w środku zapust tak wypadło, że już przednowek zajrzał do ich chałupy.

Pawłowa wię strasznie się zafrasowała, co zobaczywszy Paweł, rzekł:

— No, no, nie frasuj się moje dziecko, trochę się zarobi, trochę pożyczy, i załata się to jakoś.

— No, ja wiem —' odpowiedziała żona — jednak tyle było zboża, i gdzie się to podziało? Inni mają mniejszy zbiór, albo całkiem są na wyrobku, a jednak u nich nigdy ni chleba, ni grosza nie brakuje. My przecież pracujemy, staramy się, w gorzałkę się nie wdajemy, a równie się nie możemy biedzie ogonić; człowiek jeżeli się bawi, to poczciwie, z przyjaciółmi, a do karczmy, to przecieć tylko zachodzimy przy jakiej okazyi. Powiedz mi więc, mój kochany, co to znaczy, że nie możemy i nie możemy z biedy się wygramolić?

— Co znaczy? — odrzekł Paweł, wzdychając i podnosząc ramiona — moje dziecko, nie ma szczęścia i juźcić, nam się nic nie szykuje.

— Oj, prawda, prawda, czy to urzeczenie ludzkie, czy co?

— Urzeczenie, moje dziecko, urzeczenie, ale wiesz co? Walkowie prosili nas na wesele, wymówić się jakoś nie wypada, bo by ludzie powiedzieli, że nas nie stać. Wreszcie, moje dziecko, przy naszych frasunkach, to dobrze że się człowiek choć troszkę zabawi.

— Bogać ta nie dobrze — odrzekła na to wzdychając Pawłowa — ale w doma nie ma ani grosza, a ostatnią ćwiartkę zboża zaniosłam do młyna. Na weselu zaś, jakże tu być bez pieniędzy?

— To zróbmy tak, moja Jaguś, sprzedajmy wieprzka, a z pieniędzy co za niego weźmiemy, kupiemy jakiego prosiaka, to sobie pomału znowu z prosiaka wieprzka uchowamy. Będzie więc za co być na weselu, i jeszcze na kupienie żyta na chleb zostanie.

— Dobrze to mój kochany — odrzekła Pawłowa — ale ja tego wieprzka chowałam na krowę, bo nasza wiśniocha straszne chorzysko i nic nie chce dawać mleka; więc jakby się do niej mało wiele dołożyło, to byłaby i krowa.

— To zaraz z wiosny i wiśniochę przedajmy — odrzekł Paweł — a jak kupiemy prosiaka teraz, to przez lato wyrośnie, i jak pieniądze za niego i za wiśniochę złożymy, to będzie i krowa. A widzisz, moje dziecko, wypada być na weselu u Walków, i żyta także na chleb trzeba kupić.

— No, ani gadania, więc wieprzka trzeba na jarmark popędzić.

— A juścić, a juścić — odrzekł Paweł — i z tej radości, że sobie tak mądrze poradzili, i będą mieli za co poweselić się, Paweł przekręcił czapki na bakier i przytupnąwszy zaśpiewał przed żoną, jakby przed grajkiem:

Podkóweczką brzdęk,
A pasikiem szczęk!
Oj! Jagusieczko kochana,
Kieby kwiatuszek cacana,
Podkóweczki brzdęk,
A pasiczek szczęk.

Jak Pawłowie uradzili z wieprzkiem, tak też i zrobili. Sprzedali go coś za dziesięć reńskich, z tego dwa stracili na weselu, a za resztę kupili żyta, gęś i prosiaka. Żyto, ma się rozumieć, zjedli i jeszcze się zapożyczyli, gęś wysiedziała im dwanaście gąsiąt, a prosiak rósł jak na dziwo. Cieszyli się więc Pawłowie, bo tego roku przednowek nie tak im dokuczył, jak innych lat, a przytem za gęsi i wieprzka spodziewali się Bóg wie jakich pieniędzy.

Z wiosny więc, że trzeba było grosza na to i na owo, przedali wiśniochę, ale nie od razu, tylko byli coś ze sześć razy na jarmarku, bo zawsze zdawało im się, że mało za nią dają. Wzięte pieniądze Pawłowa schowała do skrzynki, ale choć je dusiła, choć je kryła, co tydzień to ich ubywało, bo w gospodarstwie różne są potrzeby, a przytem brzuch to wielki dokucznik, nic nie pyta, woła o chleb i kwita. Żeby więc do reszty się nie rozeszły, Pawłowie przedali prosiaka, zapożyczyli się na gęsi coś pięć reńskich i z pieniądzmi temi dalej na jarmarki upatrywać krowę. Ale jakoś z kupnem nie zaczęło im się darzyć, jak powiadali, to raz było mało bydła, nie było więc w czem wybrać: to znowu ludzie z krowami bardzo się

drożyli, ale najczęściej nie mogli przyjść do zgody i zwykle o cwancygiera albo dwa, rozchodzili się i znów jechali na jarmark do innego miasteczka.

Przewłóczka jednak po świecie wiele kosztuje, tu kieliszek wódki, tam szklanka piwa, tu bułka, tam kawał kiełbasy, ot! idzie grosz za groszem, a niby nic, niby człowiek żadnego nie robi zbytku. To też Pawłowie choć nie zbytkowali, ale jak objechali sześć razy po jarmarkach, tak i poszło ze trzy reńskie a może i więcej, nie rachując i mitręgi i odrywania się od gospodarstwa.

— A to nieszczęście — mówił Paweł — widzisz Jagna, nie mówiłem, że to urzeczenie? a i wyraźne urzeczenie, bo już trzy razy rozeszliśmy się tylko o dwa cwancygiery, chociesmy się nabili w ręce, że aż mnie dłonie paliły. Jakże więc taki uparty człowiek, żeby dwa cwancygiery nie chciał ustąpić, czyż to nie urzeczenie?

— Jużcić urzeczenie — odrzekła Pawłowa — ale jutro na jarmarku trzeba będzie koniecznie kupić, i już tego cwancygiera albo dwa nałożyć, jak się będą duchem ludzie opierać.

— Nałożyć — mruknął Paweł — nietylko cwancygiera, ale jeszcze nawet grosza nigdzie nie znalazłem, więc łatwiej jemu ustąpić, jak nam nałożyć.

Na drugi owóż dzień, ponieważ do miasta było daleko, więc Pawłowie wybrali się z domu równo ze wschodem słońca.

Bydła było dosyć, więc jak Pawłowie upatrzyli sobie krowę, bardzo podobną do ich starej wiśniochy, zaraz zaczęli koło niej zachodzić, oglądać, wypytywać się, wreszcie targować i już, już mieli dobić targu, bo tylko szło o litkup, kiedy Pawłowa pociągnęła swego za rękaw, i rzekła:

— Paweł! słyszysz, nie nacieraj tak, odejdźwa trochę, to się pokalkuluje i litkup przyjmie na siebie.

Paweł posłuchał, bo każdy mąż, czy w chłopskim czy w pańskim stanie, to choć na żonę czasem fuknie i stuknie, równie robi to, co ona każe. Więc Paweł rzekł:

— Ha! mój gospodarzu, kiedy bowiem w takiej wielkiej summie nie chcecie przyjąć na siebie litkupu, to widać, że mi nie życzycie, więc zostańcie z Bogiem, i wy cieszcie się krową a ja pieniądzmi.

— Owszem, życzę mój gospodarzu, bo wiem co za bydlę przedaje, ale kiedyście tacy uparci i tak się o te kilka groszy ściskacie, to trudno, niewolić was nie będę.

Zaledwie Pawłowie odeszli parę kroków szepcząc coś do siebie, przystąpił do nich jakiś dworski, bo był w kapocie granatowej i z torbą borsuczą przez ramię przewieszoną. Jak go Pawłowie dojrzeli, z wielkiej radości zaśmiali się i zawołali:

— A witajcież kumeczku, witajcie, już rok minął, jakeśmy się z sobą nie widzieli. Jakże się macie, a wasza kobieta czy zdrowa, nasz chrześnik czy się ładno chowa? Dworski powitał się z Pawłami, i zaczęli się z sobą rozgadywać to o tem, to o owem, tak posuwali się coraz dalej i dalej, i wreszcie zaszli do szynku.

Zabrzęczały więc kieliszki, dwie kwaterki wódki tylko się mignęły; Paweł chciał dać trzecią, ale dworski wyprosił się, przyrzekając wracać z nimi i poprawić w karczmie na gościńcu. Wyszli więc na miasto, bo sobie przypomnieli na krowę, ale już jej nie było, że zaś oboje byli dobrze podochoceni, więc fantazyi nie stracili, a Paweł rzekł:

— Mnniejsza z tem, pojutrze wypada jarmark w Jarnikach, to sobie wybiorę nie takiego chyrlaka jak ta, cośmy ją targowali. Idź więc Jaguś na miasto, posprawiaj co wypada, a my z kumeczkiem wypijemy po szklance piwa, bom strasznie pragnący. Chodźmy kumie.

— Chodźmy, chodźmy — odrzekł dworski — a wy kumeczko nie bawcie się długo i wracajcie, bo z jechaniem nie ma się co ociągać, a radbym, żebyście mnie troszkę podwieźli.

— W te pędy, mój kumeczku — odezwała się ochotnie Pawłowa — wnet się sprawię, i zaraz jedziemy.

Zakręciła się więc Pawłowa, nakupiła garnków, kaszy, słoniny, kukiełek dla chrześnicy, bo jakoś przy zawróconej głowie

o ściskaniu grosza na piękne zapomniała, a gdy przechodziła koło sklepów kupiła sobie na dwie zapaski, swemu na koszulę i jeszcze na przekąskę z kumem po wódce, kawał gotowanej i wędzonej wieprzowiny. Takiego bowiem wielkiego przyjaciela wypada przyjąć i uczęstować, myślała sobie Pawłowa, a choć pójdzie na to kilka groszy, to fraszka, bo aby Pan Bóg dał zdrowie to się jeszcze nie jeden reński zarobi. Kum wreszcie zawsze był dla nas szczery, to i nam wypada pokazać, że się ma dla niego przychylność i kumowskie poszanowanie. Kupiłam garnków, bo już na Boga żywego nie miałam w czem gotować, co mi się tak wytłukły: kupiłam kaszy, omasty, na zapaski i na koszulę, to nie ze zbytku, tylko z potrzeby; a choć urwało się coś grosza z pieniędzy na krowę, to tam jakoś zaradzi się temu, a przecieć trudno mrzyć od głodu, albo świecić pomiędzy ludźmi gołemi plecami.

I tak sobie wszystko rozważywszy, Pawłowa weszła do szynku wtedy właśnie, kiedy Paweł śpiewał:

Oj! da da da dana dana,
Oj! Jagusiu, oj! kochana,
Oj! da da da dyna dyna,
Ja parobczak, ty dziewczyna.

Więc Pawłowa nuż w pląsy przed swoim, i wziąwszy, się za spodnicę palcami, zaczęła podrygiwać, wysuwać nogami to w wprawo, to w lewo, przytupywać, a dworski się uśmiechał i pokręcał głową za śpiewaniem.

— Tak, mój kumeczku — odezwała się Pawłowa, gdy tańca zaprzestała — kiedy się zejdą z dobrym przyjacielem, to mi się serce tak weseli, jakby w największej radości. Nuże, kumeczku, wieprzowiny, jedzcie, jedzcie.

— Bóg zapłać — odrzekł dworski już dobrze napiły — wy poczciwi... dobrzy ludzie, to bym dał ostatnią koszulę... ale Kubasowie... ho, ho, to nie tacy...

— Nie mam ja żadnej dla nich przyjaźni.

— Ani ja — mruknął Paweł, i obracając się do szynkarki, zawołał: — Pani, pani! daj-no pani kwaterkę wódki.

— Nie, kumowie, nie — odezwał się dworski — dobra wasza, dobra i moja...to ja każę dać... pani! kwatarkę...

— Nie, nie, mój kumie, i to nasza — odezwali się oboje Pawłowie — i nuż sprzeczać się, nuż molestować, aż wreszcie stanęło na tem, że teraz zapłacą Pawłowie, a na Pohulance w karczmie, przy zjeździe z gościńca na boczną drogę, dworski ich uczęstuje, i każdy ruszy w swoją stronę. Posiedziawszy więc jeszcze w szynku dobry kawał czasu, wyszli nareszcie naprzód Paweł z kumem na dobrze chwiejących się nogach, a za nimi z koszem w ręku Pawłowa, z przekręconą chustką na głowie, i z czerwoną jak burak twarzą.

Dwie szkapy w wozie, bo się Paweł sprzęgał, biedactwa, że strach było na nie spojrzeć, aż zarżały radośnie pomiarkowawszy, że gospodarze ich zabierają się do domu. Podniosły łby, jakby chciały dojrzeć, czy im czasem nie niosą siana, albo jakiej obroczyny, ale poczuwszy, że z gołemi wracają rękoma, kasztan Pawłów kiwnął łbem parę razy, jakby z żalu że prawie o głodzie przestał pół dnia, i o głodzie wracać musi do domu, i ruszył wozem kilka kroków.

— Prru, prru! a przeciać mnie z sobą zabierzcie, bójcie się Boga nie zapominajcie o mnie — zawołał Paweł, myśląc w swojem zapruszeniu głowy, że go kompanija jego odjeżdża. Zobaczywszy jednak, że to same konie ruszyły, podsunął się ku nim, szarpnął uzdami i nuż smagać biczem po łbach, po szyjach, gdzie trafił. Pawłowa tymczasem usadowiła się na pośladku, w nogach postawiła garnki, ponasypywała w nie kaszy, włożyła słoninę i inne pokupowane rzeczy, kuma posadziła koło siebie, a na przodku siadła jakaś kobieta, plecami do Pawła obrócona, który jak się tylko na wóz wgramolił, rypnął batem konie, że aż biedaki stęknęły, i zaczęły się tyrtolić po bruku, rozprawiając z sobą głośno, jakby o sto mil siedziało jedno od drugiego.

Co się dalej z tego zrobiło, opowiem wam w następnym numerze.

Obrona miasteczka Rudnika.

Walek Ostry był sobie gospodarzem koło Jarosławia, nie lubił się upijać, ani bijatyki zaczynać, ani się z nikim swarzyć. Dla sąsiada i drugiego człeka byłby dał z piersi serce swoje, gdyby go można wydobyć i pokrajać. Lubił wiele gadać o wojnie, o królach dawnych, o cudownych obrazach Pana Jezusa i Matki Najświętszej, o dawnych ludziach, co to inaczej żyli i robili, jak my dziś.

Miał Walek w komorze schowany rzezak od pradziadka swego, a o tym rzezaku lubiał najwalniej gadać co święto koło chałupy, gdy się ludziska zeszli i usiedli na kłodach koło domu, albo też na płocie. Otóż wiedział on od ojca swego Jana, a Jan od swego Ojca Jakóba, a Jakób od Antka, co to za historja była z tym rzezakiem. Boć to ze dwieście lat już temu, jak to żelazo wisiało u niego w komorze.

Raz też zeszli się ludzie do Walentego w Niedzielę pod wieczór, i dalejże go nagabywać o jaką historję. Usiadł sobie Ostry na progu od chaty i jął im bajać o rzezaku:

— Oj, dawno to, dawno, kiedy się z naszym królem polskim powadził inny król, ale to jakiś niedobry człek, bo ani się nie spowiadał nigdy, ani na mszy nie bywał, ani nie wierzył w Matkę Boską i we wszystkich Świętych. Ludziska też jego tacy sami byli, a do tego przepadali za gorzałką.

Otóż jak się z sobą coś poprzemawiali ci królowie, zaraz też przyleciał z wojskiem ten król, a zwał się Szwedem, do naszej Polski, i wygrał z początku. Nasz król przegrał, i wyjechał zbierać żołnierzy na wojnę niesłychaną.

— Toć ta może i z naszej wsi pobierali rekruta? — zapytał jeden z parobków, co się przysłuchiwali.

— A jakże! pleć pleciugo! — odparł Walenty — wtedy nie szli tak chłopy na wojnę, jak dziś, wtedy tylko sami panowie z dworów jechali na koniach na wojnę bić się za nas i za cały kraj. Owóż zanim się ci panowie zjechali, to Szwed palił po wsiach kościoły, brał dzwony i lał z nich harmaty, brał

poświęcane kielichy od mszy i robił z nich pieniądze, a chustami kościelnemi nakrywał sobie konie w stajni, i nawet korale i wstążki zdzierał z obrazów Matki Bożej, a krzyż święty deptał nogami.

— A to poganin, niewiara! — zawołali ludzie jak jeden.

— Trafiło się otóż — ciągnął dalej Walenty — że wojsko szwedzkie zalazło przez Wisłę aż do miasteczka Rudnika, co to leży o jakie dwie mile od cudownego miejsca w Leżajsku, na piaskach między lasami. Zaraz też uciekli mieszczanie biedni, bo cóż było począć z takiemi niewiarami i bezbożnikami? Ani to się nie żegnało nigdy, ani czapki nie zdjęło przed męką Pańską, ani nie zmówiło nigdy pacierza świętego, ani nie pochwaliło Pana Jezusa, a szwargotało tak, jak wróble na wierzbie, kiedy się wieczór robi. Rozlecieli się biedni mieszczanie po lasach, pochowali żony i dzieci po gęstwinach, a sami pobiegli do wszystkich wsi na około prosić o pomoc i pożywienie dla dzieci, co w jednej koszuli po lasach siedziały. A jakże tu nie ratować ludzi, i kościoła Bożego, i miasteczka? Wszak Pan Jezus każe, aby jeden drugiego w każdej biedzie poratował. I grzech ma śmiertelny, kto nie poratuje bliźniego!

— A już-ci; szczera prawda, jak Bóg na niebie — przerwał sąsiad Walentego, stary już gospodarz.

Walenty odsapnął i bajał dalej:

— Jeden śmiały mieszczanin Jan Korba, pobieżał duchem aż do Rzeszowa; a drugi Sobek Znajacz, zaleciał aż pod Jarosław, a wszędzie płakali i wołali gwałtu, wszędzie płakali i na Boga zaklinali, aby ludzie poszli na ratunek. Otóż pradziadek mój Antoni słyszeli te krzyki, widzieli łzy tego mieszczanina z Rudnika; i wezwali sami całą wieś, aby co kto miał w chałupie, brał i leciał ratować miasto od Szweda. I poszli wszyscy Rusini od Jarosławia z siekierami, cepami, i z czem kto miał, a zabierali ludzi jeszcze po drodze. W Leżajsku wyspowiadali się, leżeli krzyżem przed cudownym obrazem i zalecieli drugiego dnia do owych lasów, gdzie siedziały ukryte żony i dzieci mieszczańskie. Przodem szedł zawsze Antoni, boć był pierwszy na wsi i do tańca i do różańca. A trzymali pradziadek w ręce rzezak nowy, co go kupili w Jarosławiu. Od Rzeszowa przy-

biegli znowu Mazury z drągami i pałkami, i było ich tam jakby wojsko jakie. Wszyscy razem uklękli w lesie, złożyli ręce i zmówili pacierz do Matki Najświętszej, a wezwawszy pomocy św. Antoniego, poszli bić Szweda, co sobie leżał spokojnie podpity i obżarty, bo lubiał jeść kaszę ze skwarkami.

— Toć to pewnie ztąd nazywają ludzie *szwedami* skwarki ze słoniny — zawołał jeden z parobków.

— A już-ci że ztąd — odrzekł Walenty i opowiadał dalej:

— Kto zaczyna z Krzyżem świętym i idzie coś dobrego zrobić, temu Bóg błogosławi! Otóż Rusini i Mazury wypędzili Szweda hultaja aż po za San i Wisłę, uratowali kościół rudnicki, uratowali miasto, posprowadzali z lasów biedne matki z dziećmi do domów, pozganiali bydełko do obory i pozostali kilka dni w Rudniku, bo myśleli, że się Szwedy wrócą. Co tam było dziękowania od mieszczanów, to i trudno opowiedzieć. Kapłan przeżegnał ich krzyżem świętym i pokropił wodą na drogę; a owo nasi nie wzięli nic za to, ani szeląga ani włoska, bo woleli mieć zapłatę u Pana Jezusa za tak dobry uczynek. Zginął tam nie jeden chłop, ale dusza jego u Boga za to. A Antoni wrócili ślepi na jedno oko do domu, i przynieśli rzezak, którym przecinali Szwedów, jak głąbie kapuściane. Zawiesił on go w komorze, toć i ja go trzymam i opowiadam wam to, co on moim ojcom opowiadał.

Skończył Walenty i spojrzał po niebie, bo się coś chmurzyło.

— Hej, hej, miły Boże, inne to były czasy, a ludzie tęższi od nas — podumał sąsiad Walentego. — Skoro ich wróg przysiadł a bruździł po naszej ziemi, to go duchem wyrznęli i wyrzucili za granicę, że aż buty pogubił, kiedy padło uciekać.

— Oj, inne, inne, a teraz co? — ot kiepsko! — mruknął Walenty, machnął ręką i powstał z progu.

— Toć i my byśmy tak potrafili — odezwali się parobcy. — Alećbądźcie zdrowi Walenty, bo coś deszczyk pokrapuje, a dobry na kapustę. Dziękujemy za historję.

— Zostańcie z Bogiem! — pożegnał Walenty, i poszedł do izby dumać o lepszych czasach.

Ksiądz Wojciech z Medyki.

RÓŻNOŚCI.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Nie potrzeba wam mówić, jak to jest źle stawać pod wysokiemi drzewami podczas burzy, kiedy grzmi na niebie, niby to chroniąc się przed deszczem. Już ci lepiej jest zmoknąć do nitki, niźli szukać samochcąc nieszczęścia, żeby piorun człowieka na miejscu trupem położył. A owo nie dobrze jest także nieść w czasie burzy kosy, sierpy, albo też inne żelaziwo przy sobie, bo to ściąga pioruny. Aleć ludzie jedni albo nie wiedzą o tych przestrogach, a inni nie dbają na to, mówiąc: Co mi tam będzie!

Jak to źle nie zważać na dobre rady, niech was nauczy ten wypadek, co się przytrafił tego lata nie u nas wprawdzie, ale zawsze na polskiej ziemi, choć za Wisłą:

Owoż zerwała się wielka burza, tak, że żniwiarze, co robili w polu, musieli duchem uciekać. Deszcz lał jak z cebra, grzmiało straszliwie, a nawet słychać było, jak pioruny biły stronami. Kiedy żniwiarze odbieżeli wszystkiego na zagonach, tak-ci jedna dziewucha zabrała kilkanaście sierpów na siebie, i ucieka także za innemi. Dziedzic tej wsi, co był wtedy konno w polu, ujrzał ją z daleka, a bojąc się jakowego nieszczęścia, wołał, żeby sierpy rzuciła, albo też okryła płachtą, czy fartuchem. Dziewucha czy nie zrozumiała, czy nie dosłyszała, to nie wiadomo; dosyć że nie rzuciła sierpów, jeno biegnie dalej. Dziedzic przyspieszył konia, żeby ją raz jeszcze ostrzedz, aleć już było za póżno. Właśnie kiedy dojeżdżał, uderzył piorun w sierpy, dziewuchę zabił na miejscu, a tych co szli z nią razem, ogłuszył i powalił na ziemię.

Widzicie z tego, jak trzeba baczyć na siebie w każdej chwili, bo człowieka i na gładkiej drodze nieszczęście spotkać może. Dobrze to mówi stara gadka: *Strzeżonego Pan Bóg strzeże.*

Dawne przysłowia i przypowieści.

Żyj, żyj i przy roli
Według Boskiej woli;
Żyjąc zaś przy glebie, jakbyś chciał żyć w niebie,
Będziesz i w potrzebie, jeszcze wciąż przy chlebie.

Do chleba i nieba, sta cnót człeku trzeba.

Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

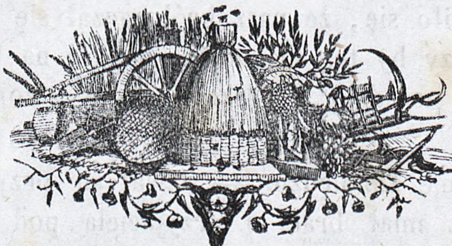
Tom III.



Nr. 17.

11. Grudnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Olbracht,

KRÓL POLSKI.

Po śmierci Kazimierza Jagiellończyka, obrali sobie Polacy za króla syna jego: Jana Olbrachta.

Nie długie były to rządy pod tym panem, i nie bardzo szczęśliwe dla naszej Polski. A to ztąd poszło, że Jan Olbracht wziął sobie za przyjaciela jednego cudzoziemca, i tego we wszystkiem słuchał; choć to jak Bóg Bogiem, nigdy cudzoziemiec nie potrafi zgadnąć, coby trzeba zrobić, aby dla nas było lepiej. Tak też trafiło się i za onych czasów.

Na południe od nas, w sąsiedztwie Węgrów a owego kraju, gdzie Turcy mieszkają, jest ziemia zwana Wołoską, czyli Multany. Ludzie w tej ziemi, Wołochy, rządzili się z dawien dawna sami, i mieli sobie swojego pana, co go zwali *hospodarem.* Kraj to piękny i urodzajny, aleć wtedy był jeszcze dosyć dziki, i nieraz tam Turcy Wołochom bruździli, bo tak się to zwykle na świecie wydarza: kto mocniejszy, to słabszego grabi i w

pierze mu porosnąć nie da, choć to krzywda, i Pan Bóg takiej sprawie nie błogosławi.

Owóż trafiło się, że nasz król zaczął się radzić ze swoim przyjacielem, czy by też nie można napaść na Wołochów; jako że chciał tam posadzić młodszego brata swojego, Zygmunta, na księcia.

— A to nie źle będzie — ozwał się przyjaciel królewski — bo będziesz miał brata i przyjaciela pod ręką na innych wrogów ojczyzny.

Aliści nie oglądnął się nasz król na to, że napaść na cudzą ziemię i dać ją drugiemu, to tyle znaczy, co kradzież albo rabunek. Bo Pan Bóg chce, żeby każdy siedział, gdzie On go posadził, i rządził się tam według własnej woli, a drugiego nie napastował.

Jakoż nie przyszło to na myśl Olbrachtowi, więc rozesłał ludzi po całej Polsce, żeby się wszystko co żyje, gotowało do ogromnej wojny z Wołochami. Nie za długo też zebrało się wojsko pode Lwowem, a była tego wielka siła, bo aż ośmdziesiąt tysięcy.

Skoro się o tem dowiedział hospodar wołoski Stefan, takci zaraz wysłał kilku ludzi do naszego króla, i prosił, żeby też król nie szedł na Wołochów swoich braci chrześcijanów, a lepiej uderzył na poganina Turka. I po słuszności prosił o to hospodar; ale zapamiętały Olbracht nie chciał tego ani słuchać, jeno ruszył z całem wojskiem do Multan.

Tak więc szli nasi górami, i szli lasami, aż wreszcie stanęli na Wołoszczyźnie. Wołochy, jako że naród mały, nie mieli zkąd postawić takiego wielkiego wojska, coby się z naszymi do bitwy zabrało; więc też nie stawali naszym w drodze, jeno uciekali w niedostępne góry i niezmierne lasy.

Tym-ci gorzej było to dla polskiego wojska. Wołochy zbierali się po lasach po kilkanaście i kilkadziesiąt chłopa, i z poza drzew albo krzaków strzelali na naszych wojowników; a jak nasi chcieli uderzyć na ową garstkę nieprzyjaciela: oho, to jeno się migło, i szukaj-że ich po ogromnym lesie!

Takim to skrytym sposobem trapili Wołosi nasze wojsko. Jakoż zginęło marnie siła Polaków, a owym nic nie było, bo się zawsze na czas schowali. Ha zobaczył Olbrach po niewczasie, że nie da rady, więc też pogodził się ze Stefanem i kazał nawracać do domu.

Były z tamtąd dwie drogi do polskiej ziemi: jedna polami, dobra i równa, ale zato długa, zaś druga o wiele krótsza, przez niezmierne lasy bukowe, co się zwały *Bukowina.* Spieszno było naszym do domu, jakoż nie namyślali się długo, jeno ruszyli na lasy.

Jadą nasi i jadą, a Pana Boga chwalą, że choć tylko na tem się skończyło. Wjechali wreszcie do lasu, jadą lasem, aż tu nagle zaczęły się walić na nich buki, drzewa rosłe i ciężkie. Zrobił się okropny krzyk i lament; a tu drzewa się walą, gnietą ludzi i koni jak mrówki, a z za drzew wyskakują Wołochy i dobijają resztę, co żywe. Po niewczasie spostrzegli się nasi, że to zdrada, bo Wołochy popodcinali drzewa w lesie nad drogą, a potem zaczęli obalać na wojsko. Nie było sposobu bronić się w gęstwinie, jakoż kto tylko mógł, to uciekał i ratował życie.

Oj, zginęło tam siła naszych taką haniebną śmiercią: Młode i tęgie chłopy, a że to wtedy jeno sama szlachta chodziła na wojnę, więc sobie ludzie spiewali potem:

Za króla Olbrachta
Wyginęła szlachta.

Zasmucił się król strasznie tą wojną, bo mu każdy jeno wyrzucał, co się tyle złego narobiło; a wszystko to była kara Boża na niego, że chciał bez niejakiej przyczyny wojować Wołochów. Jakoż zaczął Olbracht pić na ten frasunek, a po ośmiu latach całego panowania rozchorzał się, i umarł w tym żalu i smutku.

ZIMA.

Hej nago, chłodno,
I nic już nie ma.
Mroźna pogoda,
Nadeszła zima.

Jak brylantowe
Drzewa się świecą,
Pyłki srebrzyste
W powietrzu lecą.

Zamarzły wody,
Białe zagony,
Po drodze głodne
Włóczą się wrony.

Śniegi ubite
Pod nogą skrzypią;
A wiatry szczypią
Lice odkryte.

Więc się na komin
Drzewa nakłada
I z starą księgą
Przed ogniem siada.

T. L.

Jakim sposobem Mruwiak przyszedł po rozum do głowy?

Owóż co się dalej z Mruwiakami stało.

Skoro się z kumą i ze znajomą kobietą wygramolili z miasta, tak potem podyrdali gościńcem i nie oparli się, aż w pierwszej karczmie. Napiwszy się piwa, bo już do wódki jakoś nie mieli ochoty, z fantazyą, ze śpiewaniem, ruszyli dalej w drogę, ale że szkapska strasznie były zbiedzone, więc wlekły się jakby nie na swoich nogach. Mruwiak gniewał się, wykręcał batem, szarpał lejcami, nawet już nie biczem, ale biczyskiem walił szkapy przy kłębie, że aż żebra chrobotały, ale wszystko to nie pomagało, i wóz wlókł się jak ze słomą. Pawłom wprawdzie jak i kumowi nic to nie zawadziło, bo jak półkwaterek w głowie, to język jak pytel, ale znajomej kobiecie trzeźwej zupełnie, strasznie zaczęło się markocić, i widać miarkując że na

piechotę prędzejby zaszła, pociągnęła Pawła za rękaw i rzekła z dąsaniem:

— Stańcie-no Pawle, bo zejdę z woza i pójdę piechotą.

— A wam co w głowie? siedźcie, kiedy wam dobrze.

— Ale, dobrze jak dobrze, ale jak się tak będziemy wlekli, to się i na jutro nie zawleczemy.

— A cóż to nie końmi jedziemy?

— Ej, jakie ta konie? — mruknęła kobieta, i zaczęła się gramolić do wyjścia, ale ją przytrzymała Pawłowa i rzekła:

— Moiściewy kochani, zostańcie, zostańcie, Paweł przyspieszy.

— Ale, przyspieszy nie wiem czem.

— Co nie przyspieszę? — odrzekł Paweł wykręcając biczem — czekajcie, tylko przyjdzie z góry.

— Tak, i wywalicie nas gdzie do rowu.

— Albo to prawda? cóż to? czy ja nie parobek? — i przy tych słowach zaczął śpiewać, a Pawłowa mu dopomagała; ale na inną nutę i innemi słowami.

Parobeczek ci ja,
I zgrabny i młody,
Bóg mi nie poskąpił,
Jak kwiatek urody.

Pawłowa zaś śpiewała:

Kozioł brodą trzęsie,
A koza podryga,
My jedziem śpiewając
Aż się w oczach miga.

— Oj, miga się, miga — wzdychając odezwała się kobieta — jak dzieciakowi w kolebce, co fajta nogami a zdaje mu się, że pędzi co tylko siły.

— Ot, już na górce jesteśmy, trzymajta się baby — zawołał w tej chwili Paweł, i dalej-że batem po szkapach. Wóz zaczął się spuszczać, a że góra dosyć była przykra, więc wkrótce i wóz i konie, bo orczyki tłukły je po nogach, zaczęły pędzić na złamanie karku.

— Jezus Marya! — zawołała kobieta z ogromnym przestrachem — Pawle! bójcie się Boga, ostrożnie.

— Nie bójcie się, nic wam nie będzie — odrzekł Paweł smagając konie i zaczął śpiewać: oj, da dana, dana, dana.

Pawłowa chąc się także ochotną okazać, i jakoś tem dodać śmiałości znajomej a ciągle krzyczącej z przestrachu sąsiadce również rozpoczęła śpiewanie, ale zaledwie wywiodła:

Hop, hop, po krakowsku,
Hu, ha! po.....

wóz nagle uderzył o kamień pośledniemi kołami, wybiegł na grębę, nachylił się, kobiety wrzasnęły, jakby je kto ze skóry obdzierał: Jezus, Marya! i w okamgnieniu wóz cały z garnkami, z kaszą, z końmi i ludźmi, wpadł w dół wybrany na glinę, co był pełny deszczowej wody, a porośnięty z drugiej strony kolącą tarniną.

— Hu, ha! — krzyczał Paweł, lecąc powietrzem do góry nogami wprost na tarninę, bo pijany nic nie pyta, wszystko mu po równości.

— Co ty Paweł wyrabiasz — wrzeszczała żona, i chlap w wodę. Za nią kum, a potem garnki z kaszą, że tylko plusło, stękło i chrobotnęło się. Kobietę zaś tak podrzuciło, że aż przeleciała w dół za tarninę, utknęła głową w piasku, potem przewróciła kozła jak małe dziecko, kiedy figluje na murawie, i zaczęła wrzeszczeć z całego gardła:

— Aj, dali też chleba, dali, dali, a prosiłam, a mówiłam, a mój Jezu kochany! a moje garnki!

— Jaguś, a kajżeś ty — gramoląc się, mruczał Paweł — pomóż no, bo ta tarnina tak mi się w kudłach na łbie poplątała, że sobie nijakiej nie mogę dać rady.

— O, dla Boga, o Jezus! — wrzeszczała Pawłowa — ratujta, bo kum mnie chyba uduszą. A ruszcież się przecie, czyście nie żywi?

— A kiedy wstać nie mogę — mruknął dworski, siedząc na plecach Pawłowej jak na stołku — co ruszę nogami, to mi się w glinie obślizgują. Kumie! poratujcie.

— Ale, poratujcie — odrzekł na to Mruwiak — kiedy tarnina tak mnie za łeb trzyma, że ani troszkę nie chce popuścić.

— Namknijcie się kumie — stękała Pawłowa — już tchu złapać nie mogę.

— A na którą stronę mam się namknąć? — wybełkotał ledwo dworski, zawsze siedząc na plecach Pawłowej — kiedy w kolu̇sko woda.

— Czyście wy oszaleli, czy co? — wysapała Pawłowa — siadł se jak na ławie, i kontent, że mu sucho, kiedy ja po pas ubabrana w kałuży. Namknijcie się, bo wam naklnę, i powiem jakie przykre słowo.

— Klnijcie, nie klnijcie, to mnie wszystko wraz, a ja co się nie namknę, to się nie umknę, co mi za niewola!

— Pawle! a chodź-no tu do tego pijaka.

— Co, ja pijak? ja pijak? — wrzasnął dworski z największą złością — to ty pijak, ty pijak — i przy tych słowach, myśląc, że siedzi około stołu, bęcnął pięścią w plecy Pawłowej.

— A jaj, a jaj! Jezus, Marya! — zaczęła wrzeszczeć Pawłowa — kto żyje, niech ratuje, bo ten pijak zabije mnie, Pawle, Pawle!

— Zaraz, zaraz, jużem z jednej strony oderwał czuprynę, poczekaj, wnet się sprawię.

I gdy znajoma Pawłów płacze nad garnkami, Paweł wydziera czuprynę z tarniny, a Pawłowa wrzeszczy w niebogłosy, dworski ciągle bęca ją po plecach i mówi: — ja nie pijak, nie pijak, po co mnie ma kto taką rzecz zadawać? Ja nie pijak. Że zaś wszyscy troje tęgo byli spici, więc pewno nie daliby sobie rady, ale gdy zaczęli się kłócić i wywodzić na siebie różne wymysły, a Pawłowa coraz chrapliwiej krzyczeć, jakby ją co dławiło, tak podniosła się sąsiada Pawłów, dworskiego wywlekła na grębę, Pawłowę dźwignęła, a Pawła wymotała z tarniny. Jak tylko Paweł poczuł się na nogach, naraz obcesem ruszył na kuma, i pewno przyszłoby do bitwy, bo Paweł aże dygotał ze złości, ale na szczęście, przy samym dworskim kiedy go chciał złapać za czuprynę, zawadził o kamień, brzdęknął jak długi, i leżąc zaczął dopiero wybijać nogami i wytrząsać pięściami, niby z odgróżkami na kuma.

A tu zaczęło się ciemnić, chmury na niebie zachodziły, tak kobiety widząc, że sobie z pijanymi żadnej nie mogą dać rady,

jak nie uderzą w płacz i lamentacye, to aż się po rosie zaczęło rozlegać na wszystkie strony.

Na szczęście niedaleko dworscy parobcy paśli woły. Usłyszawszy więc płacz ludzki w odludnem polu, przyszli, wóz wywlekli na drogę, powsadzali pijanych, i Mruwiak na pół spiący, podrapany, pokrwawiony, ruszył dalej, ale już nie z fantazją i nie z rezonem. Rozgadek zatem na wozie nie było żadnych, dworski chrapał jak pod pierzyną, a Pawłowie coś najprzód pomrukiwali do siebie, a potem pozwieszali głowy i pousypiali.

Sama więc owa sąsiada, jako trzeźwa, doprowadziła wóz do domu wzdychając ciągle za garnkami, z których skorupy pozostały w polu. —

Na drugi dzień po owem nieszczęściu, było już słonko wysoko, kiedy się Mruwiakowie popodnosili z posłania. Wyglądali oboje jak nie Boskie stworzenia: Paweł był pokrwawiony, zapuchnięty, a Pawłowa unurzana w błocie i oboje trzymali się za głowy.

— Jaguś — odezwał się pierwszy Paweł — a chodź-no moje dziecko, bo nie wiem czy urok, czy jakie nasłanie, dosyć że cosić mi oczy zasłoniło i mało co widzę.

— Daj mi ta pokój — odrzekła Pawłowa — ja ledwo ruszać się mogę, co mnie tak kum zgnietli i nabęcali się po plecach, kiedyśmy się przewrócili.

— A to czyste urzeczenie — odezwał się znowu Paweł — włosisków z głowy cosić mi nadarło, pokrwawiło, podrapało, jakby ta w największej bijatyce.

— Oj, bijatyka to była, bijatyka — jęknęła Pawłowa — ale w rowie do góry nogami, kiedy nas przewróciłeś.

— O! i z tego by?

— A i z czegóż innego?

— No, no — pokręcając głową mruknął Paweł — urzeczenie i jużcić.

I byłby Paweł dalej wywodził narzekania na urzeczenie, ale w tej chwili Pawłowa obszukując ciągle koło siebie, krzyknęła wielkim głosem, trzymając w ręku próżną chustkę, w której miała zawiązane pieniądze:

— Jezus, Marya! pieniądze nam zginęły!

Paweł skoczył jak oparzony, i dalej krentu wentu, to po kieszeniach, to po izbie, wybiegł i na dwór, przeszukał słomę na wozie, przerzucił wszystkie rupiecie, ale nigdzie pieniędzy ani śladu; przepadły jak kamień w wodę. Ruszył potem do miejsca gdzie się przewrócili, ale zastał tylko garnki potłuczone, rozsypaną kaszę, troszkę słomy rozbabranej błotem, troszkę włosów z własnej czupryny na tarninie, ale z pieniędzy ani grosiczka. Nuż więc Pawłowa lamentować, rwać włosy na głowie, bić pięściami, a Paweł wzdychać i skrobać się po głowie. Ale wszystko to nic nie nadało. Więc jak też w zmartwieniu troszkę się pospokoili, jak Pawłowa nie zacznie po Pawle z językiem jechać, i wydziwiać i wymawiać, i wykrzykiwać; jak znów Paweł, gdy mu brakło cierpliwości, nie zacznie się odgryzać; tak od słów poszło naprzód do odgróżek, potem do wytrząsania pięści, a w końcu zerwał się Paweł, chwycił za maglownicę i zamierzywszy się, już miał lunąć żonę przez głowę, nie pytając że może ją okaleczyć albo nawet zabić, lecz na szczęście otworzyły się drzwi i wszedł brat starszy Mruwiaka, Stanisław, bardzo uczciwy i spokojny człowiek, a służący we dworze za polowego. Paweł więc odrzucił maglownicę, zaczął sapać a Pawłowa załamując ręce poskoczyła do Stanisława, wołając:

— Bóg was zesłał mój bracie, a dyć ten pijaczysko chciał mnie zabić, nie dajcie mnie, nie dajcie.

— A tu co się dzieje? — zapytał zadziwiony Stanisław — Ty bracie pokaleczony, zapuchnięty, rozmamrany, wy znowu siostro zawalani błotem, co to wszystko znaczy?

Z płaczem, lamentem i krzykiem, Pawłowa wszystko opowiedziała bratu, a gdy wywiodła sprawę o zgubione pieniądze, i że z tego przyszło do wielkiej zwady, bo jedno na drugie zgubę składało, tak Stanisław wysłuchawszy wszystkiego cierpliwie, rzekł:

— Moi kochani, oboješcie winni, a więcej brat jak wy siostro, bo brat jest chłop, a wy przecie białogłowa, toć i zawsze więcej od was powinien mieć rozumu. Jużem

wam dawno mówił, że należy wam się ustatkować, nie latać po chrzcinach, po weselach i jarmarkach; ale siedzieć w domu i pilnować roboty, bo gospodarz na dorobku powinien na drągu sypiać a szydłem jeść kaszę.

— Ej, mój bracie — odrzekł na to Paweł — inni lepiej se we wszystkiem jak my pozwalają, a również niczego im nie brak, a ja czego się chwycę, to mi wszystko nie idzie za ręką.

— Mój bracie, według stawu powinna być grobla. Kogo stać, niech sobie wygody nie żałuje, bo człowiek nie na to zabiega i pracuje, żeby zbierał i tylko grosz dusił, ale żeby go miał na wszelki ratunek w jakim wypadku, i żeby mógł coraz lepiej i wygodniej żyć na świecie. Kogo więc stać, niech sobie nie żałuje ani zabawy ani poczciwego dojadku aby tylko z rozumem i z poszanowaniem daru Bożego. Kogo nie stać i kto na dorobku, niech oszczędza, w zabawy niech się bardzo nie wdaje, a brzuch niech ściąga pasem, bo on łatwy do rozbrykania.

— Oj, nie brykam ja tam z moim, nie brykam — mruknął Paweł z westchnieniem — a na przednowku to mną wiatr tak wieje jak osieczyną.

— I temu samiście winni, bo jak z nowego, to se niczego nie żałujecie a tu trzeba dzielić po równości, żeby wystarczyło na cały rok, i jeszcze żeby na jaką biedę zostało.

— Ej, co ta bajecie — odrzekł na to troszkę z gniewem Paweł — przecieć nie hultaję, w karczmie nie przepijam, a że ta czasem człowiek zabawi się z przyjacielem, toć i wy nie święci mój bracie. Gadajcie wy swoje, a ja będę zawsze swoje, że co mi się tak nie wiedzie, i co rok to gorsza bieda, a teraz to już chyba wypadnie rzucić gospodarstwo, wychodzi z niczego innego, tylko z urzeczenia ludzkiego i jużci.

— Z urzeczenia, z urzeczenia — dołożyła Pawłowa, i nuż wzdychać i kręcić głową.

— Ej, gadacie tak — odezwał się na to Stanisław — bo wam tak wypada, żeby choć tem zasłonić się przed ludźmi i przed sobą. Ale mój bracie, powiem ci po przyjaźni, że już mało takich głupich na świecie, coby w urzeczenie wierzyli.

— A więc cóż takiego? — zapytali oboje Pawłowie — cóż takiego? gadajcie.

— Co takiego? oto nierząd i bałamuctwo za domem.

— Nie bajcie, nie bajcie — odrzekli z gniewem Pawłowie — że się pojedzie na jarmark po interesie, albo usłuży czasem ludziom w kumy lub przy weselu, to przecieć na to tysiąców się nie traci.

— Mój bracie, ziarnko do ziarnka zbierze się miarka, grosz do grosza będzie ewancygier. Tak też i z wami, na raz wiele nie wydajecie, ale choć po trochu, to często. Na ten przykład w tym roku od nowego, byliście coś z ośm razy na jarmarku, porachować mitręgę waszą i bydlęcia, i z tem co stracicie w mieście, to już najmniej jedno bycie wypada liczyć na reńskiego. To razem czyni ośm reńskich. Byliście przytem pięć razy w kumy i na weselach, to wam zjadło czasu najmniej piętnaście dni, więc rachować choćby z wydatkiem po ewancygierze dzień, to uczyni pięć reńskich, a ośm to trzynaście.

— Ej, mój bracie — mruknął Paweł — ale mu nie dał mówić Stanisław, i zaraz rzekł:

— Nie przerywajcie, niech skończę, potem wy mówić będziecie. Więc trzynaście reńskich najmniej mieliście w tym roku straty, nie licząc w to zguby pieniędzy na wczorajszym jarmarku. Jeżeli jeszcze zważycie, że jak gospodarza nie ma w domu, to zawsze prędsza szkoda, bo wtedy nie tylko człowiek, ale i zwierz jakoś śmielszy; że przy takiem gospodarstwie zapożyczaliście się zawsze na przednowku, i płaciliście w dubelt prowizyą: to na pewniaka strata przez taką bałamutkę w prowizyi i w szkodzie domowej, drugie tyle najmniej wyniosła, jeżeli nie więcej. Strata więc cała czyni ze trzydzieści reńskich, a że lat cztery, jak jesteście na gospodarstwie, więc summę tę dodajcie cztery razy, to uczyni razem stodwadzieścia reńskich w śrebrze. Patrzcie więc, coście to pieniędzy stracili? Gdyby były teraz, to by się pono przydały; a byłyby, żeby tylko więcej było statku i mądrego rozrachunku.

— Ej, mój bracie, tak gadacie do nas, jak do maluśkich dzieci, bo wszystko może być z prawdą waszą, ale w domu, to co człowiek może mieć za stratę?

— Jaką stratę? zaraz wam pokażę — i to rzekłszy Stanisław, usunął poły od kapoty i pokazał im gęsi nieżywe uwiązane za łby na sznurku.

— A to co? — zapytał.

— Co to? moje gęsi — wrzasnęła Pawłowa — a któż to mnie tak skrzywdził?

— Wasze bałamuctwo, bo jeździliście raz po raz na jarmarki, gęsi nie miał kto pilnować, więc chodziły w jęczmień Marcina, a że nie mógł im żadnym sposobem dać rady, bo co wygnał, to znów wlazły, tak zgniewał się, pozabijał i powiedział, że was jeszcze do wójta poskarży.

Co się po takiem powiedzeniu Stanisława działo w izbie, to łatwo każdy pomiarkuje, bo Mruwiakowie poznali, że przez jeden dzień stracili pieniądze wzięte za wiśniochę, i gęsi, i że teraz z całego gospodarstwa została im tylko ślepa włogawa szkapa, z której lada chwila kości będą się bielić w parowie. A tu jeszcze długów po uszy, i dwa tygodnie do nowego.

Piekła więc było w domu co niemiara, Pawłowa łamała ręce, zanosiła się płaczem i wrzeszczała jak opętana, a Paweł zwiesił głowę i milczał smutnie, jakby mu kto nogi poobcinał. Na taką w chałupie wrzawę zaczęli się schodzić ludzie ze wsi, ale jak się dowiedziano o co tu idzie, tak każdy potrząsł tylko głową, bo nie było jednego gospodarza, któremuby albo gęsi, albo koń lub krowa Pawłów nie weszły w szkodę, i odchodząc pomyślał sobie w duszy:

— Dobrze mu tak, bo teraz dopiero przyjdzie do rozumu i nauczy się, jak to należy szanować pracę ludzką. Jak poszedł cztery lata temu na gospodarstwo, to niczego mu nie brakowało, ale bałamuctwo zjadło wszystko, bo bałamuctwo chleba nie sporzy. Przez cztery lata weselił się i jarmarczył, niechże teraz trochę popłacze. Bieda choć boli, ale uczy rozumu.

I mieli ludzie racyą, bo gdy przed wieczorem Pawłowie cokolwiek się uspokoili, Paweł, co przez cały dzień myślał tylko o tem, jakby się w biedzie ratować, przysunął się do żony i rzekł:

— Moje dziecko, co się stało, to już trudno, temu nie poradzimy. Straciło się wszystko, cośmy mieli, ale Bóg zostawił

nam zdrowie, przy pomocy więc Boskiej dorobimy się chleba, aby tylko ochoty nie brakło do pracy i statku. Bo to, moje dziecko, jak teraz wymiarkowałem, nie urzeczenie żadne, że się nam tak nie poszykowało, ale nasze złe na wszystko patrzenie. Przez jarmark ostatni straciliśmy resztę, co było do ratunku; zabawiło się bo zabawiło...

— Ej, bogać ta się zabawiło — przerwała Pawłowa — ty wyglądasz jak jakie straszydło, a ja przez kuma pochrobotana, że ledwo się ruszam. Piękne mi zabawienie.

— No, no, moje dziecko, wyleczemy się i nawet śladu z tego nie zostanie, ale choć kości bolą, to przyszedłem do rozumu, bo poznałem, że częstowanie ludzi, niby ze szczerości, na nic się nie przyda. Ludzie zjedzą, wypiją, kiedy się ich prosi, a potem nieskorzy ratować, jak to teraz z nami się stało. Bogiem jednak a prawdą, ludzie w tem nie winowaci, bo jeno śmiać się z człeka, co sam kładzie palec w ogień nie z przymusu, tylko z własnej ochoty, i potem płacze, że się sparzył.

— A i do czegóż to wszystko prowadzisz? — zapytała troszkę z gniewem Pawłowa.

— Do tego, moja Jaguś, że teraz o wszystkiem trzeba zabaczyć, a pamiętać tylko o pracy i statkowaniu.

— Dobrze to mówić, ale bez poratunku jakiego nie damy sobie rady, i na gospodarstwie się nie utrzymamy. Do dworu z proszeniem nie pójdę, bo kilka razy com była, to dziedzic tak się na mnie nawydziwiał, żeśmy próżniaki, balowniki, że już nie mam do tego ani ochoty ani śmiałości.

— Właśnie, moja Jaguś, że pójdę do dworu, i jak wyznam wszystko szczerze, to dziedzic dobrze wymiarkuje i pozna, że się chcemy ratować, i prędzej poratuje, jak kto inny. Dziedzic wywoływał na nas od próżniaków i balowników, a bo, moje dziecko, powiem szczerze, bo nas tu nikt nie słyszy, że miał prawdę za sobą. Balowało się i mitrężyło, ale teraz nie głupim, chwycę się pracy, a nim grosz wydam, to go wprzód dziesięć razy obejrzę.

— Ja szła za tobą, a jeżeli w tem wszystkiem głupi był rozum, to twoja a nie moja wina.

— Moje dziecko, obojeśmy winni — odrzekł na to Paweł — ja trochę więcej a ty mniej, bo u kobiety długie włosy a rozum krótki.

— No, no, kiedyś taki mądrala — odezwała się z urazą Pawłowa — to radź-że sobie sam, ja się do niczego mięszać nie będę, bo powiadasz, że mam rozum krótki.

— Nie gniewaj się, moja Jaguś.

— A pocóż mię obwołujesz za głupią?

— No, to wybacz, moje dziecko, bo we frasunku człowiek bierze pierwsze słowo, co znajdzie na podorędziu. Więc wybacz, ale pamiętaj, że mąż i żona, to jak, nieprzymierzając, para koni w wozie, co jak jeden ciągnie, a drugi tylko fika i ogląda się, to i wóz w miejscu stoi, i zaprząg się psuje, i ten koń co ciągnie po próżnicy, męczy się i niszczeje. Więc i w małżeństwie zarówno powinniśmy pracować, oszczędzać i zarówno sobie radzić.

— No, no — odezwała się na to Pawłowa pokręcając głową — nie wiem kto cię to tak gadać nauczył, jakby w kościele na kazaniu?

— Dziedzic, moje dziecko, jakem był u niego i prosił o zapomogę.

— No, i dał? — zapytała spiesznie Pawłowa.

— Dał, dał, ale co się nawywodził przytem poczciwego słowa, to ażem się spłakał, i wyprzysiągłem się wszelkiego bałamuctwa i mitrężenia raz na całe życie.

Na tem skończyła się między Pawłami rozmowa. Paweł potem, jak przyrzekł dziedzicowi, tak się sprawiał. W czas wolny nigdy nie mitrężył, ale szedł na zarobek; na jarmarki lub targi zaledwie dwa lub trzy razy wyjeżdżał do roku, a skoro się sprawił, to zaraz trzeźwo wracał do domu: zaś na chrzciny lub wesela szedł tylko za wielkiem uproszeniem. Tak się obrządzając, we dwa lata potem, wypłacił się Paweł ze wszystkich długów, przyszedł do dobytku, w rok potem zaczął ciułać grosze, a dziś liczy się już do najbogatszych we wsi gospodarzy, i każdemu powiada, szczególniej młodym, co to u nich wszystko aby dziś, że:

Statek i praca, ludzi zbogaca,
A starunek niszczy frasunek. *(Km.)*

Gospodarska pogadanka.

Było to na wiosnę. Stary Stanisław stał sobie wedle domu, nachylał się i wyplatał płot porządnie, jak się patrzy. Słonko ledwo co się pokazało, a poranek był śliczny. Połową drogą szedł Wasyl i dźwigał na plecach wór żyta do zasiewu.

Skoro Wasyl zrównał się już z zagrodą Stanisława, przystanął, postawił wór na ziemi, a pochwalił Pana Boga, i puścił się ze starym w gawędkę.

Wasyl. Cóż wy to robicie, mój kumie? A toć widzę wielkie odmiany u was.

Stanisław. Ot, grodzę sobie, aby było kawałek ziemi pod jarzyny dla kobiety.

W. Oj, szkoda waszej pracy Stanisławie! Płot wam rozkradną, a kury się wam rozsiędą na grzędach, i zepsują wszystko, co zrobicie.

S. Że wy też to zawsze gadacie, ot tak byle gadać! Wam się zdaje, że to każdy człowiek złodziej, a toć przecie widzicie, że nam się drzewka ostały, cośmy wedle drogi posadzili. Przeciw kurom będzie płot, a jakby chciały przelatywać, to im się skrzydeł po trosze poucina.

W. Ta jużci że można.

S. Widzieliście jeszcze wczoraj rano, co tu było kamieni, gnoju, chwastu i zielsk; a dzisiaj wszystko już jakby wymiótł. A spojrzyjcie-no z drugiej strony chałupy, jak tam wygląda: Na gnój wykopałem dół, zrobiłem spust na gnojówkę od chlewka i obory, a śmiecie i zielska zesypałem także do tego.

W. A no, widzę, porządnie wygląda.

S. Patrzajcież, mój kumie! Zeszłego lata zachodziły do chałupy różne chorobiska. Kobieta miała zimnicę, dzieci jakieś krosty, a i ja sam nie byłem zdrów, jak się patrzy. Nie z czegoto innego, jeno ztąd, że gnój i śmiecie walały się po całem podwórzu: to pod drzwiami, to pod oknami, i smród był ciągle wedle chałupy; zgoła tak samo, jak u was jeszcze dzisiaj. Teraz czysto jest na około i powietrze zdrowe; a co to będzie mierzwy w dole, jak śmieciska i zielsko przegnije!

W. A prawda, wy zawsze co zrobicie, to mądrze.

S. Ho, ho, to nie koniec na tem, mój bratku! Jak płot pięknie wyplotę, wtedy sobie głęboko skopię cały ogródek, pacyny porozkruszam, a potem dziury zasypię rumowiskiem, i przywiezę ze rzeki z pięć furek mułu, a całą ziemię dobrze wymięszam i wygrabię.

W. Oj, to coś dużo roboty, mój kumie.

S. Ba, a jakżeście chcieli? *Bez pracy nie będzie kołaczy.* Zresztą i praca nie wielka na pożytek, co z tego będzie. Otóż mój kumie, zrobię sobie kelka grządek dosyć szerokich. Środkiem posieję ogórki, z jednej strony szczypiorku na cebulę, a z drugiej sałatę. Pod samem oknem zostawię grządeczkę na kwiaty dla dziewuszek; bo to i pięknie, kiedy się co czerwieni w ogródku, a dziewusze uciecha. Na grządki będę dawał pozór: podleję, kiedy będzie sucho, a dzieciom każę chwast wyplewić, choć ze trzy razy do lata. Zobaczycie, jakie to będą ogórki i co za sałata! Kobieta poniesie do miasta, i będzie kilkanaście cwancygierków na własny użytek w domu.

W. Mój Stanisławie, kto was tego wszystkiego wyuczył?

S. Widzicie, mój kumie, człowiek się przypatrywał, jak inni robią, i zmiarkował sobie powoli. Mówiłem ja wam już, że to grzech nie chodzić koło ziemi, jak ją kto ma; a bodaj z takiego kawalątka, co kapeluszem nakryć, to można mieć pożytek. I ja też w moim ogródku nic nie chcę stracić. Więc też pod samym płotem chruścianym nasadzę sobie pestek z dobrej bani. Jak się łęty puszczą, to je na płot wyprowadzę, i będzie pięknie wedle domu, a dla dzieci potrawa i znowu parę cwancygierów. Między baniami zasieję wielkich buraków i chrzanu, bo to starania dużo nie potrzebuje. A da Bóg doczekać na bezrok, to sobie pod samą ścianą od chałupy zasadzę kilka gałązek z winnej macicy. Słońce od południa dogrzewa, to się może i udać; a będą winogrona, bodaj do dworu na podarunek.

W. Mój Stanisławie, to i ja tak chyba zrobię.

S. A zróbcie: jeno musicie wcześniej się dźwigać. Ja wysiałem już wszystko w polu, to mogę.

W. Ja też dziś resztę wysieję, a jutro wezmę się do ogródka. Zostańcie z Bogiem.

S. Bywajcie zdrowi!

Wasyl jak obiecał, tak sobie też i urządził ogródek przed chałupą, i mieli potem ze Stanisławem wielki z tego pożytek.

Zdania z pisma świętego.

Kto strzeże ust swoich, strzeże duszy swojej; lecz kto nierozmyślny jest ku mówieniu, poczuje szkody. — Kto czyni krzywdę ubogiemu, urąga Stworzycielowi jego, a czci go, kto ma zmiłowanie nad ubogim. — Kto się kocha w używaniu, w niedostatku będzie; kto miłuje wino i tłuste kąski, nie zbogaci się.

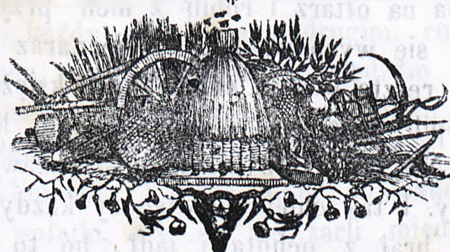
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom III. Nr. 18.

21. Grudnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Co to znaczy kolęda?

We wsi do szkoły poprzynosiły sobie dzieci kantyczki, a pan organista miał je nauczyć śpiewać kolędy. Ale był tam między dziećmi ciekawy Jaś co o wszystko się pytał.

Jaś. Powiedźcie-no nam panie organista, co to znaczy kolęda?

Organ. Wszak widziałeś opłatki, co to ja po chałupach i dworach przed wilją Bożego narodzenia roznoszę i rozdaję; to te opłatki nazywamy kolędą.

Jaś. A na co to pan rozdaje ludziom, to tem się nikt nie naje ani nie pożywi?

Organ. Mój Jasiu! to nie na jedzenie te opłatki, bo przecie na wilję gotują wam matusia różności do jedzenia, a te zaś opłatki wam przed jedzeniem wieczerzy rozdaje ojciec czy matusia po kawałku albo i po całym. A po dworach to znowu sam pan chodzi i łamie się z żoną, dziećmi i wszystkiemi sługami i gromadą swoją temi opłatkami. Tak samo robią i księża.

Jaś. Na cóżto łamią się ludzie temi opłatkami?

Organ. Widzisz, to na to. Bardzo dawno temu, to ludzie

pobożni, przynosili z sobą piękny cienki chleb do kościoła na ofiarę. A księża, co mieli odprawiać mszę świętą, to brali kawałki tego chleba na ołtarz i robili z nich przy mszy komunję świętą, i kto się wyspowiadał, to się zaraz mógł komunikować. A znowu resztę owego chleba brali księża, krajali i po mszy osobno kropili święconą wodą, a innym ludziom w kościele rozdawali. Nie jeden też ksiądz posłał kawałek do dworu albo i do chałupy. I tak chleb poświęcony każdy człowiek, tak pan jak i chłop, brał z ochotą i jadł, bo to przecie i dar Boski, i do tego poświęcony jeszcze.

Jaś. Ja widział taki chleb poświęcony u nas. Matusia moja trzymają go w skrzyni, jest obwinięty w bielutką szmatę i schowany dobrze, aby się nie poniewierał, bo to za okruszyny grzech, jeżeli po nich deptamy, albo na śmiecie wymiatamy.

Organ. Otóż ten chleb coś widział w skrzyni u matusi, to tak samo poświęcony na św. Agatę, jak tamten był święcony co dzień; a brali z niego po kawałeczku wierni ludzie i jedli czy w kościele, czy w domu.

Jaś. A czemużto teraz takiego chleba nie ma?

Organ. Takiego chleba dlatego nie ma, bo teraz wiernych ludzi bardzo dużo; trudno-by to mieć tyle kawałków, aby każdemu co dzień udzielić. Nie każdy też idzie co dzień do kościoła, a chcąc do domu każdemu posyłać, toby całej fury potrzeba. Aleć żeby była pamiątka z dawnych czasów, to mamy te opłatki, białe jak śnieg a cienkie jak papier. Organiści roznoszą na wilję ten chlebuś panom i gospodarzom, komornikom i zarobnikom.

Jaś. I na cóż to ludzie jedzą te opłatki?

Organ. Jużem ci mówił, że to nie na to, aby się najeść i pożywić, ale to pamiątka starodawna. Dawni ludzie podawali sobie naprzód ręce, całowali się i z płaczem przepraszali jeden drugiego, i darowali sobie wszelaką obrazę, a potem dopiero zabierali się do skosztowania owego chleba. Boć oni uważali to sobie za grzech, jeść chleb święcony, a mieć żal jaki na

na sercu, albo brać od drugiego chleb taki, a być mu dłużnym krzywdę jaką. Otóż pierwej się przeprosili szczerze, a potem tan chleb święcony po kawałeczku jedli. A my dziś mamy opłatki i każdy się łamie z drugim, rodzice z dziećmi, sąsiad z sąsiadem, pan z chłopami i księdzem swoim, na znak, że to my wszyscy ludzie jednacy, a po religii świętej toś my i bracia, co mamy jednego pana Jezusa tak na niebie, jak i w najświętszej komunii, i jedną ziemię i jedno Niebo. Ludzie teraz łamią te opłatki, aby się nie żarli między sobą, aby na siebie nie wygadywali, aby nie zazdrościli jeden drugiemu; tak chłop ma trzymać z swoim księdzem i panem, a pan znowu ma trzymać z księdzem i chłopami, a zgodnie, a cicho, a dobrze bez krzywdy najmniejszej jeden z drugim.

Jaś. A czemu to raz na rok tylko nosi pan te opłatki do nas?

Organ. Bo to już tak z dawna postanowione, i to zawsze na tę wilję, naprzód, że Boże narodzenie to bardzo wielkie święto, a potem, że to bardzo ładnie, aby się ludzie przestali gniewać i swarzyć, kiedy wiedzą, że Pan Jezus, co się dziś narodził, kazał żyć dobrze i zgodnie. Toć sami śpiewacie w pieśniach pobożnych a wesołych, co się także zowią kolędami, jak to w Betleem i Królowie i Aniołowie i pastuszkowie byli pięknie w zgodzie. Tyle się tam zeszło różnego ludu a jeden drugiemu był rad i każdy się weselił koło Pana Jezusa maleńkiego. Tak samo i my dziś i zawsze mamy robić.

Jaś. To prawda, jak się jeden na drugiego gniewa, to ani nie mówią do siebie, ani się nie odwiedzają, aniby chleba razem nie jedli i wody jednym garneczkiem nie pili; a jak nie ma gniewu, to i chodzą razem i jedzą z sobą, i radzi są sobie. To też i grzech ma, kto z drugim nie chce opłatka łamać, albo się wstydzi jeden drugiego, albo się pyszni, albo się na wilję gniewa jeden na drugiego.

Organ. Dobrze mówisz Jasiu. Pamiętaj sobie to na całe życie abyś nie gardził opłatkiem, abyś kochał Pana Jezusa, rodziców, pana we dworze, księdza i starszych, i był zawsze pobożnym i dobrym.

Jaś. Ale na co to zowią ludzie kolędą jakieś pieniądze, które dają służącym teraz, aby na służbę przyszli?

Organ. Prawda, że to zowie się także kolędą u ludzi; ale to jest darunek szczery, co daje bogatszy ubogiemu na to, aby sobie coś sprawił, a służył gospodarzowi wiernie i uczciwie. I to piękny zwyczaj między nami, bo widzisz i pastuszkowie i królowie przynieśli także Panu Jezusowi to chleb, to nabiał, a i złoto także; — więc tak samo powinien człowiek o drugim pamiętać, pomagać mu, prosić głodnego na obiad do siebie, okryć go, przenocować i mieć dobre serce, bo to raduje Pana Jezusa.

Jaś. A teraz to wiem już wszystko, kolęda więc to znaczy i opłatki, i pieśni pobożne wesołe i te podarunki różne co to sobie ludzie teraz dają.

Organ. A więc zacznijcie kolędować.

Zrodził się pan Jezus z najświętszej panienki,
Wyzwolił nas wszystkich od szatańskiej ręki.
Anieli śpiewają na wysokiem niebie:
Ciesz się biedny ludu, pan Bóg zbawi Ciebie!
Pan Jezus maleńki z grzechów Cię wyzwoli,
Skruszy twe kajdany, wybawi z niewoli!
I będziesz szczęśliwym na tej polskiej ziemi,
A panowie będą ojcami twojemi!
Poleć do Betleem tam zobaczysz dziecię,
Chociaż to syn Boży a biedny na świecie;
To dzicię Pan Jezus, to Zbawiciel świata
On każe uznawać w każdym człeku brata! —
Biedni pastuszkowie z radości płakali,
Poszli do Betleem Jezusa witali.
Pierwsi mu zanieśli, jakie mieli dary,
Bo Pan Jezus dla nich nie szczędził ofiary.
Pan Jezus, syn Boży i król nad królami,
A przecież jak biedak mieszkał z bydlętami.
Nie miał swojej grzędy ni swojej gospody,
Jak biedna sierotka nie zaznał wygody.
Pastuszki mu wiązkę siana darowali,
Bo sami biedacy dobrze biedę znali;
I żłobek wąziutki jemu odstąpili,
Bo sami w ubóstwie jak mogli tak żyli.

Widzieli na oczy Jezuska biednego,
Żal im się zrobiło pana tak wielkiego;
Oddali pokłony do domu wrócili
I miłości Boskiej wielce się dziwili.
Dla was to biedacy! tak pan Jezus robi,
Że się rodzi w stajni na sianku we żłobie:
Byście nie sarkali na waszą niedolę
I nie obracali życia na swawolę;
Byście i w ubóstwie Jezusa kochali,
Do tego namowy żadnej nie słuchali;
Byście panom waszym, którzy są na przodzie
Nie stali na zdradzie, ani na przeszkodzie.
Byście ich kochali, jak brat brata swego
Byli dla nich zawsze serca przychylnego —
A oni wam za to serdecznie odpłacą
To datkiem, to sercem, to nauki pracą.
Dziś pan Jezus każe, byśmy żyli w zgodzie
Czy kto na sołtystwie lub małej zagrodzie,
Czy w biednej chałupie lub bogatym dworze,
Czy komorą siedzi lub z bydłem w oborze.
Tośmy wszyscy bracia, polskiej ziemi syny,
Pan Jezus nasz Ojciec i Zbawca jedyny,
A matka najświętsza w niebie z aniołami,
A na ziemi kościół są nam patronami. Amen.

Jaś. A na jaką to nutę można kolędować?

Organ. Na tę nutę, jak to śpiewacie sobie Krakowiaki.

Jaś. A to może grzech kolędy tak śpiewać?

Organ. Nuta żadna nie jest grzechem, tylko złe i brzydkie słowa w śpiewce są grzechem. A krakowską nutę możecie śpiewać chwałę dzieciątku Jezusowi, i Matce Przenajświętszej.

K. Wojciech z Medyki.

Puścizna.

Książka do nabożeństwa a igiełka i cepy, to majątek prawdziwy i błogosławieństwo Boże.

Na końcu wsi Zagórna mieszkał Jan Stępowicz, stary wiarus, który niegdyś z wojskiem dalekie zwiedził kraje. Dosłużył się też stopnia podoficera, krzyża wojskowego i rany nie jednej. Ale została mu kochana pamięć dla swojego jenerała i po tem wszystkiem, co przebył w świecie. To też bywało, gdy nie raz w święto zasiadłszy w progu domostwa, jak zaczął prawić: gdzie bywał, co widział, jak to cierpiał, a potem znowu i o różnych zwycięztwach — to aż staremu oczy gdyby węgle błyszczały, a wszyscy słuchali, i nasłuchać się nie mogli. Zaś ile razy opowiadał, jak to ukochany jenerał sam własną ręką krzyż na jego przypiął piersi, to i rozpłakał się zawsze niby dziecko.

Jan Stępowicz, powróciwszy do Zagórna, ożenił się z dziewczynką służebną ze dworu, porządną i zabieżną kobietą, która szyjąc dla wiejskich kobiet, nie jedną zarabiała sobie złotówkę; a wiele miała umiejętności po temu, jako sługa dworska. Był już wtedy Stępowicz dobrze posiwiały, ale też i żona jego nie była tak młodą — więc się dobrali. Chodził też na zarobek, bo czuł w sobie dość siły, i do żadnej nie lenił się pracy, czyli to z kosą, siekierą albo cepami — i nie brak im było powszedniego chleba.

Pan Bóg udarował ich trojgiem dziatek: dwoma chłopczykami i dziewczątkiem, o których matka wielkie miała staranie; nauczyła ich nasamprzód paciorka, i do różnej od samego dzieciństwa wezwyczaiła pracy. Starszy chłopczyk, Józefek, niby trochę słabowity, do domowej był użyty posługi. Młodszy Marcinek, tęgi, raźny chłopak, musiał ręki do cięższej dokładać roboty i ojcu pomagał; a dziewczątko, Teklusia, umiatała izbę, sień i każdy kątek; umywała miski i łyżki — i nauczyła się z łatwością sporządzać koszule ojcowe, albo też płótnianki dla braci. — Zaś w dni świąteczne, to ojciec nauczył ich litery poznawać

i czytać — a miał piękną książkę do nabożeństwa, którą w czasie całej wojaczki zawsze nosił przy sobie i na chwałę Bożą i ku własnej pociesze.

Tak spłynęło lat dwanaście, w zgodzie i statku, przy pracy i pacierzu; aż ci raz Stępowiczowa zachorowała — i zmarła. Oj, byłać też to, była wielka żałoba dla biednego męża i dzieci! Stary wiarus także od tej chwili słabować począł, i odzywały się rany i mitręga wojenna, i biedaczysko pomizerniał bardzo. Nie był też już i zdatny do ciężkiej pracy, ale wszelako co mógł to robił, posługując około dworu. Józefek posługiwał księdzu proboszczowi; Marcinek pomagał gromadzkie pasać bydełko, a Teklusia pozostała przy ojcu — i tak łatali biedę jak mogli.

Dnia jednego stary wiarus nagle zaniemógł — i od razu wyrzekł, że już jego nadeszła godzina.

Biedaczysko leżał na łóżku, blady, wychudły, ze złożonemi do pacierza rękoma. Obok siedział na stołku ksiądz proboszcz, i właśnie co dysponował go na śmierć. Nad łóżkiem wisiał krzyż prosty, drewniany, i mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej.

O parę kroków od łóżka klęczeli chłopcy i dziewczątko, a zalewali się łzami.

W kominku żyliło się trochę ognia. Na oknie leżała książka do nabożeństwa, tyle ukochana żołnierzowi staremu, i jakieś pudełko nie wieluczkie, a w rogu izby stały jego cepy.

Przez chwilę cichutko było w izdebce. Potem chory odkrząknął i słabym zawołał głosem:

— Józefku, Marcinku, i Teklusiu, chodźcie-no moje dzieci!

Wszyscy troje stanęli przy łóżku.

— Pan Bóg może mnie za parę godzin już powoła do siebie — mówił dalej — i zostaniecie sierotami... Ale Bóg was nie opuści, bo jest ojcem miłosiernym dla sierót, abyście tylko pobożnymi byli i cnotę umiłowali. Dobytku nie zostawiam wam

żadnego, jeno dobrych ludzi opiekę... Teklusiu, podaj mi książkę z okna i pudełko.

Dziewczę spełniło rozkaz ojca.

— Daję wam na pamiątkę jedyne bogactwo moje.... Ta książka do nabożeństwa była wszędzie zemną: i w ogniu, i w lazarecie, kiedym był wesół, i gdym był żałośny. Zostawiam ją tobie, Józefku... a jest w niej złożony i krzyż mój... co mi go przypiął jenerał. Nauczyłeś się czytać, jesteś słabowity i niezdatny do cięższej pracy, to może i ta święta książka jako pokieruje cię w świecie.

Blady, drobny i zapłakany Józefek odebrał książkę z rąk ojca, i przycisnął ją do piersi, jak gdyby w żałości wewnętrznej ulżyć mu miała.

Tobie, Marcinku, oddaję cepy, które tam w kącie stoją! — mówił dalej Stępowicz. — Pracowałem dla was póki sił starczyło; Bóg tobie dał moc i zdrowie, więc pracuj także, nie leń się do niczego, a nie zabraknie ci chleba.

Marcinek ładny, choży chłopak, ukrył twarz rumianą w dłoniach, i poszepnął płaczliwie:

— Będę pracował, tatuniu.

— Teklusiu! — zwrócił się chory do dziewczątka — tobie oddaję to pudełko po matce: i są tam igły, naparstek i nożyczki. Bądź taką dobrą i pracowitą niewiastą jak matka była.

Dziewcze odbierając pudełko upadło na kolana przy łóżku i szlochało głośno.

— Bądźcie o dzieci wasze spokojni — ozwał się teraz ksiądz proboszcz — ja wezmę Józefa pod swoją opiekę. Gospodarz Ignasiek bierze Marcinka, a pani zabiera Teklusię do dworu.

Stępowicz złożył dłonie:

— Umieram szczęśliwy. Boże, Boże mój miłosierny! — i westchnął gorąco.

W parę godzin potem, tak jak sam przepowiedział, stary żołnierz już nie żył.

Dnia trzeciego ksiądz proboszcz wyprawił mu pogrzeb porządny.

Dziedziczka wzięła Teklusię do dworu, ksiądz proboszcz Józefa, a gospodarz Ignasiak Marcina, i nie było sieroctwo ich zbyt gorzkiem pod tak poczciwą opieką.

W lat kilkanaście po śmierci Jana Stępowicza, w sam dzień Matki Boskiej narodzenia, zapraszam was na chrzciny do jednego domku w Zagórnie. Był to domek świeżo pobielony, z oknami czysto wymytemi, na których zielenił się tatarak. Przed sionką było umiecione czyściutko, wysypane piaskiem i także tatarakiem narzucono; na lewo były chlewiki, na prawo, za ogrodzeniem chróścianem, zagony z różnem warzywem, opielone starannie.

W izbie czystej i schludnej leżała na łóżku porządnem młoda i ładna kobieta i tuliła w poduszce malutkie dzieciątko.

Nad łóżkiem wisiał znowu krzyż prosty, drewniany i kilka świętych obrazów. Były tam dwie skrzynki, szafa, dwa stoły i kilka stołków. W szafie za szkłem wyglądały szklanki, talerze fajansowe i ładne garnuszki.

Po izbie uwijała się rumiana dziewka, ogarnięta świątecznie.

Tą kobieciną w łóżku leżącą była owa niegdyś Teklusia, córka starego żołnierza, Jana Stępowicza. Zasłużyła się dobrze dziedziczce, i pani wydała ją za gajowego, Tomasza Gałkę, bardzo porządnego człowieka. Teklusia we dworze wprawiła się w szyciu i w krawieczyźnie — mając w poszanowaniu igiełkę matczyną — a gdy została żoną Tomasza Gałki, stała się krawczyną na wieś całą, co jej nie mały przynosiło zarobek: każdą spodnicę i każdy czepiec w Zagórnie igiełka jej znała.

Przed trzema dniami dał jej Pan Bóg córeczkę, i właśnie, ot miały być chrzciny. Tomasz Gałka przyniósł z miasteczka słodkiej wódki, garniec piwa i parę rządków kołacza. Chleb dobry i masło zawsze w domu było, a dziewka upiekła pieczeń wieprzową i ugotowała kaszy jaglanej ze skwarkami.

A wiecie też jacy tam byli kumotrowie? — Ot Marcin, ów Marcinek, którego to gospodarz Ignasiak wziął do siebie po śmierci ojca z ładną Marysią, córką Ignasiakową. Zasłużył się także u gospodarza swojego, jako doskonały parobek i nie lenił się do żadnej pracy i we wielkiem poszanowaniu miał cepy ojcowskie. To też gospodarz, gdy widział, że chłopakowi niebrak było urody a ma się do jego córki, wcale temu przeciwny nie był, by się młodzi pobrali. Bo Ignasiak miał zdrowy chłopski rozum i dobrym był ojcem — a wiedział, że praca i poczciwość więcej znaczą aniżeli majątek.

Tekla uśpiła dzieciątko, i przyglądała się czepeczkowi z różową wstążeczkę, który wczoraj uszyła, by córuchnę do chrztu św. ustroić. W tem wszedł Tomasz Gałka, człek przystojny i czerstwy, z koszykiem pełnem gruszek i jabłek na poczęstne dla gości.

Za nim weszli też zaraz i Ignasiakowie: Marysia i Marcin.

— Niech będzie pochwalony.....

— Na wieki.....!

— A witajcież!

— Jak się macie!

— Szczęść wam Boże!

— Bóg zapłać!

Powitali się wszyscy nawzajem.

— Ksiądz brat także już przyjechał — ozwał się Tomasz — ale wstąpił do księdza proboszcza na chwilkę.

Ksiądz brat?... Otóż widzicie, że ów mały, słabowity Józefek, został księdzem i był już wikarym w sąsiedniej parafii. Był bardzo posłusznym we wszystkiem dobrodziejowi swojemu, uczył się pilnie i miał w poszanowaniu książkę ojcowską, to też i jemu pobłogosławił Bóg dobry.

Niezadługo zaturkotała bryczułka przed domem — i ksiądz Józef wszedł do izby.

Radość była tam niemała — Tekla aż się spłakała, tak szczęśnie zrobiło jej się na sercu.

Kumotrowie poszli do kościoła z dzieciątkiem, które ksiądz Józef ochrzcił.

Gdy powrócili do domu i dziecię oddano matce, wyrzekł ksiądz Józef do siostry:

Masz nową chrześciankę matko! naucz ją pacierza i wychowaj w czystej wierze, w miłości Boga i bliźniego.

Matka przytuliła dziecię do serca i cichą poszepnęła modlitwę.

Nadszedł i ksiądz proboszcz, i wesołe nastąpiło poczestne.

Paulina z L. Wilkońska.

Ciekawy Wojtuś.

Jedwab.

Pani Walentowa krzątała się koło wilji. Przyrządzała szczupaka, gotowała kluseczki, piekła białe kołacze, a naganiała dziewkę, żeby jej czemprędzej utarła maku w donicy. Wojtuś przysługiwał się także matce: biegał za korzeniami i za octem do sklepu, przebierał rodzynki, a cieszył się niezmiernie na *kutję*, co to ją z pszenicy, z maku i z miodu robią.

Zaczęło się też i zmierzchać. Mróz był należyty: pola się zaiskrzyły, a pod nogami i pod sanicami to aż skrzypiało. W miasteczku przycichło; żywego ducha nie ujrzałeś na świecie, bo wszystko zabierało się do spożycia wilji i złamania opłatka na znak zgody i miłości.

Nie ociągała się też pani Walentowa, zwłaszcza, że już i szczupak był gotów i kluseczki z makiem, a i buteleczka wina znalazła się dla starego rymarza. Więc też duchem potrząsła dziewka trochę słomy na stół i zaścieliła bielutkim jak śnieg obrusem, a po chwili siedzieli już Walentowie za stołem i spożywali dary Boże razem z dziewką i resztą czeladzi.

Wojtuś był wystrojony w nową kapotę i nowiuśkie buty, ale co najbardziej, to mu się podobała czerwona wstążeczka jedwabna u koszuli, co mu ją także matusia na święta sprawili. Spoglądał też ciągle po tej wstążeczce, i nie mógł się nią nacieszyć.

Po wilji śpiewają zwykle kolędy, a Walenty trzymał się zawsze starego zwyczaju, więc też zaczął sam: W żłobie leży, któż pobieży. Śpiewali tam i „Hej w dzień narodzenia Boga jedynego“, a rymarz opowiadał o narodzeniu Jezusa dzieciąteczka, jak to ze starych ksiąg wyczytał.

Ustały wreszcie na chwilę śpiewy i gadania, a Walenty spojrzał na syna, co się bawił swoją czerwoną wstążeczką.

— No i cóż; bardzo cię ucieszyła wstążeczka — zapytał rymarz.

— Oj bardzo — odrzekł Wojtuś, przysuwając się do ojca.

— A wiesz ty z czego to zrobione?

— Mówiła mi matusia, że to z *jedwabiu*, ale ja nie wiem co to *jedwab*.

— Jeżeli nie wiesz, to ci powiem -- rzecze Walenty. — A i wy posłuchacie — dodał, zwracając się do czeladników.

— A jużci, że posłuchamy, panie majster — ozwali się owi.

— Owóż musicie wiedzieć — zaczął Walenty — że jest jedno drzewo, co się zowie *morwa*. Niejeden z was musiał już widzieć to drzewo: liście ma trochę podłużne i karbowane, a pod jesień jagody czarne albo białe bardzo słodkie.

— Oj znam — zawołał Wojtuś. — Morwy są u księdza kanonika w ogrodzie.

— A no widzisz takie same — ciągnął dalej rymarz. — Owóż żeby Pan Bóg nie był stworzył tej morwy, to by i jedwabiu na świecie nie było. A to z tej przyczyny: Stworzył też Pan Bóg taką gąsienicę, co jeno liście z tej morwy jada; a ta skoro już dobrze wyrośnie, zaczyna ze siebie wypuszczać sok, co od razu na powietrzu stygnie, i taką nicią oprzędza się naokoło, kubek w kubek jak i nasze zwykłe gąsienice po drzewach. Owóż ten oprzęd naokoło gąsienicy jest *jedwab*.

— Patrzajcież — zawołał jeden z czeladzi — a myśmy myśleli, że to tak rośnie, jak nasz len albo konopie.

Walenty odetchnął i mówił dalej:

— Aleć nie wiele przyszło-by z tego człowiekowi, bo tak jak i u naszych motyli, po niejakim czasie wykłuwają się z tych

oprzędów ćmy, i te przegryzają całą nić jedwabną. Te ćmy żyją bardzo krótko, parują się, samiczka znosi bardzo dużo jajek a potem zdychają zaraz na miejscu.

Dlatego żeby mieć z jedwabiu pożytek, porobili ludzie osobne fabryki do chodowania morw i tych gąsienic i tak to urządzają, ażeby nie ze wszystkich oprzędów wylęgały się gąsienice. Tym końcem suszą w piecach oprzędy, a wtedy nie wykłuwają się już ćmy z owych suszonych, bo w nich gąsienica zamiera, jeno z kilkunastu zdrowych, co je odkładają na rozmnożenie.

Siła to zachodu wedle tego jedwabiu. Z jajek takich maleńkich jak główka od szpilki, wykluwają się na wiosnę gąsieniczki, a to takie maleńkie, że ledwo tego okiem dostrzedz można. Więc trzeba zaraz dawać pozór, żeby się to nie rozłaziło, a rzucać temu dwa i trzy razy na dzień świeże liście z morwy, bo inaczej uskwierknie z głodu biedactwo. Drzew morwowych musi tym końcem być wielka siła, żeby mieć liście podostatkiem. Przy wielkich budynkach są całe sady, a w nich same morwy, sadzone rzędem.

Jeżeli się tym gąsienicom dobrze jeść daje, to rosną jak na drożdżach. Ale bo też i jedzą te bestyje niech Pan Bóg uchowa! Tak to trwa kilka tygodni, a roboty z tem jest, co niemiara, bo i czyszczenia potrzebuje. Potem nic już nie jedzą, jeno się robią smutne, zgoła jak człowiek przed śmiercią, i jak wam rzekłem, zaprządają w nitkę jedwabiu ze siebie wyciągniętą. Wtedy niema już wiele do roboty, jeno wysuszać te oprzędy co na jedwab, a inne zostawić na rozpłodek.

— A jak też wyglądają te oprzędy? — zapytał Wojtuś.

— Te oprzędy są takie białe jak srebro, a tak wielkie jak śliwka. Dopieroż z temi oprzędami jest wielka robota, bo to trzeba wszystek jedwab odwinąć, a to tam pomotane, że niech Pan Bóg broni! Aleć do tego są już osobni ludzie i osobne maszyny, co to bardzo pięknie robią. Z tych nitek robi się potem jedwabna materja, zgoła tak jak tkacze płótno na warsztatach robią.

Z wielką ciekawością słuchała czeladź i ciekawy Wojtuś tej opowieści o jedwabiu. Bajdurzyli sobie jeszcze chwilkę, zaśpiewali jeszcze dwie kolędy, a potem poszli spać wszyscy, jako że późno było, kogut piał na północ.

Mróz był na dworze siarczysty; po polach iskrzył się jak ślipie, a po nad cichym domem rymarza Walentego leciało błogosławieństwo Pana Boga z niebios.

RÓŻNOŚCI.

Zamydlił mu oczy. Jeżeli jaki oszust niby to na pozór uczciwy, drugiego człowieka w pole wywiedzie, to mawiają ludzie, że mu oczy zamydlił. Otóż opowiem wam zkąd to poszło.

Śliczny był Kraków za króla Zygmunta; więc też i ludzi było huk. Zjeżdżali się wielcy panowie z różnych stron, a nie nosili się tak jak dzisiaj, jeno w bogatych kontuszach, a u koszuli miał każdy złotą i diamentami wysadzaną szpinkę. Bo też były wtedy i lepsze czasy! Ależci nie brak nigdzie okpigroszów i oszustów; więc też trafiło się i w Krakowie dwóch takich, co chcieli tanim kosztem przyjść do pieniędzy. Cóż więc nie robią te hultaje! Najęli sobie mały sklepik na uboczu, i wywiesili miedniczkę, niby to golarze, a zapraszają przechodzących, czy komu brody ogolić nie trzeba! Jak na to przechodził jakiś pan setnie ustrojony, a że mu już broda podrosła, więc wstąpił do onych hultajów.

— Proszę jaśnie pana, proszę, woła jeden, i stawia stołek na środku izby. Zaś drugi wydobył mydło i pędzel, i dalej bić pianę do golenia. Więc postawili jeszcze wodę do obmycia, i różne smarowidła, a pan sobie myśli:

— No chwała Bogu, przecież raz mię uczciwie ogolą.

Skoro już mydło było gotowe, tak jeden z owych hultajów zdjął drogie szaty z jaśnie pana, odpiął wartowną szpinkę z pod szyi, i niby to podwiązywał mu brodę chustą, żeby się koszula nie zwalała, a hultaj zawiązał tymczasem końce z tyłu u poręczy.

Ha, no, zaczęło się golenie. Jeden urwisz głowę przytrzymuje, drugi wodzi pędzlem po brodzie, aż nagle chlast, chlast, mydłem, jeden i drugi raz jasnego pana po oczach.

Mój pan zaczął krzyczeć gwałtu, ratujcie! — zbiegli się ludzie, ale w izbie nie było już ani golarzy, ani sukni, ani szpinki, jeno sam pan siedział sobie do stołka przywiązany a z oczów kapie mu mydło.

Rozniosła się ta cała historja duchem po Krakowie, i ludzie zrobili sobie z tego gadkę na hultajów: Zamydlił mu oczy.

Na zakończenie.

Snieg upadł bielutki na ziemię; zamarzły wody po stawach: Pan Jezus Zbawiciel świata rodzi się w ubożuchnej stajence, więc też i ludziom nadchodzi odrodzenie z Nowym rokiem, co już do wrot puka. — Otwórzcie, otwórzcie i chaty wasze i serca wasze. Niech każdy przedsięweźmie szczerą poprawę i porzuci dawne błędy, bo któż zgadnie co nam przyniesie Nowy rok ze sobą? — Może nam Pan Bóg łaskawie lepsze czasy zeszle, więc niech każdy z was będzie gotów przyjąć godnie Jego wielkie dobro. Może zeszle śmierć w utrapieniu lub na wojnie, a wtedy niechże nikt nie szemra przeciw Swiętej Woli Jego, owszem niech ją przyjmie z pokorą i milczeniem.

A niechże zamieszka z wami święta Zgoda i Miłość braterska, bo tylko zgodliwym i miłującym ludziom błogosławi Pan Bóg w Niebiesiech. Znajcie w bliźnim swoim brata waszego. Pan we dworze jest bliźnim i bratem naszym; i żyd choć innej wiary, jest naszym bliźnim, bo Miłość nieogarnioną przyniósł na świat nasz Zbawiciel, Jezus Chrystus.

Kto się zrodził i wychował na tej naszej Polskiej a Ruskiej Ziemi, to nasz brat i bliźni. Jedną wodę on pił od urodzenia, i jedna ziemia wydawała mu na chleb ziarno. A choć pan Bóg większemi bogactwy obdarzył brata waszego, to nie miejcie zawiści ku niemu w sercach waszych; bo kogo Pan Bóg ubożuchnym zrobił na tej ziemi, to go zato stokrotnie wynagrodzi w swojem Królestwie Niebieskiem.

Brzydźcie się tylko złymi i nieuczciwymi ludźmi. Kto nie ma poszanowania dla przykazań boskich, kto ma nienawiść ku ludziom, kto grabi naszą własność, ten tylko jest nieprzyjacielem Boga i naszym.

Minie zima, nadejdzie wiosna, może się Pan Bóg zlituje i zeszle nam lepszą dolę ze zieloną wiosną! —

Nasz też Dzwoneczek nie chwalący się nagania ludzi do uczciwości, zgody i miłości. Dzwoni teraz na Narodzenie Zbawiciela świata, a da Bóg to zadzwoni także z wiosną na Zmartwychwstanie Syna Bożego! Czytajcie więc pilnie Dzwoneczek ten, słuchajcie co on wydzwoni, podumajcie wieczorem przy kominie nad uczynkami własnemi i całym żywotem. Kto czysty w swem sumieniu zaśnie spokojny, ale zły niech się obawia ostatecznego sądu.

Były czasy, że niejednego z nas uwiódł zły duch piekielny. A wtedy człek od roli rzucał się na swego brata pana we dworze, i zabijał go, i żonę i dzieci jego. Nasrożył się Pan Bóg na one zabójstwa i zesłał nieszczęścia na onych zabójców, że skapali i szczeźli w niedoli i opętaniu złego ducha. I zesłał Pan Bóg na nas jeszcze gorsze czasy: głód i słabość. Czytajcie ten Dzwoneczek, i rozważajcie sobie co w nim napisano. My wam życzymy całem sercem, i nieba radzibyśmy wam przychylić, a przecież niejeden może z was złość ma ku nam w nienawiści niedobrego serca.

My będziemy wam posełać Dzwonek od Nowego roku tak jako i dawniej; a wy nam zato zapłacicie jak na pół roku to ***jeden reński,*** a na cały to ***dwa;*** boć też i ludzie każą sobie płacić za papier i za pióra.

Spis rzeczy i okładzinkę rozsełamy z tym numerem.

Zostańcież teraz z Bogiem. Spożyjcie w zgodzie i miłości opłatek na Wilję, a kto grzeszny w swojem sercu to niech sobie przyrzeknie poprawę z Nowym rokiem.

Zostańcież z Bogiem, a noście Jego imię Święte w waszych sercach, i miejcie miłość ku bliźniemu, a nie zapominajcież też i na Dzwonek, boć i on wam życzy szczęścia, lepszej doli i zmiłowania Bożego! —



Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**